

ROBERT
GODDARD



DNI
NIEPOLICZONE

Prószyński i S-ka

Jeden z najpopularniejszych współczesnych pisarzy brytyjskich. Jego powieści, zgrabnie łączące elementy thrillera, klasycznego kryminału i literatury obyczajowej, szybko stały się bestsellerami. Krytycy, zachwyceni nieprzewidywalnością wydarzeń w powieściach Goddarda, nadali mu miano mistrza suspense. Nie skąpią również pochwał wyrafinowanemu stylowi, łatwo rozpoznawalnej frazie i znakomicie prowadzonej narracji.

Rodzina prosi Nicka Paleologusa o mediację między jego rodzeństwem a ojcem. Michael Paleologus, emerytowany archeolog, mieszka samotnie w podupadłym domu na kornwalijskim brzegu Tamar. Problem polega na tym, że tajemniczy kupiec oferuje za dom zawrotną cenę, lecz staruszek nie chce go sprzedać; dzieci są przekonane, że transakcja pomogłaby im się pozbyć wielu kłopotów. Nick nie sprostął roli mediatora, ale rozwiązanie – nieoczekiwane i tragiczne – przynosi samo życie. Dopiero wówczas dzieci starego archeologa dowiadują się, dlaczego ojciec odrzuca ofertę i jakie motywy kierują niedoszłym kupcem. Konflikt z nieznanym wrogiem zmusza rodzinę do rozliczenia się z przeszłością.

Cena 36,00 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie internetowej
www.proszynski.pl

DAYWNU
8/05
01488

ISBN 83-7337-426-3



9 788373 376263

Tego samego autora ukazały się:

Bez śladu

Co kryje mrok

Dłoń w rękawiczce

Pożyczony czas

Przemiana

Uchwycona w światło

Ucieczka Spod Obłoków

Zamknięty krąg

Zamknięty rozdział

Zapisane w kamieniu

Zbyt późno

ROBERT
GODDARD

Dni
NIEPOLICZONE

Przełożył Łukasz Praski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:

DAYS WITHOUT NUMBER

Copyright © Robert and Vaunda Goddard 2003

All rights reserved

Projekt okładki:

Copyright © Christopher Brown

we współpracy z Transworld Publishers z grupy Random House

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Redakcja:

Jacek Ring

Redakcja techniczna:

Małgorzata Kozub

Korekta:

Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Łamanie:

Aneta Osipiak

ISBN 83-7337-628-3

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza

im. W. L. Anczyca S.A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

*Pamięci mojego ojca
William Jamesa Goddarda
1903-1984*

*Naucz nas liczyć dni nasze,
abyśmy osiągnęli mądrość serca*

Księga Psalmów 90,12

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Wcale nie żałował, że zgodził się przyjechać. Dawno już nauczył się przyjmować konsekwencje wszystkich swoich decyzji z pewną dawką spokoju. Żał nie był więc odpowiednim słowem. Lecz konsekwencje rodzą się wolno i nie zawsze są przyjemne. Długa podróż na zachód z każdą milą przypominała mu o tym coraz bardziej. Opuszczał nieprzyjazną ziemię, a teraz wkraczał na spokojną równinę. Jadąc do domu, nie tylko porzucał schronienie, ale deklarował, że już go nie potrzebuje - powiedziałby rzecz jasna, że to się rozumie samo przez się. Ale powiedzieć a uwierzyć to dwie zupełnie odmienne rzeczy, jak hałas i cisza. A przez przyciemniane szyby i wytrzymałą stal szarego, eleganckiego służbowego samochodu słyszał... przede wszystkim ciszę.

Jechał do domu, kierując się na zachód, co stanowiło także sprzeczność pod względem historycznym. Mimo że Nicholas Paleologus starał się jak najlepiej grać rolę opanowanego Anglika, pracującego na średnio ważnym kierowniczym stanowisku, to jeśli wierzyć w genealogiczne badania jego dziadka, w rzeczywistości był kimś o wiele

bardziej egzotycznym: potomkiem ostatniego cesarza Bizancjum. Ciągłe okazywał i niemal zawsze odczuwał głęboką pogardę dla swych półlegendarnych wschodnich korzeni. Zainteresowanie, jakie wzbudzało jego pochodzenie, bywało w najlepszym razie niemiłe, a w najgorszym... Nie miał jednak ochoty wracać pamięcią do najgorszych razów. Odkąd odizolował się od rodziny, był gotów przyznawać się jedynie do rodowodu greckiego i żadnego innego, wypierając się związków imperialnych w rozmowach z żalosną garstką tych, którzy skojarzyli nazwisko.

Ostatecznie wydawało się mało prawdopodobne, by ostatni z Paleologów trafili do Anglii. Jednak tak wynikało niezbiecie ze strzępków historii ich rodu. Dynastia Paleologów rządziła Bizancjum przez dwa ostatnie i najmniej chwalebne stulecia istnienia imperium aż do upadku cesarza Konstantyna XI, który w 1453 nie zdołał obronić murów Konstantynopola przed oblężeniem Turków. Katastrofa rozproszyła ocalałą część rodziny po krajach śródziemnomorskich, wtapiając ją między niżej urodzonych członków rodu, aż pewnego dnia prapraprawnuk stryjeczny Konstantyna, Theodore, uciekając z Włoch przed oskarżeniem o zabójstwo, postawił stopę na angielskiej ziemi i już jej nie opuścił. Dożył swych lat jako gość rodziny Lowerów, mieszkając w ich majątku Clifton na kornwalijskim brzegu Tamar, po drugiej stronie Plymouth, w parafii Landulph, gdzie zmarł w roku 1636.

Znalazłszy w kościele w Landulph tablicę pamiątkową poświęconą Theodore'owi Paleologusowi, dziadek Nicka, Godfrey Paleologus, postanowił osiedlić się w tej okolicy z zamiarem udowodnienia cesarskich korzeni swojego rodu, na co poświęcił sporo czasu, którego miał dość dzięki okazałemu spadkowi. Kupił zrujnowany wiejski dom - Trennor - położony w połowie drogi między kościołem a wioską Cargreen i stopniowo urządził w nim wygodne rodzinne gniazdo. Urodził się w Plymouth i nigdy nie zdołał znaleźć koronnego dowodu na swoje pokrewieństwo z dawno zmarłym Theodore'em, lecz przynajmniej zaspokoił swoją ambicję i został pochowany w Landulph - choć nie w siedemnastowiecznym

grobowcu Paleologusów.

Jego syn Michael studiował archeologię w Oksfordzie, a potem zaczął ją wykładać. W tym mieście urodziło się jego pięcioro dzieci, wśród nich także Nick. Ale Michael nie sprzedał Trennor, po śmierci rodziców zatrzymał posiadłość jako dom letni, do którego ostatecznie przeprowadził się po przejściu na emeryturę. Od śmierci żony mieszkał samotnie, choć w okolicy pozostało jego czworo dzieci, które nie opuściły tych stron albo z własnego wyboru, albo w wyniku zrządzenia losu. Tylko Nick postanowił ułożyć sobie życie z dala od Trennor. Teraz jednak i on wracał. Lecz nie na długo. I podejrzewał, że z niezbyt ważnego powodu.

Było piątkowe popołudnie. Wilgotny zimowy zmierzch dognał go na drodze i wyprzedził. To chyba dobrze, pomyślał Nick, patrząc na przydrożne słupki milowe odliczające odległość dzielącą go od celu podróży. Może potrzebował osłony ciemności. W każdym razie na pewno potrzebował schronienia. Jak zawsze.

W niedzielę jego najstarszy brat będzie obchodził pięćdziesiąte urodziny. Andrew hodował owce na Bodmin Moor i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej osamotnionego - zdaniem ich siostry, Irene - z powodu rozwodu, odejścia jedyne go syna i opłakanego stanu brytyjskiego rolnictwa. Przyjęcie urodzinowe w Trennor - spotkanie całego rodzeństwa - miało im wszystkim sprawić przyjemność, a zwłaszcza Andrew. Takiego wezwania Nick nie mógł zignorować. Namawiając go, Irene przyznała jednak, że chodzi o coś więcej. „Musimy porozmawiać o przyszłości. Nie sądzę, żeby tato mógł sobie dłużej radzić samotnie w Trennor. Pojawiła się pewna możliwość i chcielibyśmy poznać twoje zdanie”. Odmówiła podania przez telefon szczegółów. Nick domyślał się, że miała nadzieję wzbudzić jego ciekawość i poruszyć sumienie. Co jej się udało, choć nie tak zdecydowanie, jak zapewne przypuszczała. Wreszcie się zgodził, ponieważ nie miał żadnej sensownej wymówki, by odmówić.

Gdy Nick dotarł do Plymouth, tłok popołudniowego szczytu zaczął się właśnie przerzedzać. Jadąc przecinającą miasto A38, zbliżył się do Tamar Bridge, gdzie roboty drogowe znacznie spowalniały ruch aut, których sznur sennie sunął nad szeroką, czarną wstęgą rzeki. Z lewej mostem kolejowym przemknął pociąg, zdążając tam, skąd przyjechał Nick, który porzucając na mgnienie oka swój wyćwiczony spokój, bezwiednie pomyślał, że chętnie znalazłby się w jednym z wagonów.

Lecz było to tylko mgnienie oka. Po chwili znów odzyskał panowanie nad sobą. Po drugiej stronie mostu skręcił w stronę centrum Saltash i wrócił przez najstarszą część miasta, zjeżdżając ze stromego wzniesienia w kierunku rzeki i pozostawiając nad sobą drogę i tory kolejowe. Skręcając w prawo u stóp wzniesienia, od razu ujrzał na nabrzeżu rozświetlone ciepłym blaskiem okna pubu Old Ferry, w którym od dwunastu lat gospodarzyła Irene Viner, z domu Paleologus. Na pomysł prowadzenia własnego lokalu wpadł jej mąż, kiedy zwolniono go ze stoczni Devonport. Wkrótce jednak zaczął przepijać większość zysków, a Irene udało się rozwiązać ten problem dopiero przy pomocy adwokata. Otwarcie przyznawała, że prowadzenie pubu nigdy nie było jej marzeniem, ale radziła sobie z tym o wiele lepiej, niż Nick mógłby przypuszczać.

Wjechał na niewielkie podwórko za budynkiem i zaparkował w wąskiej luce między vauxhallem Irene a dużym pojemnikiem na plastikowe butelki, wyłączył silnik i wysiadł. Dopiero gdy pierwszy raz wciągnął do płuc chłodne i wilgotne powietrze znad rzeki, uświadomił sobie, że naprawdę tu przyjechał. Niemal nad głową miał przeszło wiekowego mostu kolejowego, ciemnego i cichego po przejeździe zmierzającego na wschód pociągu. Dalej wznosił się obwieszony pomostami rusztowań nowoczesny most drogowy, którego kształt rozmywał się w świetle lamp sodowych. Siostra Nicka wybrała sobie dom w doprawdy dziwnym miejscu, w cieniu budowli

związanych z podróżowaniem, nazwanym na pamiątkę środka transportu, którego od dawna tu nie było*. W każdym razie pub Old Ferry był ślepym zaułkiem.

* *Old ferry* - stary prom (przyj, tłum.)

Takie wrażenie odniósł też Nick. Ale co z tego? Miał tu spędzić tylko weekend. Owszem, przyjechał, ale zaraz odjedzie.

Wyciągnął z bagażnika torbę i ruszył do głównego wejścia. Wchodząc do pubu, pochylił głowę. Układ budynku zachowywał rozdział zwykłego baru od komfortowej sali barowej, ale obsługiwano je przy wspólnym kontuarze, a Irene i jej klienci nazywali obydwie pomieszczenia po prostu frontowym i tylnym. Były tu niskie sufity, nierówne podłogi i ściany grube jak mury lochu. Budynek nie dźwigał lekko ciężaru swych pięciuset lat. Nie sprawiał też jednak wrażenia muzeum. Dwa automaty do gry i garstka miejscowej młodzieży stanowiły przekonujący argument, że przybysza nie powita tu stęchlizna starzyzna.

Inną sprawą był papierosowy dym. Nick, zagorzały wróg palenia, idąc przez salę, mimowolnie kaszlnął, przyciągając nieufne spojrzenia grupki przy automacie do gry. Widok schludnego, odzianego w elegancki garnitur nieznajomego raczej nie sprawił im przyjemności, a rodzinne podobieństwo do gospodyni najwyraźniej umknęło ich uwagi.

W istocie podobieństwo rzucało się w oczy. Oboje byli podobnego wzrostu i zbliżonej budowy ciała; w lśniących, ciemnych włosach srebrzyło się mniej więcej tyle samo siwizny; mieli odrobinę zbyt pociągłe twarze i orle nosy, by można ich uważać za atrakcyjnych w klasycznym rozumieniu tego słowa, mimo to coś w ich wyglądzie przyciągało wzrok i z pewnością zostaliby dostrzeżeni w każdym zgromadzeniu. Irene siedziała na stolku za barem, utkwivszy nieobecne spojrzenie w pustej sali w głębi lokalu, przyciszonym głosem

rozmawiając przez ramię z tlenioną na blond barmanką, która raczyła drinkami młodzieńców w sali od frontu.

- Oto i on - obwieściła Irene, gdy Nick wkroczył w jej pole widzenia. - Witaj, przybyszu. - Zeskoczyła ze stołka, podeszła do brata i ucałowała go. - Dobrze wyglądasz.

- Ty też.

- Podoba ci się moja kreacja? - Wykonała pół piruetu, prezentując opinającą biodra spódnicę i buty na wysokim obcasie. Blask lampy zamigotał na szkarłatnej bluzce. - Piątkowa toaleta specjalnie dla bywalców. Mówię ci, niejeden zrejterowałby do Boatmana, gdyby nie moje nogi.

- Nie wątpię. - Rzeczywiście w to wierzył, choć w tej chwili w pubie raczej nie roilo się od jej wielbicieli, a blednacy z wolna uśmiech Irene zdawał się to potwierdzać.

- Niedługo się zjawia.

- Cieszę się, że zdążyłem przed ścisaniem.

- Wyglądasz, jakbyś przyjechał prosto z biura.

- Fakt, rano spędziłem w biurze.

- Masz ochotę na drinka?

- Może później. Chciałbym się odświeżyć.

- Oczywiście. Zapominam, jaki szmat drogi przejechałeś. Zajmiesz pokój Laury. Jeżeli jesteś głodny, w lodówce jest tarta i sałatka.

- Dobrze. Do zobaczenia za chwilę.

Nick otworzył drzwi obok damskiej toalety opatrzone tabliczką OBCYM WSTĘP WZBRONIONY i wszedł na wąskie schody prowadzące do części mieszkalnej. Przesadzając po dwa stopnie, dotarł do ciasnego podestu wychodzącego na salon i sypialnię, znajdujące się od frontu, oraz kuchnię, łazienkę i drugą sypialnię w głębi. Sypialnia z tyłu należała do jego siostrzenicy przebywającej obecnie w szkole z internatem. Łóżko zostało już pościelone. Rzucił torbę obok niego, przez chwilę usiłował odgadnąć, kim jest dziewczyna na plakacie za drzwiami, a potem skierował kroki do łazienki.

Zanim Nick zszedł z powrotem do baru, minęło mniej więcej czterdzieści minut, a w sali z tyłu zainstalowało się już kilkunastu słynnych bywalców, dzielących się dowcipami i plotkami. Niektórych mgliście sobie przypominał i oni też zdawali się go rozpoznać. Wkrótce okazało się, że Irene poinformowała ich o jego wizycie i jej rzekomym powodzie: przyjęciu w Trennor. Został przyjęty jak dobry znajomy i stawiał drinki jak reszta towarzystwa. W ciągu kilku następnych godzin nauśmiechał się i nagadał tyle, ile zazwyczaj czynił przez cały miesiąc, aż rozbolała go szczęka, a uczucie napięcia przerodziło się w nieprzyjemne pieczenie w żołądku. Nikt nie zadał mu pytania, które samo się narzucało: dlaczego nie zatrzymał się w wielkim Trennor, gdzie stało kilka pustych sypialni, między innymi i ta, którą przez wiele lat dzielił ze swoim bratem Basilem, zamiast gnieść się między pluszowymi królikami Laury i płytami girls-bandów? I chyba dobrze, bo nie potrafiłyby udzielić zadowalającej odpowiedzi. Irene wciąż nie puszczała pary z ust. Może bywalcy już wiedzą, pomyślał nad trzecim guinnessem, żałując, że w ogóle zgodził się go przyjąć. Może tylko on pozostawał w niewiedzy. Pochwyciwszy badawcze, a zarazem ostrzegawcze spojrzenie siostry zza kółeczek dymu z czyjejs cygaretki, pomyślał, że może jednak nie.

Gdy wyprowadzono w ciemność ostatniego klienta, a barmankę po pobieżnym sprzątaniu wysłano do domu, dochodziła północ. Irene zapaliła pierwszego tego wieczoru papierosa, naląła Nickowi i sobie podwójną glenmorangie, po czym usiadła obok brata przy stole najbliższym gazowego kominka, którego blask dawał efekt płomieni tańczących na obramowaniu z kutej miedzi i umieszczonych po obu stronach ornamentach imitujących mosiężne ozdoby końskiej uprzęży.

- Sprawiają wrażenie całkiem dobrodusznym chłopaków - zauważył, mając na myśli nieobecną już wesołą gromadę.

- Czyli nie za bardzo cię wymęczyli? - Posłała mu znad szklaneczki współczujący uśmiech.

- Nie. Wszyscy byli...

- Pytam o samo przeżycie. Nie lubisz tłumu, prawda? Zwłaszcza gdy sam masz się w nim znaleźć.

- Jakoś sobie radzę.

- Tak? Martwię się o ciebie, gdy jesteś tak daleko, sam...

- Nie masz się o co martwić.

- Kiedyś miałam.

- Ale już nie.

Zrozumiawszy aluzję, Irene zmieniła temat.

- Cieszę się, że udało ci się przyjechać.

- Sądzisz, że Andrew też się ucieszy?

- Oczywiście. Chociaż...

- Może niekoniecznie to okaże.

- Dobrze wiesz, jaki jest. I powiem ci, że to się u niego pogłębia.

- Czy wobec tego niespodziewany przyjazd młodszego brata to naprawdę dobry pomysł?

- Przecież jesteśmy rodziną, Nick. Spotkania rodzinne nie mogą być złym pomysłem. Poza tym...

- Nie ściągnęłaś mnie tu tylko z myślą o szanownym jubilecie.

- Nie. - Głęboko zaciągnęła się papierosem. - Naturalnie, chodzi też o tatę.

- A czy on wie, że zjawię się w niedzielę?

- Nie. Pomyślałyśmy, że... obydwóm sprawimy niespodziankę.

- Pomyślałyśmy?

- Anna i ja.

- A Basil?

- Wie, co się dzieje.

Nick uznał, że to było do przewidzenia, skoro od pewnego czasu Basil mieszkał z ich siostrą Anną.

- Szczęściarz.

Irene westchnęła.

- No dobrze. Trzeba w końcu wyznać całą prawdę. Nie widziałeś taty od ponad roku. Ostatnio mocno się postarzał. Można powiedzieć, że... zmizerniał. Pamiętam, że zawsze był wysoki. A teraz się... skurczył.

- W końcu ma osiemdziesiąt cztery lata.

- I na tyle wygląda. Gdyby żyła mama, może byłoby inaczej. A tak, naprawdę nie wiem, czy może zostać w Trennor i dalej snuć się samotnie po domu.

- A Pru? - Ledwie jednak Nick wspomniał o sprzątacze od lat pracującej u rodziców, uświadomił sobie, że jej też niewiele brakuje do osiemdziesięciu czterech lat. - Nie ma go na oku?

- Owszem, jeśli coś dostrzeżę przez kataraktę. Ale niewiele już z niej pożytku. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że tato musi spojrzeć prawdzie w oczy.

- W Tavistock jest zakład, który zdaniem Anny byłby dla niego idealnym miejscem. Gorton Lodge.

Nick przypuszczał, że Anna, jako pielęgniarka i administratorka domu opieki w Plymouth, ma odpowiednie kompetencje do wydawania ocen w tej materii. Mimo to zdawało mu się, że jest w tym wszystkim niepotrzebny pośpiech. Ogarnęło go współczucie dla ojca - odczucie tak niecodzienne, że aż się wzdrygnął.

- Sama opowie ci o tym jutro wieczorem. Chciała, żebyś przyjechał na kolację. Ale w Gorton Lodge jest naprawdę ładnie, uwierz mi. Lepszego miejsca nie kupisz nigdzie w okolicy.

- W to akurat nie... - Nick urwał. Gdy Irene wspomniała o kupowaniu, przysłała mu nagle do głowy myśl: kto będzie płacił rachunki za Gorton Lodge? Spadek po jego dziadku nie przetrwał do następnego pokolenia. Natomiast ojciec zawsze dawał do zrozumienia, że pensja uniwersytecka - nie wspominając o piątce dzieci - nie pozwoliła mu dobrze zabezpieczyć się na stare lata. Żadne z dzieci nie zarabiało też grubej forsy. Jedynym źródłem funduszy, które wydawało się oczywiste, był sam Trennor. Ale dom stanowił ich spadek.

Dlaczego bracia i siostry Nicka nagle zapragnęli przeznaczyć go na zapewnienie ojcu wygodnej starości? Z jednej strony był to gest godny pochwały, z drugiej jednak bardzo nie w ich stylu. - Irene, trzeba będzie sprzedać dom.

- Oczywiście.

- A jeśli tato przeżyje jeszcze dziesięć albo więcej lat, nawet pięć...

- To bez różnicy.

- Bez różnicy? Mówisz bez sensu. Ile jest wart Trennor? Trzysta tysięcy? Najwyżej trzysta pięćdziesiąt.

- Masz rację, tyle by pewnie kosztował na wolnym rynku.

- A jaki znasz inny rynek?

- Ograniczony. Ktoś zaoferował tacie pół miliona.

Nick spojrział na siostrę zdumiony.

- Pół miliona?

- Zgadza się. Pięćset tysięcy funtów. Z ręki do ręki.

- Przecież... tato nie wystawił domu na sprzedaż.

- Stąd premia.

- I to jaka.

- W tej chwili zdeponowana na rachunku przejściowym adwokata, zgodnie z życzeniem Baskcomba.

Baskcomb był adwokatem ich rodziny, a przed nim jego ojciec i ojciec jego ojca. Najwyraźniej kandydat na kupca podchodził do sprawy poważnie.

- Kim jest ten ktoś?

- Nazywa się Tantris. Nic o nim nie wiem. Nazwisko brzmi z cudzoziemska. Ale nasze też. Żadne z nas nie poznało go osobiście. Działa przez pośredników.

- Dlaczego chce kupić dom?

- Czy to ważne?

- Być może. Co powiedział tato?

- Powiedział: „Nie ma mowy”.

- Czyli nic z tego.

- Chyba że go przekonamy. Wystąpimy zwartym frontem.

- A więc po to miałem przyjechać.

- Niezupełnie. - Irene spojrziała na niego z wyrzutem, jak

gdymy zawiedziona sugestią, że nie chodzi o nic więcej. - Uważałam, że masz prawo wiedzieć. Możesz na tym skorzystać razem z nami. Albo oczywiście stracić, jeżeli odrzucimy ofertę pana Tantrisa i jego pieniądze.

- Nie my, ale tato ją odrzuci. Zresztą to wątpliwa korzyść. Tyle że pieniądze mogłyby dłużej napędzać Gorton Lodge. O ile...

- Rachunki ureguluje pan Tantris.

Po raz drugi tego wieczoru Nick spojrzął na siostrę, nie kryjąc zdumienia.

- Co?

- Zapłaci pan Tantris. To będzie coś w rodzaju funduszu powierniczego. Sprawa, zdaniem Baskcomba, nie do zakwestionowania pod względem prawnym.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Żeby przypieczętować transakcję.

- Ale...

- I oczywiście po to, żeby pokonać nasze opory. Przypuszczam, że to fortel, żeby przeciągnąć nas na swoją stronę. Nie mam złudzeń co do jego motywów.

- Ale jakie właściwie są jego motywów? Dlaczego tak bardzo zależy mu na Trennor?

Irene wzruszyła ramionami.

- Mówiłam już, czy to naprawdę ważne?

Udzieliła mu kolejnej wymijającej odpowiedzi, o jeden raz za dużo. Nick nachylił się nad stołem bliżej siostry.

- Wiesz, Irene?

Zanim odpowiedziała, przez kilka sekund gasiła papierosa.

- Tak. Wszyscy wiemy.

- Z wyjątkiem mnie.

- Właśnie.

- Więc? - Usiłując wydobyć z niej prawdę, nie krył irytacji.

- To trochę... niezwykle.

- Nie wątpię.

- Powiedziałabym nawet, zaskakujące.

- Wobec tego zaskocz mnie.
- Właściwie... - Uśmiechnęła się do niego uspokajająco. - Zamierzam pozostawić to komuś o wiele bardziej kompetentnemu ode mnie.
- Doprawdy. Któż to taki?
- Asystentka pana Tantrisa, panna Hartley, która chce się z tobą spotkać i wyjaśnić całą sytuację. Wolałaby, żebyś usłyszał to od niej, i szczerze mówiąc, ja też. Potrafi odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.
- Wolałaby? Czyli wie o mnie?
- Słyszała o tobie. Dałam jej jasno do zrozumienia, że należy uwzględnić twój pogląd. I bardzo jej zależy, żeby uszanować twoje zdanie.
- Bardzo ładnie z jej strony.
- Sarkazm. - Irene rozjaśniła się w uśmiechu. - Dobry znak, Nick.
- Znak czego?
- Powrotu do rodzaju ludzkiego. - Spojrzała na niego z dawną siostrzaną czułością, której nie mógł odrzucić, ale nie mógł też odpowiedzieć podobnym uczuciem. - W końcu do niego należysz.
- Kiedy umówiłaś mnie z panną Hartley? - spytał, przechodząc do konkretów.
- Na jutro w południe.
- Tutaj?
- Nie, w St Neot. W kościele.
- W St Neot?
- To w połowie drogi między Liskeard a Bodmin.
- Na litość boską, wiem, gdzie to jest. Nie wiem tylko, po co mam jechać taki kawał drogi, żeby się zobaczyć z tą kobietą.
- Dowiesz się, kiedy tam pojedziesz.
- Co to ma znaczyć?
- Ma znaczyć tyle, że panna Hartley wszystko ci wytłumaczy. - Irene wysączyła resztkę whisky ze szklaneczki. - Dlatego też powiem ci dobranoc.

Rozdział 2

Z doświadczenia całego życia Nick wiedział, że wszelkie próby nakłonienia Irene do wyjawienia czegoś, o czym postanowiła nie mówić, były daremne. Kiedy zbudził się naza jutrz rano, znalazł odrobinę pociechy w myśli, że darował sobie te wysiłki. Uniknął przynajmniej jednego błędu. Drugiego jednak nie udało mu się ustrzec i teraz za to płacił. Wypił o wiele więcej, niż miał w zwyczaju. Z każdym bolesnym ruchem głowy żałował drugiej szklaneczki glenmorangie, którą opróżnił, gdy Irene poszła spać.

Dlatego więc tradycyjna przebieżka w sobotę rano była raczej torturą niż pokrzepieniem. Na szczęście pogoda okazała się łaskawa - dzień był szary, bezwietrzny i orzeźwiająco chłodny. Nick pobiegł na południe, minął szkołę Saltash i wrócił ścieżką wzdłuż linii kolejowej. Potem odsapnął na nabrzeżu, obserwując łabędzie i mewy i przyglądając się gęsiom płynącym z gracją po niebie nad dachami Plymouth. Ból głowy wcale nie zelżał - przeciwnie, dokuczał mu coraz bardziej. Nick miał nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu odpokutował za własną lekkomyślność.

Kiedy zbliżał się do Old Ferry, w nozdrza uderzył go aromat smażonego bekonu, który, ku jego zdziwieniu, wydał mu się nadzwyczaj kuszący. Chrupki bekon i jajecznicza okazały

się opatentowanym przez Irene lekarstwem na kaca. I co dziwniejsze, skutecznym. Kiedy już Nick podniósł sobie poziom cholesterolu i kofeiny w organizmie; a potem wymoczył się w wannie, znów poczuł się bardziej podobny do w miarę sprawnego fizycznie i trzeźwo myślącego człowieka, którym miał być.

O jedenastej wyruszył - dzieliła go godzina od wyjaśnienia tajemnicy, które już od dawna mu się należało.

Nick nie pamiętał, czy kiedykolwiek przedtem odwiedzał St Neot. Była to jedna z wiosek na południowym skraju wrzosowiska Bodmin Moor, urządzano do nich rodzinne wycieczki z Trennor, kiedy był dzieckiem, więc zapewne niegdyś zawitali i tutaj. Może byli tam na lodach? Nie był pewien. Kręta, okolona drzewami droga wijąca się doliną Loveny także nie wywoływała w nim żadnych konkretnych wspomnień. Było to jednak malownicze miejsce; z kominów domków stojących u stóp łagodnych wzgórz wrzosowiska leniwie unosił się dym.

Kościół znajdował się w najwyższym punkcie wsi. Była to kanciasta, granitowa budowla nosząca ślady zniszczenia, prezentowała się jednak okazale, świadcząc o wysokim kunszcie budowniczych sprzed wielu wieków. Nick zatrzymał się pod zachodnim murem cmentarza na parkingu należącym również do niewiele mniej szacownej gospody London Inn. Wyglądało na to, że pub jest już otwarty, ale o tak wczesnej porze nie widać jeszcze było dużego ruchu. Zegar kościelny pokazywał za dziesięć dwunastą. Nick przyjechał za wcześnie.

Nie on jeden. Zaparkował obok małego czerwonego peugeota. Kiedy wysiadł, to samo zrobił kierowca peugeota.

Była to niewysoka, szczupła kobieta ubrana w dżinsy, sweter i kożuszek, o poważnej, bladej twarzy i ciemnych, kręconych włosach. Zza małych okularów w złotych oprawkach spoglądały surowo orzechowe oczy.

- Pan Paleologus? - spytała z ledwie słyszalnym akcentem środkowoangielskim.

- Taki Panna Hartley?
- We własnej osobie. - Podali sobie ręce. Elspeth Hartley uściśnęła mu dłoń zaskakująco mocno. Ogólnie rzecz biorąc, nie bardzo pasowała do jego wyobrażenia asystentki - jeżeli nią rzeczywiście była - milionera - jeśli to rzeczywiście był milioner.
- Cieszę się, że udało się panu przyjechać.
- Siostra nie dała mi większego wyboru.
Lekko uniosła brwi.
- O czym już pan wie?
- Wiem, że pani szef chce kupić Trennor. Wygląda na to, że praktycznie za każdą cenę. Wierzę, że powie mi pani dlaczego.
- Tak naprawdę nie jest moim szefem. Raczej mecenasem.
- Nie jest pani jego asystentką?
- Jestem historykiem sztuki. Pan Tantris dotuje moje badania na uniwersytecie w Bristolu. Ale w pewnym sensie ma pan rację. Chyba stałam się kimś w rodzaju jego asystentki. Prawdziwego asystenta za bardzo pochłaniają zajęcia w świecie wielkiej finansjery, by mógł tu przyjechać osobiście.
- Przyjechać skąd?
- Z Londynu. Nowego Jorku. Zurychu. - Uśmiechnęła się, w jednej chwili przekonując Nicka, że powinna to robić jak najczęściej. - Często zmienia miejsce pobytu.
- A pan Tantris? Zna pani jego miejsce pobytu?
- Podobno jest w Monako. Ale nigdy go nie poznałam. Jestem mu wdzięczna za finansowanie mojej pracy, która poprowadziła mnie dość nieoczekiwaną drogą. Nie spodziewałam się na przykład, że natknę się na potomków cesarzy bizantyjskich.
- Nasz rodowód przy dokładnej analizie wydaje się wątpliwy.
- Pański ojciec twierdził co innego. Zanim pokazał mi drzwi.
- Cóż, to jego drzwi.

- Wiem. Ale przecież pan Tantris nie zamierza zburzyć Trennor i wybudować na jego miejscu dwunastu luksusowych domów, prawda?

- A nie zamierza?

- No dobrze. - Znów się uśmiechnęła. - Może lepiej przystąpię do rzeczy i wyjaśnię, dlaczego tu jesteśmy.

- Wydaje mi się, że to dobry pomysł.

- Chodźmy do kościoła. Tam pan zrozumie.

Zmuszony uwierzyć na słowo, Nick podążył za nią przez furtkę cmentarza do południowych drzwi kościoła, w których pobliżu ukazały się zniszczone krzyże celtyckie wystające spomiędzy nagrobków.

- Starożytna ochrona przed diabłem - powiedziała Elspeth Hartley, zauważywszy, że zerknął w stronę krzyży. - O wiele starsze od tego kościoła, który w piętnastym wieku stanął na miejscu dawnej przednormandzkiej budowli. Chodźmy.

Weszła do przedsionka, uniosła zasuwę, pchnęła drzwi i wprowadziła Nicka do wnętrza kościoła.

Przystanął, rozglądając się. Nawa główna i nawy boczne miały dobre proporcje, lecz wzrok natychmiast przykuwały jaśniejsze żywymi, choć delikatnymi barwami okna witrażowe, zdawały się wzmacniać wątle, szare światło, które zostało za drzwiami.

- Widzę, że pan zauważył - powiedziała Elspeth.

- Ładne okna.

- Chyba więcej niż ładne. Wspaniałe. I o dużej wartości historycznej. Kompozycje witrażowe w kościele parafialnym przed reformacją są wyjątkową rzadkością. Ten pod względem jakości i kompletności ustępuje tylko Fairford w Gloucestershire.

- Dlaczego to taka rzadkość?

- Winić należy przede wszystkim ikonoklazm wojny domowej. Oddziałom Cromwella wszędzie towarzyszył brząk tłuczonego szkła.

- Dlaczego więc te okna ocalały? Kościół leżał na uboczu?

- Nie sądzę. W Kornwalii niszczone w kościołach okna i

rzeźby tak samo jak gdzie indziej. Purytanie byli niezwykle skrupulatni. Nie, nie, St Neot ocalał dzięki szczególnym okolicznościom i starannemu planowaniu. Ale nie spieszmy się. Najpierw proszę się przyjrzeć witrażom, bardzo uważnie.

Poprowadziła Nicka wzdłuż południowej nawy przez przejście w tęczy do kapliczki Matki Boskiej, którą wypełniało niebieskie, czerwone i złote światło padające z dwóch narożnych okien od południa i wschodu.

- Okna ze stworzeniem świata i arką Noego, w zasadzie nieodnawiane, pochodzą z lat dziewięćdziesiątych piętnastego wieku. Przepiękne, chyba się pan ze mną zgodzi.

- Owszem. - Nick nie był ekspertem, lecz potrafił docenić prawdziwy kunszt. Rozpoznał także scenę stworzenia świata, w którą układały się barwne tafle - od Boga planującego świat z cyrkłami w dłoniach po zdradzieckiego zielonego węża wijącego się wokół pnia drzewa wiadomości dobrego i złego. Ostatni obraz, który zaprojektowano tak, by łączył się z następnym oknem, przedstawiał Boga rozkazującego Noemu budować arkę. I gdy Nick odwrócił się, rzeczywiście ujrzał arkę kołyszącą się na morzu światła.

- Pierwotny plan polegał zapewne na tym, by okno po oknie opowiedzieć cały Stary Testament. Można jednak przypuszczać, że zaczęło brakować pieniędzy, bo na witrażach wzdłuż nawy bocznej znajdziemy tylko miejscowych dygnitarzy i ich ulubionych świętych. Sponsoring, innymi słowy. Ale sponsoring wybitnej sztuki.

Pięć okien między arką Noego a południowymi drzwiami istotnie przedstawiało świętych z aureolami i grupowe wizerunki pobożnych rodzin, modlących się na klęczkach. Nick wolno szedł wzdłuż rzędu witraży, a Elspeth kroczyła obok niego.

- Po miejscowych dygnitarzach nadeszła kolej zwykłych parafian. Okna w północnej nawie zostały ufundowane z datków zebranych w poszczególnych grupach: wśród żon, młodych kobiet, młodych mężczyzn. Szczególnie interesujący

jest witraż ufundowany przez młodych mężczyzn, przedstawiający życie St Neota.

Nick odwrócił się i zaczął podziwiać skromniejsze, lecz nie mniej piękne kompozycje, szedł wolno nawet w stronę tęczy, gdzie przystanął i przyglądał się wschodniemu oknu.

- Ostatnia Wieczerza? - mruknął, rozszyfrowując scenę.
- Zgadza się.
- Ale... trochę inna od pozostałych.

- Zaczyna pan nabierać wprawy. To okno pochodzi z lat dwudziestych dziewiętnastego wieku. Przeprowadzano wówczas prace porządkowe i renowacyjne, w trakcie których usunięto lub wymieniono sporo maswerków i zainstalowano kilka całych nowych okien. Rzecz wymaga jeszcze dokładnego ustalenia.

- Nie wątpię.

- W każdym razie można tu zauważyć zagadkowy brak pewnego elementu.

- Tak?

- To jest kościół. Okna nie są tylko dziełami sztuki. Mają także stanowić lekcje w szkole. Stworzenie świata. Wygnanie z raju. Potop. Według obowiązujących reguł należałoby się spodziewać przynajmniej jakiegoś nawiązania do Dnia Sądu Ostatecznego.

- A nie ma?

- Obecnie nie. A powinno. Może mi pan wierzyć, okno Sądu Ostatecznego było obowiązkowe.

- Dlaczego więc go nie ma?

- Och, kiedyś było. Wiemy o tym z przekazu administratora kościoła z tamtego okresu. A propos administratorów, jeden z obecnie pełniących tę funkcję pożyczył mi klucz do wieży. Tędy.

Ruszyła z powrotem nawet główną i otworzyła drzwi prowadzące na parter wieży. Nick wszedł za nią do wnętrza dzwonnicy. Sznury były przywiązane po bokach do ścian, odsłaniając zachodnie okno, niewidoczne z innych części kościoła. Nick nie dostrzegł jednak niczego poza świetlistymi

postaciami świętych. Kompozycja barwnych taflí nie układała się w Dzień Sądu Ostatecznego.

- Sądzimy, że właśnie tu było okno Sądu Ostatecznego. Przynajmniej ja tak uważam. Do aktów ikonoklazmu dochodziło przede wszystkim w połowie lat czterdziestych siedemnastego wieku i na początku pięćdziesiątych. Największe niebezpieczeństwo zawisło nad St Neot w drugim okresie, szczególnie wiosną tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego. Doszło do wielu ataków na sąsiednie kościoły. Ale nie tu.

- Dlaczego oszczędzono St Neot?

- Dzięki administratorom. Pastor został już wtedy usunięty z beneficjum. Pozyskali pomoc rodziny Rousów, która mieszkała w Halton Barton nad Tamar, kilka mil na północ od Landulph. Jeden z członków rodziny, Anthony Rous, był pułkownikiem armii Parlamentu i komisarzem hrabstwa. Ale reszta rodziny zdawała się sympatyzować z Wysokim Kościołem. Jedno z tutejszych okien sponsorowali ich kuzyjni, Nichollowie. Tak więc uruchomiono koneksje. Okna zostały pobielone, żeby uniknąć groźby napadu, ale ocalono je dla potomności.

- Dokąd to wszystko prowadzi, pani Hartley? Wspomniała pani o Landulph.

- Istotnie, wspomniałam. Jak daleko stąd do Landulph? Dwadzieścia mil? Długa droga jak na tysiąc sześćset czterdziesty szósty rok, ale dałoby się ją pokonać konno w jeden dzień.

- Tysiąc sześćset czterdziesty szósty? Zdawało mi się...

- Niedawno ujawniono list od jednego z ówczesnych administratorów kościoła, Richarda Bawdena. Wspomina tam o środkach ostrożności podjętych przed kryzysem pięćdziesiątego pierwszego roku. „Nasze najwspanialsze okno - pisał - już sześć lat wcześniej zabrano. Niepodobna było narażać go na szwank w obliczu zdobycia Kornwalii przez Parlament. Zostało powierzone pieczy przyjaciela, oddanego nam pana Mandrella, i w bezpiecznym miejscu zamurowane. Ręczę, że

po dziś dzień znajduje się w owym bezpiecznym miejscu”. List pochodzi z roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego drugiego, czyli został napisany dwa lata po Restauracji. „Po dziś dzień”. Ciekawe, nie sądzi pan?

- Dlaczego nie przywieziono okna z powrotem i nie zainstalowano w kościele?

- Dobre pytanie. Wydaje mi się, że znam odpowiedź. Trop rodziny Rousów podsunął mu myśl, żeby poszukać Mandrella w okolicach Halton Barton. Rodzina Lowerów z pobliskiego Clifton należała do rojalistów i zdecydowanych zwolenników Wysokiego Kościoła. Ich przyjaźń z pańskim przodkiem sugeruje głęboką antypatię do purytanizmu. Jak pan zapewne wie, syn Theodore'a Paleologusa zginął pod Naseby, walcząc po stronie króla. Otóż okazało się, że sąsiadem Lowerów w parafii był niejaki Thomas Mandrell, którego żona pochodziła z rodziny Rousów. Ale zmarł w pięćdziesiątym siódmym roku, a jego majątek został przekazany właścicielowi posiadłości Landulph, stronnikowi Parlamentu, sir Gregory'emu Nortonowi. Po Restauracji w domu Mandrella nadal mieszkał ktoś z rodziny Nortona. A Bawden twierdzi, że okno zostało „zamurowane”, czyli, jak przypuszczam, w jakiś sposób ukryte w ścianie. Jeśli nowy lokator pozostał w głębi duszy stronnikiem Parlamentu, zapewne lepiej było odwrócić jego uwagę od skarbu rojalistów spoczywającego niewinnie... w murach jego domu.

- Gdzież więc były te mury?

- Nie domyśla się pan?

Nick uśmiechnął się bez entuzjazmu, odgadując oczywistą już odpowiedź.

- W Trennor? Skinęła głową.

- Trafił pan.

Po wyjściu z kościoła poszli do pubu, gdzie Elspeth, ku zaskoczeniu Nicka, zamówiła duże piwo i porcję kanapek. Po obfitym śniadaniu usmażonym przez Irene Nick nie miał

zbytniej ochoty na lunch, zadowolił się więc wodą mineralną. Po tych wstępach i zarekwirowaniu stolika przy kominku, powrócili do tematu zaginionego okna Sądu z St Neot, które być może wkrótce miało zostać odnalezione.

- Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że chodzi tylko o za-
bytkowy witraż? (Przeszli na ty gdzieś między kościołem a
pubem).

- Tak, Nick. To podobno największa pasja pana Tantrisa.

- Był tu kiedyś?

- Wszystko na to wskazuje. Ale jest typem samotnika. Musiała to zatem być dyskretna wizyta i naturalnie bardzo krótka.

- I chce kupić Trennor tylko dlatego, że istnieje cień
szansy na znalezienie tam brakującego okna ukrytego w
ścianie czy pod podłogą?

- Całkiem duża szansa. List Bawdena nie pozostawia
miejsca na wątpliwości.

- Tyle że Trennor to spory dom. A ludzie, którzy wiedzą,
gdzie ukryto okno, nie żyją od ponad trzystu lat.

- Otóż to. Dlatego właśnie niezmiernie ważną sprawą jest
zakup niezamieszkaney nieruchomości. Być może trzeba bę-
dzie rozebrać kilka ścian, żeby znaleźć to, czego szukamy.
Pamiętaj, że przed transportem do Landulph okno zostało
zdemontowane. Oznacza to, że do dużego drewnianego kufra
włożono ponad trzydzieści zapakowanych tafli szkła, prze-
wieziono do miejsca przeznaczenia, a potem... zamurowano.
Domyślam się, że twój dziadek rozbudował dom, prawdopo-
dobnie mówimy więc o ścianach wewnętrznych. Wszystkie
wydawały mi się wystarczająco grube, by posłużyć za skryt-
kę. Tak w każdym razie uważam. Szczerze mówiąc, nie mia-
łam okazji dobrze się rozejrzeć.

- Ojciec był trochę szorstki, co?

- Miał prawo, zważywszy na to, co zamierzam zrobić z je-
go domem.

- Cieszę się, że podchodzisz do tego ze zrozumieniem.

- Dlatego pan Tantris jest gotów na taką hojność.
- Stać go na taki gest.
- Tak. Bogacz spełnia swoje zachcianki. Możesz mieć mu to za złe, jeśli chcesz. Pamiętaj jednak, że według Bawdena było to najwspanialsze okno w kościele. Czyli wspanialsze od stworzenia świata i arki Noego. A zgodzisz się chyba, że to przepiękne witraże. Całkiem możliwe, że to także najstarsze okno, ponieważ wieża jest starsza od reszty kościoła. Witraż powstał ze sto lat wcześniej od pozostałych. Może jeszcze dawniej, jeśli stanowił część wcześniejszej budowli. Byłoby to wyjątkowe znalezisko - pod względem historycznym i artystycznym.
- I bardzo pomogłoby ci w karierze, jak przypuszczam.
- Naturalnie. Nie przeczę. To dla mnie fantastyczna okazja. Dla ciebie i twojej rodziny też całkiem niezła.
- Masz na myśli pieniądze?
- No tak. - Rozpromieniła się w uśmiechu. - Wszyscy ich potrzebujemy, prawda? W mniejszym lub większym stopniu. Z tego, co mówiła twoja siostra, wywnioskowałam, że żadne z was raczej nie będzie chciało zatrzymać Trennor po śmierci ojca.
- Prawdopodobnie nie.
- Zatem przyjęcie oferty pana Tantrisa wydaje się sensownym krokiem.
- Być może. Ale mój ojciec chyba się nie zgodzi, a liczy się przede wszystkim jego zdanie.
- Proszę, Nick, postaraj się go nakłonić, żeby je zmienił. - Jej mina sugerowała, że może wyświadczyć jej ogromną przysługę, a także sobie. - Zakładając oczywiście, że według ciebie powinien je zmienić. Uważasz, że powinien?
- Tak. - Wolno skinął głową, przekonany w końcu jej argumentami, ulegając przede wszystkim jej entuzjazmowi, z jakim mówiła o planie odnalezienia okna Sądu Ostatecznego. Przedstawiła sprawę w taki sposób, że nie pozostawało im nic innego, jak tylko przystąpić do poszukiwań. - Chyba powinien.

Elspeth powiedziała Nickowi, że będzie w Kornwalii jeszcze tydzień, pracując nad szczegółami swoich badań. Zostawiła Irene numer swojego telefonu komórkowego, aby jeszcze przed powrotem do Bristolu usłyszeć od niej dobrą wiadomość. Przez dobrą wiadomość rozumiała informację o skuteczności siły przekonywania Nicka i przełamaniu oporu jego ojca.

Takiego rezultatu mógłby się spodziewać każdy, kto nie znał Michaela Paleologusa. Nick miał mniej optymistyczne nastawienie. Ojciec był uparty i podatność na perswazję nigdy nie należała do jego mocnych stron, zwłaszcza gdy perswazji miało użyć któreś z dzieci. Naturalnie w tej konkretnej sprawie dzieci miały wystąpić wspólnym frontem, co zdarzało się rzadko, jeśli nie nigdy. Poza tym staruszek nie mógł zaprzeczyć, że jest stary. I samotny. I brakuje mu pieniędzy. I - zdaniem Irene - zmizerniał.

Nick mógłby iść o zakład, że ostatniemu argumentowi ojciec zaprzeczy. Powie, że pomyśleli o konieczności zapewnienia mu opieki tylko dlatego, że nagle zaczęło im się to opłacać. Jeśli zamkną go w Gorton Lodge, nie będzie ich kosztował ani grosza, gdy tymczasem pieniądze Tantrisa spoczną w banku i będą obrastać w procenty, dopóki pewnego dnia ich nie odziedziczą. Tak, Nick przypuszczał, że ojciec powie właśnie coś takiego.

Z St Neot pojechał na Bodmin Moor. Zaparkował w pobliżu zapory na południowym krańcu zbiornika Colliford i ruszył spacerkiem wzdłuż brzegu, rozmyślając o zaistniałej sytuacji. Cisza zdawała się niemal dźwięczeć mu w uszach.

Najdziwniejsze w reakcji ojca na ofertę Tantrisa było to, że w normalnych okolicznościach gorąco zachęcałby do poszukiwań okna. Przecież był archeologiem. Wierzył w sens grzebania w przeszłości. Jak twierdziła Elspeth, w tym wypadku chodziło o naprawdę pasjonującą sprawę. Całe zawodowe życie Michaela Paleologusa kręciło się wokół takich

spraw. Gdyby zdecydował się na współpracę w tym przedsięwzięciu, może zostałby kimś w rodzaju doradcy. Mogłaby powstać książka. Albo film dokumentalny. Czy tego nie rozumiał? Nie zdawał sobie sprawy z możliwości?

Oczywiście, że rozumiał. Może i zmizerniał, ale nie był głupi. Gdyby wpadł na taki pomysł, nic nie mogłoby go powstrzymać. Przyczyną jego nieprzejednania była uraza. Chciał, by lechtano jego próżność; potrzebował tego w równym stopniu jak zwiększenia salda na koncie. Irene próbowała go naciskać, a nie lubił być naciskany.

Nick zresztą też nie. Irene ściągnęła go tu, żeby tańczył, jak mu zagra, i rzeczywiście zaczął posłusznie pisać w rytm melodii jej pomysłu. Poczulby się znacznie lepiej, gdyby mógł zmienić przynajmniej część partytury.

Gdy spoglądał na drugi brzeg zbiornika, nagle przyszło mu na myśl, jak zmienić parę nutek tej melodii. Uśmiechnął się i ruszył z powrotem do samochodu.

Z Bodmin Moor miał tylko parę mil do farmy Carwether, kilku krytych łupkiem szarych budynków o granitowych ścianach, skupionych w zakolu doliny Bedalder na południe od wsi Temple. Nick wahałby się tam pojechać, nawet gdyby Irene nie chciała z jego przyjazdu zrobić niespodzianki urodzinowej bratu. Stosunki Nicka z Andrew zawsze były napięte. Ich osobowości były znacznie bardziej podobne, niż byliby skłonni przyznać, ale dzieliły zupełnie różne formy wyrazu. Andrew miał zamiłowanie do ziemi, kamienia i niemych zwierząt, natomiast Nick uważał, że z każdym problemem można się uporać nie ciężką pracą, ale dzięki rozumowi. Obu cechowała podobna niezręczność w sytuacjach towarzyskich, lecz nie łączyły ich zbyt bliskie więzy.

Poza tym, odwiedzając brata w Carwether, Nick ryzykował, że jego przewaga wynikająca z zaskoczenia może nie wystarczyć, ponieważ Andrew trzymał w ręku poważniejszy atut. Mieli się spotkać w miejscu, gdzie Andrew był u siebie, a Nick czuł się jak intruz.

Pies pierwszy wyczuł zbliżającego się Nicka. Kiedy samochód wolno toczył się wyboistą drogą, zwierzę wynurzyło się z cienia stodoły, stawiając uszy, a gdy auto wjechało przez otwartą bramę, zaczęło szczekać. Nick zatrzymał się i wyłączył silnik, spoglądając z nadzieją w stronę domu. Odetchnąłby z ulgą, gdyby w drzwiach ukazał się Andrew i zawołał bestię, zanim Nick wysiadzie i przekona się, czy rzeczywiście jest tak groźna, na jaką wygląda. Zatrąbił, ale to tylko bardziej rozjuszło psisko, a tego Nick wcale nie chciał.

Wreszcie z ogromną ulgą usłyszał głos brata.

- Spokój, Skip.

Skip natychmiast posłuchał. Nick odwrócił się w kierunku szopy krytej falistą blachą, skąd dobiegło wołanie. Stał tam Andrew, który wyszedł zza rdzewiejącego land-rovera w zaplamionym smarami i błotem kombinezonie, wycierając dłonie w szmatę.

Włosy znacznie mu posiwiwały od ich ostatniego spotkania, a twarz wydawała się bardziej wychudła. Proste niegdyś plecy zaczęły się odrobinę garbić. Andrew Paleologus miał nazajutrz skończyć pięćdziesiątkę, ale na pierwszy rzut oka można by mu dać kilka lat więcej. Wiek nie tylko przyprószył włosy siwizną, ale dokonał w nim zapewne o wiele głębszych zmian. Andrew wyglądał, jak gdyby bardzo długo usiłował zdobyć coś, co, jak się już przekonał, znalazło się poza jego zasięgiem.

Nick wysiadł z samochodu. Skip warknął, ale nie ruszył się z miejsca. Bracia poważnie spoglądali na siebie przez podwórko.

- Cześć, Nick - rzekł Andrew, kiedy już zaczęło się wydawać, że nic nie powie.

- Cześć, Andrew.

- Nie muszę pytać, co cię sprowadza.

- Myślałem, że będziesz zdziwiony na mój widok.

- Nie bardzo.

- Irene sprowadziła mnie na twoje urodziny.

- Miło mi, że mogłem dać jej pretekst.

- Tylko częściowo.

- Ale powiedziałbym, że w największej części. - Podeszedł bliżej. - Napijesz się herbaty?
- Chętnie napiłbym się kawy.
- Nie mam.
- W takim razie może być herbata.
- Chodź, zapraszam w niskie progi.

Za progiem Nick zastał to, czego się spodziewał, choć wolałby ujrzeć co innego. Carwether był niezbyt dużym, solidnie zbudowanym rodzinnym domem wiejskim. Nie czuło się tu jednak atmosfery rodzinnego ogniska, którą stworzyłyby trzaskające na kominku płomienie i dokazujące dzieci. Było cicho i zimno jak w grobie, a ich kroki odbijały się echem w skąpo umeblowanym wnętrzu. Weszli do kuchni, gdzie odrobinę ciepła wydzielał piec. Andrew zaczął przygotowywać herbatę, tymczasem Nick zerknął na kalendarz ścienny z reklamą sprzedawcy paszy, wiszący przy drzwiach. Przy żadnej z dat nie było ani jednej notatki.

- Kiedy tylko Irene powiedziała, że w niedzielę ugotuje w Trennor lunch na moje urodziny, wiedziałem, że to przykrywka dla narady rodzinnej - rzucił przez ramię Andrew, napełniając dzbanek. - Rozumiało się samo przez się, że ty też na niej będziesz. Wiedziałem, że na pewno zamierza cię zaprosić. Nie wiadomo było tylko, czy przyjedziesz.

- No i jestem. - Nick usiadł przy stole, na którym leżał rozłożony „Western Morning News”. Złożył gazetę i zobaczył pod spodem mapę Ordnance Survey przedstawiającą Bodmin Moor w dużej skali. Mapa także była otwarta. Ktoś - przypuszczalnie Andrew - zaznaczył na niej czerwonymi krzyżykami na pozór przypadkowe miejsca. Kilka z nich skupiało się wokół Blisland na zachodnim skraju wrzosowiska. Pozostałe punkty były bardziej od siebie oddalone. - Co tu knujesz?

- Co masz na myśli? - Andrew odwrócił się od zlewu, a w jego głosie dała się słyszeć agresywna nuta.

- Te krzyżyki. - Nick uśmiechnął się, by rozładować sytuację. - Na mapie.

- Ach, to. - Andrew pociągnął nosem, wyciągnął z szafki dwa kubki i ze stukiem postawił obok mapy. - Tak, można powiedzieć, że coś knuję. To miejsca, w których w ciągu jednego roku widziano koty.

- Koty?

- Duże drapieżniki.

- Daleś się na to nabrać?

- One naprawdę grasują. Gdybyś zobaczył, co się stało z jedną z moich owiec pod koniec zeszłego roku, nie miałbyś żadnych wątpliwości.

- Sądziłem, że to po prostu... wiejska legenda. - Przypuszczał, że Andrew - zawsze racjonalista z krwi i kości - myśli podobnie.

- Widziałem, co widziałem.

- Widziałeś jednego?

- Więcej niż jednego. Albo tego samego dwa razy. Ostatnio tutaj. - Wskazał krzyżyk najbliższej Carwether. - Wyglądał jak jakaś pantera. Wielki, gibki i czarny jak smoła. Akurat zapadał zmierzch. One prowadzą nocny tryb życia. To stworzenia nocy.

- Bywa, że o zmierzchu wzrok płata różne figle.

- Nie musisz mi wcale wierzyć, Nick. - Andrew posłał mu nieznaczny uśmiezek, w którym czaiła się pogarda. - To naprawdę nie ma znaczenia. W końcu to udowodnię. Wszystkim.

- Jak to zrobisz?

- Zdjęcia w podczerwieni. Po zmroku wychodzę ze specjalną kamerą wideo do zdjęć o wysokim kontraście i noktowizorem. Prędzej czy później będę go miał na taśmie.

- Ale na razie ci się nie udało.

- Nie. Jeszcze nie. - Andrew nalał herbaty, a potem usiadł po drugiej stronie stołu. - W każdym razie nie przyjechałeś tu rozmawiać o drapieżnych kotach. Raczej o rybach, zwłaszcza grubych. Zdaje się, że jedną złapaliśmy za ogon.

- Masz na myśli Tantrisa?
- Wiesz już wszystko?
- Jadę prosto z St Neot. Widziałem się tam z Elspeth Hartley. Wtajemniczyła mnie w sprawę.
 - Przekonująca kobieta.
 - Najwidoczniej na tatę jej siła przekonywania nie działa.
 - Tata pewnie patrzy na to inaczej.
 - Można by się spodziewać, że będzie chciał uczestniczyć w tym przedsięwzięciu. To coś akurat dla niego. Zakopany skarb. Historyczna tajemnica. Człowiek, którego praca polegała na odgrzebywaniu naszej przeszłości, nie mógłby się oprzeć takiej pokusie.
- Powinieneś mu to powiedzieć, Nick. Zawstydzi się i zgodzi.
 - Być może mu powiem.
 - Mną się nie przejmuj. Nie chcę, żebyście robili zamieszanie z powodu moich urodzin. Robiąc zamieszanie z innego powodu, pomożesz mi tego uniknąć.
 - Popierasz ten pomysł, prawda, Andrew? Irene mówiła, że tak, ale...
 - Nie zaszkodzi sprawdzić, co? Oczywiście, że popieram.
- Odchylił się na krzesło i spojrzał przez okno na podwórko. - Dlaczego miałbym nie popierać? Farma z roku na rok przynosi coraz mniejszy zysk. Po co dalej tyrać, skoro nic z tego nie mam i nie mam komu jej przekazać?
 - Tom nie jest zainteresowany? - O ile Nick wiedział, syn Andrew nigdy nie wykazywał entuzjazmu dla rolnictwa, mimo to uważał za stosowne spytać.
 - Nie wiem, czym jest zainteresowany. Od Bożego Narodzenia nie miałem od niego wiadomości. Przesłał kartkę, ale napisał na niej tylko swoje imię, nic więcej.
 - Ciągłe jest w Edynburgu?
 - Tak by wynikało ze stempla. Studia skończył latem zeszłego roku. Nawet nie dostałem zaproszenia na uroczystość wręczenia dyplomów. A Kate pojechała. I ten cham Mawson.
- Ton, jakim wspominał o byłej żonie i jej drugim mężu,

sugerował, że upływ czasu ani trochę nie zmniejszył uczucia wrogości. Lecz Andrew wyraźnie nie miał ochoty rozpamiętywać tamtych spraw. Prawdopodobnie już zbyt długo je rozpamiętywał. - Słuchaj, Nick, moim zdaniem moglibyśmy zgarnąć co najmniej o połowę więcej od sumy oferowanej teraz przez Tantrisa, jeżeli będziemy zgrywać nieprzystępnych. Zapłaci, ile będzie musiał. Przepuszczenie takiej okazji byłoby czystą głupotą. Naturalnie, że się zgodziliśmy. Irene nie chce być do końca życia właścicielką pubu, Anna też nie ma ochoty dalej opróżniać basenów. Bóg mi świadkiem, że potrzebuję pieniędzy. I Basil. Ty oczywiście nie odmówisz przyjęcia swojej części. Po prostu trzeba tacie uświadomić, ile na tym zyskamy.

- A co on zyska?

- Komfort psychiczny, że nie będzie się już musiał o nas martwić. - Andrew przywołał na twarz uśmiech. - Nie sądzisz, że to wystarczy?

Zanim Nick wyszedł, uzgodnili, że nazajutrz w Trennor nie powiedzą nikomu o jego wizycie. W gruncie rzeczy żałował, że w ogóle pojechał do Carwether. Bardziej niż obecność brata wyczuwało się tam nieobecność - brak Kate, Toma i nadziei. Rolnictwo było powołaniem Andrew od dzieciństwa. Nie chciał robić w życiu niczego innego. Teraz jednak powołanie się wypaliło. Być może oferta Tantrisa sprawiła, że pogodził się z bolesną prawdą. Jeśli tak, strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby odrzucili ofertę.

Nick pojechał A30 na wschód, przecinając Bodmin Moor, a potem skręcił na południe przez Callington, kierując się w stronę Saltash. Wybrał tę trasę, choć wiedział, że będzie go korciło, by zboczyć z drogi - a może właśnie dlatego. I rzeczywiście, nie oparł się pokusie.

Przy Paynter's Cross skręcił w dobrze znaną dróżkę biegnącą między wysokimi żywopłotami i staromodnie ogrodzonymi polami położonymi na zboczach, które opadały w

stronę łagodnego meandra szerokiej przy ujściu wstęgi Tamar. Niedaleko stąd, po drugiej stronie cichych pastwisk, mieszkał jego ojciec, dożywając swych dni. Lecz Nick nie zamierzał go odwiedzać. W każdym razie nie spotka się z nim, jeśli nadal będzie mu sprzyjać szczęście. Nie jechał do domu - jeżeli Trennor naprawdę kiedykolwiek nim był. Chciał po prostu zobaczyć rodzinne strony.

Landulph jako osada już prawie nie istniało. Centrum parafii znajdowało się w Cargreen, milę stąd. Niedaleko kościoła w Landulph, na południowym końcu wąskiej drogi, w którą skręcił Nick, stało kilka domków, a w oddali można było dojrzeć parę farm. To wszystko. Trennor leżało pół mili na zachód, zasłonięte przez nierówność terenu. Z kościoła do błotnistej brzozy Tamar biegła dróżka, wijąc się między terenem dawnego probostwa a moczarami, które na początku dziewiętnastego wieku zamieniono w łąkę, zabezpieczając ją przed zalaniem groblą.

Nick znał okolicę w najdrobniejszych szczegółach, które można zgłębić tylko dzięki długim wyprawom badawczym urządzanym w dzieciństwie. Każde pole, każdą farmę, każdą piędź ścieżki w rejonie brzozy rzeki do Cargreen i jeszcze dalej. Nie musiał schodzić na groblę i spoglądać na Warleigh Wood i ażurowe przesła mostu kolejowego nad rzeką. Wszystko bardzo wyraźnie widział oczyma duszy.

Kościół pochodził z tego samego okresu co kościół w St Neot, ale był prostszy, mniej ambitną budowlą. Nie służył z witraży, nie odznaczał się prawie niczym szczególnym poza kunsztownie rzeźbionymi szczytami ławek i ciekawostką historyczną w postaci tablicy pamiątkowej Theodore'a Paleologusa. Okazało się, że drzwi kościoła są zamknięte, toteż Nick nie mógł obejrzeć tablicy. Ale uwiecznione na niej słowa wryły mu się głęboko w pamięć. „Tu spoczywa Theodore Paleologus z Pesaro w Italii, potomek rodu ostatnich chrześcijańskich cesarzy Grecji...”. Nad napisem widniał wyryty w

mosiężnej tabliczce dwugłowy orzeł bizantyjski, symbolizujący nieosiągalne zjednoczenie wschodniego i zachodniego chrześcijaństwa.

Ale dwugłowy orzeł na tablicy w Landulph nie był jedyny. Nick przeszedł przez stary cmentarz do miejsca, w którym chowano zmarłych w dwudziestym wieku, i stanął przed grobem dziadków. GODFREY ARTHUR PALEOLOGUS, ZMARŁ 4 MARCA 1968 ROKU, 81 LAT. JEGO KOCHAJĄCA ŻONA HILDA, ZMARŁA 26 WRZEŚNIA 1979 ROKU. POŁĄCZYLI SIĘ NA ZAWSZE, ZOSTAWIAJĄC NAS W NIEUTULONYM ŻALU. Tu także nad inskrypcją wyryto w kamieniu dwugłowego orła Bizancjum.

Matka Nicka została na własne życzenie poddana kremacji. Nick podejrzewał, że ojciec będzie wolał tradycyjny pogrzeb, by wśród ciszy grobów otoczonych cisami spoczą kolejny Paleologus. Ale na tym koniec. Wszystko jedno, czy dostaną pieniądze Tantrisa, czy nie, on i jego rodzeństwo już oderwali się od tej ziemi. Nie odeszli może daleko, ale wystarczająco, by już nie wrócić. Orzeł został, lecz oni odlecieli.

Rozdział 3

Irene ucieszyła wiadomość, że Elspeth Hartley udało się uzyskać poparcie Nicka dla planu Tantrisa. Oznaczało to dla niej przypieczerowanie sojuszu, wobec którego ojciec na pewno skapituluje. Z entuzjazmem przyjęła też opinię Nicka, że starsuszek będzie w końcu musiał przystać na plan, jeśli nie chce się sprzeniewierzyć swej zawodowej uczciwości naukowca, którą zdaniem ich obojga cenił ponad wszystko. Stawiając sprawę w taki sposób, nie mogli przegrać starcia.

Nie wiadomo było jednak, czy nazajutrz w Trennor wygrają całą bitwę. Wszystko zależało od tego, jak subtelnie przedstawią argumenty. Nick uważał, że wybiorą złą taktykę, podkreślając rzekomą niesamodzielność ojca. Na taką taktykę zdecydowała się jednak Irene i nie miała ochoty z niej zrezygnować. Zawsze lubiła mówić swoim najbliższym, co jest dla nich dobre, nawet gdy wiedziała, że jej nie posłuchają. Nick był przekonany, że jutrzejsze wydarzenie nie obejdzie się bez zgrzytów.

Pojechał do Anny i Basila na kolację, zastanawiając się, co oni sądzą o sytuacji. Wiedział tylko tyle, co powiedziała mu Irene: że oboje stoją za nią murem. Ale chciał o tym usłyszeć od nich.

Gdy wjeżdżał mostem do Plymouth, zaczęło padać. Do

centrum miasta podążał tropem czerwonych świateł samochodu przed nim, błyskających niewyraźnie za mgiełką deszczu. Zaparkował na Citadel Road, kawałek przed domem Anny, po czym ruszył spacerkiem w kierunku Hoe, rozkoszując się chłodem deszczu i porywistymi uderzeniami wiatru wiejącego od cieśniny. Jak było do przewidzenia, przyjechał prawie pół godziny za wcześnie. Irytowała go ta skłonność, ale nie potrafił się jej pozbyć. Skręcił na wschód, w stronę Drake i Barbican. Przez ścianę deszczu widział w oddali trzepoczące na flagsztokach fały.

Na Hoe poza nim była jeszcze tylko jedna osoba, czyli jedna za dużo. Z drugiego końca promenady sunęła wprost na niego jakaś przygarbiona postać w skafandrze z kapturem. Kiedy człowiek się zbliżył, coś w jego ruchach i sylwetce wydało się Nickowi znajome. Być może tylko instynkt podpowiedział mu, kto to jest.

- Basil?

- Nick? - Istotnie, to był Basil. Spod kaptura spoglądała jego wąska, koścista twarz. - Kto, jeśli nie ty, może być drugim idiotą, który ma chęć spacerować w taką pogodę po Hoe.

- Przyjechałem odrobinę za wcześnie.

- Mam niewiele lepsze usprawiedliwienie.

- Jakie?

- Anna bardzo się denerwuje, gdy gotuje dla gościa. A zdenerwowana Anna jest Anną wybuchową.

- Co ze mnie za gość. Od kiedy to Anna w ogóle czymkolwiek się denerwuje?

- Odkąd się wprowadziłem. Twierdzi, że święty straciłby przy mnie cierpliwość. Na co nieodmiennie odpowiadam, że to najprawdziwsza prawda. Wystawiałem już na ciężkie próby cierpliwość kilku osób i mogę zaświadczyć, że jej zasoby nie są niewyczerpane.

- Pójdziemy sprawdzić, jak sobie radzi?

- Do umówionej godziny brakuje jeszcze dwudziestu minut. Chyba lepiej zaczekajmy.

- Do tego czasu przemokniemy do suchej nitki.

- To prawda. Ale wcale nie musimy czekać tutaj.

Jako najlepszy azyl Basil polecił najbliższy pub. Lokal nazywał się Yard Arm i krył się w cieniu strzelistego budynku hotelu Moat House tuż przy Hoe. Basil zamówił tonik, a Nick, myśląc o powrotnej drodze do Saltash, to samo. Bar był wypełniony na razie w połowie, ale szykował się do sobotniego wieczoru. Znaleźli wolny stolik obok drzwi.

Dopiero gdy usiedli, Nick mógł się lepiej przyjrzeć bratu, który zdjął wreszcie kaptur. Basil wyraźnie nie przytył na diecie złożonej z beczynności i posiłków, jakimi karmiła go Anna. Podobnie jak Andrew, z wiekiem wychudł, lecz w przeciwieństwie do Andrew nie widać było u niego oznak starzenia; jego twarz ożywiały dziwny rumieniec. Ogolił sobie głowę, wskutek czego oczy wydawały się nieproporcjonalnie duże. Zawsze miał nieco świdrujące spojrzenie i Nick przypuszczał, że na widok jego wzroku ludzi ogarniał niepokój.

Nie byłoby to zresztą uczucie pozbawione podstaw, ponieważ Basil wiódł życie, najogólniej rzecz biorąc, niepokojące. Bardziej niż resztę rodzeństwa ciekawiły go ich greckie korzenie, zaczął więc studiować filologię klasyczną w Oksfordzie, ale nie mieszkał w obrębie uczelni, lecz w domu. Studiów jednak nie ukończył. Po drugim roku podczas wakacyjnego wyjazdu do Grecji przekonał pewien klasztor grekokatolicki w Koryncie, aby przyjęto go do zakonu jako nowicjusza. Nowicjat trwał ponad dwadzieścia lat, po których upływie Basil nieoczekiwanie pojawił się z powrotem w życiu swojej rodziny, bez brody, habitu i najwyraźniej już bez mnijszego powołania. Jakiś czas mieszkał w Trennor, potem zniknął, wyjeżdżając na wyspy Scilly, w końcu wrócił i przygarnęła go Anna.

- Często tu wpadam - powiedział, kiedy Nick, spróbowałszy toniku, doszedł do wniosku, że o wiele lepiej smakowałby z ginem. - Patrzę na klientów - grupy chłopaków, parki, samotników takich jak ja. Chyba zaczynam rozumieć społeczeństwo. Ale jeżeli chodzi o przynależność... cóż, jestem zmuszony uznać, że za późno je opuściłem.

- Tęsknisz za Grecją?
- Oczywiście. Zwłaszcza za słońcem. Ale musiałem wyjechać, Nick. Oszukiwałem sam siebie. Innych zresztą też. Tu niewiele znaczą. Ale to niewiele to na pewno ja.
- Często widzisz się z tatą?
- Tylko pod eskortą. Powiedzieć, że sprawiłem mu zawód, to eufemizm.
- Nie sądzę, żeby którekolwiek z nas specjalnie go zachwyciło.
- Fakt, lista naszych osiągnięć jest krótka. Ale moja tak załośnie, że trudno ją dostrzec gołym okiem. W związku z tym nie zamierzam zabierać głosu, kiedy jutro będziecie mu tłumaczyć, dlaczego koniecznie musi przyjąć ofertę Tantrisa.
- Ty chyba nie jesteś do końca przekonany, że powinien.
- Wcale nie kwestionuję sensowności przyjęcia propozycji. Jest bezdyskusyjna. Ale podejrzewam, że tato będzie dyskutował.
- Ja też.
- Tylko powiedz dlaczego? Jeśli okno Sądu naprawdę zostało ukryte w Trennor, to ojciec jako znany archeolog powinien się gorączkować i gonić wszystkich, żeby zaczęli go szukać. Ale tak nie jest.
- Pewnie mu się wydaje, że próbujemy narzucić mu to siłą.
- A nie próbujemy?
- Ale z ważnego powodu.
- Doprawdy? - Basil uniósł z powątpiewaniem brew. - Wybacz, Nick, ale nadrzędnym powodem jest chciwość, nie sądzisz? Andrew, Irene i Anna chcą pieniędzy. Ty też, jak przypuszczam. Po prostu.
- Nie wspomniałeś zdaje się o sobie.
- Bo widzisz, ja nie chcę pieniędzy. Bogactwo - nawet tak skromne, jak mi się oferuje - raczej by mi nie służyło. Postanowiłem zrzec się swojej części. Możecie ją podzielić między siebie.
- Nie mówisz poważnie.

- Anna nie chciała uwierzyć, gdy ją poinformowałem o swojej decyzji. Ty też zdaje się wątpisz. Nieważne. Mówię serio. Naprawdę źlej się robi na sercu, kiedy człowiek... nie jest zainteresowany. Nie chcę, żebyś się niepokoił, że chcę odgrywać świętoszka. Wszyscy możecie zrobić z pieniędzy za dom dobry użytek. W Gorton Lodge tata będzie miał królewską opiekę. Wcale się nie sprzeciwiam temu rozwiązaniu.

- Nie chcesz tylko czerpać z tego zysku.

- To nie tak. Chodzi o coś jeszcze...powiedziałbym, że dość żalosego.

- Co?

- W życiu opanowałem do perfekcji tylko jedną umiejętność: jak nic nie mieć. - Basil wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chyba dalej będę ją ćwiczył.

Mieszkanie Anny znajdujące się w suterenie powitało ich silną wonią sera i czosnku. Gospodyni wynurzyła się z kuchni z twarzą lśniącą prawie tak jak jej plastikowy fartuch z wizerunkiem Dennisa Rozrabiaki, przyjmując bez komentarza informację, że spotkali się na ulicy przypadkiem, uściskała i ucałowała Nicka, po czym pospiesznie wycofała się z powrotem na stanowisko przy kuchence, na odchodnym rzucając im polecenie, by otworzyli jakieś wino.

Anna zawsze była najgłośniejsza, najbardziej wylewna i najbardziej żywiołowa z całego rodzeństwa. Teraz bez wątpienia była najbardziej rozwinięta fizycznie - jej bujna sylwetka przekroczyła już granicę pulchności. Razem z patykowatym Basilem tworzyli dość osobliwą parę. Lecz Anna była najzyczliwszym członkiem rodziny, dlatego to właśnie ona przygarnęła niedoszłego zakonnika, bezrobotnego i pozbawionego szans na zatrudnienie, obdarzonego na dodatek spojrzeniem, które potrafiło zszokować nieznanym.

Przyjęcie pod dach brata nie oznaczało jednak konieczności

odstąpienia mu części terytorium. W salonie-jadalni nie było widać ani śladu obecności Basila i tak jak przedtem dominował tu krzykliwy styl Anny, która gustowała w kilimach zawieszanych na ścianach i fotelach w zygzaki. Na podłodze obok stołu piętrzył się stos ulotek i biuletynów na temat jej ulubionej kampanii przeciw naprawom atomowych okrętów podwodnych w stoczni Devonport. Papiery wyglądały, jak gdyby przed chwilą zostały uprzątnięte, by zrobić miejsce na sztućce, kieliszki i butelkę chianti.

Nick znalazł korkociąg na gzymsie nad kominkiem, obok opartej o ścianę pocztówki z Operą w Sydney. Odwrócił kartkę i przeczytał wiadomość. „Cześć, Anno. Słońce piecze mocniej niż twoje curry, ale jeszcze się nie gotuję. Radzę sobie nieźle. Niedługo napiszę Ci e-mail. Pozdrowienia, Z.”. Styl wskazywał, że autorem nie jest raczej nikt obcy, Nick domyślił się więc, że „Z” to osiemnastoletni syn Anny Zack, który postanowił wykorzystać rok przerwy przed pójściem na studia na podróżowanie; był teraz w tym samym wieku co Anna, kiedy go urodziła. Tak, siostrzeńcy i siostrzenica Nicka rozbiegli się po świecie: Zack włóczył się po Australii, Tom porabiał nie wiadomo co w Edynburgu, a Laura uczyła się grać w *lacrosse* i chodzić ze złączonymi kolanami w jakiejś szkole dla szlachetnie urodzonych pańienek w Harrogate.

- Zauważ, że nie ma ani słowa dla wuja - rzekł Basil, zaglądając Nickowi przez ramię.
- Nie spodziewałbym się od niego żadnej wiadomości.
- Mówię o sobie. Bo widzisz, też tu mieszkam.
- I Zack na pewno bardzo się z tego cieszy. Chłopakowi lżej na duszy, kiedy wie, że ktoś się opiekuje jego matką.
- Otwórz wino - powiedział Basil z udawanym rozdrażnieniem. - Najwyraźniej musisz się napić.

Ostatnią uwagą Basil trafił w dziesiątkę. Nick ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył diagnozie brata, że rodzinę oparowała chciwość. Nie czuł się chciwy. Nie wierzył, że jest

chciwy. Nie potrafił jednak usunąć z wyobraźni liczby zer w sumie zaferowanej przez Tantrisa. To one wszystko zmieniły. Prawdopodobnie Tantris, jeśli był taki rozrzutny, zawsze w ten sposób przełamywał wszelkie opory. Nie sposób go było zignorować.

Podczas gdy mozolili się z mousakką podzieloną przez Annę na sute porcje, rozmowa ani razu nie zeszła na temat sprzedaży Trennor i przyszłości ojca. Dopiero kiedy wysłali Basila do kuchni, aby załadował zmywarke, a na stole pojawiła się druga butelka chianti, Anna uznała, że przyszedł czas jasno określić swoje stanowisko.

- Zaraz po twoim wyjeździe zadzwoniła do mnie Irene i powiedziała, że masz w tej sprawie takie samo zdanie jak my. Dzięki Bogu, że nie musimy się o to kłócić.

- Chyba że z tatą.

- W końcu zrozumie. Musi. Nie może tam dłużej mieszkać sam, po prostu nie może. Parę tygodni temu Pru przyjechała posprzątać i znalazła go na podłodze w salonie. Upadł i nie potrafił wstać. Co by się stało, gdyby się nie zjawiała? Trochę za dużo pije. Od śmierci mamy coraz więcej. Nie mam mu tego za złe, ale... mamy wielką szansę od razu rozwiązać problem, z którym prędzej czy później musielibyśmy się zmierzyć.

- Chyba powinniśmy się odwołać do jego profesjonalizmu. Podkreślić historyczne znaczenie przedsięwzięcia Elspeth.

- Już jesteście na ty, co?

- Jeżeli pozwolisz, żeby Irene zaczęła mówić przede wszystkim o tym, że tato nie umie już sam o siebie zadbać - ciągnął pospiesznie Nick - uprze się i koniec.

- Dobra, spróbuję ją powstrzymać.

- Basil mówił, że nie chce swojej części.

- Złożył śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Dwa pierwsze wypełnia bez zarzutu. W każdym razie nie może pozostawać zupełnie z boku. Jeżeli uda mi się zebrać tyle

pieniędzy, żeby kupić nieduży domek, przeprowadzi się tam ze mną. Skorzysta na tym, mimo że nie chce brać udziału w zysku. - Faktycznie, trochę tu wam ciasno.

- Wyglądało gorzej, kiedy w domu mieszkał jeszcze Zack. Na szczęście spędzał tylko tu kilku nocy w tygodniu.

- Ładnie z twojej strony, że przygarnęłaś Basila.

- Naprawdę nie miałam wyjścia. Przecież to mój brat.

- I doradca do spraw większych tajemnic tego świata - rzekł Basil, wychodząc bezszelestnie z kuchni. - Których klasycznym przykładem jest nasz potencjalny dobroczyńca.

Nick spojrzał na niego.

- Jak to?

- Kim właściwie jest pan Tantris?

- Bogaczem, który ma słabość do zabytkowych witraży - odparła Anna.

- I uważasz, że to satysfakcjonujące i wyczerpujące studium jego charakteru i profesji?

- Nie zależy mi na satysfakcji. - Anna zachichotała. - W każdym razie jeśli chodzi o naszego przyjaciela Tantrisa.

- Absolutnie nic o nim nie wiemy.

- Chce dać za Trennor o wiele więcej, niż dom jest wart, Basil. Co jeszcze powinniśmy o nim wiedzieć?

- Nie interesuje cię nawet, kim jest?

- Interesuje mnie, co zrobię z jego pieniędzmi.

- Tak naprawdę to będą pieniądze taty.

- Rozumiem już, dlaczego wyrzucili cię z klasztoru.

Wszystkiego się czepiasz.

- Wcale mnie nie wyrzucili. Oszczędłem z własnej woli.

- Zdaje się, że wolałaś złożyć rezygnację, zanimby cię wy-lali.

- Zawsze tak rozmawiacie? - wtrącił Nick.

- Zwykle bywa gorzej - odrzekł Basil z błogim uśmiechem. - Ze względu na twoją obecność Anna stara się zachowywać jak najuprzejmiej.

- Zamknij się - warknęła Anna, nadal dobrodusznie, ale Nick był przekonany, że jej dobry humor nie będzie trwał wiecznie.

- Nie mogę zadać kilku prostych pytań?
- Nie.
- Ale...
- Nie.
- Szkoda.
- Raczej twoje szczęście.
- Tylko...

Anna ciężko westchnęła.

- Co?
- Pytania były raczej na temat. - Basil spojrzał na siostrę i brata. - Przypuszczam jednak, że mogą poczekać.

Tak więc poczekały. I chyba dobrze, pomyślał Nick, wracając wieczorem do Saltash. Dlatego że niektóre odpowiedzi mogłyby spowodować, iż wynik jutrzejszego zjazdu rodzinnego w Trennor wydałby się mniej obiecujący i nie tak prosty, jak sądzili. A tak wszystko było jasne i korzystne dla obu stron. I nie chodziło tylko o pieniądze. Przy okazji mieli dołożyć małą cegiełkę do historii. Poszukiwanie Okna Sądu Ostatecznego nie było tylko pretekstem, by wyciągnąć ojca z Trennor i uruchomić kapitał. Była to wielka szansa, tym większa, im dłużej ją analizowali. Pozostawało jedynie przekonać staruszkę do oczywistego kroku.

Rozdział 4

Godfrey Paleologus rozbudował obydwie skrzydła Trennor, dodając kilka pokoi, które miały okna od frontu i od tyłu, tak że dom znacznie zyskał na długości, zachowując pierwotną szerokość. Kamieniarkę pobielono, dlatego oryginalne rozmiary budynku zdradzały jedynie prostsze skrzydła okienne w środkowej części oraz wiekowy granitowy ganek przed frontowymi drzwiami. Stodoła za domem także była oryginalną budowlą i na taką wyglądała, mimo że przykryto ją nowym dachem. Oprócz niej na dawnym podwórzu stał duży i nieciekawy garaż. Z przodu rozciągał się ogród kwiatowy, który przecinała ścieżka prowadząca prosto od drzwi do furtki wychodzącej na drogę. Zaraz za Trennor droga zwężała się w dróżkę - na dodatek błotnistą, z powodu bliskości strumienia spływającego ze wzgórza do zatoczki na południu, za kilkoma polami.

Droga wiodąca do domu mijała wcześniej ogrodzony korn walijskim żywopłotem długi trawnik, który stary Godfrey urządził w miejscu porośniętego chwastami padoku. Pierwsze, co rzucało się w oczy, kiedy wyjeżdżało się z zachodu, to trawnik. Niczym szeroki zielony dywan prowadził do samego domu.

Późnego ranka w niedzielę, w momencie gdy Irene minęła zakręt i Nick ujrzał trawnik, a potem dom, odezwały się

wspomnienia sprzed lat. Znajomy widok wskrzesił w pamięci Nicka wszystkie chwile z dzieciństwa, kiedy tu przyjeżdżał - na Wielkanoc, latem i na Boże Narodzenie. Dawno temu matka przywoziła tu swoim mini Irene, Annę i jego, a w roverze ojca jechali Andrew i Basil. Potem, w wieku jedenastu lat, Nick awansował na pasażera auta chłopców. Uśmiechnął się, wspominając, jaki był wtedy dumny, i здавало mu się, że wyraźnie czuje tamten zapach - wytartej skóry siedzeń i dymu z fajki ojca.

- Cieszę się, że masz dobry humor - powiedziała Irene, zerkając na niego. - Miejmy nadzieję, że cię nie opuści.

Irene przez cały ranek zdradzała oznaki zaniepokojenia. Twierdziła, że martwi się, czy pomagające jej w barze Moira i Robbie dadzą sobie radę w Old Ferry podczas wzmożonego ruchu w porze lunchu. Nick nawet nie próbował zapewniać jej, że wszystko będzie w porządku. Wiedział, że jej nastrój nie ma nic wspólnego z Moirą i Robbie. Podejrzywał również, iż Irene świetnie zdaje sobie sprawę, że o tym wie.

- Jak sądzisz, co na to wszystko powiedziałyby mama? - spytał, kiedy Irene zwolniła, skręcając w podwórko.

- Uznałyby, że niebo zsyła nam niepowtarzalną okazję, by przeprowadzić się do czegoś mniejszego i mniej kłopotliwego.

Tak, Nick przytaknął w duchu, że tak by zapewne powiedziała, ponieważ była jeszcze mniej sentymentalna niż ojciec. I wiedziałyby, jakich sztuczek użyć, aby przekonać starszka do swoich racji. Teraz miało się okazać, czy jej dzieci staną na wysokości zadania.

- Reszta już jest. To dobrze.

Pojawienie się Nicka miało być niespodzianką, uzgodniono więc wcześniej, że oboje z Irene powinni przyjechać ostatni. W cieniu stodoły stały obok siebie land-rover Andrew i miera Anny. Irene zaparkowała swój samochód za nimi i wyłączyła silnik.

- No to ruszajmy. - Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i mrużąc oczy, zerknęła w lusterko, poprawiła włosy i sprawdziła makijaż. - Do ataku.

- Nie wybieramy się na żadną bitwę, Irene.
- Myśl tak dalej, a pierwszy padniesz ofiarą.
- Nie musi być wcale ofiar.
- W porządku. - Irene wzięła głęboki oddech. - Spokój i konkrety. Będę uosobieniem dyplomacji. Wystarczy?
- Jeśli potrafisz wytrzymać.
- Sądzisz, że nie potrafię?
- Wcale tego nie powiedziałem, tylko...
- Daj spokój - ucięła, otwierając drzwi i wysiadając. - Do dzieła.

Widok Michaela Paleologusa w domu w otoczeniu dzieci był sceną równie rzadką jak zwodniczą. Wyglądał niczym wzór czułego i kochającego ojca, rozplývając się w uśmiechach i żartując ze swoją trzódką. Kiedy weszli Nick z Irene, wydawał się zaskoczony i uszczęśliwiony. Powtarzał, że raduje mu się serce, gdy widzi ich wszystkich razem.

Tyle że słowom „tu w Trennor” towarzyszył cień porozumiewawczego uśmiešku, który sugerował, że ojciec domyśla się, z czym naprawdę przyszli.

W pierwszej chwili Nick odniósł wrażenie, że Irene i Anna przesadziły, mówiąc o mizernym wyglądzie ojca. Owszem, był chudszy i bardziej przygarbiony niż kiedyś, lecz zmiany wynikały z naturalnego procesu starzenia. W końcu był to człowiek urodzony latem w roku bitwy nad Sommą, którego pierwsze wspomnienie światowych wydarzeń wiązało się, ciekawym trafem, z odkryciem grobowca Tutenchamona przez Howarda Cartera w 1922 roku. Nadal ubierał się tak jak przed sześćdziesięciu laty - w workowate tweedy i sztruky oraz rozpinany sweter z kieszeniami wypchanymi fajką, zapalkami i kapciuchem tytoniu. Palenie oraz skutki wielu lat różnych ekspedycji archeologicznych do wadi w północnej Afryce i na równiny zachodniej Azji uczyniły jego twarz podobną do spękanego dra wyschniętej rzeki. Jego włosy - wciąż miał jeszcze sporo - były żółtawosiwe, a oczy niebieskozielone i powiększone soczewkami okularów, na których

Nick dostrzegł mgławicę odcisków palców i tłustych plam.

Dopiero gdy starszek przeszedł z salonu do jadalni, można było zauważyć jego chwiejny krok i zadyszkę. Po drodze chwycił się oparć krzesel i framug drzwi z taką miną, jak gdyby zdumiewała go własna słabość. W jednej chwili Trennor przestał wyglądać jak bezpieczny azyl, w którym ojciec mógłby w spokoju dożyć swoich dni. Wystarczyło pomyśleć o niedogrzaniu i skomplikowanym układzie pełnego zakamarków domu. Należało jednak wziąć jeszcze pod uwagę podwinięte brzegi dywanów i wytarty chodnik na schodach, nie wspominając o niebezpiecznie stromych stopniach do piwnicy. Gdziekolwiek Nick się obrócił, widział ruinę -upływ czasu znaczyły wgniezione siedziska mebli, postrzępione firany, gruba warstwa kurzu na oszklonych szafkach z rzymskimi monetami i fragmentami preromańskich czaszek, wyblakłe fotografie i orientalne urny, wszystkie szczątki przeszłości jego rodziny. Samo otoczenie wręcz domagało się odmiany.

Przez jakiś czas nikt nie miał o tym wspomnieć ani słowem. W końcu zebrali się tu, by uczcić pięćdziesiąte urodziny Andrew. Pru upiekła tort, nakryła do stołu, przygotowała sałatki i wstawiła pieczeń do piekarnika. Rodzinie nie pozostawało więc nic innego, jak tylko jeść, pić i tryskać humorem. Sam jubilat niewiele zrobił, by zadbać o swój wygląd. Basil też się zresztą nie wysilił. Ich siostry natomiast odróżniały się od nich wyjściowym strojem - Irene ubrała się w elegantszą spódnicę i bluzkę, Anna w niepokojąco obcisłe białe spodnie i jaskrawoczerwony sweterek z dekoltem, spod którego cały czas wyzierało jedno lub drugie ramięczko stannika.

Przed lunchem i w jego trakcie dominowała atmosfera serdeczności, aczkolwiek odnosiło się wrażenie, że jest to serdeczność powierzchowna. Andrew skwapliwie odegrał zaskoczenie na widok Nicka, radość z prezentów i ogólną wdzięczność za trud, jaki włożono w uroczystość z okazji kulminacji jego wieku średniego. Anna często wybuchiała

śmiechem i mówiła, Basil raczej milczał. Irene z finezją sterowała rozmową, omijając niebezpieczne rafy. A Nick dyskretnie obserwował ojca, który, jak mu się zdawało, jeszcze dyskretniej obserwował wszystkich.

Ale jednocześnie Michael Paleologus pił w dość równym, wcale nie powolnym tempie. Przed urodzinowym szampanem podano whisky. Podczas lunchu nie żałował sobie wina. A kiedy posiłek się kończył, ojciec otworzył butelkę porto. Wówczas jego dyskrecja i subtelność powoli zaczęły się ulatniać. A jego zachowanie stawało się coraz mniej powściągliwe.

- Przed lunchem wypiliśmy toast za Andrew - oznajmił. - Chciałbym teraz zaproponować jeszcze jeden. Wasza matka była dobrą żoną. Szczerze ją kochałem i bardzo mi jej brakuje.

- My też ją kochaliśmy, tato - powiedziała Anna.

- Wiem, córciu, wiem. Chciałbym wypić dla uczczenia jej pamięci. Ucieszyłaby się, widząc to... spotkanie. Cieszyłaby się, że rodzina wciąż od czasu do czasu zjeżdża się tu do Trennor. - Nick doszedł do wniosku, że gdyby ostatnie trzy słowa zostały zapisane, ich autor bez wątpienia użyłby wielkich liter. - Za waszą matkę.

Brzęknęły kieliszki i wychyiono porto. Potem Irene zręcznie wtrąciła doskonale znaną wszystkim anegdotę ze swojego dzieciństwa. Pewnego weekendu Andrew zabrał ją na karkołomną przejażdżkę swoim motocyklem, ku zgrozie ojca. „Boże drogi, chłopcze, co ci strzeliło do głowy?” - wyrzucał podobno z siebie. Matka rozładowała sytuację, uparcie twierdząc, że pozwoliła na tę eskapadę, lecz później zdrowo natarła uszu obojgu. Była to stara, zgrabnie opowiedziana historia. Nick uzmysłowił sobie, że te wydarzenia rozegrały się w Oksfordzie. Irene starannie dobrała opowieść, aby wspomnieć o delikatności, z jaką matka radziła sobie z rodziną, uroczej nieodpowiedzialności Andrew, a także by przypomnieć o ich drugim domu w Oksfordzie, który w swoim czasie szybko i ochoczo porzucili.

Mimo to napięcie nie do końca minęło. Irene ostrzegała wcześniej Nicka, że chce poruszyć temat okna Sądu Ostatecznego przy podwieczorku, kiedy jej zdaniem wszyscy łącznie z ojcem będą zrelaksowani. Ale po popołudniowej drzemce staruszek równie dobrze mógł być rozdrażniony i niemiły. Nick nie był pewien, czy powinni tak długo zwlekać. Nie miał jednak ochoty przejmować inicjatywy. Czekало ich teraz kilka godzin niepokoju.

Po zakończeniu lunchu ojciec wycofał się do salonu, by uciąć sobie drzemkę przy kominku. Irene i Anna przy pomocy Basila zabrały się do pracy w kuchni. Andrew w towarzystwie Nicka wyszli zspacerować się drogą. Było pochmurne, szare i chłodne styczniowe popołudnie: mdłe światło padało na nagie gałęzie drzew, od wschodu dmuchał zmienny, przesycony wilgocią wiatr, który niósł ostrą woń rzecznego mułu i urywane krzyki mew.

- Zanim przyjechałeś - powiedział Andrew - tato spytał mnie, czy nie zjawi się dziś przypadkiem jego wnuk. Bo to moje urodziny i tak dalej.

- Wszyscy bardzo by się ucieszyli na jego widok.

- Tak, na pewno. Zwłaszcza ja. Niestety, wnuk się nie pojawił. Tato nie mówił wprawdzie zbyt wiele, ale zachowywał się, jakbym to ja był winien nieobecności Toma. Widziałem. Miał to w oczach. Jak zawsze, gdy na mnie patrzy. Wyraz... pogardy.

- Daj spokój, Andrew. To nieprawda.

- Nie?

- Przecież nie przyjechał żaden z jego wnuków.

- Rzeczywiście. Ale Laura to dziewczyna, a Zack jest nieślubnym dzieckiem. Nie liczą się według koncepcji taty. Z Tomem to co innego. Tato widzi w nim tego, kto przejmie pałeczkę pokolenia. Sęk w tym, że go nie widuje. Tak jak ja. Może byłoby inaczej, gdybyś ty albo Basil... - Andrew wzruszył ramionami. - No, wiesz.

- Gdybyśmy się ożenili i mieli dzieci?

- Tak. Zwłaszcza synów. Żeby nosili to samo nazwisko.

- Przypuszczam, że z tym Tom da sobie radę.
- Tylko czy będą o tym wiedział?
- Oczywiście. Chłopak po prostu... dorasta. W jego wieku też nie byłem przykładnym obywatelem.
- Fakt. - Andrew posłał mu porozumiewawcze spojrzenie.
- Tato też pewnie nie był inny - rzekł spokojnie Nick.
- Być może. Ale mało prawdopodobne, żeby sam z siebie zdradził nam jakieś szczegóły. Zresztą nie musimy się chyba przejmować jego przeszłością, nie? Ważniejsza jest jego przyszłość. I nasza. - Andrew zerknął na dom. - Chciałbym, żeby wszystko poszło dobrze. Naprawdę bardzo by się to przydało.

Okna gabinetu Michaela Paleologusa wychodziły na trawnik z boku domu. Były tu także drzwi, przez które ojciec mógł wyjść prosto na trawę, bez potrzeby korzystania z głównego wejścia. Gdy Nick i Andrew w drodze powrotnej mijali żywopłot okalający trawnik, Nick kątem oka dostrzegł jakiś ruch, jak gdyby ktoś otworzył i zamknął drzwi gabinetu. Zdziwił się, ponieważ nie sądził, by ojciec już się obudził, poza tym tego wyjścia nigdy nie używano zimą, gdy najprawdopodobniej drzwi zawałała sterta książek.

W gabinecie nie dostrzegł znaków czyjejs obecności. W oknie nie widać było przygarbionej postaci. Gdyby ojciec był w środku, na pewno musiałby zapalić światło. Od tej strony ogrodu zwykle często było widać zarys jego sylwetki na tle blasku przegubowej lampy stołowej. Jednak ojciec nie siedział przy biurku pogrążony w lekturze czasopisma archeologicznego. Nick stwierdził, że w ogóle go tam nie ma.

Weszli do domu głównym wejściem, natykając się na Basila, który wynurzył się z kuchni.

- A, jesteście - rzekł wesoło. - Właśnie wysłano mnie, żeby obudził tatę. Irene doszła do wniosku, że na pewno będzie miał ochotę na kawę.

- Zbudzimy go - odrzekł Andrew. - Nawiasem mówiąc, wolałbym herbatę.

- Dla mnie kawa - powiedział Nick.

- Zamelduję. - Basil wyszczerzył zęby w uśmiechu i dość skwapliwie wykonał odwrót.

Ruszyli do salonu. Michael siedział przy kominku, tam gdzie go zostawili, ale nie spał i Nick zauważył, że jego pierś ciężko się unosi jak u kogoś, kto ze wszystkich sił stara się ukryć zadyszkę.

- Dobrze się czujesz, tato?

- Nigdy nie będę się czuł lepiej... gdzie są wszyscy?

- W kuchni, ale zaraz przyjdą.

- To dobrze. - Kaszlnął, przez chwilę dochodząc do siebie. - Może usiądziecie.

Posłusznie przycupnęli na jednej kanapie. W ciągu pół minuty żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć. Michael wyciągnął fajkę, pieczołowicie ją nabił i zapalił, przyglądając się synom przez pierwsze obłoczki dymu. Na ustach błąkał mu się nieznacznym uśmiech - choć może po prostu tak ułożył się jego wargi wokół cybucha.

- Dopadłeś już tego wielkiego kota, Andrew?

- Nie, tato.

- Myślisz, że ci się uda?

- W końcu go będę miał. Na taśmie.

- Tylko taki dowód chcesz znaleźć?

- Wszyscy chcą znaleźć taki dowód.

- Wątpię. Trzeba mieć szkielet. Namacalne szczątki. Dziwne, że dotąd się nie znalazły. Przecież te stworzenia muszą zdychać... jeżeli żyją.

- Żyją.

- A ty co myślisz, Nicholas?

- Ja? - Nick miał nadzieję, że nie zostanie spytany o zdanie. Zastanawiał się, czy ojciec zdawał sobie z tego sprawę. - Och, nie wyrobiłem sobie opinii w tej sprawie.

- Nie wyrobiłeś? Cóż, świetnie jest mieć otwarty umysł. Szkoda, że nie korzystasz z niego w lepszy sposób, ale... chyba ciągle masz na to czas.

- Wobec tego zdradź nam, co ty sądzisz, tato - powiedział szybko Andrew. Nick podejrzewał, że chciał go ratować z opresji. - O wielkich kotach.

- Sądzę, chłopcze, że ludzie chcą w nie wierzyć. Być może tego potrzebują. Mit miewa tak samo silne oddziaływanie jak rzeczywistość. To jedna z pierwszych prawd, które poznałem jako archeolog. Razem z waszym dziadkiem w latach trzydziestych pomagaliśmy Raleghowi Radfordowi w pracach wykopaliskowych w Tintagel. - Nick i Andrew jednocześnie skinęli głowami. Słyszeli już tę opowieść. W 1933 roku rozpoczęły się pierwsze poważne badania archeologiczne w Tintagel, słynnym domniemanym Camelocie na klifie północnego wybrzeża Kornwalii, pod nadzorem znanego później dyrektora Szkoły Brytyjskiej w Rzymie C. A. Ralegha Radforda. Wśród jego pomocników amatorów znaleźli się Godfrey Paleologus i jego nastoletni syn Michael. W gabinecie stała fotografia z lata 1935 roku przedstawiająca ich obu i Radforda na tle wykopaliska. - Podczas badań ujawniono, że zamek zbudowano prawdopodobnie w latach trzydziestych trzynastego wieku na rozkaz Ryszarda hrabiego Kornwalii, brata króla Henryka III. Nie znaleziono żadnego śladu króla Artura. Ani drzazgi Okrągłego Stołu, ani jednego odłamka rycerskiej kopii. Ale myślicie, że ucichły plotki o związkach zamku z legendami arturiańskimi? I ludzie przestali wierzyć, że ujrzeli ruiny Camelotu? Oczywiście, że nie. Zobaczyli to, co chcieli zobaczyć. Podobnie przedstawia się sprawa nieuchwytnych wielkich kotów. Obawiam się, że są one...

- Ahoj, napoje na pokładzie - oznajmił Basil, otwierając drzwi nogą i zręcznie wtaczając stolik na kółkach. - I tort urodzinowy, naturalnie. Dziś jesteśmy sybarytami.

Nick był wdzięczny Basilowi za nagłe wejście, choć nie dał tego po sobie poznać. Mentorski ton ojca mógł gładko przejść w pełną pasji tyradę, co całkowicie uniemożliwiłoby spokojną dyskusję na niezwykle delikatny temat.

Dziwne, ale Michael wcale się nie obruszył, że przerwano mu wywód. Pykał fajkę, przyglądając się w milczeniu dzieciom, które siadały, nalewały do filiżanek kawę i herbatę, rozdawały kawałki tortu. Wymamrotał nawet podziękowanie w imieniu nieobecnej Pru, gdy Irene wyraziła uznanie dla jej talentów. Odłożył fajkę i zaczął skubać tort, popijając herbatę, a po chwili poprosił o drugą filiżankę.

I nagle, gdy Andrew udzielał ogólnikowej odpowiedzi na ogólnikowe pytanie Anny, jak to jest mieć pięćdziesiąt lat, ojciec ruszył do natarcia.

- Kogo więc wyznaczycie, żeby mi powiedział, że mam się stąd zabierać? - W jednej chwili wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Michael rozkoszował się z uśmiechem uwagą, jaką udało mu się wzbudzić u audytorium. - Może specjalnie do tego zadania sprowadzili tu ciebie, Nicholas?

Nick nie wiedział, co powiedzieć. Poczł bolesny ucisk w żołądku.

- To nie jest kwestia... - Spojrzał bezradnie na rodzeństwo. - Znaczący...

- Ja miałam poruszyć temat ofert pana Tantrisa, tato - odezwała się Irene. Odstawiła filiżankę. - Nie graliśmy w marynarza. Wszyscy się zgodzili, że trzeba o tym porozmawiać.

- Zatem rozmawiamy. - Michael dokończył herbatę i uśmiechnął się do nich promiennie. - Tantris chce położyć łapę na Trennor w zamian za pół miliona funtów plus pokrycie opłat za miejsce w jakimś luksusowym domu dla ramoli. Zgadza się?

- No, to jeszcze nie...

- Nie wszystko? Rzeczywiście. O Tantrisie wiemy tylko tyle, że ma pieniądze i interesuje się zabytkowymi witrażami. Panna Hartley, historyk sztuki kościelnej, wysunęła teorię, jakoby gdzieś w tym domu zostało ukryte okno Sądu Ostatecznego z St Neot. Tantris chce mnie wyrzucić i sprowadzić swoich totumfackich, żeby opukali wszystkie ściany, zajrzeli

w każdą najmniejszą szparę i znaleźli coś, co im powie, gdzie mają zacząć ryć wiertarkami i kilofami. Aby mnie wyrzucić, oferuje mi pięćdziesiąt procent więcej, niż wynosi wartość domu, a was zamierza przekupić, żebyście z czystym sumieniem mogli mnie wsadzić do Gorton Lodge. Nawet nie będę miał okazji wydać swoich oszczędności, bo w ciągu dwunastu miesięcy umrę tam z nudów, a wtedy podzielicie między siebie łup, który, jak już zapewne wyliczyliście, może wynieść grubo ponad pół miliona, jeśli tylko będziecie się twardo targować z naszym legendarnym Tantristem o kieszeniach bez dna.

- Malujesz wszystko w najczarniejszych barwach, tato - zaprotestowała Irene.

- Po prostu staram się wyrażać ściśle, córeczko. Wydaje mi się, że najwyższy czas.

- Naprawdę się o ciebie martwimy.

- Niedawno upadłeś - wtrąciła Anna.

- Ładnie z mojej strony, prawda?

- A gdyby Pru cię nie znalazła?

- Na litość boską, to się stało tuż przed jej przyjściem.

Bez trudu wstałbym bez jej pomocy.

- Ona twierdziła co innego.

- Pru ma prawie tyle samo lat co ja i mniej więcej jedną dwudziestą mojej inteligencji. Nie możecie dawać wiary jej wersji wypadków.

- Nie ubywa ci lat, tato - rzekł Andrew. - Prędzej czy później będziesz musiał pomyśleć o przeprowadzce do jakiegoś praktyczniejszego miejsca.

- Może wolałbym, żeby nastąpiło to później.

- My też - powiedziała Irene - gdyby nie złożono tej oferty. Ale złożono. Nie możemy jej zignorować.

- Chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Istnieje bardzo ważny powód, który nie ma nic wspólnego z pieniędzmi - odezwał się Nick, wyczuwając, że nadeszła jego kolej.

- Ciekaw jestem, cóż to za powód. - Badawcze spojrzenie ojca spoczęło na Nicku.

- Witraż. Okno Sądu Ostatecznego. Mówiłeś, że mit nie-
raz działa z równą siłą jak rzeczywistość. A w tym wypadku
chodzi o jedno i drugie. Tajemnica historii.

Skarb sztuki. Zagadka archeologii. Przecież to uwielbiasz.
Tato, powinieneś z entuzjazmem poprowadzić poszukiwania,
a nie starać się je utrudniać. Nie rozumiem. Nie wierzę, żeby
sentymenty przesłaniały ci naukową ocenę sytuacji. Gdyby
chodziło o kogokolwiek innego, potępiłbyś taką postawę,
prawda?

Michael wysunął dolną wargę, przez pół minuty w mil-
czeniu mierząc Nicka gniewnym spojrzeniem, po czym
warknął:

- Nie w tych okolicznościach.

- Co w nich takiego szczególnego?

- Kluczem jest tu właśnie ocena sytuacji, synu. Tak się
składa, że nie sądzę, by należało przewracać do góry nogami
dom, w którym umarła wasza matka, tylko dlatego że tak
sobie ubzduriała jakaś smarkula...

- Boże, tato - przerwała mu Anna. - Nie chodzi chyba o
to, że przyćmiła cię kobieta?

- Coś nie tak z kwalifikacjami panny Hartley? - spytał ła-
godnie Basil.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie mogą się równać z moimi.
W najmniejszym stopniu.

- Ale list Bawdena wyraźnie łączy okno z St Neot z Tren-
nor - rzekł Nick. - Pani Hartley wytłumaczyła to dość jasno.
Kwestionujesz jej interpretację dokumentu?

- Widziałeś ten dokument, synu?

- No nie, ale...

- Otóż to. Uwierzyłeś jej na słowo. Uwierziliście wszyscy,
bo tak wam odpowiadało. W tych sprawach należy ufać tylko
i wyłącznie źródłom. Choć i tak nie zawsze. Oto moja dewiza.

- Jestem pewien, że pani Hartley chętnie pokaże ci ten
list.

- Być może. Ale ciekaw jestem, dlaczego list ujrzał świa-
tło dopiero teraz.

- Zapytaj ją.

- Pytałem. Nikt go nie zauważył, dopóki jej wzrok nie zatrzymał się na archiwum, którego list był częścią. Tak brzmiało jej wyjaśnienie.

- Ale ty jej nie wierzysz.
- Tego nie powiedziałem.

Irene westchnęła.

- Co więc chcesz powiedzieć, tato?

Pytanie skłoniło staruszkę do głębokiego namysłu. Wziął fajkę, a po chwili ją odłożył i rzekł:

- Chcę powiedzieć, że jestem jedyną bezstronną osobą, która potrafi podjąć właściwą decyzję.

- Czyli jesteśmy stronniczy - powiedziała Anna. - Ty nie?
- Potrafię zapomnieć o stronniczości, Anno.
- My nie?
- Widocznie nie.

- To śmieszne. I do tego aroganckie.

- Aroganckie? Zależy od punktu widzenia. Jeżeli uważacie, że jestem śmieszny, zgoda. Doszedłem do takiego wieku, że i tak nikogo to już nie powinno dziwić.

- Co? - Anna ukryła twarz w dłoniach.

- Nie sprzedam Trennor anonimowemu milionerowi, żeby bez przeszkód mógł pruć mury w poszukiwaniu witrażu ani po to, żeby wybawić którekolwiek z was z finansowych kłopotów, będących skutkiem waszej nieodpowiedzialności. Koniec i kropka.

Zostało to wypowiedziane w gniewie. Dzieci Michaela doskonale zdawały sobie z tego sprawę. On prawdopodobnie także. Zawsze jednak uważał, że człowiek nie powinien rzucać słów na wiatr i wyrzekać się swoich zasad, należało się więc spodziewać, że nie cofnie tego, co powiedział. Padły słowa, które wszyscy słyszeli. Wyrażały prawdę niewygodną dla nikogo. Ojciec był przekonany, że źle pokierowali swoim życiem, dlatego też nie mają prawa zabraniać mu kierować swoim, choćby robił to równie źle.

Zapadła cisza, którą przerwało chrząknięcie Basila, ale to Andrew pierwszy się odezwał.

- Koniec i kropka? Tak, tato, wydaje mi się, że masz rację. - Wstał. - Chyba już pójdę. Zanim powiem coś, czego później mogę żałować.

- Jeśli sądzisz, że żałuję choć jednego...

- Nie, tato, nie sądzę. Niewielu rzeczy w życiu żałowałeś, nie? Właściwie ani jednej. *Vous ne regrettez rien*. Wspaniale. Prawdziwe osiągnięcie.

- Andrew - wtrąciła Irene - nie wychodź jak...

Ale on ruszył już do drzwi.

- Niech idzie, skoro chce - rzekł Michael, kręcąc głową, jak gdyby przeczył, że to on jest odpowiedzialny za reakcję syna.

- Tato, dziś są jego urodziny - powiedziała Anna. - Nie potrafisz się ani trochę rozchmurzyć?

- Pamiętam jego prawdziwe urodziny, córeczko. Dzień, w którym się urodził. Pięćdziesiąt lat temu, niemal co do godziny. Pamiętam, jakie wiązałem z nim nadzieje. Z siostrami i braćmi, których miał mieć w przyszłości. Muszę ci powiedzieć, że żadna z tych nadziei się nie spełniła. A więc nie proś mnie, żebym... „się rozchmurzył”.

Andrew był już w kuchni. Irene także. Pozostali słyszeli, jak próbuje mu perswadować, żeby nie wychodził. Nick wiedział, że siostra traci tylko czas. Andrew był prawie tak samo uparty jak ojciec. Irene nigdy nie potrafiła pojąć tego prostego faktu. Nick przypomniał sobie, jak w Oksfordzie po jakiejś kłótni Andrew ze staruszką błagała brata, by wyszedł ze swojego pokoju i wrócił do salonu do reszty rodziny. Wspomnienie stanowiło jedno z bliźniaczo do siebie podobnych zdarzeń, w których Irene zawsze starała się występować w roli mediatora i zawsze na próżno. Nic się nie zmieniło. Teraz Nick był już pewien, że nic się nigdy nie zmieni.

Basil pochwycił jego spojrzenie i wykrzywił twarz w grymasie rozpaczy, wzbudzając w Nicku podejrzenie, że brat przewidział taki rozwój wypadków w każdym drastycznym szczególe. Łącznie z wybuchem Anny, która właśnie przestała nad sobą panować.

- Tak, tato, nieraz słyszeliśmy, jak bardzo zawiedliśmy twoje nadzieje. Zastanawiasz się czasem, dlaczego cię rozczarowaliśmy? Nie przyszło ci do głowy, że coś wspólnego mogą z tym mieć twoje życiowe uprzedzenia i małość?

- Głupstwa wygadujesz.

- W ogóle zdajesz sobie sprawę, że ostatnio Andrew ledwie wiąże koniec z końcem na Carwether?

- Sam postanowił zostać rolnikiem, ja za niego nie decydowałem.

- Co z tego? Nie proszę cię, żebyś doradzał mu w sprawach zawodowych. Proszę, żebyś okazał mu odrobinę współczucia. Zrozumienia. Ale nie umiesz. Nigdy tego nie zrobisz. Nie chcesz zrozumieć żadnego z nas.

- Rozumiem was aż za dobrze.

- Tak? A więc powiem ci, że to działa w obie strony. Przejrzałam cię.

- Prawdę mówiąc, córeczko...

Drzwi wyjściowe z tyłu domu trzasnęły tak mocno, że porcelana w szafce obok kominka zadźwięczała jak dzwoneczki na wietrze. Po chwili do pokoju wróciła Irene.

- Wyszedł - powiedziała z westchnieniem. - Nie udało mi się go powstrzymać.

- Nie udało się go powstrzymać od żadnego z wielu szaleństw, jakie w życiu popełnił - rzekł Michael obojętnie, jak gdyby wygłaszał wnioski z przeprowadzonej analizy. - Słuchanie rad nie leży w jego naturze.

- Tak samo jak w twojej - warknęła w odpowiedzi Anna.

- Wprost przeciwnie. Zawsze się liczę z radami tych, którzy mają odpowiednie kompetencje do ich udzielania. Dzięki temu poradziłem sobie w życiu. I osiągnąłem sukces. Gdy tymczasem... - Uśmiechnął się do nich. - Cóż, zaprezentowaliśmy swoje stanowiska.

- To nie ma sensu - rzekła Irene, której mina podkreślała jej słowa. Wyglądała jak ktoś, kto bardzo długo i starannie przygotowywał plan działania, ale gdy tylko przystąpił do dzieła, cała koncepcja legła w gruzach. Tak się właśnie zresztą

stało. - Chyba chcę już wracać do domu. Nick? Wzruszył ramionami.

- Zgoda.

- Odwrót i przegrupowanie - powiedział Michael. - Tak, w tych okolicznościach to najlepsza taktyka. Wycofać się do bezpiecznego miejsca i opracować plan B. Który, oczywiście, też spali na panewce. - Jego uśmiech zmienił się w wyraz ogromnego zadowolenia. Michael był najwyraźniej przekonany, że ponieśli sromotną klęskę. - Ale nie zamierzam odwozić was od kolejnych prób.

- Dlaczego łudziliśmy się, że będzie inaczej? - pytała retorycznie Irene godzinę później w barze w głębi Old Ferry. Nie słyszał jej żaden klient, ponieważ do wieczornej pory otwarcia pozostało jeszcze trochę czasu. Jej audytorium składało się z Nicka, Anny i Basila. Wyjechali z Trennor mniej więcej równocześnie i konwojem podążyli do Saltash. Teraz siedzieli wokół kominka, spoglądając na siebie ponuro i zastanawiając się, co każde z nich ma w tej sytuacji począć. - Jak mogliśmy być tak naiwni i wierzyć, że posłucha głosu rozsądku, chociaż nie pamiętam, żeby kiedykolwiek go posłuchał? Jak?

- Człowiek zwykle woli widzieć własnego ojca takiego, jakiego chciałby widzieć, a nie takiego, jaki jest naprawdę - zauważył w zadumie Basil.

- Nie lubię go - doszła do wniosku Anna i jakby zdumiała ją własne słowa. - Oczywiście, kocham go. Ale tak naprawdę wcale nie lubię. Ani trochę.

- Chyba zadzwonię do Andrew - powiedziała Irene, podrywając się z miejsca. - Zapytam, jak się czuje.

Podeszła do telefonu zamontowanego na ścianie za barem. Patrzyli, jak wykręca numer i słucha sygnału. Wolno upłynęła minuta. Po chwili Irene odłożyła słuchawkę.

- Szkoda, że nie ma automatycznej sekretarki - mruknęła.

Nick pomyślał, że Andrew być może wyruszył już na poszukiwanie wielkich kotów, uzbrojony w noktowizor i kamerę wideo. Na pewno pójdzie mu lepiej niż rodzeństwu z ojcem.

- Powinniśmy posłuchać rady taty - powiedział cicho.

- Co? - Anna wybałuszyła na niego oczy.

- Nie da się go przekonać. Podjął już decyzję i nie możemy zrobić nic, absolutnie nic, żeby ją zmienić. Po prostu. Trzeba zapomnieć o ofercie Tantrisa. I o Gorton Lodge. Powiemy Elspeth Hartley, że nie da rady. Na inne pomysły szkoda wysiłku.

- To czysty defetyzm - zaprotestowała Irene.

- Nazywaj to, jak ci się podoba.

- W ogóle mi się to nie podoba.

- Ale my moglibyśmy zmienić zdanie - rzekł Basil. - I zacząć namawiać tatę, żeby odrzucił ofertę.

Anna zrobiła minę.

- Żeby przez przekorę postąpił odwrotnie?

- Właśnie.

- Żartujesz, prawda?

Basil wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A co mi innego pozostało w obecnej sytuacji?

Gdy po wyjściu Anny i Basila Irene otworzyła pub, Nick wyszedł na spacer po mieście. W niedzielny styczniowy wieczór Saltash tętniło życiem co najmniej jak cmentarz. Nicka otaczały tysiące ludzi, lecz widział zaledwie kilkunastu. Ale nie szukał towarzystwa. Mógłby je znaleźć, zostając w Old Ferry. Po kompletnej porażce, jaką okazał się dzisiejszy dzień, pragnął przede wszystkim samotności. Miał dosyć gadania. I myślenia.

Mimo to myśli uporczywie krążyły mu w głowie. Dlaczego ojciec tak zaciekle sprzeciwiał się pomysłowi odnalezienia okna Sądu Ostatecznego? Czyżby celowo wrogo ich do siebie nastawił, żeby uniknąć odpowiedzi na to pytanie? I do czego zmierzał, pytając, dlaczego list Bawdena tak długo pozostał niezauważony? Jego zachowanie zdawało się nie mieć sensu.

Zawsze był zawzięty, lecz dziś po południu znacznie przekroczył granice zawziętości, doprowadzając do ostrej, pełnej obraźliwych słów wymiany zdań, która na długie miesiące mogła zepsuć kontakty z dziećmi. Andrew i Anna prawdopodobnie nie będą mieli ochoty z nim rozmawiać w najbliższej przyszłości, a Irene na pewno będzie się trzymać od niego z daleka. Przecież musiał wiedzieć...

No tak, oczywiście. Wiedział. Nick nie potrafił powstrzymać uśmiechu na myśl o bezczelności staruszka. Rozłam w rodzinie był mu potrzebny, by odrzucić propozycję Tantrisa i nie tłumaczyć się ze swoich oporów, czego na pewno nie potrafiłby zrobić. Znalazł się w trudnym położeniu. Ale potem znalazł wyjście. Z niewielką pomocą dzieci.

Rozdział 5

Wyjazdowi Nicka nazajutrz rano nie towarzyszyły prawie żadne pożegnania. Irene była przygnębiona i rozstrojona wydarzeniami poprzedniego popołudnia. Nie rozmawiała jeszcze z Andrew i nie miała pojęcia, kiedy będzie mogła się przemóc i porozmawiać z ojcem. Nick wiedział jednak, że ochłonie - dobrze ją znał - lecz potrwa to co najmniej kilka dni. Dlatego też nie pytał jej, co powie Elspeth Hartley. Na pewno coś wymyśli - w stosownym czasie.

Ranek był pochmurny i dżdżysty, Hamoaze spowijał mrok, a nad wilgotnymi dźwigarami Tamar Bridge uwijali się ubrani na pomarańczowo robotnicy. Nick ciągnął się na końcu nieprzerwanego sznura samochodów aż do granic Devon, zapłacił za przejazd i gdy się tylko znalazł na dwupasmówce, wcisnął gaz do dechy. Nadszedł czas wyjazdu. Z kilku powodów była to dla niego radosna chwila.

Dwie i pół godziny później zatrzymał się przy stacji Delamere Services przy M4, by napić się kawy i rozprostować nogi. Zanim wysiadł z samochodu, sprawdził telefon komórkowy, który wyłączył na czas jazdy. Czekala na niego wiadomość - od Irene.

- Nick, stało się coś strasznego. Zadzwoń, kiedy tylko będziesz mógł.

Otworzył drzwiczki i oddychając chłodnym powietrzem i słuchając pomruku samochodów na autostradzie, zastanawiał się nad jej słowami. Potem zadzwonił do Old Ferry, przeczuwając, co może oznaczać „coś strasznego”, zanim jeszcze Irene odebrała. Pomyślał o Andrew, przypomniał sobie, w jakim nastroju opuścił Trennor. Myślał... i nie dowierzał. Po chwili w słuchawce odezwał się głos.

- Pub Old Ferry.
- Irene? To ja.
- Nick, dzięki Bogu. Gdzie jesteś?
- Nieważne. Co się stało?
- Jedziesz?
- Nie, zrobiłem sobie postój. Co...
- Tato nie żyje.
- Proszę? - Oczywiście usłyszał, co powiedziała. Nie wierzył jednak własnym uszom.

- Tato nie żyje. - Irene wybuchnęła szlochem, który zaraz stłumiła. - Dziś rano Pru znalazła go w Trennor.

- Nie mogę... Jak to...
- Wiem. Trudno się z tym pogodzić. Wczoraj był pełen życia. Wydawał się taki przytomny i opanowany, nawet za bardzo jak na nasz gust. - Pociągnęła nosem. - Przykro mi. Wiem, że to dla ciebie wstrząs. Przykro mi, że musisz się o tym dowiadywać ode mnie.

- Co się stało... serce?

- Nie. Upadł. Podobno spadł ze schodów w piwnicy. Policjant mówił, że chyba uderzył się w głowę, prawdopodobnie o poręcz.

Nick zamknął oczy. Tyle razy w głębi duszy życzył ojcu śmierci. Potrafił się do tego przyznać przed sobą, ale przed nikim innym. Te czasy dawno przysypał kurz zapomnienia, gdy zrozumiał poniewczasie, że ojciec nie ponosi winy za popełnione przez niego błędy, choć zawsze witał je z widoczną niechęcią, a Nicka korciło, by obarczyć go odpowiedzialnością za wszystkie. Nikt nie uważał Michaela Paleologa za ideał rodzica; traktował rodzinę prawie tak samo jak

swoich studentów, dziwiąc się i nie dowierzając, że nie rozumieją, jak i co mają myśleć. Im bardziej się starzał, tym bardziej Nick, chcąc nie chcąc, podziwiał jego pogardę wobec kompromisów. Ojciec umarł tak, jak żył - przekonany, że wie najlepiej.

- Nick?

- Tak. Przepraszam. Mówisz, że upadł?

- Na to wygląda.

- Dość niepewnie się poruszał. Miałaś rację.

- Wiem. Ale...

- Co?

- Myślisz, że zdenerwowaliśmy go wczoraj, wierząc mu dziurę w brzuchu, żeby sprzedał dom? Myślisz, że to... mogło do tego doprowadzić?

Nick przypomniał sobie minę staruszka, kiedy zaczął ich rugać wczorajszego popołudnia. Ojciec nie był zły. Nie wydawał się nawet urażony. Po prostu był jak zawsze przekonany o swej nieomyślności i takim zapewne pragnął zostać zapamiętany.

- Nie, Irene. Ani przez chwilę tak nie pomyślałem.

Wrodzone wyczucie czasu Michaela Paleologusa nie opuściło go także po śmierci. Nick był absolutnie pewien, że jeszcze tego dnia wróci do znanego sobie życia, które wiódł daleko od rodziny. Okazało się jednak, że pięć godzin po wyjeździe z Plymouth wracał do miasta. Ojciec pośmiertnie wydał zarządzenie, by Nickowi nie udało się tak łatwo uciec.

Tym razem nie zmierzał do Old Ferry ani nawet do Trennor, lecz na Citadel Road 254. Kiedy był w połowie M5, zadzwoniła do niego Irene z informacją, że skontaktowała się z Andrew, który jechał już do Plymouth, aby pomóc w „przygotowaniach”, przez co Nick rozumiał konsultacje z przedsiębiorcą pogrzebowym. Wygodniej im było spotkać się później u Anny.

Smutne spotkanie rodzinne odbywało się w salonie mieszkania Anny. Kiedy zjawił się Nick, Basil podał herbatę, kawę i herbatniki, a Irene uściskała go z płaczem.

- Policja chciała przeprowadzić oficjalną identyfikację - powiedziała. - Pojechałam tam z Andrew.
- Parszywe miejsce ta kostnica - wtrącił Andrew, kręcąc głową. - Tato leżał i wyglądał, jakby za chwilę miał usiąść i powiedzieć, żebyśmy się nie wygłupiali.
- Jutro przeniosą go do kaplicy - ciągnęła Irene. - Po sekcji.
- Sekcji? Mówiłaś chyba, że uderzył się w głowę.
- Wszystko na to wskazuje. Ale przypuszczam, że trzeba potwierdzić. Będą musieli przeprowadzić dochodzenie.
- Widziałaś... ranę?
- Nie. Mówili, że jest z tyłu głowy. Nie chcieliśmy jej oglądać.
- Też byś nie chciał - mruknął Andrew. - Uwierz mi.
- Rozmawialiście o terminie pogrzebu?
- Prawdopodobnie w przyszły poniedziałek - odparła Irene. - Możesz chyba zostać do tego czasu?
- Oczywiście.
- Umówiliśmy się na jutro z Baskcombem.
- Dobrze.
- Trzeba też pomyśleć o hymnach na nabożeństwo. Kwiatkach. Zawiadomieniach. I... - Urwała i z westchnieniem usiadła, przyciskając dłoń do czoła. - Zdawało mi się, że będzie żył jeszcze wiele lat. Naprawdę. Wiele, wiele lat.
- Irene, nie musisz się wszystkim sama zajmować - powiedziała Anna, obejmując siostrę ramieniem. - Wspólnie to załatwimy.
- Jak się czuje Pru? - zapytał Nick.
- Kiedy ją widziałam, była dość zdenerwowana - odparła Anna. - Mówiła nieskładnie. Policja spieszyła ją tymi wszystkimi pytaniami. Na razie nie mamy wstępu do Trennor.
- Co?
- Taka jest procedura - wyjaśniła Irene. - Ale to nie potrwa długo.

Nick spojrział na siostrę spod zmarszczonych brwi, zastanawiając się nad tym, czego akurat nie powiedziała.

- Procedura?

- W razie gdyby to nie był wypadek. - Ciszę, jaka zapadła po pytaniu Nicka, przerwał cichy głos Basila. - Płacą im, żeby brali pod uwagę takie rzeczy.

Nick - jak pewnie reszta rodzeństwa - rozmyślał o następstwach zgryźliwej i trafnej uwagi Basila. Nikt jednak o nich nie rozmawiał ani nawet ich nie wspominał aż do późnego wieczoru. Andrew spytał, czy przed jego powrotem do Carwether ktoś ma ochotę wstąpić z nim na drinka do Yard Arm. Przeczując, że nie będzie więcej chętnych, Nick postanowił towarzyszyć bratu.

W pubie panował niewielki ruch. Zajęli ustronny stolik w rogu i uczcili pamięć ojca szklanką courage best bitter.

- Szok, co, Nick? Kto by pomyślał, że tak się stanie po tej klasycznej scenie, którą nam wczoraj urządził?

- Może za dużo go kosztowała.

- Mnie i tak więcej. Wolałbym się z nim rozstać w lepszej atmosferze, gdybym... - Wzruszył ramionami. - No, wiesz.

- Tak, wiem.

- Ciężko się będzie przyzwyczaić, że go nie ma.

- Na pewno.

- Taa, ciężko będzie. - Andrew pociągnął łyk piwa. - Mówię ci.

- Kiedy dostałem od Irene wiadomość, że stało się coś strasznego, przez chwilę pomyślałem... - Nick urwał z wahaniami.

- O czym pomyślałeś?

- Że chodzi o ciebie.

- O mnie?

- No, wybiegłeś z Trennor taki wzburzony...

- Pomyślałeś, że wrócę do domu i powieszę się na belce w stodole?

- Niezupełnie, ale...

- Zdenerwowałem się, Nick. Przyznaję. Ale to nic nowego, nie? Tato dokuczał mi od lat. - Andrew odwrócił wzrok, jak gdyby na chwilę opadły go wspomnienia dawnych czasów.

- Nowe jest to, że już ci więcej nie będzie dokuczał.

- Rzeczywiście, nie będzie. - Andrew zaśmiał się gorzko. - I wiesz co? Brakuje mi tego.

- Mnie też.

- Tak. - Andrew ponownie spojrzął na brata. - Trudno byłoby to komuś wytłumaczyć, nie?

- Owszem.

- Dlatego nie powinniśmy puszczać pary z ust na temat wczorajszej awantury, na wypadek gdyby policja zaczęła węszyć. Wystarczy słówko o rodzinnej kłótni - albo pieniądzech Tantrisa - i zaraz całe towarzystwo zacznie się zastanawiać, czy... - Ściszył głos, lecz niepotrzebnie, ponieważ w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. - Upadł czy został popchnięty?

- Nikt się nie będzie nad tym zastanawiał, Andrew. - Ale mówiąc to, Nick wcale nie był przekonany, czy ma rację. Postronnemu obserwatorowi, poinformowanemu o sytuacji, mogłaby przyjść na myśl taka możliwość. - Boże, chyba nie sądzisz, że mogliby podejrzewać coś takiego?

- Nie, jeżeli nie damy im powodów. Słuchaj, na pewno przyjmujemy ofertę Tantrisa, ale musimy trochę odczekać. Trzeba poświadczyć autentyczność testamentu taty i tak dalej. Jeszcze dochodzenie. Lepiej się z niczym nie spieszyć.

- Z tego, co mówisz, wynika, że faktycznie lepiej nie.

- Otóż to. Tantris nigdzie nie ucieknie. Musimy poczekać na właściwy moment. - Andrew zamyślił się, utkwivszy wzrok w szklance. - Tato miał rację. Okropnie by się czuł w domu starców, choćby najbardziej luksusowo urządzonej. A tak odszedł szybko i może nawet nie cierpiał. Pewnego dnia uznamy, że... no, lepiej się nie mogło stać. - Zerknął na Nicka. - Jak myślisz?

Andrew zaparkował na jednej z ulic prowadzących od Citadel Road w stronę Hoe. Kiedy wyszli z Yard Arm, Nick odprowadził go do samochodu. Zerwał się zimny wiatr, rozpędzając gęstą mżawkę i ukazując skrawek rozgwieżdżonego nieba, który wychynał spomiędzy gęstych chmur nad cieśniną.

- Mam nadzieję, że Tom przyjedzie na pogrzeb - powiedział Andrew, gdy zbliżali się do land-rovera.

- Na pewno.

- Ale tylko wtedy, gdy uda mi się z nim skontaktować. Na razie rozmawiałem jedynie z jego automatyczną sekretarką. Mógłbym zapytać Kate, czy ma numer jego komórki, ale... wolałbym nie.

- Nie powiesz jej o śmierci taty? Kiedyś byli ze sobą w dobrych stosunkach.

- Pewnie będę musiał. Jezu, myślisz, że będzie chciała przyjechać?

- Nie wiem.

- Chyba nie mogę jej zabronić. Pod warunkiem że nie weźmie ze sobą tego nadętego drania Mawsona. Żony, dzieci i nowi mężowie byłych żon. Słowo daję, masz szczęście, Nick, że nie wiesz, co to wszystko znaczy.

- Dobrze mi z tym.

- No jasne. - Stanęli przed samochodem. Andrew otworzył drzwi, wsiadł, odkręcił okno i uruchomił silnik, który zacharczał, wyrzucając w zimne powietrze kłęb spalin. - To do zobaczenia. Niedługo... - Nagle zatrzymał na czymś wzrok. Wskazał przez szybę na kartkę wetkniętą za wycieraczkę. - Cholerne ulotki. Zabierz to, Nick, dobra?

Nick wyciągnął śmieć spod pióra wycieraczki. Zanim jednak zdążył obejrzeć reklamówkę, Andrew wrzucił ze zgrzytem bieg, ruszył i przekrzykując ryk silnika, życzył mu dobrej nocy. Nick pomachał mu od niechcienia, odprowadzając wzrokiem land-rover, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Dopiero wtedy podszedł pod najbliższą latarnię, która rzuciła żółte światło, i spojrzął na to, co trzymał w ręku: za-
klejoną białą kopertę ze śladami wilgoci. Rozerwał ją,

wyciągnął zawartość i zobaczył, że to kartka z kondolencjami. Obok rysunku świecy widniał sporządzony gotykiem napis „Z wyrazami współczucia”. Otworzył kartkę i ujrzał wydrukowany tekst „W tej smutnej chwili łączę się z Tobą w myślach”. Ale nie było podpisu. Żadnego nazwiska. Żadnej wiadomości. Kondolencje były zupełnie anonimowe.

Im dłużej Nick rozmyślał o tajemniczej kartce, tym bardziej go niepokoiła. Nie mógł o niej zapomnieć, jadąc tego wieczoru do Old Ferry i ciesząc się w duchu, że wracają z Irene osobnymi samochodami. Nie chciał mówić siostrze o kondolencjach z tej prostej przyczyny, że nie potrafił odnaleźć w tym sensu. Nikt w okolicy Citadel Road nie znał Andrew, nie mówiąc już o jego land-roverze. Gdyby ktoś wrzucił kartkę do skrzynki na listy w mieszkaniu Anny, byłoby to równie niewytłumaczalne. A tak wszystko wskazywało na to, że wiadomość była przeznaczona tylko dla Andrew - z powodów, których Nick nawet nie próbował odgadnąć.

Tego wieczoru pub był zamknięty. Kiedy Nick zwalniał przed skrętem w podwórko, słaby blask reflektorów auta oświetlił wywieszkę na drzwiach, na której Irene przeproszała klientów, usprawiedliwiając się żałobą w rodzinie.

Wszedł tylnymi drzwiami, które Irene z myślą o nim zostawiła otwarte, przeciął ciemny bar i z torbą wspiał się na górę. Kiedy pokonał schody, w salonie ucichły nadawane w telewizji wiadomości i zza otwartych drzwi rozległ się głos Irene:

- To ty, Nick?
- A któż by inny?
- Wypijesz ze mną jednego na dobranoc?
- Aha.

Irene wyszła z mieszkania Anny mniej więcej godzinę przed Nickiem. Wyglądało na to, że od tego czasu popija.

Ciepło z piecyka gazowego wypełniało pokój wonią whisky. Nick nalał sobie odrobinę i usiadł naprzeciw siostry, zauważając wzbierające w jej oczach łzy.

- Trudna chwila, co, siostrzyczko? Trudna i smutna.

- Wydaje mi się, że było gorzej, kiedy umarła mama. - Irene otarła palcami łzy i pociągnęła nosem. - Teraz to przede wszystkim szok.

- Przed śmiercią mamy mieliśmy sygnały ostrzegawcze.

- Aż za dużo.

- Nie lepiej, kiedy nie ma żadnych?

- Czy ja wiem. Może.

- Powiedzieli ci... kiedy dokładnie zmarł ich zdaniem?

- Chyba jakieś dziesięć godzin przedtem, nim Pru go znalazła. Czyli wczoraj późnym wieczorem.

- I leżał u stóp schodów do piwnicy?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Może zszedł po butelkę dobrego bordeaux, żeby uczcić klęskę dzieci. - Po jej policzkach spłynęły nowe łzy, które osuszyła chusteczką.

- Miał przy sobie butelkę?

- Słucham?

- Niósł butelkę, kiedy upadł? Bo po co w ogóle by schodził?

Irene zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Nikt o tym nie wspominał. Może nie zdążył po nią zejść.

- Musiał, jeżeli upadł, wychodząc. Dlaczego miałby wychodzić z pustymi rękami?

- Skąd wiesz, że upadł, kiedy wychodził z piwnicy?

- Ponieważ miał ranę z tyłu głowy. Sama mówiłaś.

- Tak, ale... - Nieobecne oczy Irene nagle spojrzały na niego uważniej. - Do czego zmierzasz?

- Do niczego. Po prostu... próbuję zrozumieć, co się stało.

- To, że się pośliznął albo potknął... i upadł. Co za różnica, czy schodził czy wchodził?

- Pewnie żadna. Tylko że... - Nick pociągnął łyczek

whisky. - Andrew uważa, że w rozmowach z policją nie powinniśmy wspominać o ofercie Tantrisa.

- Przecież to nie ich sprawa.

- Otóż to. Ale gdyby to wywęszyli, cóż... mogliby skojarzyć jedno z drugim i dojść do fałszywych wniosków. Tak jak mówił Basil, płacą im za to, żeby byli podejrzliwi.

- Bzdura. Mają na głowie za dużo prawdziwych zbrodni, żeby tracić czas na jakieś wymaginowane przestępstwa.

- Musimy wierzyć, że masz rację.

- Oczywiście, że mam.

- Dobrze już, dobrze. - Nick upił jeszcze trochę whisky i uśmiechnął się uspokajająco. - Też pewnie jeszcze się nie otrząsnąłem z szoku.

- Pewnie nie. - Irene popatrzyła na niego z czułością, a jej gniew uleciał równie szybko, jak wybuchł. Pochyliła się i pogłaskała go po rękę, którą trzymał na kolanie. - Nie chciałam być niemila. Zamiast się kłócić, powinniśmy sobie teraz pomagać.

- Masz rację. Przepraszam.

- Ja też.

- Rozmawiałaś z Laurą?

- Tak. Przyjeżdża w weekend. W szkole bardzo chętnie się zgodzili, żeby wyjechała wcześniej, ale nie rozumiem dlaczego. Dobrze by było załatwić wszystkie formalności, zanim się zjawi.

- Będzie potrzebowała swojego pokoju. Wyniosę się.

- Dokąd?

- Chyba do hotelu.

- Nie byłoby sensowniej zatrzymać się w Trennor?

Oczywiście, że tak. Nick nie mógł zaprzeczyć, choć perspektywa wprowadzenia się do domu przejmowała go grozą, której przyczyn wolał nie analizować.

- Zresztą dobrze by było, gdyby któreś z nas tam zamieszkało, choćby na krótko. Żeby dom nie wydawał się zupełnie opuszczony.

Nick postanowił nie kwestionować sentymentu siostry do kupy granitu zlepionego zaprawą.

- Czyli postanowione - rzekł, po czym dokończył whisky.

Tej nocy Nick nie spał zbyt dobrze. Cieszył się, że w odpowiednim momencie wycofał się z rozmowy z Irene. Nie wiadomo, jak by zareagowała, gdyby kontynuował swój logiczny wywód. Ojciec zginął w wyniku upadku, którego powodem według Irene było poślizgnięcie lub potknięcie, co niewątpliwie mogło się przydarzyć, zważywszy na jego niepewny chód. Oczywiście, równie dobrze ktoś mógł go popchnąć. Przynajmniej teoretycznie. Jeśli tak - teoretycznie - to kto mógłby go popchnąć? I dlaczego? Nick nie mógł zasnąć nie dlatego, że trudno mu było znaleźć odpowiedzi na te pytania. Robił, co mógł, aby ich nie znaleźć.

Nazajutrz rano, podczas przebieżki po Saltash, wyrzucił do mijanego kosza na śmieci podartą kartkę z kondolencjami.

Rozdział 6

Z Baskcombem umówili się na czwartą, aby pora spotkania nie kolidowała z godzinami otwarcia Old Ferry ani z pracą Anny w domu opieki. Nick był w pewnym sensie zadowolony z przesunięcia spotkania z adwokatem, gdyż dzięki temu miał okazję dowiedzieć się czegoś od jedynej osoby, która miała informacje z pierwszej ręki na temat okoliczności śmierci ojca.

Kiedy Irene przed lunchem otworzyła pub, wymknął się i pojechał na północ, kierując się w stronę Landulph. Wiedział, że do Trennor ma wstęp wzbroniony. Ale nie do domku Pru Curnow. A staruszka nie słynęła z małomówności.

Deszcz padał już od świtu. Po obu stronach głównej ulicy Cargreen, biegnącej łagodnym zboczem, utworzyły się rwące strumienie. Studzienki ściekowe zmieniły się w małe gejzery, a rynny w wodospady. Na ulicy nie było nikogo, czemu Nick wcale się nie dziwił. Właściwie cieszył się z pogody, ponieważ wzrastało prawdopodobieństwo, że zastanie Pru w domu.

Zaparkował jak najbliżej drzwi wiejskiego domku, lecz mimo to po sprincie w deszczu przemókł do nitki. Domek nie miał też niczego, co dałoby się nazwać gankiem. Na szczęście jednak Pru zareagowała błyskawicznie, gdy Nick szarpnął za sznurek dzwonka.

- Nicholas - zdumiała się głośno, spoglądając na niego przez okulary, w których jej oczy wyglądały, jak gdyby należały do ogromnej ryby głębinowej. - Co za miła niespodzianka. Lepiej wejdź, zanim się utopisz.

Drzwi frontowe prowadziły prosto do salonu zagraconego taką masą bibelotów, że można by było w nim zorganizować giełdę staroci. Nick zdążył już zapomnieć, że dom jest taki mały. Podobnie jak jego właścicielka. Drobną Pru Curnow dreptała przed nim ubrana w kwiecistą podomkę. Siwe włosy miała ufarbowane na niebiesko i świeżo zaondulowane. Biały terier szkocki zaczął z przejęciem ujadać ze swego stanowiska przy telewizorze, łypiąc na Nicka oczami w siwych obwódkach.

- Tak mi przykro z powodu twojego ojca, Nicholasie. Nie ma co ukrywać, to straszny szok.

- Nie wątpię.

- Napijesz się herbaty? A może sherry? Teraz pijam kieliszeczek od czasu do czasu. Wczoraj musiałam wypić kilka.

- Niech będzie sherry. Dziękuję.

Pru otworzyła szafkę narożną i zaczęła z brzękiem grzebać w jej zawartości, wywołując hałasem kolejne ujadanie psa.

- Cicho bądź, Finlay, dobrze?

Prośba odniosła pewien skutek. Finlay szczechnął jeszcze parę razy i umilkł, gdy tymczasem Pru naląła do kieliszków bristol cream.

- Za duszę twojego ojca - powiedziała, pociągając solidny łyk. - Niech spoczywa w pokoju.

Usiedli po obu stronach piecyka elektrycznego, którego rozszarżona kratka wydzielala nieznośnie intensywne, choć skupione w wąską wiązkę ciepło. Finlay pokręcił się chwilę między ich nogami, by w końcu położyć się na dywaniku.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za wszystko, co zrobiłaś, Pru - rzekł Nick. - Nie tylko wczoraj. Opieka nad tatą pewnie nie zawsze była łatwa.

- Ano nie zawsze. Kiedy umarła twoja matka, miałam zamiar zostawić go w spokoju, bo nie miał, jak to mówicie, zgodnej natury. Ale potem się okazało... że jakoś nam się układało. - Upiła sherry. - Będzie mi go brakować. Nawet jego humorów.

- Wszystkim nam będzie go brakować.

- Ustaliliście datę pogrzebu?

- Prawdopodobnie przyszedł poniedziałek. Damy ci znać, kiedy termin zostanie potwierdzony. Są jeszcze pewne... komplikacje. Sekcja i tak dalej.

- Oczywiście, trzeba zrobić sekcję. Doskonale to rozumiem. Chociaż nie mogę pojąć, dlaczego nie wolno mi pojechać do Trennor i posprzątać.

- To nie potrwa długo, Pru. Jeszcze dziś będziemy się widzieć z panem Baskcombem. On to załatwi.

- Mam nadzieję. Po waszym niedzielnym przyjęciu będzie pewnie sporo roboty.

- Nie musisz się o nic martwić.

- A kto inny ma się martwić? Mam nadzieję, że nadal będziecie chcieli, żebym dbała o takie sprawy. W każdym razie dopóki dom będzie wasz.

- Oczywiście, oczywiście. Jeśli tylko sobie życzysz.

- Tylko tyle mogę zrobić, Nicholasie. Twoja matka była dla mnie bardzo dobra. Na pewno by chciała, żebym miała oko na dom.

- A więc mogłabyś tam wrócić? Po tym, co się wczoraj rano stało?

- Boże mój, tak. Sama stoję nad grobem i śmierć mi niestrasza. Gdyby twój ojciec powrócił pod postacią ducha, miałabym okazję powiedzieć mu do słuchu, bez strachu, że wyrzuci mnie z pracy. - Roześmiała się, a Nick jej zawtórował. Po chwili zamilkła. - Ale powiadam ci, to nie był widok dla wrażliwych.

- Jak go... to znaczy...

- Jak go znalazłam? Cóż, otworzyłam sobie jak zwykle około dziesiątej. W domu ani widu, ani słyhu. Pomyślałam, że pewnie wyszedł na spacer czy coś, chociaż pogoda nie

bardzo sprzyjała przechadzkom, a auto stało w garażu. Potem zobaczyłam, że drzwi do piwnicy są otwarte i pali się światło na dole. Zajrzałam i go zobaczyłam. Leżał na wznak pod schodami. Od razu wiedziałam, że nie żyje, bo tak dziwnie leżał. Pomyślałam, że skręcił kark, chociaż ten młody policjant, z którym wczoraj rozmawiałam, podejrzewał pęknięcie z tyłu głowy. Tego oczywiście nie widziałam.

- Biedny tato.

- Biedny. Wystarczy się pośliznąć, a w naszym wieku, to znaczy jego i moim, powiadam ci, bardzo łatwo się pośliznąć. Przecież kilka tygodni temu upadł. To powinno być dla niego ostrzeżenie.

- Tato nie bardzo zważał na ostrzeżenia.

- Ano nie. - Pru odstawiła kieliszek, wpatrując się w niego w zamyśleniu. - W ciągu kilku ostatnich lat zaczął za bardzo gustować w trunkach, co na pewno mu nie pomogło.

- Domyślam się.

- Przypuszczam, że właśnie dlatego zszedł do piwnicy. Po jedno ze swoich wybornych win.

- Miał przy sobie butelkę?

- Proszę? - Pru zmarszczyła brwi.

- Jeśli zszedł po butelkę, musiał ją mieć w ręce, gdy wychodził, prawda? Pewnie się roztrzaskała, kiedy upadł.

- Nie było tam roztrzaskanej butelki.

- Nie?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej. Czy to ważne?

- Nie sądzę - skłamał Nick, w głębi duszy przekonany, że to na pewno bardzo ważne.

- Nicholasie, nie obraż się, ale jeżeli chodzi o alkohol...

- Słucham, Pru.

- Naprawdę, nie wypada mi mówić o takich rzeczach.

- Śmiało, byłbym wdzięczny, gdybyś się ze mną podzieliła swoimi uwagami.

- Cóż, nie da się ukryć, że ostatnio pił jeszcze więcej. Dużo więcej.

- Naprawdę?

- Och, tak. Kto ma wiedzieć, jeśli nie ja? Nie miał zwyczaju wyrzucać po sobie butelek.

Nick uśmiechnął się do niej.

- Sądzę, że nie.

- Tłumaczyłam sobie, że to przez ten cały kram ze sprzedażą domu.

- Ach, a więc wiesz?

- Nie mogłam nie wiedzieć. Tak się złożyło, że byłam w Trennor, kiedy przyszła panna Hartley i chyba od tego wszystko się zaczęło. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, o czym rozmawiają. Miałam swoje zajęcia. Ale później twój ojciec powiedział mi o ofercie. Prosto z mostu. Uznał, że mam prawo wiedzieć, bo gdyby doszło do sprzedaży, zostałabym bez pracy.

- Posłuchaj, Pru, wszyscy zadbamy ...

- Och, mną się nie martwicie, Nicholasie. Skoro ktoś proponuje wam uczciwą cenę za dom - a z tego, co mówi twoja siostra, wynika, że to więcej niż uczciwa cena - nie ma się nad czym zastanawiać. I tak powinnam już pomyśleć o odpoczynku. Nie mam pojęcia, dlaczego twój ojciec stawiał taki opór. Chociaż wydaje mi się, że nie bardzo ufał pannie Hartley. Tak. I nawet rozumiem dlaczego. Było w niej coś... coś dziwnego.

- Co takiego?

- Na przykład to, że wspomniała o tobie.

- O mnie?

- Kiedy złożyła wizytę w Trennor.

- Wspomniała o mnie - wymieniając z imienia?

- Kiedy wychodziła. Usłyszałam z kuchni, jak rozmawiają przy drzwiach. Panna Hartley powiedziała: „Jest pan ojcem Nicholas Paleologusa?”. Tak jakby cię znała.

- Ale nie znała.

- Zgadza się, nie znała. Bo kiedy twój ojciec przytaknął i spytał, czy cię zna, powiedziała: „Nie, ale słyszałam o nim”.

Dziwaczne, pomyślałam sobie. Bardzo dziwaczne.

- A co pomyślał ojciec?

- Zapytał ją, co ma na myśli, ale ona powiedziała tylko: „To nie ma znaczenia”, i szybko wyszła. Pewnie to rzeczywiście nie ma znaczenia, jeśli się nad tym zastanowić.

- Zapewne - skłamał po raz drugi tego ranka Nick. Owszem, to miało znaczenie. Ogromne.

Jedząc samotnie lunch w Spaniards, położonym nad brzegiem rzeki pubie w Cargreen, Nick uświadomił sobie, że ma bardzo dużo do przemyślenia. Paskudna pogoda odstraszyła większość potencjalnych klientów, dlatego miał prawie cały bar dla siebie. Siedział przy kominku, słuchając bębniącego w szyby deszczu i zastanawiając się, o co tu właściwie chodzi. Gdzie Elspeth Hartley mogła o nim słyszeć? On w każdym razie na pewno nigdy o niej nie słyszał. Przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź, w którą gorąco pragnął nie wierzyć. Jedyne sposob, aby się przekonać, czy może ją wykluczyć, polegał...

Nick drgnął zaskoczony, bo nagle zabrzączał jego telefon komórkowy. Ogarnęło go jednak jeszcze większe zaskoczenie, gdy wyciągnął aparat i nacisnął guzik.

- Halo?

- Nick? Tu Elspeth Hartley.

- Elspeth. - Serce zamarło w nim na moment. - Cześć.

- Właśnie rozmawiałam z Irene. Naprawdę zmartwiła mnie wiadomość o twoim ojcu. To musiał być wielki szok.

- Rzeczywiście.

- Przyjmij, proszę, moje kondolencje.

Zabrzmiało to nieco staroświecko, wzbudzając w Nicku ulotne podejrzenie, że Elspeth mogła już złożyć kondolencje - anonimowo.

- Dziękuję.

- Nie przeszkadzam?
- Nie.
- To dobrze. Zadzwoiłam do Irene, żeby ją spytać, czy w ciągu weekendu udało ci się nakłonić ojca do zmiany zdania. Nie spodziewałam się... to naprawdę straszne.
- Tak.
- Irene niewiele mi mogła powiedzieć. Miała duży ruch w pubie. Zaproponowała, żebym zadzwoniła do ciebie i zapytała... co właściwie mamy teraz począć.
- Otóż my - powiedział Nick, akcentując drugie słowo - zamierzamy spotkać się z naszym adwokatem. Potem pójdziemy na pogrzeb ojca.
- Przepraszam. Oczywiście. Chciałam...
- Wiesz co? Może zobaczymy się dzisiaj, kiedy adwokat powie, co ma nam do powiedzenia. Wtedy, mam nadzieję, odpowiem na twoje pytania.
- Świetnie. Doskonale. - Słyszac zmieniony ton jego głosu, wyraźnie odetchnęła z ulgą. - W Plymouth?
- Jeśli właśnie tam jesteś.
- Tak, jestem. O której godzinie mógłbyś?
- O szóstej.
- Dobrze. Gdzie chcesz się spotkać?
- Wybór zostawiam tobie.
- W porządku. Znasz Compton? To pub w Mannamead.
- Szczerze mówiąc, nie znam. Ale nie przejmuj się, znajde.
- A więc do szóstej.
- Tak. Do szóstej.

Firma Baskcomb i S-ka dzieliła z przychodnią stomatologiczną georgiański dom szeregowy w Crescent, na zachodnich obrzeżach centrum miasta. Maurice Baskcomb, adwokat Michaela Paleologusa, był wnukiem założyciela kancelarii. Z obliczeń Nicka wynikało, że przekroczył już sześćdziesiątkę, ale wyglądał najwyżej na pięćdziesiąt pięć lat - tak

samo zresztą wyglądał, gdy miał czterdzieści kilka. Rumiany, mocno łysiejący, prostolinijny prawnik cenił oszczędność oraz skuteczność działania i przyciągał do siebie ludzi o podobnych poglądach.

W pejzażu wyobraźni Baskcomba nie było miejsca na eleganckie wnętrza i szykowne stroje. Przyjął rodzeństwo Paleologusów w gradami z krzywym sufitem służącej mu za biuro, ubrany w garnitur, który pamiętał lepsze czasy, choć tak odległe, że wszyscy zdążyli już chyba o nich zapomnieć. Zebranie tylu krzeseł, by wystarczyło dla wszystkich, musiało doprowadzić do wyczerpania zasobów meblowych kancelarii. Wyrazy współczucia, jakie złożył im Baskcomb, nie wykraczały poza zdawkową formułkę. Nick pamiętał jednak, że wynika to z natury adwokata. Zapewne Michael Paleologus skwapliwie pochwaliby taką postawę. Maurice Baskcomb nie uganiał się ani za klientami, ani za spółdniczkami.

- Zgodnie z prośbą, pani Viner, skontaktowałem się z policją i koronerem - oznajmił, zwracając się do Irene. - Zapewne z ulgą przyjmie pani wiadomość, że śmierć państwa ojca nie budzi podejrzeń. Sekcja nie dała żadnych powodów do niepokoju, a ciało przekazano już do zakładu pogrzebowego. Jutro koroner wystawi zaświadczenie wydania zwłok, tak więc będą państwo mogli od razu przystąpić do przygotowania uroczystości pogrzebowych.

- Ale mimo to trzeba będzie przeprowadzić dochodzenie?
- spytał Andrew.

- Owszem, panie Paleologus, w stosownym czasie. Będzie to jednak czysta formalność. Jediną konsekwencją może być opóźnienie przepisania na państwa nieruchomości ojca.

- Jakie może być opóźnienie?

- To zależy od terminów koronera.

- Bratu chodzi - zaczęła Irene - jak zapewne panu wiadomo...

- O ofertę kupna Trennor. - Baskcomb uraczył ich uśmiechem, jakim błogosławił klientów, gdy interesowały

ich głównie pieniądze. - Doskonale rozumiem, proszę pani. Ale prawo trudno popędzać. Proszę mi wierzyć, wiem z doświadczenia. Testament państwa ojca stanowi jasno, że spadek otrzymują w równej części wszyscy państwo, natomiast wykonawcami testamentu, jak zapewne państwu wiadomo, zostają dwaj synowie i ja. Przypuszczam, że sytuacja finansowa ojca nie jest skomplikowana. Majątek zasadniczo obejmuje Trennor - nieruchomości, która nie stanowi zabezpieczenia żadnej pożyczki, z czystą hipoteką - oraz skromne oszczędności. Nie przewiduję żadnych trudności. Gdyby się jednak pojawiły, minie kilka miesięcy, zanim uzyskamy potwierdzenie autentyczności testamentu. Przy założeniu, że koroner będzie działał nadzwyczaj sprawnie, co... - Uśmiechnął się nieco drwiąco. - Co nie zawsze jest regułą.

- Przypuszczam, że nic się nie da na to poradzić - powiedziała Irene.

- To znaczy, że musimy czekać ze sprzedażą domu co najmniej kilka miesięcy? - spytała jak zwykle rzeczowo Anna.

- Formalnie rzecz biorąc, tak, panno Paleologus - odparł Baskcomb. - Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by zawrzeć tymczasową umowę sprzedaży, o której mogę porozmawiać z adwokatem nabywcy, jeśli wyrażą państwo takie życzenie. Porozumienie takie weszłoby w życie z chwilą uzyskania tytułu własności. Oczywiście wszyscy państwo musieliby być stroną w umowie. Jestem pewien, że zdają sobie z tego państwo sprawę.

- Tak - odrzekła Irene. - Naturalnie.

- Cóż, przed podjęciem decyzji zapewne zechcą się państwo naradzić. Proszę dać mi znać.

- Na pewno.

- Dobrze. Na koniec chciałbym jeszcze poinformować, że powinni państwo dostarczyć mi wszelkie dokumenty finansowe ojca. Wyciągi bankowe, książeczki czekowe, certyfikaty oszczędnościowe, świadectwa udziałowe, wezwania do zapłaty

podatku i tak dalej. Im szybciej będę dysponował szczegółowymi danymi, tym szybciej sfinalizuję sprawę. Aby to umożliwić... - Baskcomb poszperał w szufladzie biurka. - Policja prosiła, abym to państwu przekazał. - Położył na podkładce pęk kluczy.

Były to klucze do Trennor. Nick poznał je od razu po przyczepionym do kółka mosiężnym gwizdkiem, który jego dziadek jako młody oficer nosił w kieszeni podczas pierwszej wojny światowej. W stosownym czasie jeden z nich, prawdopodobnie Andrew, weźmie gwizdek i zawiesi na swoich kluczach. Potem pewnego dnia odziedziczy go Tom i zapewne także będzie nosił przy sobie. Zmieniają się klucze i drzwi, które będzie można nimi otworzyć. Ale gwizdek pozostanie. Nick odnalazł w tej myśli otuchę. Tak, gwizdek najprawdopodobniej ocaleje. Coś zawsze musi ocaleć.

Po zakończeniu spotkania przenieśli się do mieszkania Anny. Rozmowę zdominowały kwestie praktyczne: pogrzeb, dom, dokumenty, o które prosił Baskcomb. Uzgodniono, że nazajutrz rano Nick, Irene i Basil pojedą do Trennor przejrzeć papiery ojca. W sprawie oferty Tantrisa wyraźnie panowała jednomyślność. Gdy tylko odbędzie się pogrzeb, poproszą Baskcomba, żeby rozpoczął rozmowy z adwokatem Tantrisa na temat tymczasowej umowy sprzedaży.

Nick wyczuł jednak ukrytą różnicę zdań, choć nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Andrew uważał, że w zaistniałej sytuacji da się wytargować wyższą cenę. Annę łatwo można było do tego przekonać. Irene była zbyt uczciwa, by zmieniać coś, co już praktycznie wcześniej uzgodnili. Natomiast Basil potępiłby pomysł jako nieetyczny, a może nawet niemoralny. Wówczas Nick musiałby się opowiedzieć po jednej lub drugiej stronie i bał się chwili, kiedy go o to poproszą.

Na szczęście ta chwila miała nadejść nieprędko. Znacznie mniej czasu dzieliło go od umówionego spotkania z Elspeth, które coraz bardziej zaprzątało jego uwagę. Wiedział, że

powinien poinformować o nim rodzeństwo, lecz coś go powstrzymywało. Okazało się jednak, że będzie zmuszony powiedzieć.

- Trzeba coś powiedzieć pannie Hartley - zauważyła Irene.

- Coś, byle nie za dużo - podkreślił Andrew.

- Nick, dzwoniła do ciebie po rozmowie ze mną? - spytała Irene.

- Hm, tak. Właściwie... umówiłem się z nią za... - Nick zerknął na zegarek. - Za jakieś pół godziny.

- Mógłbyś przynajmniej coś powiedzieć - mruknął ponuro Andrew.

- Owszem - podchwyciła Anna. - Mógłbyś.

- Miałem zamiar. Po prostu... - Uśmiechnął się. - Czekalem, aż dojdziemy do porozumienia, co mam jej powiedzieć.

- A doszliśmy? - zapytał niewinnie Basil.

- Mówić jak najmniej, tak? - Nick powiódł spojrzeniem po wszystkich i zobaczył głowy potakująco kiwające, choć z niejednakowym zdecydowaniem. - Tak właśnie zrobię. Właściwie postaram się tylko słuchać.

Gdy Nick dotarł do Compton, nadal padało. Była to szczególnie mokra odmiana deszczu, typowa dla wieczoru w Plymouth, której towarzyszył przenikliwy wiatr. Pubu nie wypełniała liczna klientela. Właściwie gdyby nie Nick i Elspeth, która już na niego czekała, lokal byłby pusty.

Nie mogła tu siedzieć zbyt długo, choć zdążyła już w jednej trzeciej opróżnić duże piwo. Nick zamówił małe i zajął miejsce naprzeciw niej przy stoliku pod oknem. Elspeth powtórzyła kondolencje, które złożyła mu już wcześniej przez telefon.

- Irene mówiła, że upadł. Zgadza się? Twój ojciec spadł ze schodów, tak?

- Właściwie ze stopni w piwnicy.

- I co, uderzył się w głowę?

- Na to wygląda.
- Straszne.
- Tak. Ale można się tego było spodziewać, zważywszy na fakt, że ostatnio bardzo niepewnie się poruszał. Przynajmniej wszystko szybko się rozegrało.

- Bardzo szybko.

W głosie Elspeth zabrzmiała jakaś dziwna nutka, jakby Nick już ją kiedyś słyszał. Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- Słucham?

- Bardzo szybko. Jak sam powiedziałeś.

- Oczywiście przeżyliśmy szok. W niedzielę ojciec wydał się pełen życia.

- Jak się udało przyjęcie?

- Niespecjalnie. Tato... nie podzielił naszego punktu widzenia.

- Tego się obawiałam.

- Zresztą teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Nie. Nick, musisz jednak wiedzieć, że jeśli o mnie chodzi, szczerze wolałabym, żeby twój ojciec żył i żebyś miał okazję go przekonać. Nikt - nie wyłączając pana Tantrisa - nie zamierza się cieszyć z takiego obrotu spraw.

- Myślałem, że nigdy nie spotkałaś Tantrisa.

- Bo nie spotkałam. Ale o ile mi wiadomo...

- A ile ci wiadomo?

Elspeth przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym rzekła:

- Naprawdę mi przykro z powodu twojego ojca.

- Dziękuję.

- Coś nie tak?

- Nie jestem pewien.

- Co powiedział Baskcomb?

- Och, że wszystko jest jasne. Dom dziedziczymy wspólnie w piątkę. Zaraz po pogrzebie skontaktujemy Baskcomba z adwokatem Tantrisa.

- To dobrze. - Pociągnęła łyk piwa, patrząc na Nicka znad szklanki. - A więc czego nie jesteś pewien?

Nick uśmiechnął się z wahaniem.

- Ciebie.
- Mnie?
- Owszem.

Odstawiła szklankę i utkwiała w nim spojrzenie.

- Co masz na myśli?
- Czy przed naszym spotkaniem w sobotę widzieliśmy się kiedyś wcześniej?
- Nie. Oczywiście, że nie. Dobrze wiesz.
- Tak, wiem. Ale dlaczego w takim razie pytałaś o mnie ojca? Wymieniłaś nawet moje imię.
- Och, wspomniał ci o tym, tak? - Elspeth odwróciła oczy zmieszana, wpatrując się w środek blatu. - Nie wiem dlaczego, ale sądziłam, że ci nie powie.
- Miałas rację. Waszą rozmowę podsłuchiwała Pru, gospośia. Ona mi powiedziała.
- Nie powinnam go w ogóle pytać. - Przeczesała dłonią włosy. - Zrobiłam to pod wpływem impulsu.
- Jakiego impulsu?
- Chyba nie uda mi się wykręcić, co?
- Nie sądzę.
- Pewnie i tak znasz odpowiedź.
- Nie.
- Byłam tam wtedy, Nick. W Cambridge, na uroczystej promocji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym.
- Uśmiechnęła się. - Nie poznałabym cię teraz, ale nazwisko zapadło mi w pamięć.
- Byłaś tam?
- Pojechałam z mamą zobaczyć, jak mój brat odbiera dyplom. Oczywiście jest od ciebie o kilka lat starszy.
- Byłaś tam? - powtórzył tępo Nick.
- Niestety, tak.
- O, Boże.
- Nic takiego się nie stało.
- Stało się. Widzisz, bardzo się starałem o tym zapomnieć. Ze wszystkich sił. Przez długi czas.
- Przykro mi, że ci przypomniałam.
- Dzięki. Mnie też przykro, że mi przypomniałaś.

Było to powiedziane bardzo ogólnie. Nick, kiedyś z pomocą innych, a ostatnio starając się radzić sobie w pojedynkę, zbudował mur oddzielający go od dawnego życia - życia cudownego dziecka Nicholasa Paleologusa, geniusza, którego przyjęto na Cambridge, gdy miał szesnaście lat, wiele osiągnięć na koncie, a przed sobą ogromne perspektywy, ale który wzorem swego brata Basila nie dotrwał do końca studiów. Formalnie rzecz biorąc, skończył je - dzięki zaświadczeniu lekarskiemu o chorobie. Lecz władze uniwersytetu zapewne poważnie by się nad tym zastanowiły, gdyby wiedziały, że w dniu wręczenia dyplomów zjawi się w senacie, wedrze do budynku i w samym środku uroczystości rozbiere się na oczach wszystkich. Na szczęście Nick nie bardzo pamiętał, co robił tego dnia ani wiele dni przed tym wydarzeniem i po nim. Z wielomiesięcznej rozłąki z rzeczywistością i jeszcze dłuższego okresu, kiedy mozolnie odnawiał z nią znajomość, pozostały mu strzępki wspomnień: wyskakiwał z łodzi do wody niedaleko Grantchester, brnął do brzegu i szedł bez celu przez pola w stronę zachodzącego słońca. Nie znaczy to, że zupełnie wyzdrowiał. Podobnie jak niepijący alkoholik, wciąż nosił w sobie chorobę bez względu na to, ile czasu upłynęło od chwili, gdy go pokonała. Przypuszczał, że właśnie to sprawiło mu największy ból, kiedy Elspeth przypomniała tamto przykre wydarzenie.

- Co studiował twój brat? - spytał bez związku Nick, nie mając pewności, jak długo milczał.

- Ekonomię i prawo.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Kiedy to się stało - mówię o twoim wy-czynie w dniu promocji - pękałam ze śmiechu. Ubawiłam się jak nigdy. Wcześniej było nudno - gronostaje, procesje i tak dalej. Ale później, gdy przeczytałam artykuł o tobie w jakiejś gazecie...

- „Krach na Cambridge”?

- Nie pamiętam nagłówka.

- To dobrze. Ale tak właśnie brzmiał.
- Niech będzie. W każdym razie pomyślałam, że to smutne.
- Smutne i żałosne. Tak najtrafniej należałoby to ująć.
- Nick, co się wtedy stało?
- Nie przeczytałaś w gazetach?
- „Za młody, by mógł sobie poradzić ze stresem”. Napisałi coś takiego.
- I taka mniej więcej była prawda. Plus komplikacje związane z ukrytą socjopatią, według jednego z kilku psychiatrów, u których się leczyłem.
- Co to znaczy?
- Że nie najlepiej funkcjonuję w grupie. I że mój nadmierny rozwój intelektualny stanowił kamuflaż dla niedorozwoju emocjonalnego. Podobno. - Nick uśmiechnął się, czując jednak, że nie potrafi uwolnić się od dobrze znanego napięcia. - Albo można to określić słowami mojego ojca: po prostu stchórzyłem.
- A co się z tobą działo... potem?
- Szpital psychiatryczny. Wtedy opieka poza szpitalem dopiero rola się pani Thatcher. Na szczęście dla nas, uciśnionych socjopatów. Prawdę mówiąc, nie mnie powinnaś pytać, co się ze mną działo. Wyrażenie „stracić rozum” ma czasem dosłowne znaczenie.
- Ale w końcu doszedłeś do siebie.
- Na to wygląda.
- I co teraz robisz? Irene mówiła, że pracujesz w jakiejś organizacji pararządowej.
- English Partnerships. Wiesz, program odnowy miast i tak dalej.
- Gdzie to się mieści?
- W Milton Keynes. Zaspokoilem już twoją ciekawość?
- Podoba ci się u nich?
- Za wcześnie na oceny.
- Jak długo tam pracujesz?
- Osiem lat.

Elsbeth parsknęła śmiechem.

- Najwyraźniej socjopatia nie wyklucza poczucia humoru.

- Kto powiedział, że żartuję?

- W porządku. - Posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. - Zmieńmy temat. Dobrze znasz Stambuł?

- Nigdy tam nie byłem.

- Jak to, Paleologus nigdy nie był w Stambule?

- Tak się nazywam, nic więcej.

- Historia cię nie dotyczy?

- Staram się nie ulegać jej wpływom.

- Moim zdaniem to daremne wysiłki. Czy nam się to podoba, czy nie, historia jest częścią naszego życia. Pomyśl, co mnie tu sprowadziło, co skłoniło Tantrisa do złożenia oferty kupna Trennor. Siedzimy tu i rozmawiamy ze sobą przez historię.

- Historia to twój zawód, Elspeth. Dlatego dotyczy cię w sposób naturalny. I ma wpływ na twoją postawę wobec śmierci mojego ojca. Miło, że mi współczujesz, ale doskonale rozumiem, że nie możesz się doczekać rozpoczęcia poszukiwań okna Sądu Ostatecznego. Teraz zapewne zaczną się jeszcze szybciej.

- Nie dla mnie. Postanowiłam opuścić pokład.

- Co?

- Nie będę prowadzić żadnych poszukiwań w Trennor. Tantris będzie musiał poszukać sobie kogoś innego.

- Nie rozumiem.

- Przeprowadziłam badania, ale rezygnuję z bezpośredniego uczestnictwa. To wszystko.

- Dlaczego?

- Bo moją mocną stroną są badania i czeka mnie dużo pracy gdzie indziej. Moim zadaniem było dotarcie do faktów i próba przekonania twojego ojca. Pierwsze wykonałam. Drugie... niestety, stało się już nieaktualne. Twój adwokat może się porozumieć z adwokatem Tantrisa i zająć się resztą.

Ja wracam do Bristolu. Tilda pewnie się ucieszy. Chyba zaczęła się już zastanawiać, czy słusznie postąpiła, zapraszając mnie do siebie...

- Kim jest Tilda?

- To moja przyjaciółka jeszcze ze studenckich czasów. Jest kustoszem w muzeum w Plymouth. Zatrzymałam się u niej. Miałam zostać do końca tygodnia. Ale w tej sytuacji... Postanowiłam wyjechać wcześniej.

- To znaczy kiedy?

- Jutro. - Uśmiechnęła się do niego krzywo. - Tak więc pijemy strzeziennego. Masz ochotę na jeszcze jedną kolejkę?

Rozdział 7

Nick nie był pewien, co bardziej nim wstrząsnęło: fakt, że Elspeth wiedziała o jego załamaniu na Cambridge, czy jej nieoczekiwana utrata zainteresowania sprawami Tantrisa i rodziny Paleologusów. Powinien wypytać ją bardziej szczegółowo o jedno i drugie. Czy znał jej brata? Nie mógł sobie przypomnieć wśród studentów żadnego Hartleya, lecz wspomnienia z tamtych czasów były zbyt fragmentaryczne, by mógł na nich polegać. I dlaczego Elspeth przepuszczała okazję, by zdobyć naukowy prestiż, jakim z pewnością cieszyłby się odkrywca okna Sądu Ostatecznego? Nikogo nie będzie obchodziło, kto prowadził badania wstępne. Biorąc pod uwagę karierę zawodową, jej decyzja po prostu nie miała sensu.

Prawda była taka, że powstrzymał go wrodzony instynkt samozachowawczy. Im mniej mówił o swojej przeszłości, tym lepiej radził sobie z teraźniejszością. Nie chciał też drażnić tematu, czy Elspeth wycofuje się z powodów, które mogą mieć związek ze śmiercią ojca. Bał się wiedzieć za dużo, a równocześnie bał się wiedzieć za mało. Jeden lęk równoważył drugi. Była to jednak równowaga dość chwiejna.

Nick wspomniał o rychłym zniknięciu Elspeth z ich życia

dopiero wtedy, gdy Basil przyjechał z Plymouth autobusem, aby razem z nim i Irene poszukać w Trennor dokumentów ojca. Irene, choć nieco zdziwiona, nie przywiązywała do tego wagi.

- Wydaje mi się, że na dłuższą metę ta decyzja przyniesie jej więcej szkody niż pożytku, ale to chyba naprawdę nie nasza sprawa.

Natomiast Basil raczej nie zgadzał się ze zdaniem siostry.

- Wierzysz w to? - zapytał, gdy Nick przedstawił im powody, którymi Elspeth tłumaczyła swoją rezygnację z udziału w przedsięwzięciu. Na co Nick mógł jedynie odrzec:

- Dlaczego miałyby kłamać?

Rzeczywiście, dlaczego? Basil posłał mu spojrzenie starszego brata, a potem cicho odparł:

- Jednym z celów kłamstwa jest ukrycie jego motywów.

Chociaż Nick nie miał na to wcale ochoty, musiał się zgodzić z bratem.

Po wczorajszym deszczu niebo zaczęło się przecierać i tylko od czasu do czasu siąpiło. W Landulph zapanowała przyjemna wiosenna pogoda, a przez bulgot wody płynącej studzienkami do kanałów dał się słyszeć śpiew ptaków siedzących na nagich gałęziach drzew.

Mimo przyjemnego ciepła na dworze w Trennor panował wilgotny chłód. Dom przez kilka dni nie był ogrzewany, choć na pewno ktoś go odwiedzał: świadczyły o tym błotniste ślady policjantów i ludzi z przedsiębiorstwa pogrzebowego.

Nick, Basil i Irene stali u szczytu schodów, patrząc w głąb piwnicy, gdzie zginął ojciec. Nie dostrzegli żadnego szczegółu wskazującego dokładnie miejsce upadku. Przyćmiony blask zakurzonej sześćdziesięciowatowej żarówki oświetlał betonowe stopnie i drewnianą poręcz, odbijając się od szarej farby podłogi i szyjek spoczywających na półkach butelek bordeaux, które ojciec kupował, targując się o każdego pensa.

- Irene, jak się nazywał ten policjant, z którym rozmawiałaś? - zapytał Nick.

- Detektyw Wise. Pracuje w Crownhill.

- Może powinienem go spytać o tę butelkę.

- Jaką butelkę masz na myśli? - zapytał Basil.

- Tę, którą tato miał upuścić, kiedy upadł - powiedziała z westchnieniem Irene. - Nick uczepił się tej myśli jak rzep psiego ogona.

- Pru twierdzi, że nie było żadnej butelki.

- Detektyw Wise też o niej nie wspominał - odparła Irene. - Po co się więc upierasz?

- Bo tato zszedł tu po wino. To oczywiste. Nie jest za to oczywiste, dlaczego wychodził bez niego.

- Może zmienił zdanie - rzekł Basil. - Może usłyszał, że dzwoni telefon. Albo sobie o czymś przypomniał.

- Otóż to - powiedziała Irene. - Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś rozmawiał z detektywem Wise'em, Nick. Gdybyś zaczął kwestionować okoliczności wypadku, namieszalbyś mu tylko w głowie.

- Nie życzylibyśmy policji, żeby miała mętlik w głowie - mruknął Basil. - Taki stan często może się przerodzić w podejrliwość.

Irene zgromiła obu wzrokiem i powiedziała:

- Może zaczęlibyście szukać papierów dla Baskcomba, a ja tymczasem włączę ogrzewanie i zbiorę odkurzaczem chociaż część błota, którego nanieśli do domu. Mamy tu coś do zrobienia. Pamiętacie?

Nick i Basil zabrali się do pracy, lecz bez zbytniego entuzjazmu. Gabinet stanowił dla ojca sanktuarium, w którym szukał schronienia oraz oddawał się medytacji. Gdyby Michael zastał tu synów przetrząsających szuflady biurka i szafkę, dostałby ataku apopleksji. Jeśli apopleksja potrafiła porażać ludzi także po śmierci, Nick był przekonany, że ojciec właśnie pada jej ofiarą.

Już na samym początku trafili na przeszkodę: jedna z szuflad była zamknięta na klucz. W otwartych szufladach był

tylko papier, koperty i przybory do pisania, nie mieli więc wątpliwości, że muszą znaleźć klucz. Basil zaczął go szukać, gdy tymczasem Nick przeglądał zawartość szafki. Od razu wpadł mu w ręce plik wyciągów bankowych i rachunków. Wyciągnął je i odłożył na bok. Zorientował się, że pozostałe dokumenty w szafce to przeważnie korespondencja naukowa - listy do i od przeróżnych czasopism i instytucji archeologicznych na temat artykułów, które pisał starszek, oraz badań i ekspedycji, w których uczestniczył. Oczywiście większość już wiele lat temu straciła aktualność. Ale Michael Paleologus poświęcił zbyt dużą część życia na ratowanie przeszłości, by mógł się pozbyć archiwum własnej.

Był to jeden z powodów, dla których Nick szperał dalej. Poza dokumentami finansowymi szukał jeszcze czegoś i przypuszczał, że znajdzie. Właściwie powinien zajrzeć do komputera i sprawdzić pliki, lecz ojciec zaczął korzystać z osiągnięć nowoczesnej techniki stosunkowo niedawno, a przedmiot poszukiwań Nicka pochodził ze znacznie odleglejszych czasów. Poza tym Basil, szukając klucza, wyszedł z pokoju i Nick został na razie sam. Starając się unikać wzroku poprzedniego właściciela gabinetu, spoglądającego srogo z kilku zawieszonych na ścianach fotografii, kontynuował poszukiwania.

Wreszcie znalazł w dolnej szufladzie szafki wypchaną teczkę z szarego papieru ze swoim imieniem wypisanym wyblakłym czarnym flamastrem na skrzydełku. Dźwignął teczkę, położył na biurku i nie bez lęku przerzucił jej zawartość. Tak jak się obawiał, było tu wszystko: korespondencja z college'em oraz szpitalem, do którego trafił Nick - wszystkie listy z okresu jego załamania i pięciu lat dalszego leczenia. A także rachunki od psychiatry, opiewające na słone sumy.

Ale tej części dokumentacji finansowej Baskcomb nie musiał oglądać. Nick zamknął teczkę i pochylił się, kładąc dłonie na okładce i mocno zaciskając powieki, pod którymi zaczęły się przesuwać bolesne wspomnienia. Po chwili obrazy z przeszłości zniknęły. Kiedyś zdarzało mu się to bardzo

często i teraz zdał sobie sprawę, że zdołał już prawie zupełnie zapomnieć o tym przykrym doznaniu. Niemądrze było przypuszczać, że już nigdy się nie powtórzy. Po śmierci ojca wspomnienia na pewno będą wracać, nawet gdyby Elspeth nieumyślnie ich nie wywołała. Otworzył oczy i wysunął jedną z otwartych szuflad biurka, szukając dużej koperty, by włożyć do niej zawartość teczek. Zamierzał zabrać stąd papiery, aby nie trafiły w niepowołane ręce.

W pośpiechu szarpnął za mocno, wyciągając szufladę do oporu. Pod wpływem siły mnóstwo spinaczy, gumek, ołówków, okruchów tytoniu i przeróżnych kopert przesunęło się do przodu, ukazując puste wnętrze. Tylko że niezupełnie puste - Nick zauważył kawałek czarnej taśmy izolacyjnej przyklejonej do dna. Był tam ukryty jakiś przedmiot. Nick przejechał dłonią po małym wybrzuszeniu. Jego palce wyczuły kształt, którego nie sposób pomylić z innym: klucz.

Podważył taśmę paznokciem kciuka, wy dobył klucz i wsunął do zamka zamkniętej szuflady. Wystarczyło raz przekręcić. Nick wolno usiadł na wytartym skórzanym krześle obrotowym ojca i otworzył szufladę.

Wewnątrz znajdował się tylko jeden przedmiot: duża biała koperta opatrzona wykonanym ręką ojca napisem „Testament”. Nick wziął kopertę do ręki. Skrzydełko było zagięte do środka, lecz niezaklejone. Odchylił je i wysunął zawartość. Arkusz papieru. Nie miał wątpliwości, że to testament ojca. Ale nie ten złożony u Baskcomba. I opatrzony znacznie późniejszą datą.

Dokument został napisany odręcznie, był zwięzły, sformułowany prawniczym językiem i do głębi wstrząsający.

Ja, Michael Godfrey Paleologus, zamieszkały w Trennor w Landulph w Kornwalii, sporządzam niniejszy testament dnia piętnastego stycznia 2001 roku, unieważniając tym samym wszystkie moje poprzednie rozporządzenia testamentowe.

Jedynym wykonawcą mej ostatniej woli ustanawiam niniejszym mojego kuzyna, Demetriusa Andronicusa Paleologusa, zamieszkałego w Palazzo Falcetto, San Polo 3150 w Wenecji, we Włoszech. Mój dom, wymieniony wyżej Trennor w Landulph w Kornwalii, wraz z całym wyposażeniem, zapisuję na wyłączną własność wymienionemu wyżej Demetriusowi Andronicusowi Paleologusowi. Pozostałą część mojego majątku, ruchomego i nieruchomego, dziedziczyć mają w równych częściach moje dzieci.

Nick jak porażony wpatrywał się w rzędy słów. Zostały napisane ręką ojca. Nie było co do tego wątpliwości. Pod spodem widniał jego własnoręczny podpis. Testament podpisało również dwoje świadków.

Podpisane przez testatora w obecności nas obojga, którzy jako świadkowie niniejszego aktu, na prośbę testatora i w jego obecności składamy własnoręczne podpisy, poświadczając autentyczność niniejszego dokumentu. Frederick Davey, zamieszkały w Tintagel w Kornwalii, Butcher's Row 3, emerytowany pracownik kamieniołomu.

Margaret Davey, zamieszkała w Tintagel w Kornwalii, Butcher's Row 3, gospodyni domowa.

Nick nigdy nie słyszał o kuzynie Demetriusie ani o emerytowanym pracowniku kamieniołomu Fredzie Daveyu i jego żonie. Byli to dla niego zupełnie obcy ludzie. Ale jeden z tej trójki obcych, jeśli testament był ważny i autentyczny, na co wskazywały wszystkie znaki, stał się legalnym właścicielem Trennor.

- Być bez klucza w Trennor to niewiele lepiej niż być niewidomym w Gazie* - powiedział Basil, wchodząc do gabinetu.

* „Niewidomy w Gazie” - tytuł powieści Aldousa Huxleya (przyp. tłum.)

- Ale taki już nasz... - Urwał na widok znieruchomiałej sylwetki Nicka za biurkiem. - Coś się stało?

- Znalazłem klucz - rzekł Nick.

- Wspaniale.

- Zmienisz zdanie, kiedy to przeczytasz. - Podał mu testament.

Basil podszedł do biurka i wziął z rąk brata arkusz papieru. Kiedy czytał, słońce za oknem skryło się za chmurą i pokój zdawał się pograć w półmroku.

- Ojej - powiedział Basil, gdy skończył czytać.

- I co teraz? - zapytał Nick.

- Co teraz? - powtórzył Basil z uśmiechem. - Oczywiście spytamy Irene. - Szum odkurzacza dobiegał gdzieś z głębi domu. - Skoczę po nią.

Basil rzucił dokument na podkładkę na biurku i wybiegł z pokoju. Nick pozostał na miejscu, oglądając kunsztowne zawijasy i zamaszyste kreski ojcowskiego pisma. Nagle spojrzął na opatrzoną jego imieniem teczkę z pozaginanymi rogami, która leżała na blacie tuż po jego lewej ręce. Przez moment nie wiedział, co ma z nią zrobić. Zdawał sobie tylko sprawę, że ma bardzo mało czasu. Zerwał się z krzesła, zaniósł teczkę do szafki, z której ją zabrał, i wrzucił na miejsce. Potem zauważył, że zrobiło się cicho. Odkurzacze umilkł.

Po chwili do gabinetu wpadła Irene, wyprzedzając Basila o dobre kilka jardów.

- Co to za historia z jakimś testamentem? - rzuciła od progu.

- Sama zobacz. - Nick wręczył jej kartkę.

Irene potrzebowała zaledwie dwóch czy trzech sekund, by pojąć, co trzyma w ręku. Nick dostrzegł, jak w ciągu tych paru sekund zmienia się wyraz jej twarzy i irytacja ustępuje miejsca mieszaninie lęku i gniewu.

- Testament, który ma Baskcomb, został napisany kilka miesięcy po śmierci mamy. Ten pochodzi... sprzed paru dni. Data jest... z zeszłego tygodnia.

- Właśnie - przytaknął Basil.

- Ten dokument jest ważny?

- Wydaje mi się, że podpis testatore i dwóch świadków w zupełności wystarczy. Testament spełnia ten warunek. Wszystko wskazuje, że nie jest to falsyfikat. Czyli odpowiedź na twoje pytanie musi brzmieć: tak.

- Ale nie został sporządzony przez adwokata.

- Ten wymóg nie jest konieczny.

- Nigdy nie słyszałam o kuzynie Demetriusie.

- Ani ja - włączył się Nick.

- A więc jest nas troje - powiedział Basil. - Wszyscy troje nigdy o nim nie słyszeliśmy. Do dziś.

- Kim są ci ludzie? - ciągnęła Irene. - Nigdy nie słyszałam też o żadnych Daveyach.

- Niewątpliwie dowiemy się w stosownym czasie.

- „Pozostała część mojego majątku, ruchomego i nieruchomego...”. Ile to może wynosić?

- Bez Trennor bardzo mało.

- Nie wierzę. - Mówiąc te słowa, Irene chciała jednak powiedzieć, że wołałaby nie wierzyć. - Dlaczego tato miały nam zrobić coś takiego?

- Żeby uniemożliwić nam sprzedaż domu Tantrisiowi - rzekł Nick.

- I ukarać nas za to, że staraliśmy się go do tego zmusić - podsumował Basil. - Wygląda na to, że zdołaliśmy namówić go tylko do tego... żeby nas wydziedziczył.

- Tak sądzisz? - Irene utkwiała wściekle spojrzenie w testamentie, jak gdyby potrafiła siłą woli spowodować zniknięcie jego treści. - Cóż, to się jeszcze okaże.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Nick.

- Testament jest napisany odręcznie. A więc nie ma kopii. I w jego sporządzeniu nie uczestniczył adwokat. O jego istnieniu wiemy tylko my troje i małżeństwo Daveyów. Daveyowie mogą nawet nie wiedzieć, co w nim jest.

- Sugerujesz to, co - jak sądzę - sugerujesz? - spytał Basil.

- Co takiego twoim zdaniem sugeruję?

- Coś, co można nazwać poważnym przestępstwem. Poza tym skąd możesz mieć pewność, że nikt inny nie wie? Tato

mógł przecież powiadomić kuzyna Demetriusa o swoich intencjach.

- Ale kuzyna Demetriusa tu nie ma. My jesteśmy. I jest testament.

- Mimo to...

- Zadzwoń do Andrew i Anny. - Nick zauważył, że Irene jest już znacznie spokojniejsza. Przyjęła cios i zaczęła się przygotowywać do kontrataku. - Myślę, że przyszła pora na naradę rodzinną. - Rzuciła testament na biurko. - Trzeba omówić sporo spraw... zanim cokolwiek zrobimy.

Anna kończyła zmianę dopiero późnym popołudniem, a Andrew prawdopodobnie do zmierzchu będzie się kręcił gdzieś po farmie, dlatego narada, którą postanowiła zwołać Irene, mogła się odbyć najwcześniej wieczorem. Irene wróciła do Saltash, ponieważ w porze lunchu musiała otworzyć Old Ferry, lecz była przekonana, że uda się jej umówić z Moirą i Robbie, żeby później ją zastąpiły. Nick postarał się zostać przez chwilę sam i wykorzystał ów moment, by przełożyć zawartość teczek z dokumentacją swego załamania do koperty, którą zaraz zaniósł do samochodu. Później razem z Basilem udali się pieszo do Cargreen. Zamierzali odwiedzić Pru i powiedzieć jej, że znów może podjąć swoje obowiązki i zacząć sprzątać w Trennor, kiedy zechce.

Oczywiście ich wizyta miała także ukryty motyw. Chcieli wyciągnąć ze staruszki informacje na temat zajęć ojca piętnastego stycznia - czyli dnia, którego datę umieścił w testamencie. Piętnasty przypadał w zeszłym tygodniu w poniedziałek, czyli stosunkowo niedawno, dlatego Pru na pewno pamiętałaby odwiedziny państwa Davey z Tintagel.

Okazało się jednak, że Daveyowie nie odwiedzili Trennor. Próbując ją na pozór wypytać, czy ojciec się ostatnio nie przemęczał, Basil i Nick nakłonili staruszkę do szczegółowej analizy zajęć swego pracodawcy w zeszłym tygodniu, ale Pru twierdziła stanowczo, że nie przyjmował żadnych gości poza

członkami rodziny i opuszczał dom tylko raz, w poniedziałek... piętnastego.

- Wyszedł niedługo po tym, jak przyszedłem, i wrócił dopiero po moim wyjściu. Nie mówił, dokąd jedzie, ale nic w tym dziwnego. Ostatecznie to nie moja sprawa.

- Co oznacza - dowodził logicznie Basil, gdy obaj udali się do pubu Spaniards - że zabrał testament do Tintagel, żeby Daveyowie mogli go poświadczyć. Hipoteza Irene, że mogli nie znać treści dokumentu, wydaje mi się teraz jeszcze mniej prawdopodobna.

- Ale kim są ci Daveyowie, Basil?

- Nie wiem. Tato dość często zabierał nas do Tintagel podczas wakacji, prawda?

- Tak. Chcieliśmy łączyć po ruinach, a musieliśmy wysłuchiwać długich wykładów o archeologii.

- Właśnie. Ale nie przypominam sobie, żeby w którymś z wykładów padła wzmianka o pracowniku kamieniołomu Fredzie Daveyu. Sądzisz, że mógł być zatrudniony przy pracach wykopaliskowych? W końcu to pokrewna branża.

- W latach trzydziestych? Jeśli tak, musi być co najmniej w wieku ojca albo nawet starszy.

- Tak. - Basil spojrział zamyślony w stojącą przed nim szklankę cydru. - To samo pokolenie. Jak kuzyn Demetrius.

- Dziadek obsesyjnie interesował się genealogią. Dlaczego nie nie wiedział o Demetriusie? Przecież to też musiał być jego kuzyn, nie?

- Albo bratanek. Tylko że dziadek był jedynakiem i nie miał żadnych bratanków. Ale miał wujów. Jeden z nich mógł być dziadkiem Demetriusa. A może to dalszy kuzyn. Któż to wie?

- Tato widocznie wiedział. Dlaczego nigdy nam o nim nie mówił?

- Może dopiero niedawno dowiedział się o jego istnieniu.

- I ten fakt wprowadził go w taki zachwyt, że postanowił zapisać nowemu kuzynowi dom? To nie ma sensu.

- Ale dla taty miało. Wielkie nieba, tak, Nick. Tato widział w tym głęboki sens. Pytanie tylko dlaczego?

Jednakże nasuwało się inne, ważniejsze pytanie, które Basil postawił, gdy wczesnym popołudniem wracali drogą do Trennor w nikłym blasku słońca.

- Nick, co zrobimy z testamentem? Zdajesz sobie sprawę, co chodzi po głowie Irene?

- Chyba tak.

- Andrew i Anna przystaną na każdą jej propozycję, dzięki której nie będziemy musieli oddawać domu - i tym samym pieniędzy, jakie udałoby się nam wytargować od Tantrisa - naszemu tajemniczemu kuzynowi z Wenecji.

- Jedyńy sposób to udawać, że w ogóle nie znaleźliśmy tego dokumentu.

- Otóż to. A jedyny sposób, żeby utrzymać tę fikcję, to zniszczyć dowód.

- To miałeś na myśli, mówiąc o „poważnym przestępstwie”?

- A jak inaczej byś to nazwał? Aktem nieetycznym? Może jeszcze łagodniej?

Nick westchnął i odwrócił wzrok, spoglądając przez pole w stronę widocznego ponad żywopłotem skrawka lasu, gdzie wśród nagich gałęzi drzew krążyły gawrony, kracząc ochryple.

- Nie wiem, Basil. Taka jest szczerza i zupełnie bezużyteczna prawda. Nie mam zielonego pojęcia, co powinniśmy zrobić. Ani co zrobimy. Być może to wcale nie tak źle, gdyby nie fakt, że wiem...

Za ich plecami rozległo się trąbienie klaksonu. Odwróciwszy się, zobaczyli land-rover Andrew toczący się drogą w ich stronę.

- No, no - rzekł Basil. - Zdaje się, że będę miał okazję zweryfikować trafność swoich przewidywań znacznie wcześniej, niż się spodziewałem.

Zbliżając się do nich, Andrew z szerokim uśmiechem pomachał do braci przez przednią szybę auta.

- Chyba jest w dobrym humorze - zauważył Nick.
- Już niedługo.
- Tak, zapewne masz rację.

Andrew podwiózł ich ostatni kawałek drogi do Trennor. Irene do niego nie dzwoniła; po prostu przyjechał z Carwether zobaczyć, jak im idzie szukanie dokumentów. Dzwonił za to Tom, który zapowiedział swój przyjazd w weekend. Andrew najwyraźniej kamień spadł z serca.

Kiedy jednak powiedzieli mu o testamencie, szybko zapomniał o uldze i ogarnęło go niedowierzanie podszyte wściekłością. Ujrawszy dokument na własne oczy, zupełnie już nie potrafił zrozumieć, jak ojciec mógł im zrobić coś takiego. Jeśli natomiast idzie o wybaczenie...

- Przebiegły, fałszywy stary drań, kuty na cztery nogi. Siedział tu sobie w niedzielę, uśmiechał się słodziutko i wiskał nam kit, że sprzedamy dom przy pierwszej lepszej okazji, a tymczasem doskonale wiedział, że zrobił wszystko, żebyśmy nigdy nie mieli takiej okazji. Boże, kim jest ten kuzyn Demetrius?

- Nie wiemy - rzekł Nick.
- A ci świadkowie - Daveyowie?
- Ich też nie znamy.
- Jak mógł to zrobić? I po co?
- Obawiam się, że odpowiedź jest oczywista - powiedział

Basil.

- Pewnie tak. W każdym razie nie ujdzie mu to na sucho.
- Nie?
- Cholera, oczywiście, że nie. Chyba nie sugerujesz serio, że ten świstek może nam przeszkodzić?

- To nie jest taki sobie świstek.

- Może dla ciebie, Basil. Moim zdaniem tato przegapił jedną rzecz. Powinien umieścić tę kartkę w skrytce w banku albo kazać Baskcombowi włożyć ją do sejf w jego kancelarii. Ale tego nie zrobił. Zostawił dokument w domu, żebyśmy mogli go znaleźć. I znaleźliśmy. Teraz tylko od nas zależy, co się z nim stanie. Od nikogo innego.

- Masz jakąś propozycję?
- Jasne, że mam. I zdaje mi się, że dobrze wiecie jaką.
- Coś mi świta.
- Daj spokój, Basil, nie próbuj moralizować.
- Niedługo przyjdzie Irene - usiłował zyskać na czasie Nick. - Zadzwonimy do Anny, kiedy tylko wróci z pracy. Potem razem usiądziemy i omówimy sytuację.
- Dobra - rzekł Andrew. - Możemy omówić. Wszystko mi jedno. Ale wam od razu powiem jedno - nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie, żebym się podporządkował temu papierkowi. - Odwrócił arkusz, trzymając go lekko kciukami i palcami wskazującymi, jak gdyby zamierzał rozedrzeć go na pół. Spoglądał to na Basila, to na Nicka. Jego spojrzenie mówiło: spróbujcie mi się tylko sprzeciwić. Żaden nie powiedział ani słowa. Wreszcie Andrew puścił kartkę, pozwalając jej opaść na blat biurka. - Zobaczymy, co będziecie mieli do powiedzenia. Potem spalimy ten cholerny papier. I do diabła z kuzynem Demetriusem. Zgoda?

„Wiem, że cokolwiek zrobimy, będziemy żałować”. Nick chciał to powiedzieć do Basila, gdy wtedy na drodze zatrąbił na nich Andrew. Utwierdzał się w tym smutnym przekonaniu, w miarę jak mijało popołudnie. Jeżeli postąpią zgodnie z uaktualnioną ostatnią wolą ojca, przez resztę życia będą się zastanawiać, dlaczego tak łatwo ulegli kaprynowi staruszka. Jeżeli zniszczą testament, mogą doświadczyć znacznie boleśniejszych konsekwencji ojcowskiej intrygi. Nick nie potrafił się pozbyć podejrzeń, że staruszek celowo zostawił im w spadku ten dylemat; że dał im jasny, lecz niełatwy i niewdzięczny wybór; i że nie miał wątpliwości, co wybiorą.

Gdy nadszedł czas decyzji, to Anna najlepiej przedstawiła sytuację, mimo że dowiedziała się o sprawie ostatnia.

- Jeśli pójdziemy z tym do Baskomba, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko zastosować się do woli ojca. Może

uda się nam ją zaskarżyć, może nie. Gdyby nawet się udało, ostatecznie możemy przegrać i zostanie nam do zapłacenia słony rachunek kosztów sądowych. To nasz majątek, nasz dom. Tato odziedziczył go po dziadku i teraz my powinniśmy go dziedziczyć. Uważam, że tato nie miał prawa - w sensie moralnym, oczywiście - zapisywać domu jakiemuś dalekiemu kuzynowi, którego w ogóle nie znamy. Powinniśmy się trzymać poprzedniego testamentu. A ten powinniśmy zniszczyć. Nawet jeśli Daveyowie - czy kuzyn Demetrius - znają jego treść, nie mogą wiedzieć na pewno, czy tato sam go nie zniszczył wkrótce po napisaniu. Fakt, że zostawił testament tutaj, sugeruje, że być może się zawahał. Tak więc wykorzystajmy jego wątpliwości.

Wątpliwości na pewno nie opuszczały Nicka, gdy słuchał Anny i przyglądał się minom rodzeństwa. Irene wyglądała jak oaza spokoju, lecz wiedział, że to nic nie znaczy. Głęboko zmarszczone czoło Andrew i jego zaciśnięte szczęki wierniej oddawały stan jego duszy. Natomiast Basil, odchylony na krześle, z twarzą ukrytą w cieniu, był już o krok od odcięcia się od decyzji, w której kierunku nieuchronnie zmiierzali. W tym pokoju, oświetlonym drżącymi płomieniami z kominka i przyćmionym blaskiem lamp, roilo się od wspomnień. Zaledwie trzy dni temu siedział tu ojciec, szydząc z ich argumentów i wyrażając się z pogardą o ich osiągnięciach. Anna miała rację. Staruszek posunął się za daleko. Nicka dręczyła jednak myśl, że mają właśnie postąpić tak samo.

- Zgadzam się z Anną - powiedziała Irene. - Poza tym sądzę, że tato wcale nie chciał tego naprawdę zrobić. Podejrzewam, że miał zamiar zagrozić nam wydziedziczeniem i wykorzystać ten dokument jako dowód, że mówi serio.

Nick musiał przyznać, że był to zręczny argument. Ale w to nie wierzył. Nie wierzył także, by sama Irene w to uwierzyła. Ojciec nigdy nie blefował. Zawsze spełniał wszystkie swoje groźby.

- Nie obchodzi mnie, czy chciał to zrobić, czy nie - warknął Andrew. - Anna nazwała rzecz po imieniu.

Nie miał prawa nawet próbować. Bez testamentu nikt nie potrafi niczego udowodnić. Chyba jest już jasne, co powinniśmy zrobić. Nie wiem, na co jeszcze czekamy.

Aby każdy się wypowiedział. Na to oczywiście czekali. Nick nerwowo odchrząknął, szukając w myślach odpowiednich słów, by zastąpić nimi to, co cisnęło mu się na usta. „Potrzebujemy pieniędzy. I je zdobędziemy”. Nie, to by zabrzmiało niestosownie. Żadne z nich nie miałyby ochoty usłyszeć czegoś podobnego. Mógł więc jedynie powiedzieć to, co musiał:

- Zgadzam się.

- Na to, żebyśmy zniszczyli testament? - Głos Irene brzmiał łagodnie, lecz nieustępliwie.

- Tak.

- Basil?

- Hm. - Basil lekko się pochylił. - Moja kolej, tak?

- Zaczyna się - mruknął Andrew.

- Bez obaw - powiedział Basil, spoglądając z ukosa na brata. - Nie będę próbował od niczego was odwołać. Już wcześniej dałem wam wyraźnie do zrozumienia, że rezygnuję ze swojej części zysku ze sprzedaży domu.

- Tak. W razie czego masz czyste ręce.

- Andrew, proszę, daj mu coś powiedzieć - upomniała go Irene.

- Dobrze już, dobrze. - Andrew uniósł ręce w teatralnym geście kapitulacji.

- Przypuszczam - ciągnął Basil - że kiedy doradcy Nixona przychodzili zgłosić mu jakiś kompromitujący przeciek do prasy, nie pytał, czy zarzuty pod adresem jego administracji są prawdziwe, czy nie, ale czy można im zaprzeczyć. Tak więc, stosując test Nixona, pytam, czy da się zaprzeczyć istnieniu testamentu? Odpowiedź wydaje się jasna: tak.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - spytała Anna.

- Znaczy to, że wzięwszy pod uwagę okoliczności odnalezienia testamentu, uważam jego zniszczenie za nieuniknione.

- Chcę, żeby wszystko było jasne - powiedziała Irene. - Kiedy to zrobimy, nie będzie odwrotu. Musimy się zachowywać tak, jakbyśmy nigdy nie słyszeli o kuzynie Demetriusie ani o małżeństwie Daveyów. Musimy zapomnieć, że testament w ogóle istniał. Nic o nim nie powiem Laurze; tobie, Andrew, nie wolno nic mówić Tomowi, a tobie, Anno, Zaccowi. Ani teraz... ani nigdy.

- Zgoda.

- Właściwie nikomu nie wolno puszczać pary z ust na ten temat. - Wszyscy skinęli potakująco głowami, nawet Basil, aczkolwiek z ociąganiem. - Całą sprawę odkreślamy grubą kreską. Jasne? - Znów wszyscy kiwnęli głowami. - No to załatwione.

- Dobrze - rzekł Andrew, podrywając się z miejsca i biorąc ze stolika testament, który wcześniej włożyli do koperty. - Myślę, że ten przywilej należy do mnie jako najstarszego.

Rozdarł kopertę wraz z zawartością na cztery części, zrobił dwa kroki w stronę kominka i wrzucił strzępy między płonące polana, a potem schylił się i przyspieszył ich unicestwienie kilkoma ruchami pogrzebacza. Papier zwinął się, szerniał, błysnął płomieniem... i zniknął.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Basil, gdy brat odwrócił się od ognia.

Andrew uśmiechnął się ponuro.

- O wiele lepiej.

Rozdział 8

Wszyscy podporządkowali się ściśle zaleceniom Irene. W ciągu kilku następnych dni sfinalizowano ustalenia dotyczące pogrzebu i zamówiono nagrobek. Baskcomb otrzymał zebraną przez nich dokumentację finansową i poczynił kroki w celu uzyskania poświadczenia testamentu, który, jak sądził, był jedyną wolą spisaną przez jego zmarłego klienta. Nick wydzwaniał do wielu kolegów i dawnych współpracowników ojca, by ustalić, kto z nich będzie na pogrzebie. Pochłonęły go techniczne szczegóły śmierci, ale nie do tego stopnia, by nie mógł znaleźć czasu na wizytę w kaplicy i prywatne pożegnanie się ze zmarłym - gdyby zechciał.

Ale nie chciał. I nie poszedł. Ojciec, nawet będąc w połowie drogi między śmiercią a złożeniem do grobu, nadal go onieśmiał. Dzieci przeciwstawiły mu się po jego śmierci. A jeśli ojciec znalazł sposób, żeby pokonać ich z za grobu? Może testament pozostawiony w szufladzie biurka to tylko makabryczny żart, który miał im pokazać, kto tu się śmieje ostatni? Nick nie potrafił przestać o tym myśleć, między innymi dlatego, że nie wolno mu było o tym mówić.

Zachował jednak zimną krew. Aż do pogrzebu musiał, zacisnąwszy zęby, grać swoją rolę. Potem będzie wolny. Tęsknił do nudnej normalności swego drugiego życia; brakowało mu

tamtego poczucia bezpieczeństwa. Jeszcze trochę i będzie mógł do niego wrócić.

Tymczasem musiał zwolnić pokój Laury i na kilka dni przeprowadzić się z Old Ferry do Trennor. Nie był zachwycony tym faktem i poprzysiął sobie, że spędzi tam jak najmniej czasu. W piątek zebrał swój skromny dobytek i wyjechał z Saltash.

Pru przygotowała dla niego jego dawny pokój i kiedy przyjechał, była jeszcze w domu. Zatrzymał ją jakiś czas, gawędząc z nią przy herbacie, lecz po południu staruszka wyszła.

Niedługo potem Nick także opuścił dom, ni z tego, ni z owego wyruszył na zachód i jadąc zalanymi deszczem bocznymi drogami, dotarł do Liskeard, gdzie kupił odpowiedni na pogrzeb czarny krawat, a następnie podążył dalej do St Neot.

Kościół był otwarty, ale poza Nickiem nikogo w nim nie było. Witraże zdawały się dodawać szaremu zimowemu światłu ciepły złotawy odcień. Nick usiadł w ławce w południowej nawie, przyglądając się oknu Stworzenia Świata za tęczą, które znajdowało się na wprost niego. Ten witraż i pozostałe, może nawet okno Sądu Ostatecznego, przetrwały pięć stuleci. Ocalały dzięki pokoleniom parafian, bogatych i biednych, którzy ratowali je, nierzadko narażając się na poważne niebezpieczeństwo. Żaden z nich nie robił tego dla osobistej korzyści czy zysku. Czynili tak z pobudek religijnych i artystycznych, wobec których motywy, jakie skłoniły Nicka i jego rodzeństwo do zaangażowania się w zagadkową historię okien St Neot, musiały się jawić jako haniebne i naznaczone korupcją. Bo oni mieli na tym zarobić. W tym celu zniszczyli ważny i właściwie sporządzony testament. I czekała ich za to nagroda, w której udział miał mieć również Nick, czy sobie tego życzył czy nie.

Zjawił się administrator i poprosił go, by wyszedł, ponieważ zbliżał się zmierzch i trzeba było zamknąć kościół. Nick ruszył w drogę powrotną do Landulph, jadąc powoli przez zacinający i coraz gęstszy deszcz. Gdy dotarł do Trennor,

ciemna i pusta terazniejszość domu wydała mu się bladym odbiciem jego jasnej i gwarnej przeszłości. Otrząsnąwszy się ze wspomnień, wszedł, pozapalał światła we wszystkich pokojach, włączył wieżę stereo i bardzo głośno nastawił płytę Marii Callas należącą do matki.

Pru zrobiła mu zapiekankę i zostawiła do odgrzania, przekonana widocznie, że Nick nie potrafi gotować. Wstawił naczynie do piekarnika, a potem rozpałił w kominku w salonie, słuchając wycia wiatru w kominie i mimowolnie przypominając sobie, jak mniej więcej ćwierć wieku temu niezdarne pomagał ojcu zamontować nasadę na kominie. Miał wrażenie, jakby wszystko działo się wczoraj - siedzieli na dachu na zawrotnej wysokości, ojciec szorstko rzucał polecenia, a matka z niepokojem spoglądała na nich z ogrodu.

Rozpaliwszy ogień, Nick rozejrzał się w kuchni i przylegającej do niej komórce w poszukiwaniu butelki wina, ale nie miał szczęścia. W pewnym sensie się nie dziwił, był to bowiem dowód przemawiający za jego teorią, jakoby ojciec zszedł do piwnicy specjalnie po wino. Nick nie był tam od śmierci staruszka. Uznał, że czas już przekroczyć tę granicę.

W piwnicy panowała zupełna cisza. Ściany i podłogę pokrywała warstwa szarej farby do betonu, która upodabniała pomieszczenie do wnętrza kadłuba statku. Większość miejsca zajmowały regały na butelki, na których Michael Paleologus przechowywał swoją kolekcję szlachejnych win. Nick zauważył, że znacznie się zmniejszyła. Staruszek stopniowo zużywał zapas, zdając sobie sprawę ze zbliżającej się śmierci. Nick uśmiechnął się na tę myśl. Takie zachowanie doskonale charakteryzowało usposobienie ojca. Nie miałby ochoty wydawać pieniędzy na wino, którego nigdy nie mógłby wypić, choć było mało prawdopodobne, by wydał je na cokolwiek innego.

Jednakże ani Nick, ani reszta rodzeństwa nie przejawiali żadnych oznak koneserstwa, które ojciec mógłby w nich

rozwijać. W dzieciństwie Nick i Basil zostali nawet ukarani zakazem wstępu do piwnicy, ponieważ kiedyś przypadkiem strącili z półki butelkę, która się stłukła. „St Emilion rocznik '61 złożony w ofierze głupocie dwóch chłopców!” - krzyczał wtedy wściekły ojciec i odtąd bracia często powtarzali to powiedzonko.

Na to wspomnienie Nick znów się uśmiechnął. Zbili butelkę, kiedy podczas zabawy w chowanego usiłował się ukryć w ciasnej szparze między ścianą a ostatnim w rzędzie pojedynczym regałem. Podeszedł teraz do tego miejsca, żeby sprawdzić szerokość szpary.

Szpary jednak nie było. Regał stał oparty o ścianę. Mogłaby się tu wcisnąć najwyżej mysz. Nick patrzył na półki w zdumieniu. Nawet ojciec nie przejawiał zazwyczaj aż takiej przezorności. Po chwili dostrzegł kilka białych rys w okolicy podstawy regału. Zerknąwszy na podłogę, zauważył, że farba w tym miejscu została zdrapana. W powierzchni widniały łukowate rowki, jak gdyby bok regału odsuwano od ściany.

Nick kucnął, by lepiej się przyjrzeć. Tak, rzeczywiście to było jedyne wytłumaczenie. W dodatku zrobiono to całkiem niedawno. Płatki zdartej farby jeszcze tu leżały. Ale któż mógłby przestawiać regał? Na pewno ojciec, nikt inny. Po to zszedł tu wtedy wieczorem? To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego wychodził bez wina. Mimo to wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.

- Nick?

Nick drgnął raptownie na dźwięk głosu Andrew, który odezwał się zza jego pleców. Gdy się wyprostował i odwrócił, ujrzał brata schodzącego po schodach. Andrew spoglądał na niego surowo, choć na jego twarzy błąkał się uśmiech.

- Chyba nie zamierzasz wypić naszego spadku?

- Boże, mało nie dostałem zawału - poskarżył się Nick, czując gwałtowny łomot w piersiach. - Nie mogłeś zadzwonić do drzwi?

- Dzwoniłem, ale nie otwierałeś, więc sam sobie otworzyłem. W piwnicy nie słyhać dzwonka.

- Widocznie nie.
- Pomyślałem sobie, że zobaczę, czy u ciebie wszystko w porządku. Pierwsza samotna noc na starych śmieciach i tak dalej. Z kuchni coś ładnie pachnie.
- Jedna ze słynnych zapiekaneek Pru.
- Którą zamierzasz popić chateau lafite, zanim zdążymy urządzić licytację, sprzedać całą kolekcję i podzielić się zyskiem?
- Owszem. Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku.
- Mniejsza z tym. Otwórz jakieś dla mnie i nikomu nie piśniemy słówka. - Andrew podszedł do miejsca, w którym stał Nick. - Chociaż myślę, że po tej stronie są tylko białe.
- Co powiesz na to? - Nick pokazał ślady na podłodze. Andrew spojrział w dół, a potem z powrotem na Nicka.
- A co ty powiesz?
- Ktoś przesunął regał.
- Tak, na to wygląda.
- Tato?
- A kto inny?
- Sam?
- Dwóch ludzi mogłoby podnieść cały regał, nie rysując podłogi.
- Po co w ogóle tato miałby go przesunąć?
- Skąd mam wiedzieć.
- Kiedyś nie stał tak blisko ściany.
- Nie?
- Na pewno.
- No to mamy dwie zagadki. - Andrew rozejrzał się z namysłem. - Może po prostu o tym zapomniemy?
- Chyba nie potrafię. Andrew uśmiechnął się.
- Ja też nie.

Przenieśli butelki do pustych przegródek, których było sporo na sąsiednich półkach. Pusty regał ważył niewiele, ale był nieporęczny. Bez większych trudności odsunęli go od ściany. W zakurzonym i pokrytym pajęczynami kącie

piwnicy nie czyhało nic groźnego, w każdym razie niczego takiego nie dostrzegli w cieniu, jaki rzucał regał. Andrew poszedł do komórki kuchennej po latarkę, żeby sprawdzić, czy cień nie kryje czegoś ważnego. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie.

Potem jednak Nick coś zauważył: nierówność na gładkiej powierzchni podłogi. Przyglądając się bliżej, zobaczył dwie wystające linie, przypominające spłaszczone fałdy, ułożone prostopadle do ściany, a także trzecią, która je łączyła, biegnącą blisko ściany i równoległą do niej. Ani on, ani Andrew nie wiedzieli, czy zawsze tu były. Podejrzewali, że nie, lecz ich podejrzenia niewiele były warte. Odsunęli regał jak najdalej, aby mieć lepszy widok.

Odsłonili w ten sposób czwartą linię, także równoległą do ściany, tworzącą z pozostałymi prostokąt długości sześciu i szerokości trzech stóp. Zaczynali się utwierdzać w swoich podejrzeniach. Nick wszedł w powstałą między regałem a ścianą szparę i zrobił kilka kroków wzdłuż prostokątnego fragmentu podłogi. Szło się po tym jakoś inaczej. Nick nie umiałby powiedzieć, na czym polega różnica, ale na pewno ją wyczuwał.

- Jest tam jakiś młotek? - Wskazał na półkę zajmującą prawie całą ścianę za plecami Andrew. Trzymano tam przeróżne narzędzia, puste butelki, zapasowe żarówki i zapomniane skrzynki z Bóg wie czym.

- Tak. - Andrew wydobył młotek z zaokrągloną końcówką osadzony na drewnianym trzonku. Trudno byłoby określić wiek narzędzia.

- Daj. - Andrew podał bratu młotek. Nick kucnął i opukał podejrzany fragment podłogi, stukając po obu stronach linii. - Tutaj podłoga wydaje się... mniej zwarta.

- Mniej zwarta? To znaczy pusta w środku?

- Być może.

- Niemożliwe. Pod spodem nigdy niczego nie było.

- Sądząc po odgłosie, teraz coś tam jest. A te linie? Skąd się wzięły?

- Ja mam wiedzieć?
- Na oko wygląda to tak, jakby ktoś wykopał dziurę, przykrył jakąś płytą, zabetonował i pomalował.

- A potem przysunął regał, żeby to zamaskować.

- Wszystko na to wskazuje.

Andrew sam opukał podłogę. Skinął głową.

- Może i masz rację.

- To mógł zrobić tylko tato.

- Pewnie tak. Jak myślisz, kiedy?

- A kiedy regał został przesunięty?

- Nie wiem. Na takie rzeczy nie bardzo zwraca się uwagę.

Na pewno kiedyś w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Nie pamiętasz, żeby tato coś... kopał?

- Nie.

- Przecież musiał. Albo sprowadził kogoś, żeby to zrobił.

- Odpowiem tak samo, Nick. Nie pamiętam. Zresztą po co tato miałby kopać dziurę w piwnicy?

- Żeby... coś ukryć.

- Otóż to. Żeby coś ukryć.

Ale co? Na to pytanie nie potrafili wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Wrócili na górę i poczęstowali się odrobiną szkockiej staruszka. Nick wyłączył piekarnik, czując, że nagle stracił apetyt. Potem razem z Andrew usiedli przy kominku i pograżyli się w myślach.

- Cholernie dziwne - rzekł w końcu Andrew, przerywając milczenie. - Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

- Może Irene, Anna albo Basil wiedzą, o co tu chodzi.

- Wątpię. Zamalowane i zasłonięte regałem? Tato nie chciał, żeby ktokolwiek to odkrył.

- Ale czy możemy mieć pewność, że sam wiedział?

- Oczywiście. Skoro kiedyś tego nie było. Musiał sam to wykopać - albo komuś to zlecił. Tylko Bóg jeden wie po co. Co tam może być?

- Podejrzewam, że coś więcej niż dziura.

- No jasne. - Andrew parsknął śmiechem. - Może tunel. Wyjście awaryjne.

- Ciekawe. Elspeth Hartley uważa, że w domu coś ukryto. A my znajdujemy jakąś skrytkę. Zbieg okoliczności?

- Na pewno. Nie jestem nawet pewien, czy piwnica pochodzi z tych samych czasów co dom. W każdym razie w siedemnastym wieku nikt niczego tam nie chował.

- Ale teraz coś tam zostało schowane.

Andrew zmrużył oczy, zastanawiając się nad szczególnym rozumowaniem ojca i krętymi ścieżkami jego myśli.

- To chyba nie jest okno, prawda, Nick? Chyba tato go nie odnalazł i nie ukrył tutaj.

- Po co miałby to robić?

- Ze złośliwości.

- Dziura nie została wykopana w zeszłym tygodniu. Od wielu lat nie byłby zdolny do takiego wysiłku fizycznego.

- Możliwe, że kogoś wynajął.

Nick westchnął.

- Kręcimy się w kółko.

- Do czasu. Kiedy Tantris dostanie wreszcie dom, ta skrytka zostanie otwarta.

- Faktycznie. Ale wątpię, czy znajdzie tam okno Sądu Ostatecznego z St Neot.

- Ja też. - Andrew uśmiechnął się figlarnie. - Ale po co czekać? Sami się przekonajmy.

Andrew przyniósł ze stodoły narzędzia, które jego zdaniem były potrzebne: dwuręczny młot, dłuto, łom i łopatę. Nic nie mogło go już powstrzymać, choć Nick wolałby pohamować jego zapał. Instynkt podpowiadał mu, że powinni się dobrze namyślić, zanim podejmą jakiegokolwiek działania. Andrew miał jednak dość myślenia. Kierowało nim coś więcej niż chęć rozwiązania zagadki pozostawionej w spadku przez ojca. Nick zrozumiał, że chodzi o tłumioną przez kilka dziesięcioleci urazę i poczucie, że był oszukiwany. Teraz, gdy starsuszek odszedł, Andrew mógł skończyć z jednym i drugim.

- Nieźle nam schrzanił życie, co? - Andrew wypowiedział jego myśli niemal jak na zawołanie, gdy razem z Nickiem przytaszczyli narzędzia do piwnicy. - Może z wyjątkiem Irene i Anny. Ale tobie, mnie i Basilowi? Miał podejście do synów, nie ma co.

- Już dawno temu przestałem winić tatę za swoje problemy - rzeki Nick.

- Świetnie. Ale to nie znaczy, że nie należy go winić.

- Może nie. Po prostu nie rozumiem, w jaki sposób oskarżanie go o wszystko miałoby nam pomóc.

- Mnie się zdaje, że pomaga. - Andrew zdjął sweter i podwinął rękawy koszuli. - A to może pomóc jeszcze bardziej. - Kucnął nad płytą i opukał ją dłutem, zdrapując odrobinę farby, aby odsłonić powierzchnię kamienia. - Wygląda na porfir. Trzeba raz porządnie walnąć i po kłopotcie. - Po tych słowach wstał, chwycił mocno młot i zamachnął się.

Okazało się jednak, że nie wystarczyło raz porządnie walnąć. Z płyty prysnęły odłamki, odbijając się z brzękiem od metalowych elementów pustego regału i mijając Nicka, poleciały w głąb piwnicy. Dopiero przy trzecim uderzeniu rozległ się głośny trzask. Andrew opuścił młot, a Nick zbliżył się z latarką w rękę i ujrzał nierówną linię pęknięcia biegnącą przez środek płyty.

- Jest - powiedział Andrew. Odsunął się i wycelował w szczelinę.

Tym razem płyta pękła. Kawalek wpadł do środka, a drugi zawisł nad powstałym otworem. Andrew wyciągnął go końcem młota. Ich oczom ukazała się nierówna dziura szerokości mniej więcej stopy.

- Daj mi latarkę.

Kiedy Andrew odwracał się do Nicka, ten wzdrygnął się zaskoczony, ponieważ z otworu w płycie wyleciała chmara muszek. W tej samej chwili w nozdrza uderzył go silny fetor, znacznie gorszy od zapachu stęchłego powietrza.

- Cholera jasna. - Andrew też zobaczył muchy i kaszlnął, czując obrzydliwą woń. - Co to, na litość boską...

Nick podszedł niechętnie, odganiając muszki jak dokuczliwe komary w letni wieczór. Skierował snop światła latarki na otwór i ujrzał... żebra szkieletu.

- Chryste Panie - mruknął Andrew. - Wydaje mi się, czy to jest...?

- Mam nadzieję, że nie.

- Odsuń się. - Andrew rzucił na bok młot i chwycił łom. - Sprawdźmy, co tam naprawdę jest.

Wcisnął łom pod płytę z drugiej strony otworu i podważył ją. Kiedy płyta się unosiła, pękł cement na jej brzegach. Nick wyciągnął szyję zza pleców brata i zaświecił w głąb skrytki.

Za żebrami spoczywała czaszka, niewątpliwie ludzka, wpatrująca się w nich pustymi oczodołami. Nad nią polatywały muchy, przysiadając na kościach i łojowatych resztkach ciała.

- Mój Boże - wykrztusił Nick, lecz nie na widok much. Mniej więcej cal nad lewym oczodołem w kości widniała duża, postrzępiona dziura. Nick nie miał wątpliwości: nie patrzyli na szczątki człowieka, którego spotkała naturalna śmierć.

Rozdział 9

Zwłoki zostały pogrzebane bardzo starannie, niemal z szacunkiem. Świadczył o tym fakt, że wykop, w którym zostały ukryte, wyłożono deskami. Szybciej i łatwiej byłoby wykopać zwykły dół. Ale sekretny pochówek odprawiono z pieczołowitością, która czyniła go jeszcze bardziej zagadkowym.

Nick i Andrew przykryli pękniętą płytę brezentem, który ojciec od dawna trzymał w garażu, a na wierzchu ustawili w poprzek niej pusty regał. Potem wyszli z piwnicy, zamykając za sobą drzwi.

- Tato wstawił zamek tylko po to, żebyśmy z Basilem nie schodzili do piwnicy i nie siali tam spustoszenia - powiedział Nick, przerywając długą ciszę, gdy robili, co trzeba było zrobić, i nie mogli się otrząsnąć z oszołomienia. - Wtedy nie było tam nic do ukrycia.

Andrew nie odpowiedział od razu. Ruszył przodem, kierując się do salonu, dorzucił polano do ognia i nalał po dużej szkockiej dla siebie i brata. Popijał whisky, opierając się o gzyms nad kominkiem, na którym stała oprawiona w złoczone ramki fotografia rodziców zrobiona podczas ich rubinowych godów w 1989 roku; przedstawiała klasyczny obraz zadowolonej z życia pary starszych na ganku przed głównym wejściem do ich uroczego rustykalnego domu rodzinnego.

- Myślisz, że wtedy już tam to było? - zapytał, stukając szklaneczką o ramkę zdjęcia. - Myślisz, że mama wiedziała?

- Wątpię.

- Chyba jednak cholernie trudno nie zauważyć, jak ktoś zakopuje trupa w piwnicy. Nie mówiąc o tym, że wcześniej zmienia w trupa jakiegoś biedaka.

- Nie wiemy, co się naprawdę stało.

- Ale wiemy, co go zabiło. Dziura w głowie. I nie sądzę, żeby zrobiła mu się przypadkiem.

- Nie jestem anatomopatologiem, Andrew. Ty też nie. Nie możemy nawet być pewni, czy to był „on”.

- Skąd się wzięły te muchy? Jak się tam dostały?

- Nie jesteśmy też entomologami. W piwnicy są ludzkie szczątki. To jedyna rzecz, której możemy być pewni.

- Niezupełnie. Wiemy jeszcze, że powinniśmy zgłosić takie odkrycie na policję. Potem policja wzywa ekspertów. Żeby ustalili płeć, przyczynę śmierci, datę śmierci - wszystko, co trzeba.

- Masz rację.

- Sądzisz, że powinniśmy to zrobić?

- Przypuszczam, że tak.

- Naprawdę? - Andrew odsunął się od kominka i klapnął na fotel naprzeciw Nicka. - No to przedyskutujmy sprawę. Dobrze wiesz, że nie tylko dom zaroi się od policji. Wezmą pod lupę przeszłość taty - i całej naszej rodziny. Kimkolwiek jest nasz NN Szkielet, ktoś go załatwił. Kogo policja może wskazać jako sprawcę? Spójrzmy prawdzie w oczy. Głównym podejrzanym będzie tato. Ale ponieważ go nie ma, policja uweźmie się na nas. Może nas nawet wstępnie uznać za współwinnych.

- Nonsens. Gdybyśmy wiedzieli o trupie, przecież byśmy go nie wykopywali i nie zgłaszali się na policję.

- Nie? Wobec tak nęcącej oferty złożonej przez Tantrisa? Nick, nie rozśmieszaj mnie. Przyjrzą się temu z każdej strony, nie cofną się przed najgorszą hipotezą. Poza tym zjawi się prasa. Dziennikarze będą wystawać przed moją bramą,

dzwonić do twoich drzwi. Zanim zdążysz powiedzieć: „Bez komentarzy!” - wygrzebią z archiwum twoje pięć minut sławy w Cambridge.

- Na pewno nie. - Lecz nawet mówiąc te słowa, Nick przeczuwał, że Andrew ma rację. Znaleźli się na początku czegoś, co mogło się nigdy nie skończyć. - No dobrze. Może rzeczywiście tak by się potoczyło. Ale...

- A Tantris? Taki bogaty odludek mógłby się wystraszyć, gdyby przeczytał o morderstwie w nagłówkach brukowców. Głowę daję, że śledztwo opóźniłoby sprzedaż. Albo nawet zupełnie zostalibyśmy na lodzie.

- Tak. Możliwe. Ale powiedz mi, Andrew, jaki mamy wybór?

- Moglibyśmy... - Andrew nachylił się, ścisząc głos, choć nie bardzo było wiadomo, kto mógłby go podsłuchiwać. - Moglibyśmy to z powrotem zakryć. Udawać, że o niczym nie wiedzieliśmy.

- I pozwolić, żeby znaleźli to ludzie Tantrisa?

- Tak.

- Wówczas to oni wezwaliby policję.

- Ale my mielibyśmy pieniądze za dom.

- Tym gorzej dla nas, gdyby policja zauważyła, że płytę niedawno ruszano - a podejrzewam, że by zauważyła.

- No dobrze. - Andrew wałnął zirytowany w oparcie fotela. - Przyznaję, nie ma łatwego rozwiązania. Ojcu zapewne przyczepią etykietkę mordercy. Zresztą wygląda na to, że prawie na pewno był mordercą, ale nie mamy pojęcia, kogo zabił i dlaczego.

- Wcale nie wiesz, czy to było morderstwo. Mógł działać w obronie własnej.

- Tak, mógł. I chętnie w to uwierzę. Ale czy sąd uwierzy? Wątpię. W świetle jupiterów będą prać brudy, o których istnieniu nigdy nie mieliśmy pojęcia. To się będzie ciągnęło wiele miesięcy albo nawet lat. Być może nigdy nie wyjaśnią tej tajemnicy. Zresztą co to za dowód - garść kości? Może do końca życia będziemy nosić piętno. Tacie nie udało się

podstępem odebrać nam Trennor, dał za to radę... - Andrew urwał raptownie. Zmarszczył czoło, jak gdyby coś sobie nagle uświadomił. - Zaraz. Czyżby dlatego zmienił testament?

- Być może. - Nickowi zaświtała nowa myśl. - To tłumaczy, dlaczego sprzeciwiał się sprzedaży domu.

- Tak. Nie mógł sprzedać, co? Za żadną cenę. Zwłaszcza komuś, kto chciał szukać w domu skrytek. Wciskał nam kit, że lepiej się na tym zna od nas, a tak naprawdę chodziło mu o własną skórę.

- Oferta Tantrisa musiała dla niego być nieprzyjemną niespodzianką.

- Mniej nieprzyjemną niż ta, która nas przed chwilą spotkała. Wiedział, że w piwnicy jest ciało. Sam je ukrył. I myślał, że może je tam zostawić. Nagle sobie uświadomił, że coś stanie mu na przeszkodzie. Wiedział, że sprzedamy dom Tantrisiowi, co oznaczało, że zwłoki na pewno zostaną odkryte. Nie chciał, żeby go pamiętano jako mordercę. Reputacja zawsze była dla niego ważna.

- Może myślał o nas.

- I dlatego nas wydziedziczył? Pięknie, Nick, ale chyba się mylisz. Chodziło mu wyłącznie o siebie.

- Jeżeli masz rację...

- Pewnie, że mam.

- No więc jeśli tak, to był pewien, że kuzyn Demetrius nie sprzeda domu. W przeciwnym razie znowu istniałoby ryzyko, że trup zostanie znaleziony.

- Chryste, to prawda. Demetrius nie sprzedałby Trennor. Dlaczego?

- Nasuwa się tylko jedna odpowiedź. Bo Demetrius wie, że w piwnicy jest ciało...

- Cholera jasna.

- Może nawet pomagał je ukryć.

- Jezu. - Andrew wolno opadł na oparcie fotela. - Kim jest ten Demetrius?

Nick pokręcił głową.

- Żebym to ja wiedział.

- Co z nim zrobimy?

- Nic się nie da zrobić. Nie możemy nawet wspomnieć o nim policji, bo tym samym przyznalibyśmy się do zniszczenia testamentu. - Nick westchnął. - Testamentu, który mógłby być cennym dowodem w śledztwie w sprawie morderstwa.

- I który wrzuciliśmy do ognia.

- Tak.

- Właściwie to ja wrzuciłem.

- Wszyscy wyraziliśmy zgodę.

- Miło, że to mówisz, Nick.

- Bo to prawda. - Istotnie, była to prawda, choć Nick szczerze by wołał, żeby było inaczej. Każde działanie ma jakieś konsekwencje, choć niekoniecznie przewidywane. - Sądziliśmy, że ujdzie nam na sucho.

- Jeszcze nic się nie stało. - Andrew znów się wyprostował, spoglądając na brata szeroko otwartymi oczyma. - Nie rozumiesz, Nick? Teraz nie ma różnicy, czy pójdziemy na policję czy zostawimy to Tantrisiowi. Tak czy owak jesteśmy załatwieni.

- Nie, nie. Ryzyko na pewno byłoby mniejsze, gdybyśmy zgłosili to teraz.

- Jasne, ale weź pod uwagę pieniądze. Gdyby Tantris się przestraszył, gdzie byśmy znaleźli drugiego nabywcę Trennor? Dzięki morderstwom lepiej sprzedają się tylko gazety, nie domy. Nick, ja naprawdę potrzebuję tych pieniędzy. Ty może nie. Basilowi wydaje się, że on też nie. Ale ja tak. I nie zamierzam z nich rezygnować bez walki. Jeśli o mnie chodzi, pójdzie na policję to ryzyko, na które nie mogę sobie pozwolić.

- Andrew, nie możemy zignorować tego, co jest w piwnicy.

- Wcale tego nie sugeruję.

- Co wobec tego sugerujesz?

- Żebyśmy zabrali stamtąd ciało. I gdzieś się go pozbyli.

- Pozbyli?

- W Kornwalii nie brakuje nieczynnych szybów kopalnianych.

- Chyba nie mówisz serio.
- Czemu nie? Wydaje mi się, że dwóch ludzi bez trudu dałoby sobie radę. Zwłoki zgniły do kości, na pewno dużo nie ważą. W okolicach starych szybów jest niebezpiecznie. Kilka lat temu jeden się zapadł pod parkingiem na Kit Hill. Nikt tam nie zagląda.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Zresztą nawet gdyby za jakiś rok znaleziono w szybie szkielet, jakie to mogłoby mieć znaczenie? Żaden ślad nie prowadziłyby do nas.

- Pod warunkiem że nikt nie zauważy, jak będziemy go tam wrzucać.

- Nikt nie zauważy. Na litość boską, Nick. Po zmroku, w samym środku Bodmin Moor? Prawdopodobieństwo, że ktoś nas będzie widział, jest mniejsze niż jeden do kilku tysięcy. Pomyśl, jak długo uganiam się za wielkimi kotami, i guzik z tego mam.

Ku własnemu zdumieniu Nick mimowolnie parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Przepraszam. Tylko... Pamiętasz, co tato mówił nam o wielkich kotach? „Trzeba mieć szkielet. Namacalne szczątki”. No to już je mamy. Szczątki aż nazbyt namacalne.

- To pewnie miał być żart.

- W takim razie my padliśmy jego ofiarą.

- Tylko pod warunkiem, że pójdziemy na policję. Jedy-
nym wyjściem jest usunięcie ciała. Nie mam wątpliwości.

- Ale ja mam.

- Naprawdę chcesz rozgłosu, wizyt ciekawskich, plotek i wytykania palcami? Wiesz dobrze, że nigdy się od tego nie uwolnimy.

- Oczywiście, że nie chcę.

- To posłuchaj rady starszego brata.

- Chyba rzeczywiście jesteś gotów to zrobić.

- Jasne.

- A Basil i dziewczyny?

- Lepiej oszczędzić im zmartwienia.
- Nie mówić im?
- Mamy mało czasu. Jutro ma przyjechać Laura, Tom pojutrze. Jest okazja, żeby załatwić sprawę szybko i bezboleśnie. Tylko niczego nie schrzańmy. Nie trzeba urządzać następnej narady rodzinnej. Jeżeli o niczym nie będą wiedzieć, nie będą się mieli czym przejmować. Tę sprawę możemy rozwiązać ty i ja. Razem.

- Tak, ale...

- Nick, nie odmawiaj. - Andrew spojrział na brata i w jego rozświetlonych blaskiem ognia oczach błysnęła prawdziwa rozpacz. - Prawie nigdy nic od ciebie nie chciałem. I nigdy cię o nic nie prosiłem. Ale teraz cię proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

Andrew spędził tę noc w Trennor. Nawet gdyby nie okazało się to konieczne z powodu ilości wypitej przezeń whisky, Nick podejrzewał, że brat i tak by został. Andrew uparł się, że muszą podjąć decyzję w sprawie odkrycia w piwnicy, i naciskał brata, by ją uhonorował. Nick natomiast obawiał się, że każda decyzja okaże się błędna. Po prostu za mało wiedzieli. I mieli za mało czasu, by dowiedzieć się więcej.

Kiedy w końcu położył się nad ranem, nie mógł zasnąć. Myśli bez ustanku wirowały mu w głowie, poszukiwał prawdy, która wydawała się nieuchwytna. Bez niej każdy ruch opierał się jedynie na przypuszczeniach, które w najlepszym razie mogły być trafne w pięćdziesięciu procentach. Nick podejrzewał jednak, że w rzeczywistości szanse są jeszcze mniejsze. Od przyjazdu do Saltash zaledwie przed tygodniem niczego tak nie pragnął, jak tylko stąd wyjechać i uwolnić się od rodzinnych trosk oraz nieszczęść rodzeństwa. Teraz wydawało się, że to marzenie niemożliwe do spełnienia. Chyba że...

- Zrobię to.

Nick wytrzymał spojrzenie Andrew. Gdy wszedł do kuchni rozjaśnionej szarym brzaskiem, zastał brata popijającego

herbatę i patrzącego przez zalane deszczem okno na budzący się mglisty dzień. Słyszając jego kroki, Andrew odwrócił się i wolno odstawił kubek na ociekacz.

- Pomogę ci wyrzucić ciało.

- Naprawdę?

- Tak.

- Spodziewałem się raczej... że odmówisz.

- Sam się tego spodziewałem.

- I czemu zmieniłeś zdanie?

- Po prostu nie potrafię znieść myśli, że świadomość o tym zupełnie zdominuje moje życie. Naprawdę, Andrew, nie potrafię. Gdybym wierzył, że policja zdejmie z nas ten ciężar i da nam spokój, chętnie bym jej na to pozwolił. Ale tak by nie było, prawda? To nie byłoby wcale takie proste.

- Absolutnie nie.

- Natomiast...

- Moim zdaniem w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie po kłopotcie.

- Miejmy nadzieję.

- Musi się udać. Nie wiem jak ty, ale ja niewiele spałem w nocy. Dlatego miałem sporo czasu, żeby pomyśleć o... odpowiednich do takich rzeczy miejscach.

- I dużo wymyśliłeś?

- Potrzeba nam tylko jednego. I chyba takie znalazłem. Może pojedziemy je zobaczyć? Jeżeli okaże się dobre, wrócimy tam wieczorem i załatwimy sprawę.

- A jeśli nie okaże się dobre?

- Poszukamy innego.

Wyruszyli dwoma samochodami, żeby później Andrew mógł pojechać prosto do Carwether. Celem ich podróży było Minions, wieś z dwoma pubami i pocztą na południowo-wschodnim skraju Bodmin Moor. Nick dość dobrze znał tę okolicę z dawnych wycieczek rodzinnych. Badania archeologiczne historii przemysłu w opinii Michaela Paleologa nie

mogły się równać z badaniem prawdziwej, starożytnej historii, ale były lepsze niż żadna archeologia, dlatego uznał, że warto od czasu do czasu zwiedzić ruiny kopalni Phoenix w pobliżu Minions, zwłaszcza że ciekawym urozmaiceniem były odkryte niedaleko kamienne kręgi z epoki brązu.

Z parkingu w Minions roztaczała się panorama Dartmoor na wschodzie oraz widok morza na południu, gdzie na pierwszym planie dominowała sylwetka Caradon Hill z gigantycznym przekaźnikiem telewizyjnym na szczycie. Było to odkryte miejsce, pozbawione osłony przed przenikliwym wiatrem, który pędził po niebie chmury. Na odległych wzgórzach Dartmoor błyszczała warstewka śniegu, ale tory niedziałającej od dawna linii kolejowej, z której niegdyś korzystały liczne w regionie kopalnie miedzi i cyny, bielily jedynie przyzmy gradu. Widać było kilka osób, które mimo pogody dzielnie spacerowały z psami, lecz żadna z nich zapewne nie widziała nic szczególnego w tym, że dwaj ludzie bez psa idą na północ wzdłuż torów biegnących wokół łagodnej krzywizny zbocza Stowe's Hill.

- Większość okolicznych szybów zamknięto - powiedział Andrew. - Dzięki lobbystom na rzecz bezpieczeństwa. Niejedno mają na sumieniu.

- Co nam więc zostało?

- Mam nadzieję, że nie zdążyli jeszcze pozatykać wszystkich. Niedługo się przekonamy.

Po dziesięciu minutach zwawego marszu znaleźli się na najwyżej położonym odcinku linii, na półce w zboczu, skąd rozciągał się widok na pagórkowaty teren dawnego wyrobiska i ocalałą maszynownię kopalni Księcia Walii po drugiej stronie doliny. Doliną biegła droga prowadząca z Minions na północ, w stronę różnych farm i wiosek.

- Widzisz tę kepe drzew przy drodze?

- Tak.

- Tam jest szyb. Pamiętam, że gdy byliśmy mali, wrzuciłem tam kamień, żeby sprawdzić jego głębokość.

- I jak było głęboko?
- Dość głęboko.
- Widzę, że jest też blisko drogi.

- O to mi właśnie chodziło. Chodź, obejrzymy. Ruszyli w dół nierównego zbocza, przedzierając się przez kolcolisty, orlice i gęste trawy, przeprawili się przez rwący strumień, aż dotarli do kępy drzew, płosząc niepodejrzewające niczego owce. Po bliższych oględzinach drzewa okazały się krzewami głogu i zdziczałej irgi. Zarośnięte nimi ruiny maszynowni otaczało wzmocnione w kilku miejscach ogrodzenie z drutu kolczastego wysokości około pięciu stóp.

Andrew zaczął chodzić wzdłuż siatki, dopóki nie zobaczył wyraźnie tego, czego szukał: szybu. Nick stanął obok niego i zerknął przez zarośla. Wylot szybu znajdował się zaledwie kilka stóp od ogrodzenia. I był otwarty.

- Wygląda na to, że mamy szczęście.

- Trzeba się upewnić. - Andrew wydłubał z darni duży kamień i cisnął za ogrodzenie. Gdy kamień zniknął w czeluści szybu, zaczęli nasłuchiwać, odliczając sekundy. Zanim gdzieś w głębi rozległ się metaliczny brzęk, Nick doliczył do sześciu.

- Miałeś rację: dość głęboko.

- Jedyny kłopot to ten drut. - Andrew odwrócił się i rozejrzał wokół. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kombinerki i pochylił się przy najbliższym słupku ogrodzenia. - Wyciągnę kilka klamer. Dzięki temu łatwiej będzie odgiąć drut. - Po paru minutach wyprostował się. - Powinno wystarczyć.

Odsunęli się od siatki, spoglądając w dół zbocza w stronę drogi. Od pobocza dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia stóp.

- Tu się chcesz zatrzymać?
- Tak. Pójdzie jak z płatką, Nick. Obiecuję.
- Kiedy chcesz to zrobić?
- Dziś wieczorem. Przyjadę do Trennor koło jedenastej.
- Najpierw powinieneś się o czymś dowiedzieć.

- Powiesz mi w drodze na parking. Nie ma sensu dłużej się tu pałętać.

Nick uznał, że powinien powiedzieć bratu o kartce z kondolencjami, którą w poniedziałek wieczorem ktoś wetknął za wycieraczkę land-rovera w Plymouth. Może nie było to nic ważnego. Ale Nick nie dałby za to głowy. Kartka, testament, ciało w piwnicy: wszystko wiązało się z wydarzeniami z przeszłości i ludźmi żyjącymi dziś, o których ani on, ani Andrew nic nie wiedzieli. Kiepsko buduje się jakikolwiek plan na niewiedzy.

- Rozumiesz, co mam na myśli?

- Że dzieje się coś więcej, niż nam się wydaje?

- Przypuszczam, że dużo więcej.

- Pewnie masz rację.

- Nie przejmujesz się tym?

- Nie.

- Nie sądzisz, że powinieneś?

- Nie. Bo jedna z niewielu dobrych rad, jakie usłyszałem od taty, brzmiała: „Nie przejmuj się niczym, na co nie masz wpływu”. Na to - kciukiem wskazał szyb za ich plecami - nie mam żadnego wpływu.

- A na resztę?

- To już nie będzie ani moja, ani twoja sprawa, kiedy opróżnimy tę dziurę pod podłogą. - Andrew uśmiechnął się szeroko. - I dostaniemy od Tantrisa czek.

Nick wrócił do Trennor, spodziewając się zastać w domu Pru. Uznał, że staruszka na pewno nie będzie widziała nic dziwnego w tym, że Andrew został na noc, i mało prawdopodobne, by próbowała otwierać drzwi do piwnicy. Zresztą gdyby nawet próbowała, zawsze mógł zmyślić na poczekaniu jakąś historyjkę.

Okazało się jednak, że podczas jego nieobecności uwagę Pru zaprzętało coś zupełnie innego. Pierwszym ostrzeżeniem był widok obcego samochodu zaparkowanego na podjeździe. Po chwili Pru, rozmawiając z Nickiem szeptem w kuchni,

wyjaśniła krótko, że ma ją gościa. A ściśle mówiąc, gościa ma Michael Paleologia.

- Zaprowadziłam go do salonu, Nicholasie. Był naprawdę wstrząśnięty, kiedy mu powiedziałam, że twój ojciec nie żyje. Spodziewał się, że się z nim dziś zobaczy.

- Kto to taki?
- Mówił, że nazywa się David Anderson.
- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Podobno były student twojego ojca.
- Powiedział, czego chce?
- Nie pytałam. W końcu to nie jest moja sprawa, prawda?
- Moja być może też nie. Pójdę się dowiedzieć.

David Anderson wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był zwalisty i nieco zgarbiony. Miał gęste, kręcone szpakowate włosy, nosił przyciemniane okulary w drucianych oprawkach, a twarz zdobił mu szczery uśmiech. Jego sztruksowa marynarka, bluza i dżinsy były tak przetarte, że musiały pamiętać jeszcze studenckie czasy. Właściwie wcale nie było wiadomo, czy te czasy należą już do przeszłości. Jego wygląd cechowała więcej niż odrobina niedbalstwa naukowca.

- Pan Paleologus, jak sądzę? Miło mi pana poznać. Jest pan, hm... synem Michaela?

- Owszem, jednym z synów.
- Przykro mi z powodu tego, co się stało. Nie potrafię wyrazić jak bardzo.
- To był cios dla wszystkich.
- Pańska gosposia mówiła, że upadł, czy tak?
- Tak. W zeszlą niedzielę. - Nick uznał, że nie ma potrzeby wtajemniczać przybysza w okoliczności wypadku. Nie przypuszczał, by Anderson chciał zobaczyć feralne schody, ale za wszelką cenę należało tego uniknąć. - Od pewnego czasu coraz bardziej mizerniał. Niestety, cały czas istniała obawa, że coś się stanie.

- Kiedy z nim rozmawiałem, wydawał się błyskotliwy jak zwykle.

- Do końca zachował jasność umysłu. Rzeczywiście, był błyskotliwy. Język miał cięty jak brzytwa. Kiedy pan... z nim rozmawiał?

- Odezwał się do mnie mniej więcej dziesięć dni temu.

- Mhm. Utrzymywaliście kontakty od czasów Oksfordu, tak?

- Rozmawialiśmy raz na jakiś czas. Uczę historii w szkole w Sherborne. Michael pomógł mi zdobyć tę pracę. Dlatego zawsze byłem gotów odwdziaczyć mu się jakąś przysługą. Właściwie pierwszy raz mnie o coś poprosił. Żałuję tylko, że się spóźniłem z przekazaniem mu wyników.

- Co miał pan dla niego zrobić?

- Och, przeprowadzić niewielkie badania. Naprawdę całkiem prosta rzecz, chociaż musiałem się cholernie nagimnastykować, żeby znaleźć chwilę w ciągu dnia zajęć. Kłopot w tym, że nigdy nie otwierają wtedy, kiedy człowiek potrzebuje.

- Czego nie otwierają?

- W tym wypadku Biblioteki Katedry Exeter. Ale udało mi się tam wpaść w środę po południu i znaleźć to, co interesowało Michaela. Niestety, wygląda na to, że się spóźniłem.

- Obawiam się, że tak. A, hm... cóż to takiego?

- Ezoteryczna ciekawostka. Na pewno nie ma pan ochoty, żebym pana zanudzał.

- Chętnie zaryzykuję.

- Naprawdę?

- Żal byłoby zmarnować pańską pracę. Nawet nie ma pan komu o niej opowiedzieć. Przecież to był mój ojciec. Zawsze interesowały mnie jego... pasje.

- To miło z pana strony.

- Czegoś tu jednak nie rozumiem. Dlaczego sam nie mógł pojechać do biblioteki? Nie chcę być nieuprzejmy, ale...

- Chodzi o charakter materiału. Odczytywanie siedemnastowiecznych manuskryptów nie jest wcale takie proste.

Michael wiedział, że mam w tej dziedzinie więcej doświadczenia od niego. W końcu przede wszystkim był archeologiem.

- Siedemnastowiecznych manuskryptów?

- Owszem. Ściśle mówiąc, temu dość przypadkowo zebranej korespondencji kolejnych pastorów i administratorów parafii...

- St Neot.

Anderson spojrzał na Nicka zaskoczony.

- A więc pan już wie.

- Tylko tyle, że ojciec interesował się historią kościoła St Neot.

- Istotnie. To dość mało znane materiały.

- Jak się znalazły w Exeter?

- Och, w siedemnastym wieku nie było jeszcze diecezji w Truro. Wszystkie parafie w Kornwalii podlegały biskupowi Exeter. Wątpię jednak, czy którakolwiek z nich może się poszczycić tak obfitą korespondencją jak St Neot. Listy pochodzą jeszcze z piętnastego wieku i jest ich naprawdę całe mnóstwo. Ale Michael prosił, żebym się skupił na połowie siedemnastego wieku. Słyszał o jakimś liście napisanym w tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim roku przez jednego z administratorów kościoła, Richarda Bawdena, w sprawie środków ostrożności, jakie podjęto podczas wojny domowej, by ochronić witraże, najwyraźniej bardzo cenne. Michael prosił, żebym potwierdził treść tego listu. Według jego wiedzy Bawden pisał, że jedno z okien zostało wyjęte i powierzone niejakiemu Mandrellowi.

- I potwierdził pan te informacje?

- Cóż, to trochę skomplikowane. Próbowałem dzwonić do Michaela, żeby wyjaśnić sytuację, ale oczywiście nie mogłem z nim rozmawiać. Już wcześniej umówiliśmy się na dzisiejsze spotkanie, więc...

- Mógł pan zostawić wiadomość.

- Michael bardzo prosił, żebym tego nie robił.

- Naprawdę?

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale bardzo nalegał. Nie muszę chyba panu mówić, jak potrafił być uparty.

- Nie - odrzekł z uśmiechem Nick. - Nie musi pan. - Wolałby jednak usłyszeć, dlaczego ojcu tak bardzo zależało na tym, aby Anderson nie zostawiał mu wiadomości na sekretarce. Na myśl przychodziło mu tylko jedno wytłumaczenie: wiadomość stanowiłaby dowód na to, że Michael Paleologus nie miał ochoty przyjąć argumentów, jakie przedstawiła mu Elspeth. Potrafiłby to jednak uzasadnić dzięki naukowej skrupulatności. Doprawdy, za dużo w tym było tajemniczości. - Na czym więc polegały te... komplikacje?

- Naprawdę chce pan usłyszeć szczegóły?

- Owszem.

- Dobrze. Zatem proszę spojrzeć na to. - Anderson poszperał w stojącej obok niego aktówce i wyciągnął teczkę. - Oto kserokopia listu Bawdena. - Położył teczkę na stoliku i otworzył.

Nick przyjrzał się kartce, na której skopiowano list Bawdena. W jednej chwili pojął sens uwagi Andersona na temat odczytywania siedemnastowiecznych manuskryptów. Pochyłe gryzmoły, które miał przed oczyma, rzeczywiście wyglądały jak list, lecz gęstwina zakrętasów nie układała się w żadne zrozumiałe zdania.

- Boże drogi, naprawdę potrafi pan to odczytać?

- Owszem, to kwestia wprawy. Bawden odpowiadał sekretarzowi biskupa, ale nie ma kopii tego listu, przynajmniej w tym zbiorze. Pisze tu... - Anderson wskazał fragment, który zdaniem Nicka niczym nie różnił się od reszty tekstu - „Pan Philpe prosił mnie, bym zdał sprawę z kroków, jakieśmy poczynili, aby ocalić ów wspaniały i szczególny skarb parafii, a także zawiadomił go, co sprawiło, iż nie wpadł w ręce żołdactwa Parlamentu w te straszne dni przed jedenastu laty”. Tu cofamy się do roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego, gdyż list nosi datę... - Palec Andersona powędrował w górę strony - dwudziestego pierwszego maja tysiąc

sześćset sześćdziesiątego drugiego. Tak jest. Dalej Bawden pisze... - Palec wrócił do poprzedniego miejsca. - „Otóż już pięć lat wcześniej został zabrany”. Czyli w czterdziestym szóstym. „Niepodobna było narażać go na szwank w sytuacji, gdy Parlament zdobył Kornwalię. Został powierzony pieczy przyjaciela, oddanego nam pana Mandrella, i w bezpiecznym miejscu zamurowany. Ręczę, że po dziś dzień znajduje się w owym bezpiecznym miejscu”. Reszta to tylko długie wyrazy uszanowania. Te kilka zdań stanowi sedno przekazanej przez Bawdena wiadomości.

- Gdzie dokładnie wspomina o oknie?
- W tym właśnie tkwi wspomniana komplikacja. Nigdzie.
- Co takiego?
- „Wspaniały i szczególny skarb parafii”, takim wyrażeniem się posłużył. Nie precyzuje, co to za skarb. Zapewne nie ma takiej potrzeby. Adresat musiał wiedzieć. Można przypuszczać, że ma na myśli witraż, jeżeli rzeczywiście jest tak piękny, jak słyszałem. Ale to tylko domniemanie, nic więcej.

„Wspaniały i szczególny skarb parafii”. Jeszcze długo po wyjściu gościa Nick rozmyślał o wyrażeniu, które Anderson przeczytał mu z listu. Cytując Bawdena, Elspeth mówiła mu, że administrator wspominał o „naszym najpiękniejszym oknie”. Nick dobrze to pamiętał. Jednakże słowa własnoręcznie napisane przez Bawdena wcale nie dawały takiej pewności. Oczywiście, mogło chodzić o okno. Bardzo możliwe. Ale nie zostało to powiedziane wprost. Nie zobaczył tego czarno na białym. Nasuwały się wątpliwości, które niewątpliwie wykorzystałby ojciec. Jedna z ostatnich rad, których udzielił im staruszek, brzmiała: „W tych sprawach należy ufać tylko i wyłącznie źródłom”. Było więc źródło. Ale co kryło się za tą sprawą?

W pewnym sensie nadinterpretacja Elspeth była zrozumiała. Poproszono ją o wytropienie okna Sądu Ostatecznego

i dotarła do najlepszego śladu, jaki mogła znaleźć. W końcu czym mógł być ów skarb, jeśli nie witrażem? Gdyby to było, według słów Andersona, domniemanie, oznaczałoby zaniżenie wartości odkrycia. Elspeth po prostu o tyle samo zawyżyła tę wartość.

Ale czy zawyżyła tylko wartość swojego odkrycia, czy czegoś więcej?

Anderson już przy drzwiach przyznał:

- Michael mówił, że istnieje „dalszy wątek”, o którego zbadanie być może mnie poprosi. Jak pan przypuszcza, co mógł mie; na myśli?

- Obawiam się, że nie wiem - odparł Nick.

Nie była to do końca prawda. Nick domyślał się, że ojciec zająłby się kwestią związków Mandrella z Trennor. Czy przeszłaby analizę pomyślniej niż list Bawdena? Uznał, że to pytanie pilnie domaga się odpowiedzi.

Nie mógł jednak ryzykować, poddając je pod rozagę Andersonowi. Tym razem, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, musiał zachować swoje wątpliwości dla siebie. Miał jednak prawo zapytać o to jedną osobę. Zadzwoił pod numer telefonu komórkowego Elspeth.

Telefon był wyłączony. Nickowi poradzono: „proszę spróbować później”, lecz nie była to rada, jakiej oczekiwał. Na domiar złego zorientował się, że nie poprosił Elspeth o jej domowy numer, a ponieważ była sobota, na pewno nie będzie się mógł z nią skontaktować za pośrednictwem centrali uniwersytetu w Bristolu. Owszem, Elspeth miała przyjaciółkę w muzeum, ale tu także Nick nie miał szczęścia. Tilda Hewitt, kustosz, miała się zjawić w pracy dopiero w poniedziałek, ale nie podano mu jej domowego telefonu - prawdopodobnie dlatego, że, jak niedługo potem ustalili, miała zastrzeżony numer.

W końcu do świadomości Nicka dotarło, że nie wygra z nieubłaganymi prawami weekendu. Do poniedziałku nie mógł ruszyć z miejsca. Ale ryzykowne zadanie, w którym

zgodził się uczestniczyć, nie będzie mogło tak długo czekać. Andrew postanowił pozbyć się ciała jeszcze tego wieczoru. Nie zgodziłby się na żadną zwłokę. Tylko co będzie, jeśli łańcuch dowodów łączących okno Sądu Ostatecznego z Trennor rozpadnie im się w rękach? Co by wówczas osiągnęli, wypychając trupa do szybu - poza obciążeniem siebie samych?

Przez całe popołudnie i wieczór Nick próbował dzwonić do Elspeth. Bez rezultatu.

- Przywiozłem parę worków gruzu, rolkę taśmy izolacyjnej i sznur. - Słowa, jakimi przywitał go Andrew od progu, były bezlitośnie praktyczne. - Dwa worki powinny wystarczyć. Potem je obwiążemy, zawiniemy brezentem i już. Na płycie można postawić regał i gdyby ktoś kiedyś odkrył dziurę, będziemy udawać głupich. Zgoda?

- Jeśli o to chodzi, zgoda.

- Chyba cię strach nie obleciał, co, Nick?

- Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Nie, tylko nie to.

- To ważne. Chodzi o... zresztą sam zobacz. - Nick pokazał mu kserokopię listu Bawdena, usiłując wytłumaczyć bratu jego ewentualne znaczenie. Ale zanim skończył mówić, widział, że do Andrew to w ogóle nie trafia. Zdecydował już, co ma zrobić, i frazeologiczne niuanse jakiegoś ledwie czytelnego siedemnastowiecznego listu nie mogły tego zmienić. - Elspeth Hartley nie zagrała z nami fair. Powinniśmy to sprawdzić, zanim...

- Cholera jasna, Nick. Chyba nie mówisz poważnie, że próbujesz zrozumieć coś z... tego. - Andrew z pogardliwą miną dźgnął palcem kartkę. - Nie potrafię tego nawet przeczytać. Elspeth Hartley jest historykiem, a ty nie. Jeżeli to jej wystarczy, wystarczy też Tantrisowi. Co oznacza, że wystarczy i nam.

- Anderson też jest historykiem. I uważa...

- Nie obchodzi mnie, co uważa. Jasne, tato pewnie próbowałby się przyczepić. Ale mnie się wydaje, że to najwyżej

lekka przesada.

- Mimo to sędzę, że powinniśmy poprosić Elspeth o wyjaśnienia.

- Ja tak nie uważam. Słuchaj, chcesz udaremnić ten interes?

- Oczywiście, że nie.

- To dobrze. Skupmy się na tym, co mamy załatwić.

- Na tym właśnie polega problem. Jeżeli nie istnieje mocny dowód, że okno Sądu...

- Powiem ci, na czym polega problem, do cholery. - Andrew chwycił Nicka za ramię i spojrzał mu prosto w oczy. - Te kości muszą zniknąć z piwnicy. Jeszcze dziś. Jeśli będę musiał, zrobię to sam. Nie będzie łatwo, ale jakoś sobie poradzę. Wolałbym jednak, żebyś mi pomógł. Liczyłem na ciebie. Obiecałeś pomóc. I zadaję sobie tylko jedno pytanie: czy zamierzasz to zrobić?

Rozdział 10

W końcu Nick przyszedł bratu z pomocą. Żeby go powstrzymać, musiałyby chyba zadzwonić na policję. Obserwując przez kilka minut, jak Andrew usiłuje wyciągnąć spod płyty szczątki pogrzebane tam przez ojca, Nick stracił cierpliwość i porzucając wątpliwości, ruszył mu z pomocą. Andrew podziękował ledwie zauważalnym uśmiechem, jak gdyby od początku wiedział, że prędzej czy później Nick dojrzeje do decyzji.

Okazało się, że to niełatwe zadanie nawet dla dwóch osób, zwłaszcza iż dotykając śliskich kości i gnijących resztek ludzkiego ciała, musieli się zмагаć z uczuciem wstrętu. Praca stała się znośniej sza, kiedy nareszcie za pomocą taśmy przymocowali worki z gruzem do głowy i tułowia oraz miednicy i nóg. Przestała im przeszkadzać widzialna i namacalna realność zwłok. W taki sposób obwiązali je ciasno brezentem, że pakunek wyglądał równie niewinnie jak zrolowany dywan, po czym zanieśli szczątki do land-rovera. Następnie posprząтали po sobie piwnicę i pojechali.

Tak jak przewidywał Andrew, na Bodmin Moor nie było żywego ducha. Jedynym światłem widocznym na tle czarnego, zasnutego chmurami nieba, była czerwona lampka ostrzegawcza dla samolotów na wierzchołku przekaźnika na

Caradon Hill. Za paroma zasłoniętymi oknami odległych farm i domków paliło się światło, lecz gdy zjechali z drogi drugorzędnej w Upton Cross, nie natknęli się na żaden samochód. Drogą z Minions podjechali ostrożnie do szybu, zatrzymali się przy nim, wyłączyli silnik i światła i zaczęli, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności.

Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, wysiedli i stali przez chwilę, słuchając otaczającej ich ciszy. Potem wyciągnęli pakunek przez tylną klapę, wspięli się na wzniesienie i idąc po omacku wzdłuż ogrodzenia szybu, znaleźli miejsce, w którym Andrew poluzował drut. Nickowi zdawało się, że robią mnóstwo hałasu, unosząc drut, by Andrew mógł się pod nim przeczołgać, i ciągnąc po ziemi pakunek. Miał jedynie nadzieję, że zmienny wiatr nie poniesie tych odgłosów zbyt daleko, zwłaszcza że nadeszła chwila, gdy musiał włączyć latarkę i skierować światło na wylot szybu.

- Dobra - powiedział szeptem Andrew i było to pierwsze słowo, jakie padło, odkąd wysiedli z samochodu. Przepchnął pakunek przez zarośla, zahaczając brezentem o kolce. Gdy wreszcie ich brzemię znalazło się na skraju szybu, Andrew pchnął je jeszcze raz, wrzucając w ciemną czeluść. W tym momencie Nick zgasił latarkę. Usłyszał, jak pakunek kilka razy uderza o ściany szybu, a potem z głuchym łomotem łąduje na samym dole.

Nastąpiła cisza. Po chwili Andrew rzekł:

- Zabierajmy się stąd.

I zaczął się gramolić pod ogrodzeniem.

Niedługo potem mknęli przez ciemność, którą rozcinały światła reflektorów land-rovera. Akt został dokonany.

Kiedy opuścili Bodmin Moor, Andrew wyraźnie się rozluźnił. W jego przekonaniu, inaczej niż zdaniem Nicka, problem został rozwiązany; dalej wszystko miało już pójść jak po maśle. Najlepiej o jego beztrójce świadczyła zmiana w zachowaniu - Andrew stał się nagle niezwykle rozmowny,

wręcz przesadnie gadatliwy, zważywszy na typową dla siebie małowówność.

- Dziś wieczorem Tom zatrzymał się u matki. A kiedy będzie wracał, wpadnie do niej jeszcze na kilka dni. Chyba powinienem się cieszyć. Przynajmniej nie będzie miała pretekstu, żeby przyjeżdżać na pogrzeb. Jutro po południu odbieram chłopaka z Bodmin Parkway. Rozmawiałem wcześniej z Irene i wpadliśmy na pomysł, żeby się spotkać na herbatce w Trennor. Ona, Laura, ja i Tom. No i ty oczywiście. Może Anna i Basil, jeśli Irene uda się ich namówić. Anna pewnie będzie się czuła trochę nieswojo, bo Zack jest na końcu świata. Trzeba będzie spróbować poprawić jej nastrój. Co ty na to? Zgadzasz się?

Nick prawie nie słyszał, co mówi Andrew. Oczyma duszy wciąż widział nierówną dziurę w czaszce tajemniczego nieboszczyka. Czuł w rękach kształt i ciężar kości. A w myślach nadal błąkało się pytanie, na które próżno poszukiwał odpowiedzi: dlaczego Elspeth kłamała?

- Nick?
- Słucham?
- Co ty na to?
- Na co?
- Na rodzinne spotkanie jutro po południu w Trennor.
- Ach... - Nick z trudem zmusił się do reakcji. - Tak. Zgoda.

Nick spodziewał się, że nie będzie dobrze spał tej nocy. Okazało się jednak, że od razu zapadł w stan głębokiej, pozbawionej snów nieświadomości, jak gdyby umysł i ciało w doskonały sposób zamknęły się na dziewięć godzin. Obudził się późnym rankiem.

Była czwarta niedziela miesiąca, co oznaczało, że w kościele w Landulph o jedenastej piętnaście odbywa się msza. Tak wynikało z parafialnego biuletynu, który przyniesiono do Trennor w tygodniu. Z przyczyn, których nie miał ochoty analizować, Nick postanowił zrezygnować z porannego

biegania i pójść do kościoła. Zanim wyszedł z domu, spróbował zadzwonić do Elspeth. Nadal miała wyłączony telefon.

Mosięzna tablica z inskrypcją upamiętniającą Theodore'a Paleologusa została niedawno wypolerowana. W trakcie nabożeństwa blask świec migotał na jej lśniącej powierzchni. Nick często powracał do niej spojrzeniem, śpiewając psalmy i odmawiając półgłosem modlitwy z typowym dla prawdziwego agnostyka brakiem wprawy i pewności siebie. Miał jednak świadomość, że wydarzenia ubiegłego wieczoru poruszyły w nim jakąś czułą strunę, budząc lęk. Do tego stopnia, że zapragnął rozgrzeszenia. Lecz przed rozgrzeszeniem musiałby przystąpić do spowiedzi i wyznać swe grzechy. Nigdy nie mógłby się przyznać do tego, czego dokonali razem z Andrew.

Theodore Paleologus został we Włoszech skazany za usiłowanie zabójstwa. Do Kornwalii trafił jako banita i uciekinier. Jego przodek, Michał Paleolog, zasiadł na tronie Bizancjum w 1259 roku, po uprzednim zamordowaniu regenta sprawującego władzę w imieniu małoletniego cesarza Jana IV. Po dwóch latach wspólnych rządów z Janem założyciel dynastii Paleologów kazał oślepić i dożywotnio uwięzić małego cesarza. Jego następcy przejawiali podobne okrucieństwo, dopuszczając się równie brutalnych czynów, aby tylko utrzymać się przy władzy, dopóki dwieście lat później nie pozbawili ich jej Turcy. Jeżeli istniał gen Paleologów, to bezwzględność kolejnego z rodu - Michaela - stanowiła przekonujący dowód, że przetrwał w dalszych pokoleniach. W razie potrzeby Paleologowie potrafili być brutalni.

Genetyczne fatum nie dotyczyło jednak wszystkich. Wychodząc po mszy z kościoła w łagodny i nieśmiały blask kornwalijskiego słońca, Nick doszedł do wniosku, że nie potrafi u siebie znaleźć ani śladu bezwzględności przodków. Nie rozumiał jej. I nie wierzył, że sam mógłby być do niej zdolny.

W drodze powrotnej do Trennor przyznał jednak niechętnie, że przecież do tej pory nigdy nie musiał być bezwzględny. Jeszcze nie.

Po południu pierwsze zjawily się Irene i Laura, przerywając Nickowi próby skontaktowania się z Elspeth, do której od pół godziny na próżno usiłował się dodzwonić. Nick ostatni raz widział siostrzenicę na przyjęciu z okazji osiemdziesiątych urodzin ojca. Od tego czasu z drobnej i wstydlivej jedenastolatki, która nosiła aparat korekcyjny na zębach i czesała się w koński ogon, wyrosła wysoka i opanowana piętnastolatka. Wyglądała na osiemnaście lat, a elegancją i spokojnym usposobieniem zaczynała już przypominać matkę.

Nick nigdy nie traktował roli wuja zbyt poważnie, podobnie jak Laura. Ponadto nie był pewien, ile siostrzenica wie o jego burzliwej przeszłości, i zwykle radził sobie z tą niepewnością w taki sposób, że niewiele rozmawiał z Laurą. Dlatego nie można jej było mieć za złe, że uważała go za dość nieciekawą osobę. Prowadzili zdawkową i bezbarwną rozmowę o jej egzaminach i podróży pociągiem z Harrogate. Nick nie miał wątpliwości, że Laura poddaje go w duchu jednoznacznej ocenie, która streszczała się w jednym, może w trzech słowach: nudziarz, nudziarz, nudziarz. Paradoks polegał na tym, że gdyby wiedziała, co razem z wujem Andrew zrobili poprzedniego dnia wieczorem, zapewne nie określiłaby tego słowem „nuda”.

- Mama mówiła mi o panu Tantrisie - powiedziała w pewnej chwili Laura. - Kim on właściwie jest?

- Bardzo bogatym człowiekiem - wtrąciła Irene.

- No tak, ale chyba wiecie o nim coś więcej.

- Naprawdę nie musimy.

- To dyskusyjna sprawa - rzekł Nick.

- Świetnie - powiedziała Laura. - Rodzinna kłótnia.

- Nic podobnego, młoda damo - odparła opryskliwym tonem Irene. - Pan Tantris zapłaci za dom więcej niż trzeba

i wszyscy na tym skorzystamy, łącznie z tobą, więc skoro biedak życzy sobie dyskrecji...

- Ale chyba nie jest biedakiem?
- Wiesz, co mam na myśli.
- A ty jak sądzisz, Nick?
- Sądzę, że jest pewna różnica między dyskrecją a tajemnicą. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Sądzę też, że twoja matka zapewne wie najlepiej.

Przybycie Anny i Basila zdjęło z Nicka ciężar prowadzenia rozmowy. Obojętność trzech wujów Laury w pełni rekompensowała troska jej ciotki. Anna nie wydawała się ani trochę przygnębiona nieobecnością Zacka i wymachiwała wydrukiem e-maila, w którym jej syn wyrażał żal z powodu niemożności przyjazdu na pogrzeb dziadka. O wiele lepiej niż Irene wyczuwała, co najbardziej może interesować nastolatkę, dlatego bez trudu odnalazła z Laurą wspólne tematy.

Po pewnym czasie, który upłynął na rozmowach o głupstwach, Nick i Basil ukradkiem wymknęli się do ogrodu, zostawiając dziewczęta w salonie, aby swobodnie sobie poplotkowały. Gdy spacerowali między uśpionymi zimowymi rabatami, Basil zauważył całkiem obojętnym tonem, że Nick nie wygląda najlepiej.

- Martwisz się, Nick. Wyraźnie się czymś martwisz. Mam nadzieję, że nie z powodu rozbieżności między wersją pani Hartley a prawdziwą treścią listu Bawdena.

- Andrew ci powiedział, tak?
- Dzwonił dziś rano. Irene pewnie też uraczył telefonem. Najwidoczniej wszyscy uważamy, że niepotrzebnie się przejmujesz.

- Co to znaczy „najwidoczniej”?
- Moje zdanie jest chyba nieistotne, prawda?
- Nie dla mnie.
- Naprawdę? Cóż za miła niespodzianka.
- Na litość boską, wyduś to wreszcie.
- Proszę bardzo. Pani Hartley twierdziła, że Bawden

wspomina o oknie Sądu Ostatecznego *explicite*, tymczasem w rzeczywistości informacja o tym jest zawarta... *implicite*.

- Raczej tak.

- Właśnie. Pytanie, czy powinniśmy się tym przejmować?

Kiedy Nick zorientował się, że Basil nie zamierza odpowiadać na postawione przez siebie pytanie, odwrócił się do brata i rzekł:

- No i? Powinniśmy?

Basil uśmiechnął się bezradnie.

- Naprawdę... nie wiem.

Osiemdziesiąte urodziny ojca również byłyby ostatnią okazją do spotkania Nicka z Tomem, gdyby ich drogi nie zeszły się w Londynie. Pewnego ponurego i deszczowego popołudnia w październiku ponad rok temu zobaczyli się przypadkiem pod British Library. Nick zmierzał na stację Euston, Tom na King's Cross. Przez dziesięć minut gawędzili w kafejce przed biblioteką, pijąc cappuccino z papierowych kubków. Nick zupełnie nie pamiętał, o czym rozmawiali, i można to uznać za jedyne wspomnienie. Obaj unikali konkretnych, bez przekonania odgrywając swoje role wuja i bratanka. Oczywiście Tom starał się ukryć fakt, że po skończonych studiach wciąż nie ma pracy, natomiast Nick miał swoje powody, aby nie mówić zbyt wiele. Tom wyglądał całkiem dobrze - strzecha jasnych włosów miękko opadająca na duże brązowe oczy jak u małego psiaka, kanciasta szczęka, której kształt podkreślał kilkudniowy zarost, wysportowana sylwetka i modny strój - ale jeśli chodzi o jego samopoczucie, Nick wiedziałby równie niewiele, gdyby minęli się na ulicy, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

Gdy Tom i Andrew weszli, Nick zauważył u bratanka zmianę, której, jak podejrzewał, pozostali nie potrafili dostrzec. Był z pewnością bardziej rozmowny niż tamtego deszczowego dnia na Euston Road, ale to całkiem naturalne, skoro stanął przed wujami, ciotkami i kuzynką w towarzystwie

ojca, z którym prawie się nie kontaktował. Zmiana była wyraźnie wyczuwalna, mimo że Nickowi trudno byłoby ją określić. Spojrzenie Toma stało się uważniejsze, niemal nieufne. I trochę stracił na wadze. Nick pomyślał, że bezrobocie dało mu się we znaki.

Andrew nadrabiał miną, mówiąc zbyt dużo i zbyt głośno. Tom zręcznie i z wdziękiem radził sobie z pytaniami o życie w Edynburgu, po czym czule wspomniął dziadka, wyrażając żal, że w ostatnich latach nie widywał się z nim częściej. Z taką łatwością dopasował się do nastroju rodziny, powściągliwie przeżywającej żalobę, że Nick ze zdziwieniem dowiedział się, iż Tom nic nie słyszał o ofercie Tantrisa.

Wyszło to na jaw, gdy Laura, która widocznie uznała, że od ich ostatniego spotkania kuzyn zmienił się w niezwykle przystojnego młodzieńca, spytała go nagle:

- Tom, jak myślisz, na co powinniśmy wydać pieniądze?

- Do tego jeszcze nie doszliśmy - wtrącił Andrew, posyłając Irene pochmurne spojrzenie.

- O co chodzi? - Tom popatrzył na zebranych z mieszaną ciekawości i rozdrażnienia.

- Złożono nam korzystną ofertę kupna Trennor - wyjaśnił Andrew. - Oczywiście złożono ją dziadkowi, ale teraz przypadła nam. - Widocznie nie widział potrzeby wspomnieć, co dziadek Toma sądził o ofercie. - Podobno w domu może być schowany jakiś cenny historyczny witraż... -

- Witraż? - Powtórzył ze stosownym niedowierzaniem Tom.

- Wyobraź sobie. Sprawa sięga czasów wojny domowej. Jedna historyczka sądzi, że w latach czterdziestych siedemnastego wieku ukryto tu witraż z okna kościoła w St Neot, żeby go uchronić przed wojskami Cromwella, i że przypuszczalnie jest tu do dziś. Ta kobieta pracuje u kogoś, kto zgodzi się słono zapłacić za możliwość znalezienia okna.

- Jak zamierzają to zrobić?
- Zrobią wszystko, co będzie trzeba.
- Czyli rozwalą cały dom, tak?
- Niezupełnie.
- Ale prawie - zauważył Basil. Tom gwizdnął z kpiącą miną.
- Przypuszczam, że dziadka ten pomysł raczej nie kręcił.
- Z początku nie - przyznał ostrożnie Andrew.
- Kim jest ten facet z pieniędzmi?
- Czy to ważne?
- Po prostu pytam.
- Nazywa się Tantris - powiedziała Irene. - I właściwie tylko tyle o nim...
- Tantris?! - Tom wlepił w ciotkę osłupiałe spojrzenie.
- Tak. O ile...
- Nie mówisz serio.
- Dlaczego? - spytała Anna ze śmiechem. - To mniej niezwykłe nazwisko niż Paleologus.
- Tak, ale... - Tom zdawał się nie pojmować czegoś, co na pozór było bardzo proste. - Niemożliwe, żeby nazywał się Tantris.
- Ale się nazywa - odrzekła Irene.
- Nie wygłupiajcie się. To żart, prawda?
- O co chodzi, Tom? - zapytał nagle Nick. - Dlaczego twoim zdaniem to niemożliwe, żeby nazywał się Tantris?
- Nie wiecie?
- Nie da się zaprzeczyć, że nie - powiedział Basil.
- Tom spoglądał na wszystkich po kolei, jak gdyby się upewniał, że nie śni. Potem rzekł:
- Przyniosę coś ze swojej torby, dobrze? Tato, dasz mi klucz?
- Marszcząc brwi, Andrew wyciągnął z kieszeni kluczyk od samochodu i podał Tomowi. Ten wybiegł z pokoju, zostawiając skonsternowaną rodzinę.
- Dziwne - mruknęła Laura.

- Faktycznie. - Anna pokręciła głową. - O co w tym wszystkim chodzi, Andrew?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Jakieś dziwaczne nieporozumienie - podsunęła Irene.

- Dziwaczność to w końcu nasza rodzinna specjalność - zauważył Basil.

- Zamknij się, Basil - warknęła Anna.

- Dziwne - powtórzyła Laura.

- Nie martwcie się. - Andrew uśmiechnął się dzielnie. -

Zaraz wszystko się wyjaśni.

Tom wrócił po kilku minutach, trzymając w ręku cienką książkę w miękkiej okładce. Klapnął na krzesło i uniósł książkę, żeby wszyscy zobaczyli tytuł. Były to wydane w klasycznej serii Penguin „Dzieje Tristana” według Béroula.

- Parę tygodni temu przysłał mi to dziadek. Dołączył kartkę: „Powinieneś to przeczytać”. Nic więcej nie napisał. Pomyślałem, że to jakiś żart, ale co miał znaczyć... - Wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie mówiłeś - powiedział z wyrzutem Andrew.

- Zdawało mi się, że to nic ważnego. Ty nie powiedziałeś mi o ważniejszej sprawie, prawda?

- Zamierzałem.

- Jakie znaczenie ma ta książka, Tom? - włączył się Nick.

- Ach, tak. Chyba wszyscy słyszeliśmy o Tristanie i Izoldzie, pierwowzorach nieszczęśliwych kochanków.

- Przypomnij nam - powiedziała Irene.

- Dobra. Przekartkowałem książkę w pociągu przede wszystkim po to, żeby zrozumieć, dlaczego dziadek mi ją przysłał. Béroul to bajarz z dwunastego wieku. Jest autorem najstarszej z zachowanych wersji tej opowieści. Tristan był bratankiem króla Kornwalii Marka, któ...

- Którego dwór miał siedzibę w Tintagel - przerwał mu Basil.

- Tak. Wydawało mi się, że o to właśnie chodziło dziadkowi. Kiedy snuł wspomnienia, opowiadał mi o legendach związanych z ruinami, które pomagał odkopywać w latach trzydziestych.

- Zawsze odnosił się do tych legend z pogardą - rzekł Nick.

Irene westchnęła.

- Mógłbyś przejść do sedna, Tom?

- Staram się. Nie chodzi o legendy. Izolda jest córką króla Irlandii. Tristan zabija w pojedynku jej wuja, ale sam zostaje ranny. Rana nie chce się goić, więc Tristan wsiada do łodzi i bez żagli i wiosł wyrusza na morze, wierząc Bogu, że zaprowadzi go tam, gdzie jego rany zostaną uleczone. Dobija do brzegów Irlandii i dostaje się na dwór królewski, udając minstrela. Jego rany opatruje Izolda, która jest obdarzona czarodziejskim dotykiem. Wyleczony Tristan wraca do Kornwalii. Izolda i on zostają kochankami dopiero później, gdy Izolda zostaje wysłana pod eskortą Tristana do Kornwalii, gdzie ma zostać żoną Marka. Matka daje jej napój miłośny, który mają wypić z królem w noc poślubną, ale w podróży przez pomyłkę Izolda wypija go z Tristanem, myśląc, że to wino. Tu zaczyna się historia tragicznej miłości. Ale wcześniej, kiedy Tristan poznaje Izoldę, używa pseudonimu, żeby nie rozpoznano w nim zabójcy jej wuja. Pseudonim jest właściwie anagramem jego imienia. Występuje jako...

- Tantris - rzekł cicho Basil.

- Co? - Irene spojrzała surowo na brata.

- Tantris - powtórzył Basil. - Oczywiście. Przystawione sylaby. Powinienem się domyślić.

- Tak. - Tom skinął głową. - Kiedy Tristan chciał ukryć swoją prawdziwą tożsamość, przybierał imię Tantrisa.

- Chwileczkę - odezwał się Andrew. - Chcesz powiedzieć...

- Nie ma żadnego Tantrisa. - Mówiąc to, Nick miał wrażenie, jak gdyby wiedział o tym już od pewnego czasu, ale -

dopiero teraz zmuszono go, by się do tego przyznał. - I nigdy nie było.

Anna wpatrywała się w niego w bezbrzeżnym zdumieniu.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o czym do diabła mówimy?

- Tantris nie istnieje - powiedział Nick. - I tyle.

- Skoro go nie ma - zaczął Basil - to znaczy...

- Że nie ma pieniędzy - szepnął Andrew, zasłaniając twarz dłonią. - Boże.

Rozdział 11

Nazajutrz o dziesiątej rano, dwie godziny przed pogrzebem ojca, Andrew, Irene, Basil, Nick i Anna ubrani na czarno i z posepnymi minami siedzieli w zagraconym biurze swojego adwokata w Plymouth. Maurice Baskcomb również miał na sobie czarny garnitur, ale choć marszczył brwi, nie wydawał się posepny. Zagniatając swe wielkie dłonie o grubych palcach, pochylał się do przodu oparty o biurko.

- Trzeba przyznać, że w trakcie mojej praktyki prawniczej, a pracuję już dość długo, nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym - powiedział, wymawiając słowa powoli i dobitnie. - Kiedy zadzwoniła pani do mnie wczoraj wieczorem...

- Przepraszam, że niepokoiłiśmy pana w domu, panie Baskcomb - rzekła Irene.

- Nie ma o czym mówić, pani Viner. Zgodzimy się chyba, że to była sytuacja wyjątkowa. Pod pewnym względem nadal jest. Zgodnie z państwa sugestią skontaktowałem się z adwokatem pana Tan... - Urwał, zacisnął usta, po czym ciągnął:

- Skontaktowałem się z panią adwokat, z którą prowadzę sprawy w państwa imieniu, panną Palmer z kancelarii Hopkins i Broadhurst z Londynu. Nie mogła powiedzieć mi zbyt dużo, gdyż obowiązuje ją zasady poufności.

- Jasne - warknął Andrew.

- Takie zasady służą ochronie klienta, panie Paleologus, nie adwokata.

- Rozumiemy - odezwała się Irene. - A co mogła panu powiedzieć panna Palmer?

- Cóż, wszystko wskazuje na to, że nigdy nie spotkała panna Tantrisa osobiście, co nie wydaje się raczej dziwne, zważywszy na niezwykle okoliczności. Rozmawiała jedynie z jego asystentką, niejaką panną Elsmore. Podąłem jej otrzymany od państwa rysopis panny Hartley i choć unikała jednoznacznej odpowiedzi, odniosłem nieodparte wrażenie, że rysopis mógłby doskonale pasować do panny Elsmore. Dziś rano skontaktowałem się również z działem kadr uniwersytetu w Bristolu. Wprawdzie na liście kadry naukowej figuruje niejaka Elspeth Hartley, ale obecnie przebywa na urlopie naukowym... w Bostonie.

- Chodzi o Boston w Lincolnshire czy ten w Massachusetts? - spytał Basil.

- O ten drugi, panie Paleologus.

- Daliśmy się jej wrobić - powiedziała Anna, w której głosie od ubiegłego wieczoru pobrzmiwała nuta niedowierzania.

- Nie ulega wątpliwości, że nie była z państwem szczerą - ciągnął Baskcomb. - A także ze mną. I z własnym adwokatem.

- Co z pieniędzmi? - zapytał Andrew, lecz drżący głos zdradzał, że już zna odpowiedź. - Gdzie jest pół miliona funtów, które Tantris miał złożyć u Hopkinsa i Broadhursta?

- Zostały wycofane w piątek późnym popołudniem - odparł ponuro Baskcomb. - Kiedy dzwoniłem do panny Palmer, okazało się, że właśnie sama zamierzała do mnie zatelefonować, aby mnie zawiadomić o tym wydarzeniu.

- W jaki sposób podjęto pieniądze? - zapytała Irene.

- Przypuszczam, że w formie czeku wystawionego przez Hopkinsa i Broadhursta.

- Wystawionego na czyje nazwisko?

- Prawdopodobnie panny Elsmore. Albo kogokolwiek innego wskazanego przez pannę Elsmore jako remitenta.

Panna Palmer nie była upoważniona do udzielenia mi tej informacji.

- Ale to jedyny sposób, żeby znaleźć łajdaka, który stoi za tym oszustwem. - Andrew spojrział na rodzeństwo, szukając poparcia. - Musi powiedzieć.

- Nie doszło do żadnego oszustwa - odrzekł spokojnie Baskcomb. - Obawiam się, że w tym wypadku możemy mówić tylko o niezwykle wyrafinowanym figlu.

- Figlu?!

- Ja też nie widzę w tym nic zabawnego, panie Paleologus.

- Ale pan na tym nic nie stracił, prawda, panie Baskcomb? Nie błysnęła panu nadzieja na porzucenie farmy, której długi rosną szybciej niż chwasty na polu, i nie zgasła równie nagle, jak się pojawiła. Boże mój, kiedy pomyślę... - Andrew odwrócił wzrok w stronę okna.

Po chwili wrócił spojrzeniem do Nicka. Tylko im było wiadomo, do czego się posunęli, żeby Tantris przypadkiem nie wycofał się z oferty. A teraz się dowiedzieli, że w rzeczywistości żadnej oferty w ogóle nie było. To był tylko żart, piekielnie udany. Ale nikt się nie śmiał. W każdym razie nikt z obecnych w biurze Baskcomb.

- Pani Viner, mówiła pani - podjął Baskcomb - że w sprawie panny Hartley jest jeszcze jeden trop, który należałoby sprawdzić.

Irene odwróciła się do Nicka, prosząc go spojrzeniem o odpowiedź.

- Wspominała o przyjaciółce, która pracuje w muzeum - rzekł. - Obawiam się jednak, że to może być kolejny podstęp. Może wybrała na chybił trafił jakieś nazwisko z listy personelu i wtrąciła do rozmowy, żeby...

- Uprawdopodobnić swoją wersję - dokończył Basil.

- Otóż to. Przez cały weekend miała wyłączony telefon komórkowy. Teraz numer jest niedostępny. Ciekawe dlaczego.

- Niestety, obawiam się, że sami państwo muszą wyciągnąć

wnioski - rzekł Baskcomb. - Ja już zupełnie nie wiem, co myśleć.

- Tak, wnioski należą do nas - mruknął Andrew. - Strata też nasza. Wystarczy dla wszystkich.

Andrew bynajmniej nie czynił aluzji do ceremonii, w której mieli niebawem uczestniczyć. Tantris wystrychnął ich na dudka, co dotknęło ich tak głęboko, że nie mogli się zdobyć na smutek, jaki powinni okazywać - i odczuwać - podczas uroczystości pogrzebowych. Kipiąc z gniewu i upokorzenia, opuścili biuro Baskcomba i znaleźli się wilgotnym powietrzem pochmurnego poranka, który nie miał nawet na tyle przyzwyczajoności, by porządnie ich ochłodzić. Dławiło ich także dotkliwie poczucie straty, którą zadała im Elspeth Hartley.

- Dziwka - syknęła Anna. - Kim ona jest? Dlaczego to zrobiła?

- To musi być jakiś duży szwindel - powiedziała Irene, nadal nie tracąc zimnej krwi. - Ale czegoś tu nie rozumiem. Co ona na tym zyskała?

- Podejrzewam, że tato mógłby nam powiedzieć - rzekł Basil.

- Co masz na myśli?

- Od razu odgadł pseudonim. Musiał. Świadczy o tym fakt, że wysłał Tomowi książkę.

- Dlaczego wysłał ją Tomowi? Dlaczego nie ostrzegł nas?

- O tym też mógłby nam powiedzieć. Niestety już za późno, żeby go spytać.

- Nie wiem, czy zniosę tę cholerną farsę - rzekł Andrew. - Może będziecie musieli przez to przejść beze mnie.

- Przejdziemy przez to razem, Andrew - powiedziała Irene. - Pora już wracać do Trennor i czekać na kondukt. Miejmy nadzieję, że Laura i Tom nie oddalili się od parkingu. Nie chcę, żebyśmy się spóźnili. - Przynajmniej jedna Irene postanowiła na czas pogrzebu zachować resztki godności. - Tylko tego nam brakuje, żeby Archie i Norma zwietryyli, co się stało. - Norma, siostra ich zmarłej matki, i jej mąż Archie,

emerytowany przedsiębiorca zajmujący się niegdyś handlem kosiarkami, zobowiązali się, że przyjadą, mimo iż gorąco ich zachęcano, żeby wymówili się wiekiem i odległością. - Kazałam Laurze nic nie mówić. Możemy polegać na Tomie?

- Oczywiście - odparł ze zniecierpliwieniem Andrew.

- To dobrze. Lepiej już jedźmy. A to... - zerknęła na okno biura Baskcomba - będzie musiało poczekać.

Ale jedna rzecz nie mogła czekać. Irene zabierała swoim samochodem Andrew, Laurę i Toma, natomiast z Nickiem mieli jechać Anna i Basil. Nick pomyślał, że zdążą jeszcze sprawdzić jego podejrzenia, czy wspominając o Tildzie Hewitt, Elspeth uciekła się do podstępu. Wysadził Annę przed muzeum, a potem krążył między Charles Cross a Drake Circus, dając jej tyle czasu, ile mogła potrzebować na załatwienie sprawy.

Gdy wrócił po dziesięciu minutach, Anna czekała już przed wejściem z wiadomościami, jakich się spodziewał.

- Tilda łaskawie zgodziła się ze mną porozmawiać i jasno dała mi do zrozumienia, że nigdy nie słyszała o żadnej Elspeth Hartley.

- Ale którą Elspeth Hartley miała na myśli? - zastanawiał się Basil, gdy jechali przez North Hill. - Tę, która wyjechała na urlop naukowy do Bostonu... czy inną?

- Inną - odrzekł ze smutkiem Nick. - Albo kogoś zupełnie innego.

- A więc tajemnicza pani zniknęła.

- Tak.

- Ale co osiągnęła?

- Nie wiadomo. - Nick wiedział jednak, że za wszystkim, co się stało, musi się kryć jakaś logika. Być może w domu nie ukryto okna Sądu Ostatecznego. Ale zwłoki pogrzebane w piwnicy były ze wszech miar rzeczywiste. Tyle że w piwnicy już ich nie było. Czyżby on i Andrew zostali wmanewrowani w brudną robotę, którą miał wykonać ktoś inny? Na pewno nie. Nikt nie mógł przewidzieć śmierci Michaela Paleolousa

i konsekwencji, jakie za sobą pociągnęła. Może jednak ktoś przewidział?

- Wiemy dokładnie, kto się zjawi? - zapytała Anna, dopiero teraz wracając myślą do mającej się niebawem odbyć uroczystości. Wyjechali na A38 i skierowali się na zachód.

- Pytasz o przyjezdnych? - upewnił się Nick.

- Pytam o ludzi, z którymi potem będziemy musieli rozmawiać przy kanapkach z wędzonym łososiem i pieczonych kielbaskach.

- Aha. Jak wiesz, będą Archie i Norma. Przypuszczam też, że wypada zaprosić Wellerów. - Wellerowie byli najbliższymi sąsiadami Michaela Paleologusa, z którymi rodzina utrzymywała przyjazne, choć luźne stosunki. - Jeżeli chodzi o ludzi z Oksfordu, przyjedzie tylko stary Farnsworth.

- O Boże - jęknęła Anna. - Miałam nadzieję, że ten lubieżnik już nigdy nie będzie mnie głaskać po tyłku.

- Widocznie uznał, że takiej okazji nie może zmarnować - rzekł Basil.

- Zamknij się, Basil.

- Ale fakt faktem, że był chyba najbliższym kolegą taty - zauważył Nick. - To naturalne, że chce go pożegnać.

- Być może - odrzekła Anna. - Mimo to, kiedy tylko zaczniesz się do mnie zbliżać, stanę pod ścianą.

- Nie martw się - powiedział Nick. - Postaram się trzymać go z daleka od ciebie. - Nagle przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby wciągnąć Farnswortha do rozmowy. Nick był przekonany, że wiedzą o ojcu mniej, niż przypuszczają. Julian Farnsworth był skrzętnym kolekcjonerem pikantnych historyjek i znał wiele ciekawych szczegółów z życia innych osób. Możliwe, że przynajmniej raz Nick chętnie posłucha, co miał do powiedzenia.

Ku swojemu zdziwieniu Nick poczuł, jak wszystkie dręczące go obawy opuściły go w chwili, gdy wsiadł do

samochoду jadącego za karawanem i uświadomił sobie, że właśnie zaczął się pogrzeb ojca. Po ostatnich wydarzeniach, w których uczestniczył, był tak oteępały, że z wdzięcznością wykorzystał odwieczną ceremonię, by przez godzinę dać myślom wytchnienie i uspokoić się błahymi, lecz wzruszającymi wspomnieniami z dzieciństwa, kiedy życie wydawało się radosne i proste. Oczywiście nie mogło to trwać długo. Był na tyle pojętym dzieckiem, aby już wtedy zdawać sobie z tego sprawę. Ale wówczas życie było cudowne. A ojciec, mimo swoich wszystkich wad, miał w tym cudzie swój udział.

Odśpiewano psalmy, odmówiono modlitwy. Proboszcz powiedział parę życzliwych słów, napomykając o sławnym rodzie, z jakiego wywodził się Michael Paleologus. Następnie kondukt przeszedł na cmentarz i patrzył, jak trumnę opuszczono w głąb ziemi, podczas gdy proboszcz wygłaszał ostatnie formułki przy wtórze krakania gawronów i szmeru wiatru w koronach cisów. Anna szlochała, Laura płakała, a ciotka Norma ocierała oczy chusteczką. Irene zaciskała dłonie odziane w rękawiczki i gęęboko oddychała.

Podchodząc do otwartej mogiły i rzucając garść ziemi na trumnę, Andrew spojrział na Nicka, przez chwilę zatrzymując na nim wzrok. Obaj pomyśleli o innym pogrzebie, o tajemnicy, którą ojciec zabrał ze sobą do grobu. Tamtych zwłok nie złożono w trumnie i nie opatrzono mosiężną tabliczką z imieniem i nazwiskiem. Niewątpliwie jednak istnieli jacyś bliscy zmarłego lub zmarłej, którzy chcieliby go albo ją pożegnać.

Żałobnicy wolno przeszli do bramy cmentarnej, gdzie Nick skromnie odsunął się na bok, a tymczasem ciotka Norma przyjmowała uściski i ciepłe słowa. Stojący za nią Archie przestępował z nogi na nogę. Wellerowie czekali nieopodal. Na końcu grupki stał Julian Farnsworth, przybrawszy minę wyrażającą wielki smutek.

Według obliczeń Nicka Farnsworth miał mniej więcej siedemdziesiąt pięć lat, choć dzięki podejrzenie ciemnym

włosom i prostej sylwetce wyglądał młodziej. Zmarszczki w kącikach ust sprawiały wrażenie, jak gdyby lada chwila miał się uśmiechnąć, a efekt ten potęgowały wesołe ogniki skrzące się w szaroniebieskich oczach. Nie przytył ani nie zmizerniał z wiekiem. Ubierał się bardziej elegancko niż większość naukowców i do niego zapewne należał ostentacyjnie paryski stary citroen zaparkowany dalej przy drodze. Miał najbardziej zadbane dłonie spośród wszystkich znanych Nickowi archeologów; według słów Michaela Paleologusa przyczyną tego był fakt, że Farnsworth nigdy nie zajmował się właściwą archeologią. Zyskał sobie przydomek Komandor, gdyż powszechnie sądzono, że oficerowie marynarki z takim stopniem nigdy nie wypływają w morze.

Jednakże przejechał dwieście mil, aby być przy ostatnim pożegnaniu starego przyjaciela i Nick miał nadzieję, że to coś znaczy.

- Doktorze Farnsworth? - ośmielił się.

- Nicholas. - Ucisnęli sobie dłonie. - Miło cię znowu widzieć, mimo tej smutnej okazji.

- Niewiarygodne, że mnie pan pamięta.

- Dzięki krzyżówce w „Daily Telegraph”.

- Proszę?

- Świetnie ćwiczysz pamięć. To bardzo ważne.

- Oczywiście.

- Nabożeństwo żałobne wyglądało jak należy.

- To dobrze. Cieszę się, że mógł pan przyjechać.

- Emerytura znakomicie odchudza terminarz, chociaż podobnie wpływa także na saldo rachunku bankowego. Poza tym w takiej sytuacji musiałem przyjechać.

- Jakiej sytuacji? - Nick był prawie pewien, że wychwylił w głosie Farnswortha jakiś dziwny ton.

- Cóż, ostatnio rozmawiałem z Michaelem...

- Tak?

- Owszem. Zmarł dwudziestego pierwszego w niedzielę?

- Zgadza się. Osiem dni temu.

- Wobec tego rozmawialiśmy kilka dni wcześniej.
- Naprawdę? - Nick starał się zamaskować zaciekawienie. - Mogę spytać, o czym pan z nim mówił?

- Proszę bardzo. Chodziło...

- Przepraszam - odezwał się jakiś głos. - Pan Paleologus?

Nick odwrócił się i ujrzał starszka przyglądającego mu się spod zmrużonych powiek. Mężczyzna był ubrany w wytarty płaszcz, czarny garnitur i białą koszulę zapiętą pod szyję, lecz nie założył krawata. Miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu, szczupłe nogi i ramiona, a budową ciała przywodził na myśl charta. W jednej ręce ścisnął ciemnobrązową czapkę, w drugiej zmiętą kartkę z porządkiem nabożeństwa. Jego siwe włosy były bardzo krótko obcięte, jak gdyby czaszkę przysypał mu jasny pył. Miał wąską, ściągniętą twarz i ciemne oczy, które spoglądały chmurnie spod przymkniętych powiek.

- Myślałem, że nie bardzo wypada przychodzić na cmentarz, w końcu nie jestem z rodziny ani nikim takim. Pewnie mnie pan nie wypatrzył z tyłu kościoła.

Chciałem się tylko przedstawić. Frederick Davey.

Nick pokrył zmieszanie uśmiechem i podał rękę Daveyowi.

- Nicholas Paleologus. A to doktor Julian Farnsworth, dawny kolega ojca. Miło mi pana poznać, panie Davey. Mieszka pan w okolicy?

- Nie, nie. W Tintagel. Nic bym nie wiedział, gdyby nie notka w gazecie.

- Przyjechał pan samochodem? - zapytał Nick, po części dlatego, że nie zauważył żadnego auta, które mogłoby należeć do Daveya, a po części dlatego, że nie miał odwagi wykraczać poza banały.

- Nie mam samochodu. Nie stać mnie.

- Wobec tego jak pan tu przybył, panie Davey? - indagał Farnsworth.

- Autobus do Plymouth przywiózł mnie do Paynter's Cross. Stamtąd kawaleczek na piechotę.

- Przyszedł pan pieszo z Paynter's Cross? - Nick był szczerze zdumiony.

- Nie miałem wyjścia. Jak już miałem tu być. Bo wydało mi się, że powinienem.

- Skąd znał pan Michaela? - zapytał Farnsworth.

- Kogo?

- Mojego ojca, panie Davey - wyjaśnił Nick.

- Och, nie zrozumiałem. Dla mnie to zawsze był... pan Paleologus. Kiedy go poznałem, to nawet młody pan Paleologus. Pomagał wtedy swojemu ojcu przy wykopaliskach.

- Wykopaliskach? - W Farnsworthie natychmiast odezwała się dusza archeologa.

- Kierował nimi doktor Radford.

- Mówi pan o pracach archeologicznych w Tintagel w latach trzydziestych?

- Nie inaczej.

- Ach, doprawdy interesujące. Na czym polegał pański udział, panie Davey?

- Zabrali mnie z kamieniołomu do czarnej roboty. Razem ze mną sporo innych. Jak teraz o tym myślę, to nie miało za dużo wspólnego z nauką.

- Fascynujące. - Mina Farnswortha wskazywała, że w jego uwadze nie było ani trochę sarkazmu.

- Nick, powinniśmy powoli wracać do domu - powiedziała Irene, nieoczekiwanie pojawiając się między nimi. - Dołącz pan do nas, doktorze Farnsworth?

- Bardzo chętnie.

- I, hm...

- Irene, to jest pan Davey. - Nick pochwycił spojrzenie siostry. - Z Tintagel.

- O której ma pan autobus powrotny, panie Davey? - spytał Farnsworth.

- Za piętnaście piąta. Wie pan, jeździ tylko jeden dzień.

- Cóż za przykra niedogodność. Mógłbym pana podwieźć kawałek... pod warunkiem, że będziemy wracać o tej samej porze.

I tak dzięki uprzejmości Juliana Farnswortha Fred Davey dołączył do grona gości, którzy stawili się w Trennor na spóźniony lunch. W sumie było piętnaście osób, trochę więcej, niż przewidywała Pru, choć przygotowując poczęstunek, nie zapomniała na wszelki wypadek o zapasie - na całe szczęście, zważywszy na szybko ujawnioną niebywałą zdolność Daveya do pochłaniania jej pasztecików.

Jego obecność stanowiła znacznie poważniejszą komplikację w innym sensie. Gdy tylko wiadomość rozeszła się wśród rodzeństwa Nicka, zapanowało napięcie, o którym wiedzieli tylko oni. Davey poświadczył zniszczony przez nich testament. Trudno było im uwierzyć, że przyjechał tu z Tintagel wyłącznie dlatego, że przed sześćdziesięciu laty pracował przy tym samym wykopalisku co Michael Paleologus. W kuchni odbyła się szeptana narada, w wyniku której uzgodniono taktykę. Irene miała nie odstępować na krok Baskomba; naturalnie należało go trzymać jak najdalej od Daveya. Anna miała pilnować Laury i Toma, aby niczego nie spocili. Rola Basila polegała na nakłonieniu Archiego i Normy do rozmowy z Wellerami. Andrew miał się dzielić z Daveyem wiedzą o tradycjach Kornwalii. Nickowi przypadła misja wysondowania Farnswortha na temat jego niedawnej rozmowy z ojcem - wszyscy się zgodzili, że jest najbardziej kompetentną osobą do takiego zadania.

Na początek wykonał zręczny manewr, zwabiając Farnswortha do gabinetu, by pokazać mu imponujący księgozbiór Michaela Paleologusa składający się z dzieł poświęconych archeologii. Farnsworth zdążył przejechać palcem kilka grzbietów książek, gdy Nick przypomniał mu, o czym rozmawiali przy bramie cmentarza tuż przed pojawieniem się Daveya.

- Ach, tak. Skoro o tym mowa, spodziewałem się spotkać tu Davida Andersona.

- Tak?

- Gdy rozmawiałem z Michaelem, wspominał, że kontaktował się także z Andersonem. Młodzieniec całkiem niezłe

sobie radzi, zważywszy na jego przeciętne warunki intelektualne. Na pewno był idealną osobą do załatwienia sprawy, o jaką prosił go Michael.

- Chodziło o jakieś badania archiwalne w Bibliotece Katedry Exeter.

- Ach. A więc byłeś wtajemniczony w studia Michaela.

- Częściowo. W zeszłym tygodniu rozmawiałem z Davidem Andersonem. Chciał przyjechać na pogrzeb, ale na przeszkodzie stanął mu rozkład zajęć w szkole.

- Przykre. Co Michael kazał mu wyszperać w Exeter?

- Miało to związek z siedemnastowiecznym lokatorem tego domu, niejakim Mandrellem.

- Doprawdy? - Mina Farnswortha nie zdradzała żadnych emocji.

- Nic panu nie mówił... o Mandrellu?

- Zupełnie nic. Zapewne uznał, że to nie ma sensu. Żaden ze mnie historyk. Archeolog też nie bardzo, zdaniem Michaela. Żeby to porządnie robić, trzeba się grzebać w brudzie.

- Wobec tego po co tato się z panem kontaktował?

- Pytał o dawnego znajomego. To bliższe mojej specjalności. Chociaż jak się okazało, nie potrafiłem mu pomóc.

- Co to za znajomy?

- Digby Braybourne. Słyszałeś o nim?

- Nie sądzę.

- Niby gdzie miałbyś słyszeć. Rówieśnik Michaela. Też archeolog. Był krótko jego kolegą na Brasenose College. Zabawna postać. Mam parę miłych wspomnień z nim związanych. Niestety opuścił Oksford okryty niesławą.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu, który zaprowadził go na pewien czas do więzienia. O ile sobie przypominam, chodziło o oszustwo. Potwierdził autentyczność fałszywych artefaktów przeznaczonych dla jednego z domów aukcyjnych i skompromitował przez to uniwersytet. Po czymś takim raczej nie można liczyć na miejsce parkingowe na terenie college'u. Wyrzuciliby

Digby'ego bez względu na wyrok sądu.

- Kiedy to się zdarzyło?

- Och, ponad czterdzieści lat temu. Niech pomyślę. Tak. Chyba w jesiennym trymestrze pięćdziesiątego siódmego.

- I Braybourne trafił za kratki?

- Niestety tak. Kilka razy odwiedziłem go w więzieniu w Reading, ale w przeciwieństwie do mnie nie uważał, że to było miłe z mojej strony. Poprosił, żebym przestał przychodzić. A więc przestałem. Później nigdy go już nie widziałem. Nie wrócił ani na Oksford, ani do Oksfordu.

- Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia. I tak powiedziałem Michaelowi. Ale... obiecałem, że popytam. Jak dotąd nie dowiedziałem się niczego. Kamień w wodę.

- Po co tato chciał go odnaleźć po tylu latach?

- Podobno w związku ze zjazdem kolegów z wojska. Służyli razem podczas wojny.

- Tak? - Nick był zdumiony. O ile wiedział, ojciec nigdy nie uczestniczył w pułkowych zjazdach. Nie wracał we wspomnieniach do czasów wojny. Mawiał, że spełnił obowiązek wobec króla i kraju, nie narażając się na zbytne ryzyko. Większą część wojny przebywał na Cyprze, który szczęśliwie ominęły wszystkie walki. - Sądzi pan, że to się miało odbyć na Cyprze?

- Całkiem możliwe. Pamiętam, jak obaj wspominali, że stacjonowali w basenie Morza Śródziemnego.

- Tak zawsze mówił tato.

- No więc sprawa wyjaśniona. Przypuszczam, że ... odwiedzali inne miejsca.

- Niewykluczone.

- Któż to może wiedzieć?

- Zapewne Digby Braybourne.

- Rzeczywiście. Ale gdzie jest Digby? - Farnsworth się uśmiechnął. - To właśnie w jego stylu. Kiedy jest potrzebny, nigdzie nie można go znaleźć.

Przyjęcie dobiegło końca spokojnie i bez żadnych incydentów. Archie się upił, czego nie było w programie. Anna uniknęła molestowania ze strony Farnswortha. Okazało się, że pani Weller ukończyła szkołę Laury, co uradowało ją bardziej niż Laurę. A Fred Davey nie miał okazji porozmawiać z Baskcombem o żadnych testamentach. Niepokojąca była jednak myśl, o czym będzie miał okazję porozmawiać z Farnsworthem w drodze powrotnej do Tintagel.

Nawet gdy żałobnicy wyszli w nie do końca żałobnych nastrojach, Nick i jego rodzeństwo nie mogli przeanalizować zaskakującej i nieszczęśliwej odmiany losu wraz z jej wszystkimi konsekwencjami. Wspólnym wysiłkiem posprzątały po gościach i załadowali zmywarę, przyspieszając wyjście Pru o dobrą godzinę, lecz nadal przeszkadzał im fakt, że Laura i Tom nic nie wiedzieli - i nie wolno było dopuścić, aby dowiedzieli się czegokolwiek - o drugim testamencie dziadka. Oczywiście Nick i Andrew ukrywali własny potworny sekret, wobec którego spalenie testamentu wydawało się niezwykle błahym czynem. Ale nie mogli o tym mówić. Nick nie przypuszczał też, że mogliby znaleźć sposobność do poruszenia tego tematu przed jego powrotem do Milton Keynes.

- Czyli z tymi pieniędzmi nabili nas w butelkę - zauważył beztrosko Tom, gdy przestali już rozmawiać o pogrzebie, a on, uraczywszy się wcześniej sporą ilością wina, otworzył sobie grolscha.

- Ta cała Hartley was nabrała? - spytała Laura.

- Na to wygląda - odrzekła Irene.

- I co chcecie z tym zrobić?

- Nic nie możemy zrobić.

- Moglibyście spróbować ją znaleźć - zasugerował Tom.

- I co byśmy wskórali? Okpiła nas, ale oszustwa jako takiego nie popełniła.

- Mimo to - odezwał się Nick - kiedy jutro będę wracał, zamierzam się zatrzymać w Bristolu i sprawdzić, czy

prawdziwa Elspeth Hartley rzeczywiście jest w Bostonie.

- Wyjeżdżasz jutro? - Andrew wyglądał na wstrząśniętego tą wiadomością.

- W środę mam się stawić w biurze.

- Życie toczy się dalej - powiedziała Anna. - Praca też. I nieprędko będzie można ją rzucić. Tantris zniknął jak sen.

- Zawsze możemy sprzedać dom - zauważyła Irene.

- Tak. Ale nie tak szybko. I nie za taką cenę.

- Jaki w ogóle był sens tego numeru? - zapytał Tom. - Skoro, jak mówicie, nie doszło do prawdziwego oszustwa. Jaki mogła mieć cel?

- Nie wiemy - odrzekła Irene.

- O coś jednak musiało chodzić.

- Najprawdopodobniej.

- Rozumie się. W każdym razie dziadek od razu skojarzyłby to z Tristanem i Izoldą. Wiedziałyby, że Tantris to blagier, nie?

- Tak.

- Dlaczego więc tego nie ujawnił?

- Ależ ujawnił, Tom - powiedział Basil. - Dał znać tobie.

- W porządku, ale jaki z tego pożytek? To wy powinniście wiedzieć. Dlaczego wam nie powiedział?

Dobre pytanie. Tylko nikt nie znał na nie odpowiedzi. W każdym razie nikt się nie przyznał, że się jej domyśla, lecz Nickowi zakiełkowała w głowie straszna myśl. Michael Paleologus musiał od początku przejrzeć grę Elspeth. Nie mógł jednak głośno o tym mówić, ponieważ wiedział, co spoczywa w piwnicy pod podłogą. Mógł jedynie wysłać wiadomość do Toma w przekonaniu, że Tom nieprędko zawita na południe, chyba że wydarzyłaby się śmierć w rodzinie - na przykład śmierć dziadka. Michael Paleologus był gotów ostrzec dzieci, ale chciał to zrobić dopiero wówczas, gdy nie będzie już musiał ponieść konsekwencji. Co oznaczało, że przewidział swoją śmierć. A przewidziana śmierć to raczej nie wypadek.

Irene i Laura wyszły o zmierzchu. Wieczorem Irene musiała jak zwykle otworzyć Old Ferry; wszystko wskazywało na to, że pub będzie czynny jeszcze przez wiele wieczorów, skoro nagle się okazało, że kura, która miała im znieść złote jajo, zniknęła. Przez całe popołudnie było widać, że Irene wolała-by się wyrażać o wiele jaśniej, doskonale jednak nad sobą panowała.

Trudno byłoby powiedzieć to samo o Annie, która wprawdzie milczała, lecz wszyscy widzieli, że kipi z wściekłości. Kiedy Tom oświadczył, że idzie zapalić i zaczerpnąć świeżego powietrza, nikt nie miał ochoty mu towarzyszyć, ale nie dlatego, że - jak zauważył jego ojciec - chłopak prawdopodobnie nie zamierzał palić tytoniu. Po prostu chcieli skorzystać z okazji i swobodnie porozmawiać.

- Andrew, Davey pytał cię o kuzyna Demetriusa? - wyrzuciła z siebie Anna, gdy tylko za Tomem zamknęły się drzwi.

- Nie. Ale gdyby spytał, o wiele mniej bym się niepokoił. Bo musi o nim wiedzieć, nie?

- Niekoniecznie - rzekł Basil.

- Wie - upierał się Andrew. - Pytał mnie, czy to jest cała rodzina. Po co by pytał, gdyby nie miał wątpliwości, że niktogo nie brakuje?

- Może to było całkiem niewinne pytanie.

- Niewinne, akurat.

- Niczego nie potrafi udowodnić - powiedziała Anna.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. Jeżeli zachował kopię testamentu, to nawet te psie pieniądze, które mieliśmy ocalić z całego bałaganu, przejdą nam koło nosa.

- To nie są takie psie pieniądze - zaprotestował Nick.

- Łatwo ci mówić.

- Wcale nie łatwo, Andrew. Nadstawiłem karku tak samo jak ty.

Bracia patrzyli na siebie przez chwilę. Nick obwiniał Andrew za to, że zabronił mu powiadomić policję, co powinni uczynić, gdy tylko znaleźli zwłoki w piwnicy. Teraz nie roztrząsaliby

szczegółów oplakanej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nick nie mógł otwarcie oskarżyć brata, ale jego wzrok mówił wszystko.

- Wszyscy nadstawiliśmy karku - powiedziała Anna, nie zdając sobie sprawy z prawdziwego sensu słów Nicka. - Sztubackie kłótnie w niczym nam nie pomogą.

- Mówisz jak Irene - rzekł Basil.

- Zamknij się, Basil. To bardzo ważne. Czy z tego, co ci powiedział Farnsworth, mogłoby wynikać, że słyszał kiedyś od taty o kuzynie z Wenecji?

- Nie. - Z sobie znanych powodów Nick nie był skłonny rozwijać wypowiedzi.

- No i dobrze. To czysta paranoja podejrzewać, że Davey może mieć kopię testamentu. Założę się, że zniszczyliśmy jedyny egzemplarz.

- O co jesteś gotowa się założyć? - spytał ponuro Andrew.

- O wszystko, bo wiem, że wygram. Wkurza mnie to wszystko tak samo jak ciebie, Andrew, ale...

- Wątpię.

- W porządku. Proszę bardzo, mogę ci odstąpić palmę pierwszeństwa. Chciałabym odszukać tę dziwkę Hartley, ale nie sądzę, żebym miała okazję. Nie wiem, dlaczego zrobiła nam tak okrutną sztuczkę, ale jedyny sposób...

- Musi być jakiś powód - rzekł Basil.

- Naprawdę? - Anna spojrzała na niego.

- Jaki?

- Nie wiem.

- Otóż to. Ty nie wiesz. Ja nie wiem. Żadne z nas nie wie. Nie przypuszczam, żeby Elspeth Hartley zamierzała nam wyjaśnić. Proponuję więc, żebyśmy się zastanowili, jak najlepiej na tym wszystkim wyjść.

- Ach, tak. Filozofia ostatniej deski ratunku.

- Dzięki temu, że w zeszłym tygodniu wrzuciliśmy ten dokument do ognia, mamy dom do podziału w równych częściach. Tylko to się teraz liczy. Resztę potraktujmy jak przegrany los na loterii. Musimy o tym zapomnieć. Kiedy wyjedzie

Laura, porozmawiam z Irene, ale jestem pewna, że się zgodzi. Trzeba żyć dalej, jak gdybyśmy nigdy nie słyszeli o Elspeth Hartley.

- A o kuzynie Demetriusie? - spytał Andrew.

- O nim też. Szczególnie o nim. Odkreślamy sprawę grubą kreską, chłopcy. - Anna pociągnęła łyk ginu z tonikiem. - Pora wrócić do swoich zajęć.

Nick nie pragnął niczego więcej, jak wrócić do swoich zajęć. Miał nadzieję, że monotonia życia w Milton Keynes pozwoli mu szybko zapomnieć o wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Po wyjściu ostatnich gości poszedł do gabinetu i popatrzył na fotografię ojca, dziadka i Ralegha Radforda zrobioną w Tintagel w 1935 roku. Michael Paleologus miał wówczas dziewiętnaście lat, choć z poważną miną i w tweedowym „dorosłym” ubraniu wyglądał na starszego. W tle majaczyły dwie niewyraźne sylwetki, których Nick przedtem nie zauważył: dwaj robotnicy, którzy opierając się o łopaty, spoglądali w obiektyw. Widać ich było tylko od pasa w górę, ponieważ stali w wykopie. Czyżby jednym z nich był Fred Davey? Nick przyglądał się bardzo długo i uważnie, lecz wiedział, że nie może mieć pewności. Zresztą to i tak było bez znaczenia. Przecież Davey tam wtedy był. W jakimś sensie Nick nie potrafił pojąć, że ten fakt ma znaczenie.

Widok zwłok ukrytych przez ojca tak bardzo wrył mu się w pamięć, że Nick ujrzał je oczyma duszy. We śnie znów schodził do piwnicy i widział, jak unosi się płyta, a światło pada wprost na niewidzące puste oczodoły nagiej czaszki. Mijała noc, mroczna i cicha godzina za mroczną i cichą godziną, podczas których makabryczny obraz budził go nie raz i nie dwa, lecz trzy razy.

Jeszcze przed świtem Nick wstał, umył się i spakował. Chciał już jechać, być sam daleko stąd. Zamiast czekać na Pru, jak mówił wcześniej, postanowił napisać jej wiadomość. Zjadł szybko śniadanie, a gdy budził się późny, szary

i mglisty dzień, wyszedł do auta, żeby przed podróżą sprawdzić opony i dopełnić pojemnik spryskiwacza.

Wskaźnik ciśnienia był w schowku. Gdy Nick otwierał drzwi od strony pasażera, zobaczył leżący na siedzeniu przedmiot, którego przedtem nie było. Była to duża, brązowa niezaklejona koperta, w której mieściło się coś sporego. Na kopercie widniał adres wypisany flamastrem dużymi literami: DETEKTYW WISE, KOMISARIAT POLICJI W CROWNHILL, PLYMOUTH.

Nick patrzył przez chwilę na kopertę, zastanawiając się, co może być w środku i jak się znalazła w jego samochodzie. Wszystkie szyby były całe; drzwi dokładnie pozamykane. Ktoś musiał pożyczyć sobie kluczyk, który Nick miał w kieszeni płaszcz. Od powrotu z Plymouth poprzedniego rana płaszcz wisiał w korytarzu. Ktoś z gości musiał wziąć kluczyk, wymknąć się na podwórko i niepostrzeżenie wrócić. Nie było to trudne. Mogło trwać nie dłużej niż wyjście do toalety. Tylko kto zrobiłby coś podobnego? I po co?

Nick wziął kopertę i wysunął jej zawartość na siedzenie. Była to kasetka wideo. Ktokolwiek ją tu włożył, chciał, aby Nick ją obejrzał - zanim zrobi to policja.

Kilka minut później Nick siedział w salonie, wpatrując się w ekran telewizora.

Zdjęcia zostały zrobione w nocy, kamerą czułą na podczerwień. Nick rozpoznał ziarnisty, rozjaśniony obraz, taki jak w wojennych materiałach filmowych pokazywanych w wiadomościach telewizyjnych. Nie były to jednak zdjęcia z wojny. Był to widmowy krajobraz Bodmin Moor w nocy, dziwnie przypominającej dzień. Kamera pokazywała przekaźnik na Caradon Hill i odległy garb Kit Hill na tyle długo, by widz mógł ustalić przybliżoną lokalizację. Później obiektyw przesunął się, ujmując bliższy szczegół: ogrodzoną kępę krzewów i jeżyn. Nick doskonale wiedział, co to jest. Wiedział też, co zaraz zobaczy.

Na poboczu drogi z niższej strony zbocza zatrzymał się samochód, którego kształt bez trudu pozwalał odgadnąć

markę - Land-Rover. Reflektory zgasły. Minęło kilka minut i z auta wysiadły dwie postacie, rozglądając się dookoła. Niełatwo byłoby je zidentyfikować, lecz dla Nicka były aż nazbyt rozpoznawalne. Otworzyły tylną klapę land-rovera, wyciągnęły pakunek długości około sześciu stóp i zaczęły wnosić w górę zbocza, dopóki nie znalazły się mniej więcej dwadzieścia jardów od kamery. Uniosły dolną część siatki, a jedna z postaci przeczołgała się na drugą stronę ogrodzenia, ciągnąc za sobą pakunek. Druga włączyła latarkę, której snop światła wyglądał na filmie jak kropla kwasu. Pakunek został wepchnięty dalej, po czym zniknął. Latarka zgasła. Człowiek z ogrodzeniem wyczołgał się z powrotem, a potem wraz z towarzyszem zszedł do auta.

Kiedy wsiadali do land-rovera, kamera zaczęła się poruszać. Obraz podskakiwał, podczas gdy operator zbiegał za nimi ze zbocza. Samochód zawrócił na trzy i zanim zdążył cofnąć przy drugim manewrze, obiektyw znalazł się raptem kilka jardów od tylnego zderzaka, ustawiając ostrość na tablicy rejestracyjnej. Przez kilka sekund dokładnie było widać numer, a następnie land-rover ruszył z powrotem i gdy nabierał prędkości, kierowca włączył światła. On i jego towarzyszy byli pewni, że po swojej wizycie nie zostawili żadnych śladów.

Rozdział 12

Farma Carwether.

- Andrew, to ja.
- Nick? Wcześniej wstałeś.
- Tak. Słuchaj... kiedy wyjeżdża Tom?
- Ma pociąg o jedenastej. Czemu pytasz?
- Mogę wpaść, kiedy pojedzie?
- Chyba tak. Ale mam parę rzeczy do zrobienia. W końcu prowadzę farmę.
- To ważna sprawa. Bardzo ważna.
- Myślałem, że dzisiaj wracasz do domu.
- Musisz coś zobaczyć, Andrew. Uwierz mi.
- Co?
- Nie mogę ci wytłumaczyć przez telefon. Masz magnetowid?
- Tak. I co z tego?
- Czekaj na mnie koło południa. I nie mów nic Tomowi.

Do umówionej godziny Nick miał mnóstwo czasu, by przemyśleć sytuację. Odtwarzał taśmę wielokrotnie, dopóki nie zapamiętał każdej ziarnistej klatki filmu. Na próżno usiłował wydedukować motywy tajemniczego operatora, który

sfilmował ich tamtego wieczoru. I na próżno usiłował postawić, co mają z tym począć. Opuścił dom krótko przed spodziewanym przyjściem Pru i ruszył okrężną drogą przez Launceston, aby pod żadnym pozorem nie zbliżyć się do Carwether przed wyjazdem Toma. Kiedy wjeżdżał na podwórko farmy, właśnie mijala dwunasta. Andrew był niezadowolony. Telefon Nicka zaniepokoił go i konieczność ukrycia swojego nastroju przed Tomem sporo go kosztowała. Oczywiście to było nic w porównaniu ze stanem, w jakim się znalazł po obejrzeniu filmu wideo.

- O Boże - powiedział półgłosem, kiedy skończyła się kasetta. - O Boże.

- Chcesz to zobaczyć jeszcze raz?

- Co?

- Pytam, czy chcesz to zobaczyć jeszcze raz?

- Nie. - Andrew przetarł oczy, usiłując zebrać myśli. - Nigdy więcej nie chcę tego oglądać.

- Ale to istnieje, czy nam się podoba, czy nie. I naiwnością byłoby przypuszczać, że to jedyny egzemplarz.

- Pokaż mi kopertę.

- Proszę. - Nick podał ją bratu.

Andrew przez kilka sekund wpatrywał się w nazwisko i adres.

- Co to znaczy?

- Nie jestem pewien. Ktokolwiek podrzucił mi to do auta, chciał nam coś przekazać. To wiadomość. Zamierzają to wysłać policji. Albo być może wysłają. Albo już wysłali.

- Co policja z tego zrozumie?

- Z filmu chyba niewiele. Na przykład, że wpadliśmy na niedorzeczny pomysł i zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby wyrzucić dywan w niedozwolonym miejscu. Gdyby jednak dołączyli do tego list z sugestią, że to coś więcej niż dywan... - Nick wzruszył ramionami. - Chyba policja musiałaby przeprowadzić dochodzenie.

- Znaleźliby szyb na podstawie widoku i odległości przekątnika na Caradon Hill.

- Tak.
- I znaleźliby tam ciało.
- Tak.
- A potem zaczęliby mnie szukać. Numer rejestracyjny widać wyraźnie.
- Tak.
- Niech to szlag. - Andrew rzucił kopertę, wstał i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na mokre i targane wiatrem podwórko. Nagle odsunął się i szybkim krokiem zbliżył do telewizora. Wcisnął guzik w magnetowidzie, wyciągając kasetę. - Kto to zrobił, Nick? - spytał niemal retorycznie.
- Ktoś musiał mi to podrzucić do auta podczas stypy. W korytarzu wisiał mój płaszcz, kluczyki miałem w kieszeni.
- To nam ogranicza pole poszukiwań.
- I to chyba do dwóch osób. Rzecz jasna, nie biorę pod uwagę rodziny, Pru, Baskcomba i Wellerów. Zostają...
- Farnsworth i Davey.
- Tak.
- Któryś z nich.
- Albo obaj. Pamiętaj, że wyszli razem.
- Ale nie mogli tego nakręcić. - Andrew uderzył dłonią w kasetę. - Na oko żaden z nich nie jest na tyle bystry czy raczej nie orientuje się aż tak w technice.
- Zgadzam się.
- Wobec tego to musiała być Elspeth Hartley.
- Na to wygląda.
- Od początku wiedziała, że tam są zwłoki, nie? Na tym wszystko polegało. Musiała nas śledzić, kiedy w sobotę rano pojechaliśmy do Minions, i patrzyła, jak zaglądamy do szynku. Stąd wiedziała, gdzie się ma zacząć z kamerą. I nie zawiedliśmy jej, co?
- Rzeczywiście cały czas wyprzedzała nas o krok.
- Tak. I ciągle jest przed nami. Ciekawe, co jej zdaniem zrobimy z kasetą?
- Nie jestem pewien. Może daje nam szansę, żebyśmy poszli na policję, zanim na nas doniesie.
- Po co miałyby to robić?

- Nie wiem. Ale przecież...
- Co?
- Nie wiemy, po co w ogóle to wszystko zaczęła. Tak naprawdę nie wiemy o niej kompletnie nic.
- Znamy tylko ludzi, z którymi gra w jednej drużynie. - Andrew patrzył na kasetę, którą trzymał w ręku. - Siedzi wygodnie, czekając na nasz następny ruch, śmieje się z nas i bawi naszym kosztem.

- Nie jestem pewien, czy...

Rozległ się głośny trzask, gdy Andrew włożył palce pod plastikową klapkę kasety i wyłamał ją, wyszarpując kawałek taśmy. Potem zaczął wyciągać resztę, dysząc ciężko i ściskając coraz większy kłęb taśmy, dopóki nie zerwała się ze szpulki. Cisnął pustą kasetę na podłogę i ze splątaną taśmą pobiegł do kuchni.

- Co ty wyprawiasz?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Nick poszedł za nim. Andrew stał przy piecu oparty o drążek, wrzucając właśnie taśmę do ognia. Z hukiem zamknął piecyk i odwrócił się wolno.

- Chcesz mi powiedzieć, że szkoda wysiłku na palenie taśmy, tak?

- Musimy założyć...

- Wiem, co musimy założyć. - Andrew chwycił płaszcz i ruszył do drzwi. - Że zdarzy się najgorsze cholerstwo.

- Dokąd idziesz?

Jedyną odpowiedzią było głośne trzaśnięcie drzwi. Nick chciał iść za Andrew, lecz zatrzymał się w pół kroku. To nie miało sensu. Cokolwiek by mu powiedział, Andrew nie chciał słuchać. Usłyszał okrzyk: „Zostań!”, skierowany do psa, a potem rozległ się odgłos silnika land-rovera. Po chwili za oknem przemknął cień. Andrew odjechał.

Po kilku minutach Nick ruszył z powrotem do Trennor, tym razem wybierając najkrótszą drogę. Nie wiedział, jakie jest najlepsze wyjście. Iść na policję? Wracać do Milton Keynes i czekać, co się stanie? Dlaczego Elspeth dawała im wybór? Czego od nich chciała? Czego się spodziewała?

W głowie krążyło mu mnóstwo pytań, na które próżno szukał odpowiedzi. Ściśle rzecz biorąc, nie wiedzieli, czy film wideo jest dziełem Elspeth Hartley. Nie mogli też mieć pewności, czy kasetę do samochodu Nicka rzeczywiście podrzucił Farnsworth lub Davey, choć trudno było sobie wyobrazić, by znalazła się tam w inny sposób. Będzie musiał porozmawiać z Andrew później, gdy brat trochę się uspokoi, uzgodnić z nim następny krok. Tymczasem...

Nagle poraziła go pewna myśl. Ten, kto włożył kasetę do samochodu, bez wątpienia miał dostęp do bagażnika, gdzie Nick ukrył kopertę z zawartością teczki, w której ojciec przechowywał dokumentację jego załamania psychicznego. Czy jeszcze tam jest? Nick wcisnął gaz, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do najbliższej zatoczki.

Okazało się, że wszystko znajduje się w najlepszym porządku. Nic nie wskazywało, by ktoś majstrował przy kopercie. Nick stał nad otwartym bagażnikiem smagany chłodnymi podmuchami wiatru znad wrzosowiska, kartkując świadectwa swojej chwilowej utraty kontroli nad rozumem. Nic nie zniknęło, żaden list, żaden rachunek. A także żadne inne dokumenty.

Jego niecierpliwe palce natrafiły na wydrukowany program uroczystości wręczenia dyplomów, na której miał być nieobecny. Wyciągnął kartkę i przez chwilę na nią patrzył. U góry było napisane: „Uprasza się gości, aby wchodzili i wychodzili z budynku Senatu tylko podczas przerwy między prezentacją kandydatów poszczególnych college'ów”. Niżej: „Palenie i fotografowanie wzbronione”. I data: „piątek, 29 lipca 1979 r.”. Dalej widniały nazwiska pogrupowane w równych kolumnach. Nick wiedział, że mógłby znaleźć własne w spisie abiturientów uczestniczących w ceremonii *in absentia*. Pewnie ojciec poprosił, by przysłano mu ten program jako drobną, lecz przykrą pamiątkę imprezy, w której miał nadzieję uczestniczyć osobiście i przyglądać się z dumą...

W tym momencie Nick przypomniał sobie o bracie Elspeth, który tego dnia rzekomo miał odbierać swój dyplom. Oczywiście to musiało być kolejne kłamstwo mające wyjaśnić, skąd wiedziała o załamaniu Nicka. Tylko po co w ogóle kłamała? Co chciała przez to osiągnąć?

A może to była prawda i ten jeden jedyny raz nie skłamała? Nick zamknął bagażnik i z programem w ręku wsiadł do samochodu. Zaczął przeglądać listę nazwisk, nie wiedząc właściwie, kogo szuka. Na pewno nie Hartleya. Ale kogoś, jakiegoś śladu. King's College, Trinity, St John's, Peterhouse, Clare...

- O Boże - usłyszał własny głos. Jego drżący palec zatrzymał się na spisie absolwentów Clare College. „Braybourne, Jonathan Charles”.

Dotarł do Trennor, gdy Pru szykowałą się do wyjścia. Powiedział jej, że zostanie jeszcze co najmniej dzień, i odprowadził staruszkę do drzwi. Następnie zaczął telefonować, ale niewiele wskórał. W Clare College nie znali obecnego adresu Jonathana Braybourne'a, lecz gdyby nawet nim dysponowali, nie podaliby go Nickowi, choć chętnie przekazaliby list. Gdy Nick usiłował zasięgnąć informacji na temat Elspeth Hartley, uniwersytet w Bristolu nieufnie odesłał go do uniwersytetu w Bostonie, gdzie w centrali zaproponowano mu, żeby zostawił wiadomość. W danych personalnych nie mieli jej adresu domowego ani telefonu. Nick bez przekonania podał swój numer, prosząc, aby do niego zadzwoniła, i na tym zakończył poszukiwania.

Pozorny przełom prowadził donikąd. Taka była prawda, z którą zrezygnowany Nick musiał się pogodzić. Wyszedł pobiegać w nadziei, że wysiłek fizyczny pomoże mu odzyskać jasność myśli. I w pewnym stopniu się udało. Nagle zrozumiał, że Jonathan Braybourne i Elspeth Hartley - prawdziwa Elspeth Hartley - to fałszywy trop. Być może celowo mu go podsunęto, aby odwrócić jego uwagę. Jedyny pewny punkt stanowiły pieniądze zdeponowane u Hopkina i Broadhursta.

Komu je wypłacono? Odpowiedź na to pytanie wydawała się kluczowa.

Otwierając drzwi do Trennor i wpadając bez tchu do środka, Nick usłyszał dzwonek telefonu. Pobiegł go odebrać, zastanawiając się po drodze, czy nie dzwoni przypadkiem prawdziwa Elspeth Hartley. Ale to nie była ona.

- Nicholas? Dzięki Bogu, że cię zastałem. Mówi Julian Farnsworth.

- Doktor Farnsworth? Czym mogę służyć?

- Dzwonię z Tintagel.

- Cóż pan tam robi?

- Przed powrotem do Oksfordu postanowiłem spędzić tu kilka dni. Ale nie o tym chciałem mówić. Dzwonię w sprawie twojego brata.

- Mojego brata?

- Andrew.

- Tak?

- Bardzo dziwnie się zachowuje. Spotkałem go w domu pana Daveya.

- Był pan u Daveya?

- Owszem. Chciałem go wypytać o wykopaliska. Wtedy zjawił się twój brat. Sprawiał wrażenie, najłagodniej rzecz ujmując, podenerwowanego. Oskarżył nas... hm, o jakiś spisek przeciw niemu - i przeciw tobie. To, co mówił, nie miało najmniejszego sensu. Zaczął nam wymyślać. Należałoby powiedzieć, że urządził awanturę. Wyszedł dopiero, gdy zagroziliśmy, że wezwiemy policję. Naprawdę się przestraszyłem, że dojdzie do rękoczynów. I nadal się boję.

- Nic nie rozumiem. - Nick skłamał odruchowo. Doskonale rozumiał, że widok Farnswortha i Daveya razem stanowił dla Andrew potwierdzenie jego najgorszych podejrzeń. Nie rozumiał jednak, dlaczego Andrew doszedł do wniosku, że najlepszą rzeczą, jaką powinien zrobić w tej sytuacji, jest wyjazd do Tintagel i konfrontacja z Daveyem oraz, jak się okazało, Farnsworthem. Może Andrew po prostu przestał

myśleć. Je żeli tak, Nick będzie musiał myśleć za nich obu. - Gdzie jest teraz Andrew?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Wpadł do domu jak burza i tak samo wypadł. Ale powiedział, że wróci. Pan Davey potraktował to jako groźbę i wcale mu się nie dziwię. W zależności od tego, czy twój brat wie, gdzie jestem...

- A gdzie pan jest?

- W hotelu Zamek Camelot. Na cyplu.

- Chce pan, żebym przyjechał?

- Raczej tak. Nicholasiu, podejrzewam, że on czai się gdzieś w pobliżu. Czyha na właściwy moment. Czeka, aż zapadnie zmrok. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby przez moją beczynność coś się stało panu Daveyowi. Mam nadzieję, że myślisz podobnie.

- Naturalnie, niemniej...

- Spodziewam się ciebie najdalej za godzinę.

- Tak, ale...

Nie mógł już nic więcej powiedzieć. Po drugiej stronie zapanowała cisza.

Aby zdążyć w godzinę, nie miał chwili do namysłu. Jechał szybciej niż zwykle, zmiierzając na północ. Po południu zaczęło się przejaśniać, gdy przenikliwy wiatr znad Bodmin Moor porozrywał chmury na niewielkie szare strzępki, omiatając ziemię chłodnym tchnieniem. Nisko nad horyzontem ukazało się słońce, którego oślepiające promienie kładły się ukośnie na wzgórze.

Nick uświadomił sobie, że ostatni raz był w Tintagel ponad dwadzieścia lat temu, mimo to nie sądził, by nawet tak długi okres w znaczącym stopniu zmienił to miejsce. Skorupa średniowiecznego zamku nadal tkwiła tam, gdzie zawsze, na skalistym, targanym przez sztormy nabrzeżu, które w tym miejscu tworzyło coś w rodzaju wyspy. Wzdłuż głównej ulicy miasteczka wciąż mieściły się liczne puby, kawiarenki i sklepy z pamiątkami, o tej porze roku zapewne w większości pozamykane. Parkingi prawdopodobnie będą puste, a droga

prowadząca do zamku niemal wyludniona. Miasteczko będzie drzemało pogrążone w posezonowym letargu.

Wyjeżdżając zza zakrętu położonej wyżej drogi, Nick ujrzał nagle pod sobą poszarpaną linię wybrzeża i niebieskoszare spienione morze, którego fale rozbijały się o czarne skały. Między Barras Nose i Tintagel Island wrzynającymi się w głąb oceanu, na płaskim skrawku ziemi stał hotel Zamek Camelot, o wiele bardziej przypominający zamek niż pobliskie ruiny - wiktoriańska budowla, która miała służyć jako hotel na końcu linii kolejowej z Camelford, nigdy zresztą niewybudowanej.

Gdy Nick zjeżdżał ze wzgórza do wioski Bossiney, która dzięki rozwojowi turystyki stała się częścią Tintagel, wybrzeże wraz z hotelem zniknęło mu z oczu. Wówczas przypomniał sobie opinię o Tintagel, którą nieraz słyszał od ojca. „To miejsce wydaje się dziwne, ale jest jeszcze dziwniejsze, niż się wydaje”.

Główna ulica wyglądała jednak zupełnie prozaicznie i bezbarwnie i zgodnie z przewidywaniami Nicka panował na niej zupełny bezruch. Nie miał powodu zatrzymać się w drodze do hotelu - dopóki nie ujrzał należącego do Andrew land-rovera zaparkowanego pod pubem Sword and Stone.

Nick zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i wysiadł z samochodu. Nigdzie w pobliżu nie dostrzegł brata. Pub miał surowy fronton, z którego odłaziła farba, opatrzony wywieszką NAJWIĘKSZE PASZTECIKI W MIEŚCIE i sprawiał wrażenie najgorszej gospody w Tintagel, lecz był otwarty. Nick przeciął ulicę i wszedł do baru.

Wewnątrz lokal wyglądał tak przygnębiająco, jak się spodziewał. W ubogo urządzonej i zimnym jak pieczara wnętrzu, z niezbyt dyskretnie rozmieszczonych głośników rozbrzmiewała muzyka country. W głębi stał stół bilardowy, a przy jednym ze stolików siedziało przy piwie dwóch mężczyzn w średnim wieku z pokaźnymi brzuchami i obojętnymi minami, ubranych w dresy. Poza nimi jedynym klientem był Andrew zajmujący stółek przy barze. Przed nim stała

szklaneczka whisky, choć wyraźnie było widać, że Andrew zdążył już w siebie wlać znacznie większą ilość tego trunku. Był tak pijany, że w ogóle nie zdziwił go widok brata.

- Hej, Nick. Napijesz się?
- Andrew, co się dzieje?
- Diabli wiedzą.
- Dzwonił do mnie Farnsworth. Mówił, że rozpętałeś jakąś aferę u Daveya.

- To przez nich ta cała afera.
- Niezbyt mądrze zrobiłeś, jadąc tam.
- Nie? Przecież przyłapałem ich razem. - Andrew przy-mrużył oczy. - Jak we dwóch knuli coś przeciwko nam.

- Tego nie możesz udowodnić.
- Nie trzeba nic udowadniać. Po prostu wiem. I oni już wiedzą, że wiem.

- Chyba nie zamierzasz tam wrócić?
- Może. Z samym Daveyem powinno pójść łatwiej.
- Zwariowałeś. Chcesz, żeby wmieszała się policja?
- To kwestia czasu, prędzej czy później i tak się zjawi. Czego się napijesz? - Andrew dał znak barmanowi o zacer-wienionych oczach, który wynurzył się z zaplecza.

- Coli.
- Mocna rzecz, nie? Co za fantazja. Słyszałeś, czego sobie szanowny pan życzy. Dla mnie jeszcze jeden bell. Duży.

Barman nalał drinki i wziął pieniądze z kupki drobnych leżącej obok łokcia Andrew. Przez chwilę wpatrywał się po-nuro w pusty kubek do lodu, po czym wziął go i zniknął za barem.

- Wierzysz w zbiegi okoliczności, Nick? Bo ja nie. Farnsworth nie wpadł do Daveya, żeby sprawdzić, jak mieszkają emerytowani robotnicy z kamieniołomów. Ani po to, żeby posłuchać wspomnień o wykopywaniu starych garnków spod zamku. Był tam, innego dowodu mi nie trzeba. To oni. Dra-nie.

- Co proponujesz, żebyśmy zrobili?
- Zastanawiam się. Bardziej niż ty. Na pewno.

- Słuchaj, pojedę spotkać się z Farnsworthem. Spróbuję załagodzić sprawę. A potem odwiozę cię do domu. Co ty na to? Sam z pewnością nie możesz prowadzić.

Andrew posłał mu nieprzytomne spojrzenie.

- Załagodzić sprawę? Chyba żartujesz.

- Na razie tylko tyle możemy zrobić. Trzeba... ocenić sytuację.

- Ocenić? Cholera jasna, Nick. - Andrew wolno pokręcił głową wyraźnie zawiedzony. - Co z ciebie za pożytek? Kurwa, co za pożytek? - Zsunął się ze stolka i powlókł w kierunku drzwi z tabliczką WC, znajdujących się za stołem bilardowym, z rezygnacją machając ręką. - Idź lizać dupę Farnsworthowi, jeśli masz ochotę. Nic mnie to nie obchodzi. Załatwię to po swojemu - z nim, z Daveyem i z tą dziwką Hartley. Będę musiał, nie? Nie mam wyboru, skoro ciebie strach obleciał. Powinienem się wcześniej domyślić. Zawsze miałeś pietra, jak zaczynały się schody. Tylko...

Dalsze słowa Andrew zagłuszyło trzaśnięcie drzwi toalety. Dwaj pozostali klienci przyglądali się Nickowi z minami odrobinę mniej obojętnymi niż dotychczas. Nick pociągnął łyk coli. Nagle zauważył kluczyki do land-rovera leżące obok kupki drobnych na barze.

Nie namyślając się ani sekundy, wziął kluczyki, opróżnił szklankę i skierował się do wyjścia.

Do Zamku Camelot na północnym krańcu miasteczka było niedaleko. Przestrzeń między hotelem a skupiskiem parterowych domów, które Nick dobrze pamiętał, wypełniła się szeregiem nowych reprezentacyjnych domków mieszkalnych. Budynek hotelu był nijaką bryłą w stylu wiktoriańskiego gotyku, zwieńczoną blankami. Słońce chyliło się ku bezchmurnemu horyzontowi, pograżając go w głębokim cieniu.

Nick zaparkował obok Citroëna Farnswortha i wysiadł. Od razu zauważył, że na cyplu jest znacznie zimniej. Para ulatywała mu z ust, a powietrze zdawało się z każdą sekundą chłodniejsze. Spojrzał w kierunku Tintagel Island, na ruiny średniowiecznego zamku przypominające zepsute zęby smoka

wbite w klif. Następnie ruszył szybkim krokiem do hotelu.

Zanim jednak doszedł do drzwi, na ganku powitał go Farnsworth. Opatulony w płaszcz, szalik, rękawiczki i czapkę à la Sherlock Holmes, na ulicach Oksfordu mógłby uchodzić za czarującego ekscentryka, lecz tu wyglądał po prostu dziwnie.

- Ach, Nicholas. Pomyślałem sobie, że przed zmierzchem zaczerpnę świeżego powietrza, żeby się uspokoić. - Uraczył Nicka absolutnie spokojnym uśmiechem. - Zacząłem już tracić nadzieję, że cię zobaczę. Jesteś odrobinę później, niż się umawialiśmy.

- Nie z mojej winy. Wpadłem na brata.

- Dobrze, że nie ja. Uspokoił się?

- Tak. Jeśli rzeczywiście tego potrzebował. Ale na temat waszego... nieporozumienia dowiedziałem się od niego nie więcej niż od pana.

- Nie dziwię się. Chyba wygłaszając te opinie, sam nie wiedział, co ma na myśli. Ja w każdym razie nie wiem. Mogłbyś rzucić odrobinę światła na tę kwestię?

- Prawdę mówiąc, nie.

Farnsworth uniósł brwi.

- Nie podejrzewasz, co mogło wywołać tak... niezwykle zachowanie?

- Sądziłem, że pan mi powie.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Farnsworth powiedział cicho:

- Szkoda.

- Musiał być zdziwiony, zastając pana u Daveya.

- Nicholasie, zdziwienie mógłbym zrozumieć. Ale nie napaść. Przecież nie robiliśmy nic złego. Pan Davey uczestniczył w jednym z najważniejszych brytyjskich przedsięwzięć archeologicznych dwudziestego wieku. Ciekawiło mnie, co z tego pamięta.

- Zapewne nie więcej, niż powiedział panu mój ojciec, jeżeli oczywiście pan go o to pytał.

- Inny punkt widzenia bywa bardzo pouczający. Niestety

nie zdążyłem zebrać żadnych cennych informacji, ponieważ przeszkodził nam twój brat.

- Przykro mi, że Andrew panów zdenerwował. - Nick starał się ze wszystkich sił, by zabrzmiało to szczerze. W istocie jednak wobec osobliwego duetu Farnsworth i Davey żywił takie same podejrzania jak Andrew. Ktoś niepostrzeżenie podłożył kasetę wideo w jego samochodzie, a potencjalnym sprawcą był stojący przed nim w szarym świetle zmierzchu starsuszek esteta, który beznamytnie mu się przyglądał. Ale nie czas na rzucanie oskarżeń. Jeżeli Farnsworth naprawdę im zagrażał, nie mogli się przyznawać, że o tym wiedzą. - Odwiozę go do domu i dopilnuję, żeby nie sprawiał więcej kłopotów.

- Gdzie on teraz jest, jeśli wolno spytać?

- W pubie w miasteczku.

- Cóż, chyba nie musisz nic więcej dodawać. Odwiedzisz pana Daveya, żeby uspokoić jego skołatane nerwy?

- Nie sądzi pan, że najpierw powinienem odwiedzić Andrew do domu?

- Być może. Zatelefonuję do pana Daveya i powiem mu, co się stało.

- Dobrze.

- To było naprawdę żenujące przeżycie, Nicholasie. Twój brat nie miał powodu, by się tak zachować.

- Zadzwońię do pana rano, doktorze. W porządku? Farnsworth w zamyśleniu skinął głową.

- Zgoda.

Nick wrócił do pubu Sword and Stone, nie mogąc zapanować nad natłokiem myśli. Koniecznie musiał zabrać z Tintagel Andrew, ze względu na jego stan. Ale co mieli począć w sprawie kasety wideo? Taktyka bezpośredniej konfrontacji, którą wybrał Andrew, była fatalna. Nick nie miał jednak gwarancji, że inna obmyślona przez niego taktyka nie okaże się równie zła. Mieli nóż na gardle, lecz nie potrafili odgadnąć, czyja dłoń go przyłożyła. I dlaczego...

Dwaj klienci o obojętnych minach nadal sączyli swoje piwo. Barman kartkował egzemplarz „Exchange and Mart”. Lecz w pubie nie było śladu Andrew. Kupka drobnych leżąca na barze naprzeciw stołka także zniknęła.

- Wyszedł - rzekł barman, zanim Nick zdążył zapytać. - Zaraz po panu.

- Mówił, dokąd idzie?

- Nie. Ale chyba niedaleko. Powiedział, że dmuchnął mu pan kluczyki do auta. Nieźle się wkurzył z tego powodu. Ale trochę wypił i może postąpił pan jak każdy uczciwy obywatel.

Dokąd poszedł Andrew? Nickowi przyszła do głowy tylko jedna odpowiedź.

- Zna pan takiego faceta, który mieszka tu w okolicy, Freda Daveya?

- Nie.

- Mieszka przy Butcher's Row trzy.

- Butcher's Row? - Na twarzy barmana odmalował się wyraz niezbyt głębokiego namysłu. - Chyba nie znam. - Znowu się zamyślił. - Zaraz. Za Tregattą, w bok od drogi do Camelford, stoją takie domki. To nie jest przypadkiem Butcher's Row? - Spojrzał na obojętnych piwoszy, którzy zareagowali, kiedy uznali za stosowne, wolno i jednocześnie kiwając głowami. - Tak, to tam.

Zanim Nick wyjechał z miasteczka, zapadł już zmrok. Drugorzędna droga do Camelford była bardziej uczęszczana niż ta, którą przyjechał, i właśnie zaczynał się na niej ruch godziny szczytu na skromniejszą, miejscową skalę. Tregattą była wioską położoną pół mili na południe od Tintagel, a do Butcher's Row według słów barmana było jeszcze pół mili. Ale nie biegła tam inna droga. Jeśli Andrew postanowił złożyć Daveyowi jeszcze jedną wizytę, Nick powinien go dogonić. W swoim obecnym stanie raczej nie pokonał pieszo jednej mili w czasie, jaki upłynął od ich rozstania.

Nigdzie jednak nie dostrzegł Andrew. W pewnym sensie Nick się z tego cieszył, ponieważ za Tregattą kończyła się

ścieżka, a pobocze było dość wąskie. Jezdnia nie stanowiła odpowiedniego miejsca dla pijanych pieszych.

Butcher's Row znajdowała się przy bocznej drodze zaraz za pierwszym zakrętem za Tregattą. Nick zwolnił, słysząc klakson jadącego za nim samochodu. Na szczęście zdążył w porę dostrzec przecznicę i skręcił w nią. Wzdłuż drogi stał szereg czterech niskich segmentów krytych łupkową dachówką. Nick zatrzymał się naprzeciw nich, jak najbliżej wybijającego ciernistego żywopłotu, wyskoczył z auta i skierował się do drzwi Daveyów.

Zza zasuniętych firan w oknie od frontu prześwitywało bardzo słabe światło. Nick kilkakrotnie załomotał kołatką i po chwili usłyszał szuranie kroków.

- Kto tam? - zawołał kobiecy głos.
- Nicholas Paleologus - krzyknął.
- Kto?
- Pani Davey?
- Tak.
- Jestem Nicholas Paleologus. Czy jest tam mój brat?

Drzwi otworzyły się raptownie, ukazując dwie sylwetki stojące w wąskim korytarzu. Fred Davey wydawał się niższy niż na pogrzebie, a jego żona Margaret była jeszcze niższa. Mieli na sobie stare wytarte ubrania, a zza drzwi przyległego salonu zamiast miłym ciepłem, wionęło lekko stęchłym chłodem. Nie wyglądali jednak na wątłych staruszków. Daveyowie byli dobrze dobraną parą - doświadczeni przez twarde życie, doczekali późnych lat niewzruszeni jak kamienie.

- Pana brat był i poszedł, panie Paleologus - rzekł Fred. -
Dobre kilka godzin temu.

- Myślałem, że może wrócił.
- Nie wrócił.

- I nie powiem, jesteśmy z tego zadowoleni - wtrąciła Margaret. - Taki był zły, że się zaczęłam bać, żeby nam czegoś nie zrobił.

- Przykro mi, jeżeli mieli państwo przez niego nieprzyjemności.
- Tak też powiedział doktor Farnsworth - odrzekł Fred. - Właśnie dzwonił i mówił, że zabiera pan brata do domu, w bezpieczne miejsce.
- I odwiozę, muszę go tylko znaleźć.
- Zwiął panu, co?
- Coś w tym rodzaju.
- Lepiej niech uważa. Przez takie wybryki może sobie narobić kłopotów.
- Jedyne, co mogę zrobić, to przeprosić w jego imieniu, panie Davey.
- Może śmierć ojca tak go rozstroiła.
- Może.
- Tak... - Fred w zamyśleniu wysunął dolną wargę. - Niech go pan zabierze do domu i zapomnimy o sprawie.
- Postaram się.

Nick wyjechał tyłem na główną drogę i ruszył z powrotem do Tintagel, domyślając się, że Andrew po wyjściu ze Sword and Stone wstąpił po prostu do innego pubu. Miał kilka do wyboru. Może w zaistniałej sytuacji jedynym rozsądnym wyjściem jest upicie się do nieprzytomności. Rozważania na trzeźwo faktycznie nie przyniosły Nickowi żadnego pożytku.

Nagle, kiedy zaczął przyspieszać, ujrzał na jezdni Andrew, który powłócząc nogami, zmierzał w stronę jego samochodu, przysłaniając oczy ręką. Nick zahamował gwałtownie, zatrzymując się w miejscu, a jadący za nim kierowca zatrąbił i błysnął światłami, po czym wyminął go, omal nie wyrwijając drzwi, które Nick uchylił.

- Andrew, co ty wyprawiasz, do diabła? - krzyknął Nick, wybiegając przed samochód.

- Co cię to obchodzi? - Andrew przystanął, mrużąc oczy i spoglądając na brata przez ostry blask reflektorów. Gra cieni zmieniła jego twarz w halloweenową maskę, wykrzywioną w grymasie wściekłości.

- Bo musimy się trzymać razem.

- Ukradłeś mi kluczyki od wozu. Cholernie dobry sposób na... - Resztę zagłuszył ryk przejeżdżającej ciężarówki.

- Nie mogłeś prowadzić w takim stanie.

- Może i nie. Ale potrafię wydusić z Daveya prawdę.

- Nie bądź głupi. Wsiadaj.

- Nie mów mi, że jestem głupi. - Andrew zbliżył się chwiejnym krokiem i dźgnął Nicka w pierś. - Idę tam, czy ci się to podoba, czy nie. Zejdź mi z drogi.

- Posłuchaj mnie, Andrew. - Nick złapał brata za ramię.-
Musimy...

- Puść mnie. - Andrew był o wiele silniejszy. Wyrwał się Nickowi i pchnął go na samochód. Nick upadł tyłem na maskę, a Andrew, tracąc przy nagłym ruchu równowagę, zatonął się, lądując na prawym błotniku.

To, co potem nastąpiło, rozegrało się w ciągu zaledwie sekundy, chociaż Nick, który właśnie się podnosił, miał wrażenie, jak gdyby upłynęła co najmniej minuta, podczas której obserwował wszystko w zwolnionym tempie. Andrew, już zamroczony, zupełnie stracił orientację. Zrobił trzy niepewne kroki na środek jezdni i na moment trafił między skrzyżowane snopy światła zbliżające się z obu stron. Zatrąbił klakson. Rozległ się pisk opon trących o asfalt. I nagle zjawiał się ciemny, ledwie dostrzegalny kształt furgonetki.

Potem rozległ się głuchy łoskot, zamajaczyły koziółkujące cienie. Pisk opon nie ustawał. Klakson ryczał dalej, koła podskoczyły i zadygotały. W ciemności coś chrupnęło, trzasnęło, rozprysnęło się i upadło. Coś, co było bratem Nicka, ale tylko...

...do tej sekundy.

INTERLUDIUM

Rozdział 13

Gdy skończył się film wideo, inspektor Penrose wstał i wyciągnął kasetę z odtwarzacza. Zanim wyłączył telewizor, na ekranie mignął przez moment fragment „Teletubisiów”. Policjant włożył taśmę do dużej brązowej koperty i podał swojemu koledze, detektywowi Wise'owi.

Tworzyli parę kontrastowych postaci. Penrose miał czterdzieści kilka lat, niezgrabnie się poruszał, budową ciała i rysami twarzy przypominał napastnika rugby i mówił chropawym głosem z wyraźnym kornwalijskim akcentem. Z kolei Wise był szczupły, elegancki i błyskotliwy. Przerzedzone włosy modnie gołił do gołej skóry i miał szczere, bystre spojrzenie. Kładąc kopertę na stole obok filiżanki kawy, zerknął przelotnie na każdą z trzech pozostałych osób w pokoju.

Przez okna wpadały promienie słońca, rzucając na przeciwległą ścianę krzewiaste cienie, lecz nie dając w ogóle ciepła. Mógłby w tym pomóc ogień, ale palenisko w kominku było puste. Trennor było pozbawione stałego lokatora, co nadawało dodatkowego chłodu atmosferze w salonie.

Publiczność, która obejrzała wideo, składała się z Irene Viner oraz Basila i Anny Paleologusów stłoczonych nieco

niewygodnie na jednej kanapie, by każdy mógł widzieć ekran telewizyjny. Na chwilę zapadła cisza, po czym Basil odchrząknął, a siostry wymieniły ze sobą przelotne spojrzenie.

- Jak mamy to rozumieć, inspektorze? - spytała Irene.

- Miałem nadzieję, że dowiem się tego od państwa, proszę pani - odparł Penrose, opadając ciężko na krzesło. - Widoczny na filmie numer rejestracyjny zgadza się z numerem rejestracyjnym land-rovera należącego do waszego zmarłego brata.

- Samochód też się zgadza - dodał Wise.

- Istotnie - potwierdził Penrose. - Wiem, że trudno jednoznacznie zidentyfikować te dwie osoby, ale...

- To mógł być ktokolwiek - powiedziała Anna.

- Zakładamy, że jedną z nich był Andrew.

- Tylko dlatego, że to jego land-rover.

- To przekonujący powód.

- Zgoda - rzekła Irene. - Ale co z tego wynika? Jak właściwie ta kasetka znalazła się w rękach panów?

- Przysłano mi ją pocztą - odparł Wise. - Przesyłkę nadano w Plymouth trzydziestego pierwszego stycznia - dzień po śmierci państwa brata.

- Widzi pan jakiś związek?

- Tylko zbieg okoliczności. Ale zbiegi okoliczności bywają znaczące.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy wiedzieli, po co Andrew pojechał tamtego dnia do Tintagel - powiedział Penrose.

Irene zmarszczyła brwi.

- Sądziłam, że to już ustaliliśmy.

- Owszem, spotkać się z tym staruszką, Daveyem. Trzeba jednak przyznać, że to... trochę dziwne. Według relacji pana Daveya Andrew chciał go zapytać o jego wspomnienia związane z ojcem. Przecież widzieli się poprzedniego dnia. Dlaczego wtedy nie mógł go zapytać? Zresztą pan Davey chyba nie znał za dobrze państwa ojca.

- Żal może wywołać... szok - zauważył Basil.

- Istotnie. - Penrose z westchnieniem poprawił się na

krześle. - Naturalnie pokazaliśmy film państwa bratu Nicholasowi i wypytywaliśmy go o to wydarzenie, ale, jak państwo wiedzą, jego wspomnienia z okresu przed wypadkiem nadal są bardzo fragmentaryczne.

- Zdaniem lekarza przeżył wstrząs - powiedziała Irene. - W końcu Andrew zginął na jego oczach... - Pokręciła głową.

- Wiem, że cierpiał z powodu pewnych... zaburzeń psychicznych.

- Tak - odrzekła szybko Irene. - Ale to chyba nie ma nic do rzeczy. Kolejność wydarzeń przedstawia się jasno. Doktor Farnsworth zadzwonił do Nicka, ponieważ zaniepokoił się... rozstrojem nerwowym Andrew. Nick pojechał do Tintagel i znalazł Andrew ostro pijącego w pubie. Zabrał mu kluczyki od samochodu, żeby nie prowadził po kieliszku. Potem odwiedził pana Daveya i kiedy wracał do Tintagel, spotkał Andrew na drodze. A później... wydarzył się wypadek.

- Tylko co tak zdenerwowało Andrew, proszę pani? Oto jest pytanie. Śmierć ojca... czy to, co widzieliśmy na kasecie?

- Nick mówił nam, że Andrew był zbyt pijany, aby powiedzieć cokolwiek sensownego.

- To samo mówił nam. Ale zważywszy na luki w jego pamięci, całkiem możliwe, że o czymś zapomniał.

- Gdyby przypomniał sobie coś ważnego, na pewno panom powie.

- Zanim to jednak nastąpi, jeśli w ogóle nastąpi - powiedział Wise - możemy się opierać tylko na tej taśmie, którą przysłano anonimowo, zapewne po to, aby nas powiadomić, że ktoś pozbył się zwłok.

- Przecież nie wiedzą panowie, że to były zwłoki - rzekła Irene, krzywiąc się z niesmakiem.

- Wskazuje na to kształt i wielkość. Dwóch ludzi zadało sobie wiele trudu, żeby ukryć ten przedmiot. Mieliśmy obowiązek potraktować sprawę poważnie.

- A jednak nie znaleźliście w szybie zwłok - zauważył Basil.

- To prawda - powiedział Penrose. - Co czyni całą rzecz jeszcze bardziej zagadkową.

- Może to głupi kawał - odezwała się Anna. - Jakiś żartowniś chciał was podpuścić.

- Wykorzystując land-rovera pani brata - przypomniał jej Wise. - Za jego zgodą lub bez.

- Dlaczego pan twierdzi, że brak zwłok w szybie czyni sprawę jeszcze bardziej zagadkową? - zapytała Irene.

- Czy to nie rozwiązuje problemu? Nie ma - dosłownie - niczego, co dawałoby podstawę do śledztwa.

- Mój szef będzie zapewne podobnego zdania - powiedział Penrose. - Ale na filmie widać, jak ktoś wrzuca do szybu ciężki, podłużny przedmiot. Usytuowanie względem Caradon Hill wskazuje dokładnie, że to szyb Hamiltona na północ od Minions, jeden z tych, które nie zostały jeszcze zamknięte ze względów bezpieczeństwa. Przeszukaliśmy szyb i rzeczywiście nie znaleźliśmy zwłok. Ani żadnego ciężkiego podłużnego przedmiotu. Zastanawiam się dlaczego?

- Bo go tam nigdy nie było? - podsunęła Anna.

- Być może, proszę pani.

- Albo dlatego, że ktoś usunął ciało, zanim przeszukaliście szyb - dodał Wise.

- Doprawdy niezwykła hipoteza - powiedziała Irene.

- Istotnie, proszę pani - rzekł Penrose. - Niezwykła.

- Spojrzał na wszystkich po kolei. - Czy ktoś z państwa przypomina sobie, aby zmarły brat w ciągu kilku tygodni przed śmiercią mówił albo robił coś, co mogłoby wskazywać, że jest zamieszany w podobną sprawę?

- Co dokładnie ma pan na myśli? - odparowała Irene.

- Martwił się z powodu farmy - wtrąciła Anna. - I śmierci taty.

- Wszyscy byliśmy przygnębieni - powiedziała Irene, zerkając na siostrę spod zmarszczonych brwi. - Wątpię, czy panu inspektorowi o to chodzi.

- Nie o to, proszę pani.

- Obawiam się, że nic takiego nie pamiętamy. - Na pytające spojrzenie Irene Anna i Basil potakująco skinęli głowami. - Nic.

- A państwa bratanek Tom? Sądzą państwo, że mógłby coś wiedzieć?

- W ostatnich latach Tom rzadko kontaktował się z ojcem. Wiem, że Andrew cierpiał z tego powodu. Rozwód z matką Toma w niczym nie pomógł, ale... no właśnie.

- Czy Andrew z kimś się widywał?

- Słucham?

- Czy miał przyjaciółkę?

- Nie wiem o żadnej. Nie. Zdecydowanie nie.

- Kto się na gorącym sparzy... - mruknęła Anna.

- Są państwo pewni? - spytał Wise. - Odnoszę wrażenie, że państwo też rzadko go ostatnio widywali.

- Założyłabym się o spore pieniądze - powiedziała Anna.

- Chociaż nie mogłabym postawić dużo.

- Sprzedaż domu będzie wobec tego stanowiła dla pani niespodziewany zastrzyk gotówki.

- Czy to ma związek ze sprawą? - spytała ostro Irene.

- Nie, proszę pani - odrzekł Penrose z wyrozumiałym uśmiechem. - Nie ma.

- Ma pan jakiś szczególny powód, aby pytać o przyjaciółki, inspektorze? - zainteresował się Basil. - Ja nie ukrywam, że nie mam przyjaciółki.

Penrose uśmiechnął się jakby ze współczuciem.

- Powiedz im o telefonie, Dave.

- Dobrze. - Wise skinął przelozonemu głową. - Przeszukaliśmy szyb cztery dni po otrzymaniu kasety, w poniedziałek piątego lutego. Jak już państwu wiadomo, nie znaleźliśmy niczego prócz kamieni i śmieci. Miejscowy rolnik zeznał, że poprzedniego dnia wieczorem widział jakiś... ruch... w okolicy szybu. Nie potrafił powiedzieć nic więcej, ale sądzimy, że mógł widzieć kogoś, kto przed nami przeszukał szyb i usunął stamtąd to, co pokazano na filmie. Nazajutrz po naszej bezowocnej akcji zadzwoniła do mnie na komisariat jakaś kobieta. Nie chciała podać swojego nazwiska. Część rozmowy została nagrana. Proszę posłuchać.

Wise wyciągnął dyktafon i wcisnął klawisz. Wśród trzasków rozległ się kobiecy głos:

- *...wczoraj w szybie. Co znaleźliście?*
- *To pani przysłała mi wideokasetę w zeszłym tygodniu?* - zabrzmiał nagrany głos Wise'a.
- *Co znaleźliście?*
- *Proszę mi podać swoje nazwisko.*
- *Coz tym zrobiliście?*
- *Z czym ?*
- *Z tym, co znaleźliście w szybie.*
- *Niczego nie znaleźliśmy.*
- *Nie wierzę.*
- *Ale to prawda.*
- *Niemożliwe.*
- *To pani przysłała kasetę?*
- *Nic?*
- *Proszę przynajmniej o pani imię. Będziemy wówczas mogli...*
- *Kłamie pan. Musiało tam być.*
- *Obawiam się, że nie.*
- *Nie? Naprawdę nie było?*
- *Już mówiłem, że niczego nie znaleźliśmy.*
- *W takim razie musieli... Boże.*
- *Kto...*

Na tym nagranie się urywało. Wise wyłączył dyktafon.

- *Poznają państwo ten głos?* - zapytał Penrose.
- *Nie* - odrzekła Irene. Anna wzruszyła ramionami.
- *Ja też nie.*
- *A pan?* - Penrose skierował pytający wzrok na Basila. Basil przewrócił oczami. Potem skrzywił się i powiedział:
- *Nie sądzę.*
- *Chce pan posłuchać jeszcze raz?*
- *Eee...*
- *Puść, Dave.*

Wise ponownie odtworzył nagranie. Kiedy się skończyło, Irene powiedziała:

- Na pewno jej nie znam.
- Ja tak samo - rzekła Anna.

Po chwili milczenia Basil dodał:

- Muszę to potwierdzić.
- Jest pan pewien?

Basil skinął głową.

- Absolutnie.
- Obawiam się, że nie możemy panu pomóc, inspektorze - rzekła Irene. - Choć bardzo byśmy chcieli.

- Nie. Cóż... - Penrose uśmiechnął się ze smutkiem. - Dziękuję, że państwo próbowali.

Odprowadziwszy obu policjantów, rodzeństwo Paleologów wróciło w milczeniu do salonu. Irene zapaliła papierosa, a Basil spytał łagodnie, czy chcą jeszcze kawy. Anna niedwuznacznie dała do zrozumienia, że woli duży gin z tonikiem. Irene wyraziła chęć na to samo. Basil dostosował się do woli większości.

- Co za duet - powiedziała Anna po pierwszym łyku ginu.
- Miejmy nadzieję, że widzieliśmy ich po raz ostatni.

- Nie mają żadnego powodu, żeby kontynuować dochodzenie - odrzekła Irene.

- Zakładając, że nam uwierzyli - zauważył Basil.

- Dlaczego mieliby nie wierzyć? Odpowiadaliśmy na pytania zgodnie z prawdą.

- Ta kobieta na taśmie to była Elspeth Hartley. Dobrze wiesz.

- O niczym takim nie wiem.

Basil wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

- Zresztą co by to dało, gdybym o niej wspomniała?

- Przyznaję, że nic. Za późno na szczerą, chociaż pewnie trzeba było mówić prawdę od samego początku. Kiedy człowiek już raz zacznie, wszystko tak się komplikuje...

- Nic się nie skomplikowało. Gdyby naprawdę znaleźli jakieś zwłoki w szybie, byłoby inaczej. A tak...

- Irene, jak sądzisz, kim byli ci dwaj ludzie na filmie?

- Nie wiem.

- Naprawdę?

- Nie wiem. - Irene z hałasem odstawiła szklanę na gzyms kominka. - Wszystko jedno, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi, ale nam dość się już dostało. Opowiadanie policji bajeczek niczego nie poprawi. Trzeba odkreślić tę okropną sprawę grubą kreską. Nie wolno wam o tym rozmawiać z Nickiem. Zrozumiano? Niech ma czas, żeby dojść do siebie. Nie wiem, co on i Andrew zrobili ani czego nie zrobili. I nie chcę wiedzieć.

- Amnezja może być bardzo wygodna. I bardzo często się przydaje.

- Co masz na myśli?

- Że coś nam może nie pozwolić odkreślić sprawy grubą kreską. I powinniśmy się przygotować na taką ewentualność.

- Jak?

Basil zrobił minę.

- Nie jestem pewien.

- Chcę, żebyś obiecał, że nic nie powiesz Nickowi. - Irene utkwiała w twarzy brata znaczące spojrzenie.

- Nie domyśli się, że pokazali nam film?

- Być może. Ale niech sam o to zapyta - jeżeli będzie chciał.

- A jeśli nie zechce?

- To daj spokój. Jeszcze tylko parę dni. Nick wybiera się do Edynburga, żeby się zobaczyć z Tomem. Wiecie, że nie mógł mu niczego wyjaśnić, kiedy Tom przyjechał na pogrzeb Andrew. Teraz poczuł się na siłach z nim porozmawiać i Bóg mi świadkiem, że mają o czym mówić. Może nawzajem sobie pomogą pogodzić się z tym, co się stało.

- Tom wydawał mi się zupełnie zamknięty w sobie - powiedziała Anna.

- Właśnie. Dlatego to spotkanie może się okazać dobre dla obu. Nick nadal jest bardzo wrażliwy. Nie chcę, żeby przed wyjazdem czymkolwiek się zdenerwował.

- Przyjęto do wiadomości i zrozumiano - mruknął Basil.

- To dobrze.

- Ale pamiętaj, co mówił inspektor. W pewnym sensie najbardziej zagadkowe jest to, że w szybie niczego nie znaleźli.

- Za dużo myślisz, Basil - powiedziała Anna. - Naprawdę.

- Pewnie masz rację.

- Mam, uwierz mi. Jeśli chodzi o ciebie, jestem najlepszym specjalistą.

- Może potrzebuję wakacji.

- Chyba wszyscy potrzebujemy.

- Oderwać się od tego wszystkiego. - Basil pokiwał głową, jak gdyby kontemplując wizję zalanej słońcem plaży. - Zmienić otoczenie.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz z powrotem przywdziać habitu - rzekła Irene.

- Nie, nie. Co to, to nie. - Basil w zamyśleniu grzechotał lodem w szklance. - Zamierzam zrobić coś zupełnie innego.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 14

Nicholas Paleologus wyszedł z pubu Old Ferry i za progiem poczuł chłodne słonawe powietrze poranka. Zarzucił torbę na ramię, spoglądając na bliźniacze przęsła Tamar Bridge. Most drogowy, na którym roilo się od aut i robotników, błyskał w półmroku przymglonym światłem reflektorów, lecz most kolejowy był pusty i pogrążony w ciszy. Nick odetchnął głęboko, zastanawiając się, czy znów zaczną się palpitacje. Ale nie wróciły. Był spokojny i opanowany.

Od śmierci Andrew upłynęły trzy tygodnie. Z pierwszego Nick nie zachował ani jednego spójnego wspomnienia. Obrazy ludzi, miejsc i wydarzeń mieszały się pozbawione chronologicznego porządku, jak w najdziwniejszych snach. Teraz wszystko już wiedział: wiedział, co się stało, i umiał określić w korowodzie zdarzeń czas i miejsce wypadku. Potrafiłby nawet zdać sensowną relację z własnego załamania i powolnego procesu dochodzenia do siebie, jaki nastąpił po okropnym, paraliżującym przeżyciu, gdy widział i słyszał, jak umiera jego brat. Wciąż jednak brakowało mu poczucia rzeczywistości. Tamten obraz zdawał się dziwnie oddalony, jak

gdyby oglądał go oczyma kogoś innego.

Swój stan, wywołany między innymi przez leki, Nick mógł uznać za przekleństwo lub błogosławieństwo. Dzięki niemu policja go nie nękała, dopóki nie sklecił

wersji wydarzeń, w której nie przyznawał się, że pomógł Andrew wrzucić zwłoki do szybu Hamiltona. Ironia losu polegała na tym, że tłumaczył się utratą pamięci z okresu poprzedzającego wypadek, aby grać na zwłokę. Nie groziło mu, by kiedykolwiek miał zapomnieć wieczór, gdy razem z Andrew cisnęli owinięty brezentem pakunek w czarną gardziel nieużywanego szybu górniczego. Nick zakładał, że w końcu przyjdzie mu za to odpowiedzieć. Okazało się jednak, że nie, a powód był zdumiewający: kiedy policja tam zajrzała, ciała po prostu nie było.

Nick nie miał się z kim podzielić swoim zdumieniem. Nie mógł także zdradzić policji, że głos na taśmie należał do Elspeth Hartley. Gdyby to zrobił, a oni ją znaleźli, mogłaby przysiąc, że osoby widoczne na taśmie wideo to on i jego brat. Powiedziałyby zresztą szczerą prawdę, chyba po raz pierwszy. Tylko co on by wtedy powiedział? Jak by wyjaśnił, co zrobili?

Odwrócił się i ruszył Albert Road w stronę dworca kolejowego. Jego samochód stał na podwórku za Old Ferry, obrastając brudem i guanem. Wgnieciony zderzak i rozbita lampa były wynikiem drobnej stłuczki - tuż po wypadku, w którym zginął Andrew, jakieś auto stuknęło w tył samochodu Nicka. Wóz nadawał się do jazdy, ale Nick za nic nie usiadłby za kierownicą. Jego nerwy ucierpiały o wiele bardziej niż pamięć.

Bardzo wyraźnie pamiętał, jak przed pięcioma tygodniami przyjechał do Saltash, krzepiąc się myślą, że spędzi tu najwyżej kilka dni. Wreszcie opuszczał miasto, o świcie i pieszo, straciwszy bardzo dużo i nie zyskawszy nic: jego ojciec i brat nie żyli, rodzina się rozpadła, a starannie ułożone życie legło w gruzach. Żegnając się przy śniadaniu z Irene, poczuł gorycz jednej z największych strat: utraty zaufania. Nick był pewien, że policja pokazała jego rodzeństwu film

wideo i odtworzyła nagraną rozmowę telefoniczną. Ale nie usłyszał od nich nic na ten temat, ani słowa. Musieli zaprzeczyć, że znają głos na taśmie, w przeciwnym razie policja na pewno wróciłaby, aby go przesłuchać. Lecz z tej strony panowała cisza. Nie wspomnieli też o tym, z czego musieli już sobie zdać sprawę: że pomagał Andrew potajemnie pozbyć się przedmiotu, który jeśli nie był ciałem, bardzo je przypominał. Ostrożne milczenie przerywały jedynie pełne troski pytania o jego zdrowie. Tak, ostrożności wykazywali naprawdę dużo: mogłoby wystarczyć na prawdziwy spisek.

Na dworcu kilku ludzi czekało na pociąg do Plymouth, który miał ich zabrać do pracy. Niektórzy palili papierosy, inni czytali gazety. Te parę chwil na peronie w Saltash były częścią ich codziennego rozkładu zajęć. Nick nie wiedział, czy ma im zazdrościć, czy się nad nimi litować, ponieważ trudno mu było przypomnieć sobie i wyobrazić codzienność. Lekarz wystawił mu zwolnienie z pracy do końca marca. W tym czasie Nick miał zmniejszyć dawki przyjmowanych leków i ostrożnie wrócić do stanu równowagi i normalności. Miał jednak trochę inne plany. Zmniejszył już o połowę porcję tabletek i nie doznał nawrotu ataków paniki, ale zamierzał znów ją zmniejszyć o połowę. Potrzebował pewności siebie, przekonania, że stan jego umysłu jest taki jak zawsze, a nie uśrednionym, wywołanym farmakologicznie ideałem. Przyszła pora odzyskać władzę nad swoim życiem.

Nadjechał pociąg. Pasażerowie wsiedli i kolejka wolno potoczyła się przez most Brúñela w stronę Plymouth, po drodze zabierając z następnych przystanków nowe grupy dojeżdżających do pracy. Nick wziął pozostawiony przez kogoś „Western Morning News” i zaczął z roztargnieniem przeglądać gazetę, nie zwracając zbytnej uwagi na treść artykułów, dopóki jego wzrok nie padł na krótką notkę. W pewnej rzeźni w Essex wykryto pryszczycę; obawiano się, że pierwsze przypadki choroby mogą stanowić wierzchołek góry lodowej. Nick wyobraził sobie nagle, jak ta wiadomość może zaniepokoić Andrew, na ułamek sekundy zapominał, że Andrew nie

może już reagować na żadne wiadomości. Łzy stały mu w oczach. Opuścił gazetę i kilkakrotnie głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Carwether przejął w dzierżawę farmer z sąsiedztwa, płacąc symboliczny czynsz do czasu, aż Tom postanowi sprzedać ziemię. Ale decyzja już oczywiście zapadła. Odszedł właściciel farmy i niebawem nie będzie też Carwether. Nadszedł kres zmagań Andrew z ziemią.

Dojechali do Plymouth dziesięć minut przed planowanym odjazdem pociągu do Londynu. Nick wolno przeszedł na peron i czekał, patrząc nieobecnym wzrokiem w przestrzeń. Zastanawiał się, czy zajrzeć do kiosku z książkami i kupić coś na drogę, lecz wiedział, że nie potrafi się na niczym skupić. Nie umiał już znaleźć ucieczki w fikcji. Zresztą i tak nie szukał już ucieczki. Skończył z tym raz na zawsze.

- Dzień dobry, Nick. - Z zamyślenia wyrwał go znajomy głos. Nick odwrócił się i ujrzał Basila ubranego jak na pieszą wycieczkę, w butach turystycznych i skafandrze z kapturem oraz z wypchanym plecakiem. - Zdziwiony?

- Owszem.

- Irene mi powiedziała, którym pociągiem chciałeś jechać.

- Też czekasz na ten pociąg? Bo chyba nie spakowałeś plecaka, żeby mnie odprowadzić.

- Wybieram się na wakacje. Pomyślałem, że możemy pojechać razem do Londynu.

- Na wakacje? Pierwsze słyszę.

- Anna nie traktowała serio tego pomysłu, dopóki się rano nie spakowałem. Pewnie nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Dokąd jedziesz?

Odpowiedź Basila zagłuszył megafon zapowiadający ich pociąg. Nickowi zdawało się, że usłyszał nazwę miasta, ale w pierwszej chwili sądził, że się przesłyszał.

- Co? - zapytał, przekrzykując głos wyliczający kolejne stacje w Kornwalii, Devon i Somerset.

Komunikat raptownie się skończył. I Nick bardzo wyraźnie usłyszał, co odpowiedział Basil.

- Po co jedziesz do Wenecji?

Nickowi udało się odwlec to pytanie, aż zajęli miejsca i pociąg ruszył ze stacji. Ściśle mówiąc, pytanie było zupełnie zbędne. W grę wchodził tylko jeden powód podróży do Wenecji. I nie było to zwiedzanie z przewodnikiem Pałacu Dogów.

- No?

- Nick, na drzwiach wagonu widziałem chyba tabliczkę „prosimy o ciszę”. Wyłączyłeś komórkę?

- Co ty kombinujesz, Basil?

- Zapewniam cię, że nic nielegalnego. Przecież równie dobrze mogłem pojechać innym pociągiem, prawda?

- Wobec tego czemu nie powiesz wprost, o co chodzi?

- Bo Irene kazała mi postępować z tobą bardzo ostrożnie. Wprawdzie nie powiedziała: „Obchodź się z Nickiem jak z miśnieńską porcelaną”, ale to właśnie miała na myśli. A Wenecja - cóż, nie potrafię zaspokoić swojej ciekawości historii Bizancjum. Od dawna zamierzałem poświęcić się badaniu skarbów, jakie Wenecjanie zrabowali z Konstantynopola podczas czwartej wyprawy krzyżowej. Dlatego...

- Demetrius Paleologus. - Nick wymówił imię i nazwisko tajemniczego kuzyna ledwie półgłosem, ale to wystarczyło, by Basil natychmiast urwał swą perorę.

- Ach - rzekł z uśmiechem Basil. - Widzę, że czasem pamięć cię nie zawodzi?

- Co chcesz osiągnąć?

- Na początek chciałbym zrozumieć wenecki system adresów. Domy są tam numerowane według *sestiere*, co ani trochę nie pomaga w precyzyjnym ustaleniu ich lokalizacji. San Polo trzydzieści jeden pięćdziesiąt, że przytoczę dla przykładu, może się mieścić gdziekolwiek w *sestiere* San Polo, jednej z sześciu dzielnic, z jakich składa się miasto. Na szczęście można kupić spis „Indicatori Anagrafici”, który...

- Po co to robisz?

- Żeby ci wyjaśnić, muszę najpierw coś opowiedzieć. Ale wcześniej chciałbym posłuchać twojej opowieści.

- O czym?

- O twojej wycieczce do Szkocji. O tej... podróży na północ. Jakiż to cel jej przyświeca?

- Już wiesz. Jestem winien Tomowi bardziej szczegółowe wyjaśnienie, jak to się stało, bo kiedy przyjechał na pogrzeb, nie umiałem zbyt dobrze opisać wypadku.

- Czy bardziej szczegółowe wyjaśnienie oznacza... wyczerpujące?

- Tak wyczerpujące, jakiego tylko potrafię udzielić.

- Naprawdę? Nie wzięłaś przypadkiem na drogę kart?

- Nie. Dlaczego?

- Bo czas wyłożyć je na stół. Nick, widziałeś film na wideo. Ja też. Słyszałeś też nagranie rozmowy. Ja także. Irene i Anna pragną za wszelką cenę nie wywoływać wilka z lasu. Ale obawiam się, że nie robią nic, aby się obronić, kiedy wilk sam wybiegnie z lasu i zaatakuje. Przepraszam. Za dużo metafor. Ale mam nadzieję, że zrozumiałeś.

- Nie jestem pewien.

- Wobec tego spróbuję jaśniej. Pakowałem niektóre rzeczy taty do wyrzucenia. Książki, ubrania, różne bibeloty i tak dalej. Nie martw się. Na razie wszystko zostało w domu. Irene i Anna po prostu pomyślały, że dobrze byłoby oddzielić porządne rzeczy od śmieci i zleciły to zadanie mnie, jako że mam dużo czasu. Naturalnie nie chciały ci zawracać głowy szczegółami i ja też chętnie bym ci ich oszczędził, gdyby nie...

- Basil ściszył głos - coś, co odkryłem w piwnicy.

Nick milczał. Nie mógł nic powiedzieć. Wpatrywał się nieruchomo w oparcie siedzenia przed sobą.

- Ustawiłem wszystko z powrotem tak jak przedtem. Gdyby to zostało zalane betonem i pomalowane - co będzie należało zrobić przed sprzedażą domu - nikt by niczego nie zauważył. Widziałem oczywiście wideo, dlatego nie miałem prawie żadnych wątpliwości, co tam było wcześniej, kiedy ty i Andrew... na to natrafiliście.

Podaję, że to Andrew wpadł na pomysł, żeby się tego pozbyć. Zawsze był stanowczo zbyt uparty. Doskonale rozumiem, dlaczego zgodziłeś się mu pomóc. Pewnie uznaliście, że to najprostsze rozwiązanie trudnego problemu. Możesz mi jednak powiedzieć, jak długo mniej więcej to... coś tam leżało? Masz nade mną przewagę. Wiesz, w jakim było stanie.

Nick z największym trudem odwrócił się i spojrzał na brata.

- Co najmniej dziesięć lat - szepnął. - Na oko.

- A zatem wyjaśniło się, skąd ta niechęć taty do sprzedaży domu.

- Tak.

- Biedny Nick. To musiało być wstrząsające przeżycie.

- Rzeczywiście.

- Widzieliście tamtego dnia wideo, zanim Andrew pojechał do Tintagel?

Nick skinął głową.

- Ktoś mi podrzucił kasetę do samochodu podczas stypy.

- Podejrzewałeś doktora Farnswortha?

- Albo Daveya. Albo obu.

- Plus pannę Hartley.

- Tak.

- Niecny sojusz zawarty w celu zdobycia... czego właściwie?

- Nie mam pojęcia.

- Nazajutrz po wypadku rozmawiałem z doktorem Farnsworthem. Powiedział mi o dawnym koledze taty z woj-ska: Digbym Braybournie.

- Tak? I co?

- Obecne miejsce pobytu nieznane.

- Jak zapewne kilku innych.

- Kilka dni temu dzwoniłem do Farnswortha. Po obejrzeniu filmu na wideo zapragnąłem nagle dowiedzieć się czegoś więcej o zaginionym panu Braybourne.

- I usłyszałeś coś ciekawego?

- Nie pij, Nick. Odbyłeś z jego gosposią podobną rozmowę. Mało prawdopodobne, żeby zapomniała takie nazwisko jak Paleologus. Jak sądzisz, po co doktor Farnsworth pojechał do Edynburga?

- Gosposia mówiła, że chciał odwiedzić dawnego znajomego.

- Wiem, co powiedziała.

- Możliwe, że to prawda.

- Możliwe też, że papież jest nieomylny. Ale ty w to nie wierzysz. I dlatego jedziesz do Edynburga. Dowiedzieć się, co knuje doktor Farnsworth.

- Niepokoję się o Toma.

- I chyba nie bez powodu. Irene mówiła, że wcześniej będziesz się widział z jego matką. Zgadza się?

- Owszem, przenocuję dzisiaj u Kate i Terry'ego.

- Wspomnisz im o tej sprawie?

- A ty co o tym sądzisz, Basil?

- Sądzę, że udawanie, iż problem sam się rozwiąże, to najgłupsze wyjście. Ci ludzie nie dadzą za wygraną, dopóki nie dostaną, czego chcą.

- Czyli czego?

- Wiem tyle co ty. Ale musimy się dowiedzieć. Dlatego właśnie jadę do Wenecji. A ty do Edynburga. Mam rację?

Nie rozmawiali więcej, aż pociąg wyjechał z Exeter. Nick bez pośpiechu i wnikliwie rozpatrywał różne możliwości, podczas gdy Basil, uznając, że brat potrzebuje chwili do namysłu, z przyjemnością kartkował przewodnik Michelina po Wenecji. Nick nie potrafił zdecydować, ile powinien mu zdradzić. Oczywiście Basil miał we wszystkim rację. Kiedyś uważano, że Nick jest najbłyskotliwszym dzieckiem Michaela Paleologusa, lecz teraz Nick uświadomił sobie, że to Basil zawsze był najinteligentniejszy z nich, choć może jego błyskotliwość nie rzucała się w oczy, a on sam często wydawał się zadowolony, że mają go za Głupiego Jasia.

- Możliwe, że obaj podejmujemy duże ryzyko - powiedział w końcu Nick, gdy pociąg nabierał rozpędu, sunąc przez zalane łęgi ujścia Exe. - Rozumiesz to, prawda?

- Czasami najbardziej ryzykowna jest bezczynność.

- Ale tylko czasami.

- Tak właśnie jest teraz.

- Co będziesz robił po przyjeździe do Wenecji?

- Zlokalizuję dom naszego kuzyna. Wybadam grunt. Zastanowię się, jak nawiązać z nim kontakt. Chyba znajdę sposób. Gdyby Paleologus nie złożył wizyty innemu Paleologusowi, mogłoby to zostać uznane za afront. Jeżeli tam mieszka, mam nadzieję, że uda mi się stworzyć okazję, by zawrzeć z nim znajomość.

- A jeśli nie mieszka?

- Ustalę, co się da. Jedno jest pewne, że niczego się nie dowiem, jeżeli nie spróbuję.

- Bądź ostrożny.

- Będę. Mam nadzieję, że ty też weźmiesz to sobie do serca.

- Masz numer mojej komórki?

- Oczywiście, że nie. - Basil uśmiechnął się szeroko i podał mu bilet kolejowy. - Napisz mi. - Nick spełnił prośbę brata. - Zadzwoń jutro i dam ci znać, gdzie się zatrzymałem.

- Nie zapomnij.

- Nie muszę ci mówić, Nick, że sami ponosimy część winy za to, co się stało. Gdybyśmy nie zniszczyli testamentu taty... - Basil wzruszył ramionami. - Kto wie?

- Świetnie, że zapamiętałeś adres Demetriusa.

- Pomyślałem, że może się przydać.

- Przypuszczasz, że to on jest Tantristem?

- Niewykluczone.

- Jeśli tak, to zmierzasz prosto w paszczę lwa.

- W Wenecji jest dużo lwów. Przede wszystkim z brązu i marmuru.

- Zadzwoń jutro?

- Powiedziałem, że zadzwonię.

- Być może zdobędę do tego czasu pewne cenne informacje.

- Tak prędko?
- W Londynie mam się spotkać z jednym znajomym.-
Od którego się dowiesz...
- Całkiem możliwe, że nic się nie dowiem.
- Mimo to...
- Gram w ciemno. Na razie to zostawmy.
- Zgoda.
- Sam się zastanawiałem, czy pojechać do Wenecji. Może po powrocie z Edynburga. I w zależności od tego, co się wydarzy.
- Może będziesz musiał. - Basil zachichotał. - Nie wiadomo, w jakie tarapaty się wpakuję.

Rozstali się na Paddington. Jak się można było spodziewać, Basil - notorycznie cierpiący na awiofobię - całą drogę do Wenecji zamierzał pokonać pociągiem. Na miejsce miał dotrzeć w piątek rano. Następny etap podróży do Paryża odbędzie ekspresem Eurostar. Wolno zszedł po schodach prowadzących do metra i na chwilę zatrzymał się na dole, aby pomachać na pożegnanie i wyszczerzyć zęby w uśmiechu. Jako ekscentryczny pieszy turysta w średnim wieku wyglądał bardzo przekonująco. Nick zdał sobie sprawę, że macha do niego jedyny brat, jaki mu pozostał. Dopiero teraz, gdy Basil odwrócił się i zniknął w tłumie zmierzającym do tunelu, Nick uświadomił sobie, jak bardzo jest mu bliski.

Wyszedłszy ze stacji, Nick ruszył pieszo na południe w stronę Hyde Parku, ponieważ do umówionego spotkania z Martym Braxtonem zostało mu jeszcze trochę czasu. Braxton krótko pracował z nim w English Partnerships i był wygadany cwaniakiem, który z nieskrywaną pogardą traktował obowiązek przestrzegania reguł biurokratycznych. Od czasów gdy razem dzielili biuro w Milton Keynes, Braxton awansował, przenosząc się na stosowniejszą dla siebie i bardziej popłatną posadę w agencji reklamowej w West Endzie. Miał rozliczne wady, których przeciwwagę stanowiły pewne

ujmujące cechy charakteru, zwłaszcza gotowość do rewanżowania się za przysługi. Tak się złożyło, że był dłużnikiem Nicka, który kiedyś przymknął oko na fakt, że Braxton korzystał ze służbowego telefonu i komputerów w celu prowadzenia handlu tablicami rejestracyjnymi na zamówienie. W końcu nadszedł czas spłaty długu.

Umówili się w Windmill, w połowie drogi między Bond Street a Regent Street. Braxton twierdził, że zna ten pub, lecz rzadko tam zagląda; wątpił, by miał natknąć się tam na kogoś znajomego. Nick miał nadzieję, że Marty się nie myli. Liczył również na to, że czegoś się dowie.

Kiedy Nick przyszedł, Braxton już zdążył się zainstalować za barem. Sądząc po stopniu napoczęcia porcji zapiekanki z cynaderkami w cieście oraz szklanki piwa, musiał tu siedzieć od dłuższego czasu. Odkąd Nick widział go po raz ostatni, Marty przybrał na wadze, lecz wcale źle z tym nie wyglądał. Zawsze odrobinę przypominał fokę. Teraz nabrał bardziej foczych kształtów, które harmonizowały z gromkim śmiechem i wiecznie zadowoloną miną.

- Cześć, Nick - witał go z ustami pełnymi ciasta. - Dobrze wyglądasz.

- Podzielasz zdanie mniejszości.

- Tak? Moja dewiza brzmi: miej odwagę być innym. Piwko?

- Może być. Dzięki.

- Polecam cudne nerki.

- Nie jestem głodny.

- Jak chcesz. - Braxton dał znak barmance i po chwili przed Nickiem zjawilo się duże piwo. - Chcesz tu zostać czy klapnąć w rogu?

- Gdzie ci wygodniej.

- Lepiej sobie klapnijmy. Chodź. - Braxton zaprowadził go do stolika obok schodów i gdy tylko usiedli, wzniósł toast za dawne dobre czasy. - Ale moje czułki wrażliwe na emocje mówią mi, że dla ciebie przyszły nie najlepsze czasy, Nick. Mam rację?

- Kłopoty rodzinne.
- W tym ci nie pomogę. Moje pierwsze wspomnienie to widok dziobu, z którego wypuścił mnie bocian.
- Miałem nadzieję, że jednak będziesz mógł mi pomóc.
- Ach. Nie będzie gry wstępnej?
- Obawiam się, że nie.
- W branży reklamowej nie da się być tak bezpośrednim, możesz mi wierzyć.
- Nie planuję kariery w branży reklamowej.
- Z taką postawą raczej nie masz tam czego szukać.
- Marty...
- Dobra. Koniec z zawracaniem dupy. Czy powiodła mi się magiczna sztuczka z komputerem pewnego adwokata? O to chcesz zapytać, prawda? Czy udała mi się hakerka, by tak to ująć. - Braxton uśmiechnął się szeroko. - A kiedy mi się nie udała?
- To znaczy...
- Stary, to nie komputer, ale raczej durszłak. Żaden problem. Uprzedzam, mimo wszystko sprawa jest nielegalna. - Braxton z trudem ściszył głos, lecz to, co miało być szeptem, zabrzmiało jak chrapliwy pomruk. - Ale czego się nie robi dla dawnych kumpli z biura, nie?
- Jestem ci wdzięczny, Marty. Naprawdę.
- I słusznie. Zwłaszcza że dla ciebie szczególnie się postarałem.
- Co masz na myśli?
- Wygląda to tak. Te równiutkie pół miliona wypłacone dwudziestego szóstego stycznia przez Hopkinsa i Broadhursta trafiło do firmy Develastic. Znasz ich?
- Nie sądzę.
- Mają siedzibę na Jersey. Pewnie jakaś podstawiona spółka. Słabo tam z informacją, ale to typowe dla wyspy. Udało mi się jednak zdobyć nazwiska szefów, na wypadek gdyby cię interesowały.
- Mogą mnie bardzo interesować.

Braxton podał mu kartkę z wypisanymi trzema nazwiskami:

MAWSON Terence
MAWSON Catherine
RAMIREZ-JONES Clive

- Jacyś znajomi?
- Niezupełnie.
- Ale zdaje się niezupełnie obcy, chyba że zbladłeś, bo ci piwo skwaśniało.

Nick pociągnął ze szklanki i spojrzał Braxtonowi prosto w oczy.

- Piwo jest w porządku.
- Tak myślałem.
- Ale coś innego... - Nick zerknął na kartkę - jest bardzo nie w porządku.

Już do końca lunchu, na który Braxton miał godzinną przerwę, Nick był kiepskim kompanem, co Marty kilka razy mu wypominał. Kiedy się wreszcie pożegnali, obaj odczuli ulgę. Nick zaczął iść na południe w stronę Westminster Bridge przez Green Park i St James's Park. Tempo, z jakim myśli przebiegały mu przez głowę, było szybsze od tempa jego marszu, lecz błędziły po omacku, pędząc w niewiadomym kierunku. Przedtem bał się, że Braxton nie będzie miał dla niego nic albo znajdzie coś zupełnie nieprzydatnego, choć miał cień nadziei, iż trafi na ślad Elspeth Hartley lub może Demetriusa Paleologusa. Nie spełniły się jednak ani jego obawy, ani nadzieje. Pojawili się natomiast wrogowie, i to z najmniej spodziewanej strony. Okazało się, że pieniądze Tantrisa pochodziły od bylej żony jego brata i jej obecnego męża. Elspeth Hartley dokonała oszustwa dzięki jednemu z nich lub obojgu. Albo to ona im pomagała. Nie sposób stwierdzić, kto z nich był inicjatorem i jakie motywy nim kierowały.

Chociaż zapewne niedługo będzie się mógł przekonać.

Nick ostrzegwał Basila, że jadąc do Wenecji w poszukiwaniu kuzyna Demetriusa, zmierza prosto w paszczę lwa. Jak na ironię, teraz to Nick znalazł się w niebezpieczeństwie. Zaproszenie Kate zyskało nagle złowieszczy podtekst. Czyżby szukali z Terrym okazji, by zdecydować, czy Nick stanowi dla nich zagrożenie? I jak zareagują, gdyby uznali, że jest groźny? Nie mógł jednak odwołać wizyty, nie wzbudzając ich podejrzeń. Doszedł także do wniosku, że skoro szukają okazji, aby go wybadać, będzie miał doskonałą okazję, aby wybadać ich.

Zadzwonił do Kate z holu dworca Waterloo, żeby jej powiedzieć, którym pociągiem przyjedzie.

- Odchodzi za kilka minut. W Sunningdale ma być piętnaście po czwartej.

- Przyjadę po ciebie na stację.

- Będzie prościej, jeśli wezmę taksówkę.

- Nie wygłupiaj się. To żaden kłopot. Będę.

- W porządku. Dzięki.

- Jak się czujesz?

- Och... dobrze.

- Martwiliśmy się o ciebie.

- Tak?

- Naturalnie. I ucieszyliśmy się, że już jest lepiej. Bo jest lepiej, prawda?

- Tak. Lepiej.

- To dobrze.

- Cóż...

- Do zobaczenia.

- Aha. Na razie. - Nick rozłączył się i zerknął na tablicę odjazdów. Pociąg już czekał. Nie miał czasu do stracenia. Ruszył na peron.

Rozdział 15

Andrew i Kate poznali się na kursie nurkowania w Fort Bovisand. Pobrali się, gdy Nick chodził jeszcze do szkoły, i zaraz potem rzucili się w wir pracy, by uczynić z Carwether kwitnącą farmę. Zaczęło im się źle układać dopiero po narodzinach Toma. Wówczas także Nickowi życie zaczęło się źle układać. Dlatego nie był świadkiem ostatecznego rozpadu małżeństwa. Pamiętał jedynie, że wtedy na horyzoncie nie było jeszcze Terry'ego Mawsona, choć pojawił się już wkrótce. Kate wyszła za niego w połowie lat osiemdziesiątych, gdy jego firma budowlana z siedzibą w Devon przekształcała się w przedsiębiorstwo deweloperskie działające w całym kraju. Zanim po boomie zostało wspomnienie, zdążył zgromadzić małą fortunę i wycofać się z rynku w idealnym momencie. Potem tu i ówdzie inwestował z coraz lepszym skutkiem, dzięki czemu dziś mogli wieść z Kate spokojne życie niemal jak para emerytów, dzieląc czas między wielki dom w Surrey i niewiele mniejszą willę w Hiszpanii, przy których tuż za progiem rozciągały się pola golfowe.

Trudno było zazdrościć im zamożności, lecz Andrew naturalnie zazdrościł. Fakt faktem, że Terry ciężko zapracował na luksusy, z których mógł teraz korzystać, przyznając przy

tym szczerze, iż to, co uważano za dowód jego sprytu i zaradności, często po prostu zawdzięczał szczęśliwemu trafowi. Był sympatycznym, bezpośrednim człowiekiem o posturze niedźwiedzia, uwielbiającym cygara, golf i szybkie samochody. Aby dopełnić stereotypu, powinien jeszcze uganiać się za spódniczkami, tak jednak nie było. Był oddanym mężem, niemal pantoflarzem, choć nie miał dzieci i podobno nie żałował czasu ani pieniędzy na egzotyczne terapie leczenia bezpłodności - daremnie. Po stracie Kate Andrew mógł się jedynie pocieszać tym, że nie dała Terry'emu syna, który mógłby rywalizować z Tomem.

Poglądy Kate na tę sprawę nie były znane. Pozostała chłodną w okazywaniu uczuć i zrównoważoną żoną farmera, którą od dawna już nie była. Nie dla niej gin i wygodny leżak nad basenem. Była właścicielką szkółki jeździeckiej w Ascot oraz studia architektury wnętrz w Camberlay. Była bardzo samodzielną kobietą. Ale nie miała już tyłu zajęć jak kiedyś. Interesy firm należących do niej i Terry'ego przynosiły zysk, pracując własnym rytmem, nie wymagały od nich codziennego nadzoru, dzięki czemu oboje mieli czas na...

No właśnie, na co? Nick dręczył się tym pytaniem, gdy pociąg wolno mijał Hounslow i Staines. Nie potrafił uwierzyć w to, co wydawało się już jasne. Kate i Terry byłiby ostatnimi ludźmi, jakich mógłby podejrzewać o spisek. Mieli wszystko, czego pragnęli, w tym także siebie nawzajem. Rodzina Paleologusów nie wyrządziła im żadnej krzywdy. Winą za rozwód obarczano raczej Andrew niż Kate. Zawsze utrzymywali ze sobą przyjazne kontakty. Uważano, że Tom przynosi chlubę Kate i tym samym swojemu ojczymowi. Nigdy nie dochodziło do żadnych sporów.

Lecz odkrycia Marty'ego Braxtona nie pozostawiały wątpliwości. Na pieniądzach Tantrisa były odciski palców Kate i Terry'ego. A pieniędzy nigdy im nie brakowało.

Zgodnie z obietnicą Kate czekała na niego na stacji Sunningdale - opalona, wysportowana i modnie, choć zwyczajnie;

ubrana w dżinsy, czerwony sweter i czarną kurtkę do połowy ud. W ciemnych włosach widać było pojedyncze ślady siwizny, a wokół oczu drobne zmarszczki, ale poza tym wyglądała jak chodząca reklama korzyści, jakie osoby w średnim wieku mogą czerpać z dostatku. Sprawiała wrażenie beztrojskiej i w najmniejszym stopniu nieuwikłanej w żaden spisek.

- Cześć, Nick - powiedziała, obejmując go i całując. - Cudownie cię widzieć. Zwłaszcza że dobrze wyglądasz.

- Jesteś już drugą osobą, która mi to dzisiaj mówi.

- Wobec tego to musi być prawda. W każdym razie jest o wiele inaczej niż...

- Na pogrzebie Andrew? Wiem. Nie bardzo umiałem się pozbierać. To przez leki, którymi mnie nafaszerowali. Dzisiaj też nie przeszedłbym pewnie testu antydopingowego, ale... dochodzę do siebie.

- Cieszę się. Naprawdę widać. Skoro wspomniałeś o dochodzeniu do siebie, to jedźmy. Do mnie.

Wsiadli do mercedesa Kate zaparkowanego pod stacją i ruszyli. Nick poczuł już nerwowy ucisk w żołądku. Zwolnił oddech, starając się rozluźnić mięśnie twarzy.

- Naprawdę miło z twojej strony, że jedziesz odwiedzić Toma. Martwimy się o niego, ale gdybym zaczęła marudzić, nie byłby zachwycony, więc bardzo szczęśliwie się złożyło.

- Macie powody, żeby się o niego martwić? Oczywiście, strata ojca...

- Nie ma żadnych szczególnych powodów. Ale na pogrzebie był taki... milczący. Chciałabym po prostu, żeby powiedział, o co chodzi. Może przy tobie będzie rozmowniejszy.

- Opowiem mu, co się stało, i zobaczymy.

- Przecież to był wypadek. Chociaż zastanawiam się, czy to nie gorzej.

- Jak to?

- Zastanawiam się, czy Tom nie wolałby znaleźć winnego. Tylko że nikt nie jest temu winien, prawda?

- Tak. - Nick spojrzął przed siebie na drogę. - Nikt.

Po kilku minutach skręcili w prywatną drogę biegnącą przez osiedle Wentworth. Mijając solidne bramy posiadłości, Kate taktownie zwolniła do dwudziestu mil na godzinę. W głębi, z końca długich, obsadzonych drzewami podjazdów, migły wyniosłe spadziste dachy i potrójne garaże. Zostawiwszy za sobą wypielegnowany szmaragdowy pas pola golfowego, znaleźli się w jeszcze bardziej ekskluzywnej enklawie rezydencji, których wartość sięgała siedmiocyfrowych sum. Potem wjechali w krętą ślepią uliczkę prowadzącą do posesji, którą Kate i Terry nazywali swoim domem.

Był to jedyny w swoim rodzaju budynek, choć bynajmniej nie skromny. Mariposa była najprawdopodobniej największym domem parterowym w Surrey -krytym dachem z terakoty, przeszklonym panoramicznymi oknami i zajmującym przesadnie wielką połąć ziemi.

Dzięki Kate urządzenie i wystrój wnętrza były na tyle gustowne, na ile pozwalał zaprojektowany z rozmachem plan parteru. Mariposa, tak jak przedtem Carwether, nie była naturalnym środowiskiem Kate, która jednak dobrze maskowała ten fakt. Nick pomyślał, że jest specjalistką od maskowania, być może lepszą, niż kiedykolwiek przypuszczał.

Zaniósł torbę do skrzydła przeznaczonego dla gości i po krótkiej chwili wrócił do Kate, aby wypić z nią herbatę w bezkresnej przestrzeni pastelowego salonu. Wyjaśniła mu, że Terry towarzyszył grupie klientów na popołudniowych wyścigach na torze Sandown Park; miał wrócić na kolację.

- Gdyby tak dawno nie umówił się z nimi na te wyścigi, mogłabym podejrzewać, że zniknął celowo.

Nick uśmiechnął się, zerkając przez okno na bujny i malowniczy ogród, gdzie na przebiśniegach i wczesnych żonkiłach pojawiły się pierwsze krople deszczu.

- Po co miałyby to zrobić?

- Bo jest delikatniejszy, niż się ludziom wydaje. Wie, że chce z tobą porozmawiać o Andrew.

- Kate, co tu jest do powiedzenia? Żałuję, że nie zrobiłem więcej, żeby go powstrzymać, ale...

- Nie chodzi mi o wypadek. Podczas jednej z niewielu rozmów, jakie udało mi się przeprowadzić ze swoim synem, kiedy tu był w zeszłym miesiącu, zanim... no, zanim to się stało... powiedział mi o tej dziwnej sprawie z Tantristem.

- Ach. - Nick poczuł, jak nagle wyostrzyły mu się wszystkie zmysły. Widział i słyszał deszcz padający na patio z cichym szumem przypominającym syk węża. - Mówił ci?

- To tajemnica?

- Niezupełnie. W każdym razie... - Nick upił łyk herbaty. - Cieszę się, że ci powiedział. Lepiej grać w otwarte karty.

- Czy nie tak należy postępować? Właśnie dlatego między innymi rozstałam się z Andrew. Zawsze tyle przede mną ukrywał. Z kolei Terry... wszystko ma wypisane na twarzy.

- Ktoś nam spletał dziwnego i dość okrutnego figła, Kate. Najdziwniejsze jest to, że nie wiemy ani kto... ani dlaczego.

- Nie przypuszczacie, kto za tym stoi?

Nick pokręcił głową.

- Gdybyśmy zrozumieli motyw...

- Pewnie potrafilibyście się domyślić, kto to jest.

- Prawdopodobnie.

- I Andrew szczególnie zdenerwował się z tego powodu?

- No... Tak. Oczywiście sprzedając Trennor za tak wysoką cenę, wszyscy byśmy na tym skorzystali, ale Andrew w szczególności. Od kilku dobrych lat rolnictwo jest zabawą dla frajerów.

- To samo mówi Terry. Uznał więc, że ta transakcja to dla Andrew koło ratunkowe.

- Chyba tak.

- I nagle koło ratunkowe zniknęło.

- Tak. Zniknęło.

- Dlatego właśnie martwimy się o Toma. - Kate pochyliła się na krześle. - To on się domyślił, że Tantris jest oszustem, prawda?

- Tak.

- I zdemaskował podstęp.

- No...

- Nick, martwimy się, że może się czuć winny z powodu śmierci ojca. O to chodzi. Na pogrzebie był taki... zamknięty w sobie. Nie chciał ze mną rozmawiać. Tak naprawdę porozmawiać. Ma to po Andrew. Nie chce się przed nikim otworzyć. Chyba w głębi serca jest przekonany, że w jakiś sposób przyłożył rękę do śmierci Andrew.

- Absurd. Prędzej czy później poznalibyśmy prawdę.

- Wiem. Ale dzięki Tomowi poznaliście ją wcześniej.

- Mimo to...

- Och, wiem. Oczywiście, że to nie ma sensu. Ale żal i poczucie winy zwykle nie mają nic wspólnego z sensem. Naprawdę się martwię, że wbił sobie do głowy, żeby siebie winić. Dlatego tak się cieszę, że jedziesz go odwiedzić. Jeżeli ktokolwiek potrafi mu wytłumaczyć, to tylko ty.

- Spróbuję.

- Wielkie dzięki, Nick. - Kate uściśniła mu dłoń. - O nic więcej nie proszę. - Patrząc jej w oczy, Nick nie mógł wątpić, że mówi to zupełnie szczerze.

Leżąc przed kolacją w wannie, Nick przyglądał się przez kłęby pary prysznicowi wielkości słonecznika, skupiając uwagę na maleńkiej, powiększającej się stopniowo kropli wody w samym środku sitka i zastanawiając się, kiedy kropla spadnie. Rosła bardzo powoli, leniwie połyskując, a wraz z nią rósł jego lęk przed wieczorem, który go czekał. Był już niemal przekonany, że Kate niczego przed nim nie ukrywała i nic nie wiedziała o pochodzeniu pieniędzy Tantrisa. Ale jeśli tak, to Terry oszukał nie tylko rodzinę Paleologusów, lecz także żonę. Skutki mogły więc być jeszcze gorsze.

Wszystko wydawało się normalne, spokojne i wyciszone. Lecz nie było tak ani trochę.

Nick wyszedł z wanny, nagle zniecierpliwiony własnymi obawami. Wytarł się energicznie i otworzył okno, aby wypuścić parę z łazienki. Wtedy usłyszał: niski i dudniący warkot silnika ferrari Terry'ego. Samochód przemknął z rumorem przez podjazd i zatrzymał się z głośnym chrzęstem gумы o żwir.

Nick wyczyścił kawałek zaparowanego lustra i popatrzył na wilgotną i wymizerowaną twarz, która stamtąd spoglądała na niego. Przez moment odniósł wrażenie, że widzi człowieka, który usiłuje odwrócić wzrok. Zaraz sobie jednak przypomniał: to on jest tym człowiekiem; to jego spojrzenie.

- Terry bierze prysznic - zawołała z kuchni Kate, kiedy niedługo potem mijał drzwi. - A ja mam właśnie brudne ręce. Rozgość się w salonie, któreś z nas za moment do ciebie przyjdzie.

Nick próbował się rozgościć, ale miękkie meble nie wystarczyły, aby poczuł się swobodnie. Chcąc uciszyć nerwy, nalał sobie duży gin z tonikiem i włączył telewizor. Nadawano wiadomości i jakiś ponury dziennikarz mówił o wybuchu epidemii pryszczycy. Nick wyłączył odbiornik. Podeszedł do drzwi prowadzących na patio i rozchylił zasłony. Ciągle padało. W rdzawym blasku reflektora wbudowanego w trawnik widać było strużki deszczu. Minęła minuta. I kilka następných.

- Nick - rozległ się tubalny głos Terry'ego. - Przepraszam, że tak cię zostawiliśmy.

- Nie przejmuj się. - Odwróciwszy się, Nick ujrzał szeroki uśmiech i skrzące się wesołością oczy, które najlepiej zapamiętał spośród innych szczegółów wyglądu Terry'ego Mawsona. Puciołowata twarz, łysina i potężna postura doskonale pasowały do zmatowiałego od cygar i whisky barytonu, który dudnił w szerokiej piersi jak w beczce. Modnie skrojona czarna koszula Terry'ego była wystarczająco obszerna, by

zamaskować okazały brzuch, a jedyny ślad jego dawnej słabości do ozdób stanowiła błyszcząca złotem klamra paska. Wszyscy go lubili, bo trudno go było nie lubić. Po latach Kate udało się znacznie poprawić gust męża w kwestii stroju, ale jego osobowość jak dawniej podlegała tylko żywiołowej naturze. Nick byłby o tym święcie przekonany - w normalnych okolicznościach. - Dobrze cię widzieć, Terry.

- Ciebie też. - Podali sobie ręce i mięsista łapa klepnęła Nicka w ramię. - Co pijesz?

- Gin z tonikiem.

- To ja też. - Terry chwycił butelkę. - Dolać?

- Nie, dzięki.

- Słusznie. - W szklance zagrzechotał lód. Potem chlusnął gin i zasyczał tonik. - Zdrowko.

Znów ten niewiarygodnie szeroki uśmiech, któremu towarzyszyło mrugnięcie, gdy stuknęli się szklankami. Nick miał w głowie mętlik. Nie było w tym ani krzty sensu. Nie możliwe, żeby Terry Mawson był zdolny uknuć podstęp z Tantristem. Intryga i spisek były mu zupełnie obce; literatura średniowiecza była dla niego *terra incognita*. Nick musiał coś przeoczyć, coś prostego i zarazem nieokreślonego.

- Kiedy u nas byłeś ostatni raz, Nick?

- Nie jestem pewien. Może na osiemnastych urodzinach Toma.

- No to parę lat.

- Chyba tak.

- W takim razie nie mogłeś widzieć tego.

Terry podszedł do wykładanego marmurem kominka i ruchem głowy wskazał obraz wiszący nad gzymsem. Nick nie zauważył go wcześniej i nie potrafił powiedzieć, czy już go kiedyś widział. Duży, namalowany farbami akrylowymi obraz o czystych liniach przedstawiał kobietę w sukni balowej tańczącą na plaży z niewidzialnym partnerem. Wyglądał dziwnie znajomo.

- Vettriano. Co o nim sądzisz?

- Hm... bardzo dobry.

- Pewnie poznajesz styl. Wszędzie można kupić kartki okolicznościowe z jego obrazami.

- Tak, chyba tak. - W ten sposób wyjaśniło się, skąd zna wizerunek tancerki. - Nie wiedziałem, że interesujesz się sztuką, Terry.

- Niezupełnie. Ale trzeba coś wieszać na ścianach, nie? Podobają mi się te malunki. Rozumiem je. Przynajmniej tak mi się wydaje. Poza tym mój księgowy mówi, że to dobra inwestycja.

- Naprawdę?

- Podobno murowany zysk. Miejmy nadzieję, bo trochę na niego wybuliłem. - Terry ryknął śmiechem tak nieoczekiwanie, że Nick aż podskoczył.

- Wszystko w porządku? Nie chciałem cię przestraszyć.

- Przepraszam. Tylko... - Nick wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, moje nerwy są w nie najlepszym stanie.

- Nic dziwnego po tym, co przeszedłeś. Na pewno nie chcesz jeszcze kropelki ginu?

- Nie, dzięki.

- W porządku. Wiem, że było ciężko. Rozumie się, nie?

- Tak.

- Kate mówiła ci o Tomie?

- Mówiła.

- Tak między nami, strasznie się tym gryzie. Jeżeli więc możesz coś zrobić... będziemy wdzięczni. Bardziej niż wdzięczni.

- Mogę tylko spróbować.

- Jasne. Moim zdaniem w takich sytuacjach ludzie muszą sobie pomagać. Rozumiesz, o co mi chodzi? Powinni się trzymać razem. Wspierać nawzajem.

- Zgoda.

- Dlatego rozmyślałem nad twoją... sytuacją.

- Naprawdę?

- Pewnie.

- I co... wymyśliłeś, Terry?

- No, mam pewien pomysł. Chciałbym, żebyś się nad nim zastanowił.

- Słucham.
- Kiedy konował pozwoli ci już iść do pracy, zamierzasz wrócić do English Partnerships?
- Oczywiście.
- Bo musisz płacić rachunki, zgadza się?
- No... tak.
- Ale chyba nie odpicowujesz tych przemysłowych pustyni z powołania.
- Nie.
- Gdyby więc pojawiła się jakaś lepsza propozycja...
- Do czego zmierzasz, Terry?
- Być może będę mógł zaproponować ci zajęcie. Wyższa pensja. Ruchomy czas pracy. I mnóstwo dodatkowych korzyści. Co ty na to?
- Brzmi nieźle, ale...
- Co to za praca? Mało absorbująca. Te wszystkie moje biznesy w zasadzie same się kręcą, ale potrzebuję kogoś, kto miałby je na oku tak na wszelki wypadek, gdyby jakiś gnojek próbował mnie naciąć. Potrzebuję kogoś zaufanego - naprawdę zaufanego - żeby wszystkiego dopilnował. Rozumiesz, o co mi chodzi? Kogoś, kto finansowo zabezpieczy mi tyły. Nieźle się znasz na robocie systemowej. Na dodatek jesteś tak jakby z rodziny. Myślę, że potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Obaj byśmy na tym skorzystali.

Nick nie potrafił sformułować żadnej sensownej odpowiedzi. Terry patrzył na niego z dobrodusznym uśmiechem, a jego oczy nadawały zachęcający komunikat: „Wsiadaj na pokład i już ja się tobą zajmę”. Nick nie miał wątpliwości, że Terry zrobiłby to bez wahania. Ale dlaczego? Czemu właśnie teraz? I co go właściwie skłoniło do takiej decyzji? Jego słynna wspaniałomyślność? A może coś, z czego był mniej znany... na przykład nieczyste sumienie?

- Nie musisz się decydować od razu, Nick. Przemyśl to. Nie rozmawiałem o tym jeszcze z Kate, dlatego przy kolacji trzymaj język za zębami, dobra? Głowę daję, że się zgodzi.

Zawsze wierci mi dziurę w brzuchu, żebym częściej robił sobie wolne. Ale nie powiem jej, dopóki czegoś nie postanowisz. Rozumiesz, nie?

- Tak. - Nick uśmiechnął się z wahaniem. - Naturalnie.

- Świetnie. Prześpij się z tym. - Terry ścisnął ramię Nicka. - Uwierz mi, to jeden z moich lepszych pomysłów.

Nick prawie nic nie zapamiętał z kolacji. Kate doskonale gotowała i jedzenie bez wątpienia było pyszne. Wino płynęło, rozwiązując języki, skoro Nick nie przypominał sobie później ani chwili niezręcznego milczenia. Potrafił jednak wrócić myślą tylko do wcześniejszej rozmowy z Terryem i tej, która nastąpiła później, natomiast między jedną a drugą ziała pustka. Propozycja pracy była rzeczywista. To jasne. Ale równie rzeczywiste były pieniądze, które kancelaria Hopkins i Broadhurst wypłaciła jednej ze spółek Terry'ego. Wszystko było rzeczywiste, lecz nic pewne.

Kate poszła się położyć krótko przed północą, a Terry i Nick usiedli ze szklaneczkami whisky przy dogasającym kominku. Terry dorzucił do żaru ostatnie polano i zapalił cygaro, częstując Nicka, który odmówił. Nie wzbraniał się jednak przed dolewką szkockiej, po której całe ciało ogarnęło piekące ciepło. Nie miał ochoty z własnej inicjatywy poruszać sprawy, jak gdyby zawieszanej między nimi w blasku lampy, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Trzeba było wreszcie skończyć z wątpliwościami. Przyszedł czas próby sił.

- Lepiej by było, gdybym dopiero teraz wyszedł z tym pomysłem pracy dla ciebie - rzekł Terry, rozkoszując się smakiem cygara.

- Dlaczego?

- Bo przy kolacji byłeś trochę rozkojarzony. Nie wiem, czy Kate zauważyła, ale ja tak.

- Rozkojarzony?

- Tak mi się zdawało.

- Cóż, masz oczywiście rację. Dzięki tobie miałem wiele rzeczy do przemyślenia. Więcej, niż ci się wydaje.

- Jak to?

- Wszystko sprowadza się do pytania: dlaczego, Terry?

- Dlaczego złożyłem ci propozycję?

- Nie. - Nick odczekał chwilę. - Dlaczego nienawidzisz mojej rodziny?

- Co? - Terry wyjął z ust cygaro. - Co powiedziałaś?

- Dlaczego nienawidzisz mojej rodziny?

Terry wpatrywał się w niego, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Oszalałaś? O czym ty mówisz, do cholery?

- O pół miliona funtów, które zdeponowałeś u Hopkinsa i Broadhursta, żeby uwiarygodnić ofertę kupna Trennor złożoną przez fikcyjnego Tantrisa. Pieniądze poszły przez zarejestrowaną na Jersey firmę Develastic. Ale Develastic to ty, Terry. Czyli to były i są twoje pieniądze. Wszystko zatem wskazuje na ciebie. I pytam: dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

Nick nigdy dotąd nie widział u Terry'ego takiej miny. Zniknęła jowialna pogoda ducha i dobroduszny uśmiech. Wyglądał na przygniecionego poczuciem winy. Nick spodziewał się protestów, może nawet gwałtownych, a przynajmniej oporu, który mógłby doprowadzić do Bóg wie czego. Terry natomiast zgarbił się i spuścił wzrok. Potem zdusił cygaro w popielniczkę stojącej na stole obok krzesła.

- Zaczekaj chwilę - powiedział niewyraźnie, wstając. Podszedł do podwójnych drzwi, które były uchylone, i wyjrzał na korytarz, nasłuchując przez moment. Następnie zamknął je bezgłośnie i wolno wrócił do kominka. - Nie podnoś głosu, dobrze?

- Przecież nie krzyczę.

- Kate nie może nic wiedzieć. Za żadne skarby. Nie chcę nawet myśleć, jak to by się na niej odbiło.

- Przypuszczam, że nie gorzej niż na nas.

- Tak, ale... - Terry usiadł na brzeжку krzesła i nachylił

się, spoglądając z wahaniem w oczy Nicka. - Nie przypuszczałem... że stanie się coś złego. Musisz mi uwierzyć.

- Muszę?

- Jak się dowiedziałeś?

- Zabezpieczenia komputera u Hopkinsa i Broadhursta pozostawiają wiele do życzenia. Poza tym pieniądze zostawiają ślady. Powinieneś o tym pomyśleć.

- Nie wiedziałem, że będę musiał.

- O co tu chodzi, Terry?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- Nie jestem pewien. Nie tylko wy zostaliście wykołowani.

- Co to ma znaczyć?

- Ja tylko wyłożyłem kasę. Nie wiedziałem, do czego zostanie wykorzystana. Spekulacja nieruchomościami. Tak mi powiedział. Żeby miał od czego zacząć. Wydawało mi się, że pomysł był całkiem w porządku. I wszedłem w to, tylko że nikt nie wyłożył żadnego kapitału. Gdyby było inaczej, prędzej bym przejrzał na oczy. A tak pomyślałem sobie, czemu nie? Pomogę mu na początek, potraktuję jak własnego. Zresztą i tak zawsze myślałem o nim jak o własnym.

- Mówisz o...

- Tak, o Tomie. On mnie w to wpakował.

- Tom?!

- Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę. Nie miałem pojęcia, co zamierza zrobić z pieniędzmi. Mówił, że ma na oku jakąś nieruchomość w Plymouth odpowiednią do adaptacji na mieszkania. Uważał, że musi kupić kilka domów jednocześnie, żeby osiągnąć jakiś zysk. Dałem mu wolną rękę. Pół miliona to dla mnie marne grosze. Pewnie powinienem wy czuć, co się święci, kiedy mnie poprosił, żebym nie mówił o niczym Kate. To miała być nasza tajemnica. No i dałem się nabrać. Zawsze ulegałem sentymentom. Wiedziałem, jak bardzo Kate chciała, żeby do czegoś w życiu doszedł. Dopiero kiedy Tom przyjechał do nas po pogrzebie twojego taty, dowiedziałem się, co kombinuje. Nawet nie wiedziałem, że

pieniądze wróciły do Develastic. I przez myśl mi nie przeszło, że sprawa może mieć jakiś związek ze śmiercią Michaela. Zatkąło mnie, gdy mi powiedział. Zbaraniałem do tego stopnia, że nawet nie potrafiłem się na niego rozgniewać.

- Jak się tłumaczył?

- Nie tłumaczył się. To znaczy, nie bardzo. Opowiedział mi i Kate o wyskoku Tantrisa, ale w ogóle nie skojarzyłem tego z forszą, którą mu pożyczyłem. Dopiero później musiał mi to jasno wytłumaczyć. Ale nie wyjaśnił, co się za tym kryło. Powiedział: „To sprawa między mną a dziadkiem”. Bezczelny smarkaty... - Prawa dłoń Terry'ego zacisnęła się w pięść, a po chwili wolno się rozluźniła. - Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że jeżeli wszystko ujawnię, wpadnę po uszy w takie samo gówna jak on. Powiedział, że wtedy nastawi przeciwno mi Kate; chciał jej wmówić, że niby ja przystałem na jego plan, żeby zrobić na szaro Andrew. Widziałem, że nie żartuje. Zgodziłem się więc trzymać gębę na kłódkę. Naprawdę nie miałem wyboru. Możesz sobie wyobrazić, jak by to wyglądało w oczach Kate.

- Żle.

- I jeszcze jedno. - Terry westchnął i pociągnął łyk whisky. - Nie domyśliłem się najgorszego, dopóki nie wyjechał.

- Najgorszego?

- Że niby Michael przysłał mu książkę, żeby dać mu cynk. Bzdura do kwadratu. Już wiedział, skoro sam wymyślił tę historyjkę. Wszystko zaplanował. Nawet to, kiedy przekazać wam złą wiadomość. Dlatego nie miałem być tylko źródłem łatwych pieniędzy. O, nie. Chciał mnie wciągnąć. Chciał mnie wplątać.

- Dlaczego?

- Żebym to ja wiedział. Ale wy też nie jesteście ani trochę mądrzejsi. O co chodziło w tej choliernej komedii? Żeby udowodnić, że jego rodzina jest tak samo chciwa jak inne? To chyba marny powód, nie?

- Tyle że skutki okazały się poważniejsze.

- Tak. Dla staruszka na pewno. Ta awantura musiała się jakoś przyczynić do śmierci Michaela. Nie żeby Tom czuł się za to odpowiedzialny. Mówię ci, nie bardzo było po nim widać wyrzuty sumienia. Za to z jego ojcem było inaczej. Śmierć Andrew nieźle go poruszyła. Chyba zobaczył, że wszystko wymyka mu się spod kontroli. Zmienił się. Kate ma rację, że się o niego martwi. Taki był ważny, kiedy mnie naciskał. Ale gdy przyjechał po pogrzebie Andrew, był zupełnie inny. Nagle zmienił się... w przestraszone dziecko.

- Nie bez powodu. - Nick czuł gniew na myśl o przebiegłości, z jaką Tom knuł intrygę przeciw rodzinie. - Będzie musiał odpowiedzieć za to, co zrobił.

- Nie przyzna się. Będzie próbował zwalić winę na mnie.

- To nie przejdzie. Ty nie przyjechałeś na pogrzeb taty, prawda?

- Co z tego?

- Tom przyjechał. Był na stypie w Trennor. - Nick myślał o kasecie wideo, która w niewiadomy sposób znalazła się w jego samochodzie. On i Andrew wykluczyli członków rodziny z grona podejrzanych. Dlatego pozostali im tylko Farnsworth i Davey. Lecz teraz pojawiła się nowa postać, która mogła nakręcić film i pożyczyć kluczyki Nicka, by podrzucić taśmę. - Zastanawiałem się, dlaczego tato wysłał „Tristana i Izoldę” akurat do Toma. Teraz rozumiem. W ogóle niczego nie wysyłał. To było kłamstwo. Trzeba zapomnieć o Farnsworcie i Daveyu. Wszystko wymyślili Tom i Elspeth Hartley. Boże, to jasne jak słońce.

- I tak się nie przyzna.

- Świetnie. - Nick uświadomił sobie nagle, jak bardzo pragnie, by bratanek zaczął się wszystkiego wypierać. - Niech spróbuje.

Rozdział 16

Długo siedzieliście wczoraj z Terrym? - spytała Kate, krzątając się w nasłonecznionej kuchni i szykując śniadanie dla Nicka. - Nawet nie zauważyłam, kiedy się położył.

- Nie za długo - odrzekł Nick, popijając kawę.
- Chyba nie opowiadał ci w kółko o ferrari, co?
- Nie.

- Tak się zwykle kończy, kiedy zostawię go samego z kolegą. Jak to chłopcy - nic tylko auta i momenty. Obrotowe. - Zachichotała. - Ciekawe, czy właśnie dlatego tak się upierał, żeby cię odwiedzić dziś rano na stację.

- Upierał się?

- Tak. Właściwie to była jedyna zrozumiała rzecz, jaką powiedział, zanim się powlókł do łazienki. „Odwożę Nicka na stację”. Mam nadzieję, że nie obiecywał pokazać ci w drodze do Sunningdale, jak samochód świetnie się prowadzi przy stu dziesięciu milach na godzinę.

- Na pewno bym zapamiętał.

- Tak. - Kate postawiła przed nim talerz z bekonem, grzybami, pomidorami i jajecznicą. - Proszę. Porządne wiejskie śniadanie. - Wymienili przelotne spojrzenie. Oboje wiedzieli, o czym każde z nich w tej chwili pomyślało.

- Dzięki.
- A jeżeli chodzi o Toma...

- Nie przejmuj się. - Nić tajemniczego porozumienia między nimi pękła równie szybko, jak się pojawiła. Nicka zdumiała łatwość, z jaką skłamał, by uspokoić Kate. - Będę się z nim obchodzić bardzo delikatnie.

Kiedy godzinę później jechali przez drzemiące jeszcze Wentworth, Terry wydawał się nienaturalnie przygaszony, w czym przypominał nieco swoje ferrari, które ochryple mruzczało, nie mogąc rozwinąć pełnej mocy. Nie prezentował się też za dobrze, paradując z zaczerwienionymi oczyma i wczorajszym zarostem na twarzy.

- Nie dałem rady się rano ogolić - wyjaśnił, pocierając szczeniaste policzki. - Szczerze mówiąc, prawie w ogóle nie kimałem.

- Nie mogę nic obiecać, Terry. Ale wierzę ci. I sądzę, że Kate też uwierzy, kiedy przyjdzie co do czego.

- Nie rozumiesz sposobu myślenia matki. Tom potrafi ją sobie owinąć dookoła małego palca.

- Przykro mi to mówić, ale to twój problem.

- Tak. I nie od dziś, więc powinienem sobie z tym radzić o wiele lepiej. Mówię ci, być ojczymem jest czasem trudniej niż prawdziwym ojcem.

- Nie wiedziałem.

- Masz szczęście.

- Mówisz serio?

- Teraz akurat tak. Chłopak postawił mnie pod ścianą. Kate to największe szczęście, jakie mi się w życiu trafiło. Nie chcę niczego zepsuć. Nie zniósłbym tego, gdyby coś poszło nie tak.

- Przypuszczam więc, że wszystko pójdzie dobrze. Bez względu na to, czego się dowiem w Edynburgu.

- Mniej więcej wiadomo.

- Trudno się z tym nie zgodzić. Ja też nie najlepiej spałem. Całą noc gnębiło mnie pytanie, na które mam nadzieję usłyszeć odpowiedź, jeżeli uda mi się przekonać Toma, żeby odpowiedział.

- Jakie pytanie?

- Na litość boską, o co w tym wszystkim chodzi?

Nick powtarzał sobie to pytanie, jadąc do Waterloo prawie pustym pociągiem, potem przesiadając się do zapchanego metra, którym dostał się na King's Cross, i wsiadając do zatłoczonego ekspresu, który w południe odjeżdżał do Edynburga i dalej na północ. Kate sama przyznała, że czuje się zakłopotana życiem, jakie Tom prowadził od ukończenia studiów. Przedmiotem macierzyńskiej troski był fakt, że chłopak nie ma pracy, stałej dziewczyny i jasno określonego celu. Kate nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, co Nick dopiero zaczynał rozumieć - że życie jego bratanka nie jest w najmniejszym stopniu bezcelowe. Tom uknuł spisek przeciwko własnej rodzinie, spisek, który mógł przynieść jeszcze inne, nieznanne skutki. Potajemnie wypowiedział wojnę. Lecz tajemnica już się wydała. A atak niedługo miał się spotkać z kontrnatarciem.

Po niespokojnej nocy Nick, co było zapewne nieuniknione, zasnął gdzieś między Peterborough a Yorkiem. Jego mózg, zmęczony rozważaniem pytań bez odpowiedzi, po prostu się wyłączył. Nick nie dowiedział się, jak długo mógłby pozostawać w tym stanie, ponieważ kiedy pociąg zbliżał się do Durham, obudził go świergot telefonu komórkowego.

- Halo? - Po drugiej stronie słychać było trzaski.
- Nick, tu Basil. Tu to znaczy w Wenecji.
- Jak podróż?
- Lepsza niż pierwsze chwile w mieście. Nie wziąłem pod uwagę karnawału. Trwa aż do wtorku. Co oznacza, że miasto jest pełne radosnych ludzi w maskach. W kolejce do automatu, z którego rozmawiam, czeka jegomość przebrany za Medico della Peste.
- Znalazłeś jakieś miejsce w hotelu?
- Z trudem. Zampogna powinna się znaleźć w czołówce listy miejsc niepolecanych nikomu. W moim pokoju nie ma telefonu, więc prawdopodobnie będę się częściej spotykał z doktorem w masce.
- Karnawał może ci przeszkodzić w planach?

- Miejmy nadzieję, że nie.
- Nie musisz się spieszyć. Jest wiele powodów, dla których powinieneś się na jakiś czas przyciąć, dopóki... nie zbadam kilku rzeczy.
- Jakich na przykład?
- Nie mogę ci teraz szczegółowo tłumaczyć. Sprawa rozwija się w nowym kierunku i najlepiej będzie, jeżeli pozwolisz mi prześledzić ten trop, zanim podejmiesz jakiegokolwiek działania.
- Ile czasu potrzebujesz?
- Nie jestem pewien. Zadzwoń do mnie do hotelu około szóstej, siódmej twojego czasu - wtedy ci wyjaśnię. Dałem ci numer, prawda? Będzie taniej, niż gdybyś miał korzystać z komórki.
- Dobrze. Zadzwonię. Mając na względzie zasoby mojej karty Telecom Italia, rozsądniej chyba będzie nie pytać cię o szczegóły, tylko się rozłączyć.
- Też tak myślę. Porozmawiamy później. Na razie.

Przez kilka minut Nick siedział z telefonem w rękę, spoglądając na nikańczą za oknem katedrę Durham. Wreszcie uznał, że nie ma co dłużej zwlekać. Wstukał numer Toma.

Zdziwił się nieco, ponieważ Tom natychmiast odebrał telefon.

- Tak?
- Cześć, Tom.
- To ty, Nick?
- Tak. Powiedziałem, że dam ci znać, kiedy będę w drodze, i właśnie jestem. Dzwonię z pociągu.
- Jedziesz do Edynburga?
- Mówiłem, że przyjadę.
- Tak, ale jakoś... w każdym razie świetnie. Naprawdę. - Jego zapewnienie brzmiało szczerze. - Przyda mi się czyjeś pomocne ramię. - To także zabrzmiało szczerze.
- Wszystko w porządku?
- Niezupełnie.

- Co się dzieje?
- Lepiej nie mówmy o tym przez telefon. Kiedy przyjeździesz?
- Wpół do piątej.
- Gdzie się chcesz zatrzymać? To znaczy, zawsze jesteś mile widziany w mojej norze, ale...
- Zarezerwowałem pokój w Thistle.
- Na Leith Street. Wiem gdzie. Słuchaj, tam zaraz za rogiem jest knajpka. Café Royal. Mimo nazwy to pub. W hotelu powiedzą ci, jak tam trafić. Możemy się umówić na szóstą.
- Lepiej wpół do siódmej.
- Zgoda, wpół do siódmej. To do zobaczenia.

Najwyżej pięć minut później pociąg wjechał do Edynburga. Miasto powitało Nicka błękitnym niebem i porywistym wiatrem, gdy wyszedł z dworca Waverley i pokonał niewielką odległość dzielącą go od hotelu Thistle. Pokój okazał się funkcjonalny i nijaki, choć z okna rozciągał się widok na część Calton Hill i pomniki na wzgórzu. Nick uznał, że przed umówionym telefonem Basila o szóstej zdąży się jeszcze przespacerować na szczyt. Czuł, że po wielu godzinach spędzonych w różnych pociągach potrzebuje trochę ruchu.

Wrócił orzeźwiony wspinaczką i kontemplowaniem purpurowego zachodu słońca nad miastem. Odzyskał wprawdzie jasność myśli, lecz nie oznaczało to, że wiedział, jak poprowadzić rozmowę z Tomem, którego ochota na spotkanie wprowadzała dodatkową niepewność. Logika podpowiadałaby, że Tom powinien próbować go unikać. On natomiast sprawiał wrażenie, jak gdyby Nick wyświadczał mu uprzejmość. Nick spodziewał się, że to wrażenie niebawem się ulotni.

Zaczekał w pokoju do szóstej, lecz Basil nie zadzwonił. Ciszsza była zagadką, ale nie powodem do niepokoju, zważywszy na perwersyjne zaufanie, jakie jego brat pokładał we włoskich automatach telefonicznych. Nick wyszedł dwadzieścia po szóstej, wyłączając po drodze komórkę; nie chciał, aby

telefon od Basila przerwał mu spotkanie z Tomem.

Café Royal była dosłownie za rogiem, przy alei odchodzącej od Princes Street. Na półkolistych ławach wzdłuż dwóch ścian siedzieli klienci, którzy wpadli na drinka po pracy, reszta okupowała bar znajdujący się pośrodku lokalu. Nick zamówił duże piwo, usiadł na ławie przy jedynym pustym stoliku i czekał.

Po upływie pięciu minut zjawił się Tom. Wydawał się bladej, a jego skóra miała barwę dymu unoszącego się z papierosa, którego trzymał w ustach. Skórzana kurtka, koszulka i dżinsy w różnych odcieniach czerni tylko potęgowały ten efekt.

- Cześć, Nick - powiedział z nerwowym uśmiechem.

- Dobrze cię widzieć. - W jego głosie znów dało się słyszeć wdzięczność, którą Nick uznał za równie rozbijającą jak niewytłumaczalną.

- Też się cieszę, że cię widzę, Tom. Postawić ci drinka?

- Nie wstawaj. Będzie szybciej, jak sam się obsłużę.

- Rzeczywiście, jakby na potwierdzenie swoich słów Tom niezwykle zręcznie przemknął do baru i po krótkiej chwili wrócił z jakimś wzmocnionym alkoholem napojem gazowanym. Pociągnął z butelki, zanim jeszcze zdążył usiąść. - Myślałem, że coś ci nie wyjdzie z tą wizytą - rzekł, obrzucając Nicka badawczym spojrzeniem i zaciągając się papierosem.

- Obietnica to obietnica.

- Tak, ale nie byłem pewien, czy pamiętasz. Wtedy nie bardzo kontaktowałeś.

- Nie jestem pewien, czy już zupełnie normalnie kontaktuję.

- Nie? Ale wyglądasz w porządku. Jak stuprocentowy ozdrowieniec.

- Twoja matka powiedziała mniej więcej to samo - rzekł Nick z uśmiechem. - To mi wygląda na jakiś spiszek.

- Kiedy widziałeś się z mamą?

- Nocowałem u niej i Terry'ego.

Tom wolno skinął głową, poświęcając najwidoczniej tej drobnej rewelacji dłuższą chwilę namysłu.

- Aha,

- Tom, chciałbym ci powiedzieć coś o twoim ojcu i jak to...

- Nikt nie uważa, że jesteś winny, Nick.

- A może powinien.

- Moim zdaniem nie.

- A jakie jest twoje zdanie?

- Coś tu się dzieje. Coś dziwnego. - Tom ściszył głos do schrypniętego szeptu. - To ma związek z ofertą Tantrisa, ale nie umiem skojarzyć jaki. Skąd pochodziły pieniądze? Zadałaś sobie to pytanie?

- No...

- Opowiem ci coś. Zobaczymy, co z tego zrozumiesz.

Ostatnią rzeczą, jaką Nick spodziewał się usłyszeć od Toma, była wzmianka o pieniądzach Tantrisa. Czyżby chciał się przyznać, zanim jeszcze zostanie oskarżony? Nickowi nie pozostawało nic innego, jak tylko panować nad mimiką i słuchać.

- Przed pogrzebem taty umówiłem się z mamą i Terryem w Reading i dalej pojechaliśmy razem. Pewnie nie byłeś wtedy na bieżąco z praktycznymi sprawami. Nie chcieliśmy nawet myśleć o zatrzymaniu się w Carwether. Zresztą w domu był bałagan. Tata strasznie zapuścił farmę. Mama uważała, że nie powinniśmy też jechać do Trennor. Wtedy już wróciłeś do Old Ferry. Tak czy inaczej, w końcu zameldowaliśmy się w Moat House w Plymouth, na Hoe. Wiesz, gdzie to jest?

- Oczywiście. - Tak, Nick dobrze znał hotel. W jego poprzednim wcieleniu, czyli w Holiday Inn, odbyło się przyjęcie weselne Andrew i Kate, choć nie wiadomo, czy Kate wspominała o tym Tomowi.

- Aha. No i... - Tom zgasił papierosa i zapalił następnego.

- Chryste, nie wiem, czy w ogóle powinienem ci o tym opowiadać, ale muszę komuś powiedzieć, bo inaczej... - Pokręcił głową. - Jaka była atmosfera... w Mariposie?

- Dobra.
- U Terry'ego... wszystko w porządku?
- Na to wyglądało.
- Nic go nie gryzło?
- No... martwi się o ciebie.

Tom prychnął.

- Jasne.
- To prawda.
- Tak. Ale z trochę innego powodu, niż ci się wydaje.
- Zaraz, chyba straciłem wątek.

- Pewnie tak. - Tom westchnął. - Dobra, lepiej nie owijać w bawełnę. Na drugi dzień po pogrzebie wstałem bardzo wcześnie. Tak naprawdę prawie w ogóle nie spałem. O świcie wyszedłem z hotelu. Powłóczyłem się trochę po Barbican. Potem wróciłem przez Citadel i zacząłem wchodzić schodami na Hoe. Wtedy ich zobaczyłem.

- Ich?
- Terry'ego... i Farnswortha.
- Co?

- Farnswortha. Wiesz, tego starego dziwaka, dawnego kumpla dziadka.

- Znam go.

- Co robił o świcie w Plymouth, spotykając się z moim ojczymem dzień po pogrzebie, na który na pewno nikt go nie zaprosił? Właśnie. Co robił? I co tam robił Terry?

- Nie bardzo... rozumiem. Twierdzisz, że widziałeś ich razem?

- Przy pomniku Wojny. Rozmawiali. Stali bardzo blisko siebie, jakby nie chcieli, żeby ktoś ich podsłuchał. I mieli ponure miny. Jakby gadali o czymś poważnym. Śmiertelnie poważnym.

- Może... spotkali się przypadkiem?
- Bądź realistą, Nick. To nie był żaden przypadek.
- A więc co?

- Nie wiem. Nie umiem... - Tom wzruszył ramionami. - Nic z tego nie kapuję.

Nick też nic z tego nie kapował. Jeżeli Terry Mawson był w zмовie z Julianem Farnsworthem, niemal wszystko, co

powiedział Nickowi o pieniądzach Tantrisa, musiało być kłamstwem. Brzmiało prawdziwie. Lecz to, co mówił Tom, brzmiało równie prawdziwie.

- Kiedy ich zobaczyłem, odwróciłem się i zszedłem z powrotem po schodach. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważyli. Od razu zdałem sobie sprawę, że coś tu jest nie tak. Przecież w ogóle nie powinni się znać. Nie potrafiłem się połapać, co to może znaczyć. Dalej nie potrafię. Ale tato pojechał wtedy do Tintagel, żeby się spotkać z Farnsworthem, prawda?

- Tak.

- Myślę, że ich przejrzał.

- Farnswortha i... Terry'ego?

- Na pewno. Mają szczęście, że nie zdażył nikomu o tym powiedzieć. Chyba że... - Tom spojrział na niego szeroko otwartymi oczyma. - Nie pamiętasz, żeby coś takiego mówił, kiedy go spotkałeś?

- Pamiętam wszystko. Ale nic, co mogłoby ci pomóc.

- Tego się obawiałem. Cholera. - Tom potarł czoło. - Wiesz, to jeszcze nie jest najgorsze.

- Nie?

- Zdawało mi się, że mnie wtedy nie namierzyli na Hoe. Ale nie byłem pewien. Teraz myślę, że mnie przyuważyli. Ten Farnsworth. Jest...

- W Edynburgu?

Tom drgnął zaskoczony.

- Wiesz?

- Jego gosposia ma długi język. Powiedziała, że przyjechał tu odwiedzić dawnego przyjaciela.

- Vernona Drysdale'a.

- Zgadza się.

- Był profesorem na uniwersytecie. Kiedy zacząłem studiować, on już przeszedł na emeryturę. Ale słyszałem już wcześniej to nazwisko, zanim jeszcze wspomniał o nim Farnsworth.

- Rozmawiałeś z Farnsworthem?

- Nie miałem wyjścia. Nick, ten facet mnie śledzi.

- Co?

- Gdziekolwiek pójde czy się odwróce, stoi przede mną z uśmiechem jak u pieprzonego kota z Cheshire i mówi - Tom zmienił nagle ton, całkiem niezłe naśladowując głos Farnswortha - „Cóż za wyjątkowy zbieg okoliczności, młody Thomasie”. Zbieg okoliczności? Daj spokój. Przyczepił się do mnie i tyle.

- Bo wiedzą, że widziałeś ich wtedy rano na Hoe?

- Jasne.

- Ale jak cię spostrzegli, skoro byli pochłonięci rozmową, a ty zobaczyłeś ich z odległości, nie wiem, co najmniej pięćdziesięciu jardów?

- Może ktoś im zabezpieczał tyły. I może ten ktoś mnie zobaczył.

- To trąci...

- Paranoją? Kurwa, masz rację. Jeśli ktoś cię śledzi, łatwo możesz wpaść w paranoję. - Tom odwrócił wzrok. - Przepraszam. Ale nerwy mi już puszczaają. - Zaciągnął się papierosem, ponownie spoglądając na Nicka. - Chyba znasz to uczucie.

- Nigdy nikt mnie nie śledził. Jesteś tego pewien?

- Nick, on wyrasta jak spod ziemi, gdziekolwiek bym poszedł. Jak inaczej mam to rozumieć? Facet jest stary, na pewno ciężko mu się telepać pieszo. Jak więc to robi? Myślę, że ktoś jeszcze macza w tym palce - może ta Elspeth Hartley, o której tyle słyszałem. Pewnie podejrzewają, że wiem coś więcej, ale to nieprawda. Dłużej tego nie zniosę. To jedyna rzecz, której jestem pewien. - Tom zmarszczył brwi. - Chyba mi wierzysz, nie?

- Oczywiście. Ale... czy to naprawdę niemożliwe... żeby te spotkania były... przypadkowe?

Tom pociągnął spory łyk z butelki i dopiero potem odpowiedział. Mówił wolno, z widocznym wysiłkiem panując nad głosem, który zabrzmiał nieco głucho.

- Coś ci powiem. W połowie drogi między moim mieszkaniem a Princes Street jest taki barek kawowy. Wpadam tam prawie co rano około wpół do dziewiątej na dawkę kofeiny. Ostatnio bardzo często widuję tam kogoś, kto popija

espresso i przegląda „Times Literary Supplement”. Zgadnij kogo?

- Farnswortha.

- Trafieś. Może więc sam chcesz się przekonać? Robusta na Castle Street. Jutro rano tam nie pójde. Ale bardzo prawdopodobne, że Farnsworth sobie nie odpuści. Zobacz, jak się będzie tłumaczy!. Potem się zastanów, czy mu wierzysz. Przypuszczam, że nie uwierzysz. Później będziesz musiał sobie zadać pytanie: co on naprawdę kombinuje, co oni kombinują?

Kiedy wyszli z Café Royal, zapadł już zmierzch, zacierając kontury miasta. Tom pił jednego drinka za drugim, a Nick nie potrafił policzyć, ile sam wypił. W pobliskiej restauracji włoskiej zjedli kolację złożoną z pasty i kilku karafek chianti, z coraz większym rozrzewnieniem wspominając Andrew, ojca i brata, którego stracili. Potem tak się jakoś złożyło, że trafili do mieszkania Toma.

Było na parterze ostatniego domu w zabudowie szeregowej w Circus Gardens, dokładnie w centrum georgiańskiego Nowego Miasta, między półkolistymi brukowanymi ulicami i eleganckimi gmachami dzielnicy. Bezrobotny absolwent uniwersytetu mógł sobie pozwolić na takie lokum tylko dzięki hojności matki i rzecz jasna ojczyma.

- Wynajęte na nazwisko Terry'ego - wyjaśnił Tom, wyrzebawszy skądś butelkę whisky. - Może mnie w każdej chwili stąd wyrzucić.

- Ale nigdy nie spróbuje.

- Zależy, czy będzie miał przeze mnie kłopoty. Czy powiem mamie o nim i Farnsworcie? A może już jej powiedziałem? Niech się tym trochę podenerwuje.

- Powiesz jej?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo by mi nie uwierzyła. - Tom uśmiechnął się szeroko, lecz Nick przypuszczał, że myśl wydała mu się zabawna tylko ze względu na ilość wypitego alkoholu. - Jak ci się podoba wystrój?

- Ładnie tu. - Istotnie. Mieszkanie było tak gustownie urządzone, że w ogóle nie pasowało do Toma. Nick spodziewał się ujrzyć zagraconą kawalerską norę, która byłaby dla niego bardziej naturalnym środowiskiem. Nie było jednak żadnego bałaganu. Nawet grająca w tle płyta Oasis brzmiała jak starannie dobrany przez projektanta stonowany dodatek. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby Tom prawie w ogóle tu nie mieszkał.

- Oto jak według mamy powinienem mieszkać. I gdzie - według Terry'ego. Gdybym pozwolił, żeby jeszcze znaleźli mi pracę - powinienem powiedzieć, karierę zawodową - wszystko wyglądałoby idealnie. Z ich punktu widzenia.

- Wszyscy musimy odnaleźć własną drogę, Tom.

- Tak. Ale co się stanie, kiedy z niej zjemy?

- Musimy mieć nadzieję, że znów ją znajdziemy.

- Tak jak ty?

- Chyba tak.

- To zależy, nie?

- Od czego?

- Jak daleko zjemy. - Tom pociągnął whisky. - Jeden krok za daleko... i nie ma odwrotu.

W pewnej chwili Nicka koczyło, by zdradzić Tomowi, co mówił o nim Terry. Choć był pijany, to jednak nie do tego stopnia, by popełnić ten błąd. Przyjechał do Edynburga z niezłomnym zamiarem oskarżenia Toma o uruchomienie lawiny wydarzeń, które doprowadziły do śmierci jego ojca i dziadka. Okazało się, że oskarżenie zostało skierowane pod niewłaściwy adres. Sprawcą był przecież Terry.

Ale czy rzeczywiście? Nickowi kręciłyby się w głowie nawet bez alkoholu, który przyjął jego organizm. Krótko po północy wrócił do Thistle smagany podmuchami lodowatego wiatru, pędzącego po niebie chmury, pomiędzy których przezierał księżyc w nowiu. Prawda wydawała mu się ulotna jak nigdy, pewność stała się nieosiągalna. Nawet rzeczy, których sam dokonał, zaczynały budzić jego wątpliwości.

Nawet tych parę znanych mu faktów zaczynało się rozpląwać w nicłość.

Nazajutrz rano budzik zerwał go o ósmej. Dopiero pod prysznicem Nick przypomniał sobie, że jeszcze nie rozmawiał z Basilem. Jeżeli Basil dzwonił do hotelu po jego wyjściu do Café Royal, to najwyraźniej nie zostawił żadnej wiadomości. Mógł naturalnie próbować dzwonić pod numer komórki Nicka, ale aparat został wyłączony na całą noc. Tu też nie było żadnej wiadomości. Nieważne; porozmawiają później.

Nick wiedział, że po takiej ilości piwa nie powinien pić wina, a whisky na koniec to już w ogóle fatalny pomysł. Teraz przekonał się dlaczego. Każdy ruch głowy wywoływał bolesne pulsowanie za oczami. Szedł Princes Street, czując chłód szarego poranka i krople deszczu kapiącego mu na twarz. Aby przechytryć Juliana Farnswortha, musiał być w jak najlepszej formie, lecz czuł, że mu do niej bardzo daleko. Mógł mieć jedynie nadzieję, że dobry doktor nie przyjdzie.

Jednakże Tom nieźle poznał zwyczaje staruszka. W pochmurny, zimowy sobotni ranek, o tak wczesnej porze, w Robuście gościło niewielu klientów, ale jednym z nich był Julian Farnsworth zajmujący stolik w rogu. Przez oparcie pustego krzesła przewiesił płaszcz i szalik, a niedorzeczną czapkę Holmesa położył na blacie, gdzie stała napoczęta filiżanka podwójnego espresso. Nie zgadzała się tylko gazeta. „Times Literary Supplement” zastąpiło niedzielne wydanie „Daily Telegraph”.

- Nicholas - powiedział z autentycznym zdumieniem, podniósłszy wzrok. - Co ty robisz?

- To samo co pan, jeśli nie liczyć gazety. - Nick zamówił u sennego sprzedawcy dużą americano, odmawiając, gdy ten odruchowo zaproponował ciastko. - Mogę się przysiąść?

- Naturalnie.

- Przyjechałem odwiedzić bratanka.

- Ach, młodego Thomasa. Tak. Widziałem go tu kilka razy.
- Nic dziwnego. Mieszka niedaleko.
- Tak też przypuszczam.
- Ale pan raczej nie mieszka w okolicy.
- Ja także przyjechałem w odwiedziny. Do starego przyjaciela. Ma dom tuż pod Edynburgiem.
- Vernona Drysdale'a.
- We własnej osobie.
- Dziwne, że postanowił się pan z nim zobaczyć tuż po spotkaniu z Tomem na pogrzebie jego dziadka.
- Istotnie, coś łączy te sprawy. - Farnsworth przywołał na twarz swój lisi uśmieszek. - Śmierć Michaela przypomniała mi, że mam coraz mniej czasu. W moim wieku, któż wie, które spotkanie z przyjacielem może się okazać ostatnim? Każde „do zobaczenia” może oznaczać „żegnaj”.
- To prawda.
- Słyszałem, że byłeś niezdrów, Nicholasie. Zrozpaczony po tragicznym wypadku brata. Cieszę się, że mogę cię widzieć... takiego, jakiego pamiętam.
- Dochodzę do siebie.
- To wspaniale. Przyjmij moje kondolencje. Śmierć Andrew... - Farnsworth pokręcił głową. - Naprawdę przykra strata.
- Rzeczywiście.
- Nie powinieneś się za nią obwiniać.
- Nie obwiniam się.
- Nikogo nie można winić za takie... kaprysy losu.
- Jest pan tego pewien?
- Oczywiście. Człowiek nie może manipulować losem. A Boga nie sposób obarczać winą.
- Profesor Drysdale późno wstaje, prawda?
- Wręcz przeciwnie, jeśli pytasz. A dlaczego pytasz, jeżeli ja z kolei mogę wiedzieć?
- Po prostu zastanawiałem się, dlaczego przyjeżdża pan co dzień rano do Edynburga, aby korzystać z usług tego nija-kiego lokaliku.

- Och, wcale nie jest nijaki. Espresso podają tu naprawdę wyśmienite. A po moich licznych wyjazdach do Włoch pozostało mi uwielbienie dla espresso. Vernon to człowiek intelektu. Ma tylko rozpuszczalną kawę - i to w proszku.

- Często pan jeździ do Włoch?
- Nie tak często, jakbym sobie życzył.
- Jakie jest pańskie ulubione miejsce?

Farnsworth ściągnął usta, marszcząc z namysłem brwi.

- Wenecja - oświadczył w końcu.
- Tak właśnie myślałem.
- Cóż za przenikliwość. Czyżby to było także twoje ulubione miejsce we Włoszech?

- Nigdy jej nie odwiedziłem.

- Powinieneś. Twoja rodzina ma pewne związki z tym miastem. Po upadku Konstantynopola fala migracji bizantyjskiej rzuciła wielu Paleologusów do Wenecji. Zapewne masz tam licznych kuzynów.

- Nie sądzę.

- Dalekich i nieznanym. - Farnsworth uśmiechał się natrętnie. - Tak, musisz mieć.

- Długo zamierza pan zostać u profesora Drysdale'a?

- Nie jestem pewien. Chyba dopóki nie zmęczy go moje towarzystwo. Zanim to się jednak stanie, powinieneś nas odwiedzić. Podam ci adres i numer telefonu.

- Farnsworth wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wiecznym piórem zapisał szczegóły na odwrocie. - Proszę. - Nick rzucił okiem. Na wizytówce widniał wykaligrafowany brązowym atramentem adres: „Roseburn Lodge, Manse Road, Roslin, pod Edynburgiem (0131) 440 7749”.

- Koniecznie zadzwoń. Wiem, że Vernon ucieszy się, mogąc cię poznać.

- Naprawdę?

- Ależ tak. To mediewista. Tak się złożyło, że zainteresowałem go faktem, iż twoja rodzina pochodzi w prostej linii od ostatniego cesarza Bizancjum. Chętnie pozna potomka dynastii cesarskiej.

- Mógł pan zaprosić Toma.
 - Skąd wiesz, że go nie zaprosiłem?
 - Nie wspominał mi o tym.
 - Możliwe, że nie wspomniał o wielu rzeczach.
- Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Nick upił łyk kawy.
- Poza tym - podjął - nie ma żadnego dowodu na to, że, jak pan twierdzi, nasza rodzina pochodzi „w prostej linii” od Paleologów.

- Mam na ten temat odmienne przekonanie.
- Jeśli wolno zapytać, doktorze Farnsworth...
- Proszę, mów mi Julian.
- Na jakiej podstawie tak pan... tak uważasz, Julianie?
- Kto wie, gdzie szukać, ten znajdzie.
- Doprawdy?
- Och, tak. Zapewniam cię.
- Jeśli chodzi o moją rodzinę, czy źródłem, u którego szukałeś, był Terry Mawson?

- Kto?
- Terry Mawson. Ojczym Toma.
- Niestety, nie znam tego pana.
- Mam na ten temat odmienne przekonanie.
- Brawo. - Wzbudził szczerą podziw Farnswortha, atakując go jego własną bronią. - Obawiam się, że rzecz idzie o zaufanie, czy mam rację? Nie ufasz mi, prawda, Nicholasie?

Nick zwlekał z odpowiedzią, popijając kawę. Obaj jednak wiedzieli, co odpowie.

- Nie, nie ufam.
- To zupełnie zrozumiałe. Bliższa ciąu koszula. Co powiedział ci młody Thomas? Że go nękam - czy może wręcz śledzę? Że jestem w znowie z jego złym ojczymem? Tak, bez wątpienia uczestował cię zlepkiem podobnych sensacji. Obawiam się, że to taktyka desperacji. Spróbuj sam odpowiedzieć sobie na pytanie: czy jest zupełnie wiarygodny? Bądź szczerzy. Jest?

- Jestem gotów stanąć po jego stronie.

- Naturalnie. Ale jeśli skłamał, co wtedy? Jeżeli postanowił cię oszukać i przemilczał fakt, że uczynił coś złego... - Farnsworth rozłożył ręce. - Muszę ci coś pokazać.

- Co?

- Nie mam tego przy sobie. Postaram się dostarczyć ci to później. Zatrzymałeś się u swojego bratanka?

- Nie. Mieszkam w hotelu.

- Doskonale. Wobec tego przyślę ci. Który to hotel?

Nick zawahał się, lecz nie widział powodu, by ukrywać przed nim miejsce swojego pobytu.

- Thistle. Przy Leith Street.

- Dobrze. Jeszcze przed zmierzchem będziesz miał w ręku dowód.

- Dowód na co?

- Zobaczysz. - Farnsworth uśmiechnął się tajemniczo. - Obiecuję.

Farnsworth zaprosił Nicka, by towarzyszył mu w zwiedzaniu Szkockiej Galerii Narodowej, gdzie, jak twierdził, udawał się co dzień rano, by pokrzepić się dawką sztuk pięknych.

- Odkryłem, że dziesięć minut w sali impresjonistów stawia mnie na nogi na cały dzień.

Nick odmówił i po wyjściu z Robusty z ulgą pożegnał Farnswortha, który skręcił w lewo, gdy tymczasem on skręcił w prawo.

Ruszył na północ na Circus Gardens, aby spełnić daną Tomowi obietnicę i natychmiast zrelacjonować mu przebieg spotkania. Tom otworzył mu nieogolony i ubrany jedynie w cienki szlafrok. Wyglądał, jak gdyby decyzja o rezygnacji ze zwyczajowej wizyty w Robuście nie sprawiła mu żadnych trudności. Słowem wyglądał, jak gdyby wyjście Nicka poprzedniego wieczoru wcale nie oznaczało dla niego sygnału do pójścia spać.

- Już dobrze po dziesiątej - zauważył schrypniętym głosem Tom, odsłaniając okno w salonie i wpuszczając falę szarego światła. - Podejrzewam, że zastałeś w Robuście naszego przyjaciela.

- Owszem, był tam.
- Mówilem. - Tom opadł ciężko na krzesło i ziewnął. -
Jak się tłumaczył?
- Nieprzekonująco.
- Ale zręcznie?
- Bardzo.
- Nie przyznał się, że depcze mi po piętach?
- Nie.
- Ale sam widzisz, że depcze.
- Jestem tego pewien.
- W takim razie musi wiedzieć, że już wpadłem na ich ślad.
- Chyba tak.
- Tak. - Tom potarł twarz. - Napiłbym się kawy. Chcesz?
- Nie, dziękuję. Właśnie...
- Jasne, przecież musiałeś wypić dużą czarną w Robuście. Ale chodź ze mną do kuchni. Mogę zasłabnąć po drodze.

Tom wstał, przeciągnął się i poczłapał do kuchni, a Nick podążył za nim. Napełnił czajnik wodą i włączył, nasypał do kubka granulowanej kawy, po czym oparł się o blat i znów ziewnął.

- Nick, co ja mam robić?
- W sprawie Farnswortha? Nie jestem pewien. Nie możesz mu zabronić łązić po Edynburgu. Nie możesz też udowodnić, że coś z Terryem kombinują.
- Mam dowód, wystarczy mi, że się znają.
- Do zmontowania oszustwa z Tantristem potrzeba było sporo pieniędzy. Pół miliona funtów w gotówce. Sądzisz, że Terry mógł mieć pod ręką taką sumę?
- Bez problemu. - Tuż przed zagotowaniem się wody Tom spojrzał przelotnie na Nicka, a w jego oczach błysnęła czujność. Zaraz jednak odwrócił się, by napełnić kubek. - Myślisz, że to on sfinansował całą operację?
- Niewykluczone.
- To by pasowało. - Tom dopełnił kawę zimną wodą z kranu i krzywiąc się, pociągnął pierwszy łyk. - Szczerze mówiąc, sam

się zastanawiałem. Czy kasa to był jego wkład. I czy Farnsworth powiedział o tym tacie, kiedy się spotkali w Tintagel.

- W obecności Daveya? Mało prawdopodobne.

- Podobno nie przenieśli się nigdzie indziej, żeby kontynuować pogawędkę, ale mamy na to tylko słowo Farnswortha.

- Andrew o niczym takim mi nie mówił.

- Po co miałby mówić? Pewnie myślał o całej tej sytuacji ze mną, Terrym i mamą. Bał się, że nikt mu nie uwierzy, że uznają to za żalostną próbę odzyskania mamy.

- Zapewne... - Nick miał już dość nakładających się na siebie warstw domniemanej wiedzy i niewiedzy. Postanowił je przeciąć. - Farnsworth ma mi coś przysłać.

- Co?

- Nazwał to dowodem.

- Dowodem?

- Pewnie stara się udowodnić, że można mu ufać.

- Przecież nie można mu ufać.

- Nie można. Czyli dowód nie będzie wiele wart.

- Skurwiel mówi samymi zagadkami.

Tom postawił kubek na blacie, poczłapał na korytarz i Nick przez chwilę mógł kontemplować widok czarnego półksiężyca rozlanej kawy. Z korytarza dobiegł suchy trzask zapalniczki. Po kilku sekundach Tom ponownie ukazał się w drzwiach, trzymając w ustach papierosa.

- Nick, pamiętasz ostatnią rzecz, jaką powiedział do ciebie tato?

- Bardzo dokładnie.

- Co to było?

- „Puść mnie”.

- „Puść mnie”. - Tom powtórzył jego słowa szybko i cicho, niemal jak echo. - I puściłeś. Nikt z nas go nie zatrzymał.

- Tom, przecież nie wiedział, że to jego ostatnie słowa. One nic nie znaczą.

- Nie zgadzam się. Znaczą tym więcej właśnie dlatego, że nie wiedział.

- Chyba straciłem wątek.
- Tak. - Tom spoglądał na Nicka przez gęstniejącą mgłę dymu papierosowego. - Pewnie masz rację.

Nick wyszedł, by Tom mógł wziąć prysznic i zjeść śniadanie. Wrócił do centrum miasta. Nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić. Mógł jedynie czekać, aż Farnsworth spełni swą obietnicę. Tom miał rację, że profesorowi nie można było ufać. Wobec tego komu można? Jediną osobą, jaka przyszła mu na myśl, był Basil.

I dzięki Bogu Basil wreszcie się odezwał. Gdy Nick włączył komórkę, znalazł wiadomość od niego.

- Dwa razy bezskutecznie usiłowałem się dozwonić do twojego hotelu. Jest sobota rano i mam nadzieję, że u ciebie także, kiedy tego słuchasz. Melduję, że właściwie nie mam nic do zameldowania. Zresztą nic dziwnego, skoro zabroniłeś mi robić cokolwiek, dopóki nie porozmawiamy, co oby niebawem nastąpiło. Spróbuję później. *Arrivederci!*

Znicierpliwienie Basila było całkiem zrozumiałe. Ale co Nick miał mu powiedzieć? Że ktoś próbuje wystrychnąć go na dudka, lecz on nie wie, którym spośród kilku kandydatów ten ktoś jest? Taka był prawda, ale nie mogła im się do niczego przydać.

Deszcz padał coraz mocniej, wiatr także się wzmaczał. Perspektywa spędzenia dnia w klitce pokoju w Thistle nie wydawała się kusząca, Nick postanowił więc skorzystać z rekomendacji Farnswortha i odwiedzić Galerię Narodową. Panował tam spory ruch, lecz na szczęście nie było zbyt tłoczno. Nigdzie nie dojrzał Farnswortha, nawet w sali impresjonistów. Nick przechadzał się powoli, oglądając po kolei obrazy, niektóre piękne, niektóre wspaniałe, inne wręcz przeciwnie, ale z powodu swojego rozkojarzenia nie potrafił dostrzec tych różnic. Po godzinie spędzonej na bezcelowej wędrówce wyszedł.

Na dworze szalał już prawdziwy huragan. Nick przedarł się do Café Royal, gdzie wyleczył kaca potężnym klinem. Do Thistle wrócił dopiero późnym popołudniem. Wypił dość, by przestać się przejmować dręczącą niepewnością. Położył się i natychmiast pograżył w głębokim, pozbawionym widziadeł śnie.

Kiedy się zbudził, było ciemno. Zapadła noc. Usłyszał deszcz, który wciąż bębnił w okno. Zerknął na fosforyzującą tarczę budzika: dochodziło wpół do dziewiątej. Włączył lampkę przy łóżku, zaczął, aż oczy przyzwyczają się do światła, a potem usiadł.

Od razu to zauważył: białą kwadratową kopertę leżącą na podłodze pod drzwiami. Ktoś wsunął ją przez szparę pod drzwiami, gdy spał. Nagle poczuł gwałtowny napad palpacji. Kilka razy powoli i głęboko odetchnął, czekając, aż atak minie. Następnie wstał i podniósł kopertę.

Była otwarta i niezapisana. Nick wrócił do łóżka i usiadł. Uniósł skrzydełko koperty, sięgnął do środka i wyciągnął czarno-białą fotografię formatu A5.

Zdjęcie zostało zrobione przez okno kawiarniane. Na szybie odbijały się sylwetki przechodniów, a za nią w głębi widać było mężczyznę i kobietę siedzących naprzeciw siebie przy stoliku. Kobieta chyba coś mówiła, gestykulując, podczas gdy mężczyzna słuchał z obojętną miną, utkwivszy w niej skupione spojrzenie. Nick zorientował się, że siedzą w Robuście. Sądząc po różnych plamach na pierwszym planie, fotograf stał w pewnej odległości. Para wyraźnie nie zdawała sobie sprawy, że ktoś robi jej zdjęcie. I nic dziwnego, ponieważ mężczyzną był Tom Paleologus siedzący przy jednym stoliku z Elspeth Hartley.

Rozdział 17

W mieszkaniu przy Circus Gardens 8 panowała ciemność, a zasłony w oknach były zasunięte. Wyciągając szyję nad poręczą schodków prowadzących do sutereny, Nick nie dostrzegł na parterze żywego ducha. Bez większej nadziei kilka razy nacisnął dzwonek. Nikt nie otwierał.

Dochodziło wpół do dziesiątej, było zimno i mokro. Ale przecież była sobota, toteż nieobecność Toma nie stanowiła raczej nic podejrzanego. Nick jednak nie mógł się pozbyć podejrzeń. To nie Terry, ale Tom należał do spisku, dlatego mógł zmyślić historyjkę o spotkaniu Terry'ego z Julianem Farnsworthem na Hoe w Plymouth. Natomiast spotkanie Toma z Elspeth Hartley było niezaprzeczalnym i udokumentowanym faktem.

Nick wycofał się do Café Royal, gdzie sączył piwo aż do zamknięcia pubu. Korciło go, by zadzwonić do Farnswortha, lecz z drugiej strony coś go powstrzymywało. Dowód w postaci zdjęcia wskazywał, że nic nie jest winien Tomowi, mimo to czuł, że powinien mu dać szansę wytłumaczenia, co to ma znaczyć.

Jak jednak miałyby się tłumaczyć? Tom wiedział, że Farnsworth obiecał dostarczyć Nickowi, jak sam powiedział, dowód. Musiał też zdawać sobie sprawę, że Nick zechce z nim o tym porozmawiać, cokolwiek to było. Czyżby dlatego

zniknął? Jeśli tak, to uniki nie miały sensu. W końcu będzie musiał wrócić. A Nick zamierzał na niego czekać.

Minęła północ, lecz Tom nie pokazał się na Circus Gardens. Deszcz ustał, ale temperatura spadała na łeb, na szyję. W żadnym oknie pod ósemką nie zapaliło się światło. Nick nie miał innego wyjścia, jak dać za wygraną - do rana.

Gdy wrócił do Nowego Miasta w chłodny niedzielny poranek, nic się nie zmieniło. Zasłony w oknach mieszkania Toma nie wyglądały, jakby je na noc zasuwano. Nick zajrzał do pokoju, w którym pili whisky w sobotę nad ranem. Pokój był pusty. Kilka razy bezskutecznie wduślił przycisk dzwonka. Odpowiedziała mu cisza.

Już miał odejść, gdy z za rogu ukazała się jakaś osóbką o energicznych ruchach i zaczęła wchodzić po schodkach prowadzących do drzwi, lecz na widok Nicka przystanęła. Była to niewysoka i pulchna kobieta w średnim wieku z wysoko upiętymi włosami; fryzura dodawała jej co najmniej sześć cali wzrostu. Miała na sobie obszyty futerkiem biały płaszcz bez paska, rękawiczki z kożuszką, czarne legginsy i wiśniowe botki na grubej podeszwie. Na czubku rdzawobrazowej fryzury kołysały się okulary przeciwsłoneczne. Pod pachą ścisnęła gruby plik niedzielnych gazet.

- Mnie szukasz, skarbie? - spytała z nieco zdziwionym uśmiechem.

- Nie, ee... Toma Paleologusa.

- Troszkę za wcześnie dla młodego Toma. Pewnie odsypia noc. -

- Wie pani, co robił w nocy?

- Nie. Ale jest młody, a wczoraj była sobota. Powiedz... - Zerknęła na Nicka spod zmarszczonych brwi. - Jesteście krewnymi?

- Jestem jego wujem.

- Tak, rzeczywiście jesteście podobni. A więc musisz być...

- Nazywam się Nick Paleologus.

- Miło mi cię poznać, Nick. Jestem Una Strawn. Mieszkam na pierwszym piętrze.

- Bardzo mi zależy, żeby się skontaktować z Tomem... Uno. Martwię się o niego. Niedawno zmarł mu ojciec.

- Słyszałam. Straszne, naprawdę straszne. Ale Tom miał się całkiem dobrze, kiedy go ostatni raz widziałam. Chyba w piątek. Nie sądzę, żebyś miał powody się martwić.

- Mimo to...

- Wiesz co, wejdźmy razem i zobaczymy, czy uda ci się go obudzić.

Una wytrząsnęła klucz z rękawiczki i weszła pierwsza do wspólnego korytarza. Nick od razu podszedł do drzwi Toma i głośno zapukał.

- Tom? - zawołał, pukając jeszcze mocniej. Z wnętrza nie dobiegł jednak żaden dźwięk.

- Napijesz się kawy, Nick? - zapytała Una, wchodząc na piętro. - Zanim wyskoczyłam po gazety, nastawiłam ekspres.

- Dziękuję, chętnie. - Nick podążył za nią. - To bardzo miło z twojej strony.

- Ależ skąd. Niewykluczone, że wprowadziłam cię w błąd. Tom równie dobrze mógł gdzieś wyjechać na weekend.

- Widziałem się z nim wczoraj rano. Nie mówił, że się gdzieś wybiera.

- Może nie, ale spontaniczność młodych ludzi... - Una otworzyła drzwi swojego mieszkania i Nick wszedł za nią do środka.

Układ był taki sam jak w mieszkaniu Toma, lecz łatwo można było o tym zapomnieć, stając oko w oko z zamiłowaniem Uny do fioletowych ścian, włochatych dywanów i narzut ozdobionych frędzlami z koralików. W kuchni było mniej więcej pięćdziesiąt razy więcej książek i czasopism niż garnków i patelni, ale podczas nieobecności lokatorki ekspres spełnił swoje zadanie. Una nalała aromatycznego naparu do masywnych kubków śniadaniowych i zaprosiła Nicka,

by usiadł przy stole zasłanym numerami „Tatlera”. Następnie zrzuciła płaszcz, spod którego ukazał się obszerny pulower z różowego moheru sięgający jej prawie do kolan, i usiadła naprzeciw Nicka.

- Przyjechałeś z daleka, Nick?

- Z Kornwalii.

- Tam mieszkał ojciec Toma, prawda?

- Zgadza się. - Nick upił łyk kawy. - Uno, naprawdę martwię się o Toma.

- Widzę. Rzeczywiście...

- Co rzeczywiście?

- Wydawał się jakiś nieswój od miesiąca albo i dłużej. Właściwie od początku roku.

- Nie można tego wiązać ze śmiercią ojca.

- Ano nie można.

- A więc z czym?

- Zerwał z dziewczyną. Szkoda. Ładna z nich była para.

- Wiesz, co między nimi zaszło?

- Chyba ktoś się pojawił.

- Ktoś - w życiu Toma?

- Tak, chociaż nie wyglądał, jakby był szczęśliwy z tą nową dziewczyną. Wprawdzie nigdy jej nie widziałam i Tom nie wspominał o niej ani słowem, ale Sasha...

- Kto?

- Sasha Lovell, dziewczyna, z którą zerwał. Niedawno gdzieś na nią wpadłam i dowiedziałam się, że ciągle ma do Toma żal o to wszystko, ale dobrze wie, że Tom rzucił ją dla jakiejś... podobno dla jakiejś Harriet.

- Harriet... Elsmore?

- Po prostu Harriet.

- Spójrz na to. - Nick wyciągnął zdjęcie i pokazał jej. - Poznajesz tę kobietę z Tomem?

Una przyjrzała się uważnie.

- Gdzie to zdjęcie zostało zrobione? Wygląda jak Robusta.

- To zawiła historia. Poznajesz tę kobietę?

- Nie sądzę. Kto to jest?

- Być może Harriet.
- No, jeśli nawet... - Una wzruszyła ramionami odzianymi w różowy moher. - To i tak ci nie powiem.
- Może Sasha by ją poznała.
- Może.
- Jak mógłbym się z nią skontaktować?
- Studiuje na uniwersytecie. Była rok niżej od Toma. Pewnie mają tam jej adres, ale zdobyć go w niedzielę...
- Nie wiesz, gdzie mieszka?
- Nie. To znaczy... - Nagle coś jakby sobie przypomniała.
- Kiedyś spotkałam ją, wychodząc z Odeonu przy Clerk Street. Często chodzimy tam po południu z moją przyjaciółką, Queenie. Wiesz, przed piątą jest taniej. W każdym razie akurat mijala nas Sasha, wracając z uniwersytetu do domu. Pamiętam, jak powiedziała: „Tam mieszkam”, i pokazała na drugą stronę ulicy. Gadałyśmy jeszcze parę minut, a Queenie poszła na przystanek. Właśnie wtedy Sasha wspomniała o tej Harriet. „Nie będzie mu z nią dobrze - powiedziała - ale Tom tego po prostu nie widzi”. Potem przyjechał autobus i musiałam iść. - Widząc zmarszczone brwi Nicka, dodała: - Niestety, tylko tyle mogę ci powiedzieć.
- Przepraszam. Nie chciałem wydać się niewdzięczny.
- Na pewno nie ma powodu do obaw. Tom jest przygnębiony śmiercią ojca i może się zastanawia, czy dobrze zrobił, rzucając Sashę. I tyle.
- Zapewne masz rację - skłamał Nick, myśląc jednocześnie: obyś ją miała.

Szansa była minimalna, ale innej Nick nie miał. Clerk Street była odcinkiem głównej drogi prowadzącej z centrum miasta na południe. Nick wysiadł z taksówki naprzeciwko zamkniętego kina Odeon, gdzie ciągnął się pasaż barów z hamburgerami i kebabem oraz punktów bukmacherskich, a wyżej znajdowały się kawalerki. Przypuszczał, że właśnie do takich miejsc trafiają studenci, którzy nie mają bogatych ojców.

Ale obok żadnego przycisku dzwonka w kolejnych bramach nie figurowało nazwisko Lovell. Przy niektórych w ogóle nie było nazwisk, Nick odniósł więc wrażenie, że ledwo zaczął poszukiwania, już je właściwie zakończył. „O, tam mieszkam”, jak według Uny powiedziała Sasha, wskazując gdzieś naprzeciwko Odeonu, mogło jednak oznaczać przecznicę odchodzącą od głównej ulicy. Nick postanowił to sprawdzić.

Wzdłuż Rankeillor Street stały szeregowo georgiańskie domy w różnych stadiach ruiny. W oddali majaczyły czerwone granie Salisbury, zaburzając poczucie perspektywy. Nick zaczął od północnej strony ulicy, drepcząc od drzwi do drzwi z coraz silniejszym przekonaniem, że marnuje czas, choć nie bardzo było wiadomo, jak mógłby go lepiej spożytkować.

Wciąż analizował tę kwestię, gdy nagle jego niedowierzający wzrok zatrzymał się na imieniu SASHA wydrukowanym na niewielkim laminowanym kartoniku. Nick wcisnął guzik dzwonka tuż obok wyblakłego już napisu. Minęło dziesięć długich sekund. Nacisnął jeszcze raz.

Skrzypnęło spęczniałe od wilgoci drewno i rozległ się zgrzyt otwieranego okna. Nick odsunął się od drzwi i spojrział w górę, gdzie z wysokości dwóch pięter patrzyła na niego młoda kobieta o okrągłej twarzy i nastroszonych pomarańczowych włosach.

- Słucham? - zawołała.
- Sasha Lovell?
- To ja.
- Jestem Nick Paleologus. Wuj Toma.
- I co z tego?
- Możemy zamienić dwa słowa?
- O czym?
- Chodzi o Toma. Martwię się o niego.
- Ale może ja się nie martwię.
- Będę naprawdę wdzięczny, jeśli zechcesz mi poświęcić kilka minut, Sasho. To ważne.

Sasha spoglądała niezdecydowana w dół. Obejrzała się za siebie, po czym ponownie popatrzyła na Nicka.

- Mogę wejść?
- Nie. Lepiej zostań na dole. Zaraz zejde.

Zjawiała się po kilku minutach ubrana na czarno, od martensov po beret, postawiwszy futrzany kołnierz, by ochronić się przed wiatrem. Mimo niedbałego stroju, kolczyka w nosie i nonszalancji, z jaką żuła gumę, w badawczym spojrzeniu, którym obrzuciła Nicka, można było dostrzec praktyczność dojrzałej osoby.

- Za rogiem jest taka knajpka, gdzie będziemy mogli pogadać - powiedziała, ruszając przodem. - Jesteś zakonnikiem czy urzędnikiem?

- Widzę, że Tom mówił ci o Basilu i o mnie.

- Tak jakby. Wspominał, że ma dwie ciotki i dwóch wujów. Czyli zakonnik to Basil, tak?

- Były zakonnik.

- Z tego wynika, że ty jesteś byłym urzędnikiem?

- Możliwe. Dawno już nie siedziałem przy biurku.

- Dlaczego?

- Kłopoty rodzinne.

- To z ich powodu martwisz się o Toma?

- Tak.

- Jesteśmy na miejscu.

Sasha skrzyła do kawiarni. W dość ciemnym wnętrzu, przy akompaniamencie sączącego się z głośników jazzu, siedziało przy parujących kubkach zaledwie parę osób, przeglądając niedzielne gazety. Sasha znalazła dziewczynę za barem, na której pytanie: „To co zawsze?“, skinęła tylko głową. Nick zamówił kawę, po czym usiedli przy oknie.

- Nie mogę tu siedzieć za długo. Rick jest trochę... no, wiesz.

- Rick?

- Lepiej mnie o niego nie pytaj. Opowiedz o swoich kłopotach rodzinnych.

- Niedawno zmarli ojciec i dziadek Toma.

- Niech to szlag. - Sasha się skrzywiła. - Przykre.

- Bardzo.

- Jak... - Urwała, gdy kelnerka przyniosła jej herbatę ziołową i kawę dla Nicka. - Dziękuję, Meg.

- Podobno jakiś czas temu rozstaliście się z Tomem.

- Kto ci powiedział?

- Una Strawn.

Sasha uśmiechnęła się znad filiżanki.

- Jeżeli rozmawiałeś z Uną, to wiesz wszystko.

- Wspominała o... dziewczynie, jakiejś Harriet.

- Harriet. Zgadza się. To ta, przy której nie miałam szans.

- To ona? - Nick pokazał Sashy fotografię.

- Tak. Faktycznie, to ona. Skąd masz to zdjęcie?

- Ktoś przysłał jej anonimowo... matce Toma. Sądzę, że ktoś próbuje ją ostrzec przed złym wpływem, jaki może mieć na niego Harriet. Tom dziwnie się ostatnio zachowuje. To się zaczęło jeszcze przed tymi tragediami.

- Jak to się stało. Pytam o te dwie tragedie.

- Jeśli chodzi o mojego ojca, to przyczyną śmierci był upadek. Ale można się tego było spodziewać, zważywszy na jego wiek i zdrowie. Natomiast ojciec Toma, mój brat Andrew, zginął w wypadku samochodowym.

- Był farmerem, prawda?

- Tak.

- Rzeczywiście, to smutne, ale Tom zerwał ze mną jeszcze w styczniu, więc...

- Zerwał z powodu Harriet?

- On twierdził inaczej. Ale kiedy krótko potem widziałam ich razem, nie miałam wątpliwości.

- Znasz jej nazwisko?

- Chyba Elsmore. Tak, Harriet Elsmore.

- Co jeszcze o niej wiesz?

- Nic. To było tylko jedno spotkanie. I to niezbyt miłe. Tom wyglądał... jakby go wzięła pod pantofel. Był zastraszonej. Zupełnie nie taki, jakiego znałam. Nie mówię tego przez zazdrość. Już mi przeszło. Po prostu tak to widzę. Gdy wróciłam po feriiach świątecznych, już był inny. Zimny. Prawie jak obcy.

- Przez Harriet?

- A przez kogo? Uwzięła się na niego i jakoś go zdobyła. Martwisz się teraz, czy nie wpadł za głęboko, tak?

- Mniej więcej.

- Sama nie wiem. Na pewno jest trochę dziwna. I powiedziałabym, że nie w typie Toma. Jasne, wcześniej zdawało mi się, że to ja jestem w jego typie. Powiedział mi, że zostaje w Edynburgu, dlatego możemy być razem, dopóki latem nie skończę studiów. Chciał nawet, żebym się do niego przeprowadziła. Zależało mu. Potem na horyzoncie pojawia się Harriet i nagle... zimny jak lód. Właściwie kim ona jest? Jak zarabia na życie? Musi mieć... bo ja wiem, że trzydzieści pięć lat. To nie ma sensu.

- Pytałaś o nią Toma?

- Pytałam. Nie odpowiedział.

- Czy ona mieszka w Edynburgu?

- Nie jestem pewna. Ale chyba nie.

- Przed moim przyjazdem Tom gdzieś zwiął. Ciekawe, czy do niej.

- Bardzo możliwe. Ale gdzie to może być... - Sasha wymownie pokręciła głową. - A więc to zdjęcie ktoś przysłał matce Toma.

- Tak. - Nick zastanawiał się, czy będzie żałował kłamstwa, które wypowiedział instynktownie.

- Nie domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Niestety.

- Tylko że...

- Co takiego?

- Nie jesteś pierwszą osobą, która pyta mnie o Harriet Elsmore.

- Kim była ta pierwsza?

- Parę dni temu jakiś staruszek. Elegancko się wyrażał, był elegancko ubrany, trochę zmanierowany.

- Przedstawił się?

- Harmsworth. Jakoś tak.

- Co chciał wiedzieć?

- Wszystko, co potrafię o niej powiedzieć. Czyli, jak wiesz, niewiele. Zaczepił mnie, kiedy wychodziłam z wykładu.

Powiedział, że pilnie chce się z nią skontaktować i sądzi, że będą mu mogła pomóc. To „sądzę” zabrzmiało dość groźnie. Mówił do mnie „moja droga”, czym nie zdobył sobie żadnych szczególnych względów. Pytałam go, czy zna Toma, na co on, że owszem, że jest starym przyjacielem rodziny. To prawda?

- Raczej znajomym niż przyjacielem. Nazywa się Julian Farnsworth. Były kolega mojego ojca.

- Czyli też archeolog?

- Tak.

- Nie wyglądał na archeologa.

- A jak wyglądają archeolodzy?

- Inaczej niż on.

- Rzeczywiście, groźnie to odpowiednie słowo. Przyjechał odwiedzić przyjaciela, o którym mogłaś coś słyszeć. Profesora Vernona Drysdale'a.

- Mediewista, zdaje się. Tak, słyszałam o nim. Już dawno przeszedł na emeryturę, ale ciągle się snuje po uniwersytecie.

- Zastanawiam się, czy złożyć im wizytę. Wiesz może, gdzie to jest? - Nick pokazał jej wizytówkę, na której Farnsworth zanotował adres i numer telefonu Drysdale'a.

- Mieszka w Roslin, tak? - Sasha skinęła głową. - To by się zgadzało.

- Co masz na myśli?

- Słyszałaś kiedyś o kaplicy Rosslyn?

- Nie.

- Inaczej się pisze, ale chodzi o to samo miejsce. Roslin to wieś kilka mil na południe od Edynburga, zaraz za miastem. Znana głównie dzięki kaplicy Rosslyn, która pochodzi z piętnastego wieku. Niezwykle ozdobne kamienne rzeźby i całe mnóstwo legend. Kiedyś Tom mnie tam zabrał. Jestem pewna, że w kaplicy kryje się coś jeszcze. Ciarki chodziły mi po plecach. Kaplica często się pojawia w książkach o templariuszach i Arce Przymierza. Wiesz, Święta Krew, Święte Nie-wiadomoco i tak dalej.

- Nic nie obilo mi się o uszy.

- Nie? Założę się, że to się zmieni po wizycie u profesora. Napisał na ten temat książkę, „Echa Graala”. Coś w rodzaju naukowego zarysu. Podobno sprzedaje się lepiej niż wszystkie inne jego prace razem wzięte.

- Czytałaś?

- Nie.

- A Tom?

Sasha zastanowiła się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że widziałam u niego tę książkę. Ale nie pamiętam, żeby coś o niej mówił. Może kupił po naszej wycieczce do kaplicy. Nie wiem. - Znów się zamyśliła. - Ten Farnsworth. Może to on wysłał matce Toma zdjęcie?

- Możliwe, zwłaszcza że jest tu, gdzie zrobiono tę fotografię.

- I węszy za Harriet.

- Otóż to.

- Nick, w co Tom się wpakował?

- Nie jestem pewien.

- Coś złego?

- Być może.

- Niech to szlag. - Sasha wbiła wzrok w herbatę. - Kiedy ci się wydaje, że po rozstaniu z kimś zaczynasz wracać do równowagi... musisz się o niego martwić.

Niedługo potem wyszli z kawiarni. Sasha skierowała się prosto do sklepiku spożywczo-prasowego znajdującego się na tej samej ulicy i Nick już chciał się z nią pożegnać, lecz nalegała, aby ją odprowadził.

- Mam coś u siebie i chcę ci to dać - powiedziała, biorąc karton mleka i „Sunday Timesa”. - Kiedy zamierzasz jechać do Roslin?

- Lepiej nie odkładać tego do jutra.

- Chyba nie.

- Jak najłatwiej się tam dostać?

- Trzeba jechać cały czas drogą na Penicuik, dopóki nie zobaczysz drogowskiego na Roslin. - Sasha zapłaciła i wyszli na ulicę.

- Szczerze mówiąc, jestem pieszo.
- To będziesz musiał jechać autobusem. Trzydzieści siedem, odjeżdża z przystanku naprzeciwko Odeonu. Co pół godziny.

- Dzięki. - Skręcili w Rankeillor Street. - Co chcesz mi dać, Sasho?

- I tak powinnam to oddać Tomowi. Jeżeli będziesz się z nim widział, powiedz, że cię prosiłam, żebyś mu to przekazał. Jeśli go nie spotkasz... jeżeli nie wróci... sam zdecyduj, co zrobić.

- O czym ty mówisz.

- Zaczekaj tu.

Sasha wyprzedziła go i weszła do domu z numerem 56, zamykając za sobą drzwi. Nick posłusznie czekał, coraz bardziej zdziwiony. Po chwili usłyszał skrzypnięcie otwieranego okna na drugim piętrze. Spojrzał w górę, napotykając wzrok Sashy. Rzuciła mu jakiś mały przedmiot. Zanim go złapał, zorientował się, że to pęk kluczy.

Były to trzy klucze związane kawałkiem sznurka: jeden do zwykłego zamka i dwa yale. Nick patrzył na nie, ważąc je w dłoni. Potem usłyszał, jak okno się zamyka.

Stojąc na przystanku na Clerk Street i dotykając spoczywających w kieszeni kluczy, Nick przyrzekł sobie, że nie użyje ich, jeśli nie będzie musiał. Lecz obietnica od razu nasuwała pytanie: kiedy zostanie do tego zmuszony?

Nagle zaćwierkał jego telefon komórkowy, co powitał z ulgą. Głos Basila w słuchawce także podzielał na niego kojąco, choć musiał się pilnować, by nie powiedzieć Basilowi za dużo.

- Dzień dobry, Nick. Cóż tam dziś u ciebie?

- Mętlik w głowie.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu Toma.

- Dlaczego?

- Dziwnie się zachowuje.

- Może to skutek straty ojca.

- Miejmy nadzieję, że tylko o to chodzi.
- O jakim to „nowym kierunku” rozwoju sprawy mówiłeś, gdy ostatnio rozmawialiśmy?
- Takim, który być może ma związek.
- Z Tomem?
- Tak.
- Nick, międzynarodowe taryfy Telecom Italia nie zostały opracowane do obsługi szyfrowanych rozmów. Mógłbyś z łaski swojej wyrażać się jaśniej?
- Nie mogę. Kiedy tylko to się zmieni, dam ci znać.
- I do tego czasu wolałbyś, żebym zbijał baki?
- Tak. Przepraszam.
- Nie musisz przeproszać. Tak się składa, że zlekceważyłem twoją wolę w tej sprawie i wczoraj zawitałem do rezydencji kuzyna Demetriusa.
- Co takiego?
- Podziwiałem Palazzo Falcetto, rezydencję na tyle okazałą, że jej właścicielowi prawdopodobnie byłoby wszystko jedno, czy odziedziczy skromny domek w Kornwalii.
- Na litość boską, Basil, prosiłem cię...
- Nie musisz się martwić. Wszystko wskazuje na to, że Demetrius zwykle ucieka z Wenecji na czas karnawału. Ma wrócić w środę i zostanie poinformowany o mojej wizycie. To naprawdę niewiele znaczy.
- Może nie, ale...
- Widziałeś Farnswortha?
- Owszem, spotkaliśmy się.
- Z jakim skutkiem?
- Właściwie żadnym. Upiera się, że przyjechał odwiedzić starego przyjaciela.
- Nie mówisz mi wszystkiego, prawda, Nick?
- Mówię tylko to, czego jestem pewien. Po prostu potrzebuję więcej czasu... żeby ustalić kilka rzeczy.
- Wobec tego Demetrius wyświadczył ci przysługę. Masz czas do środy. Tymczasem wyświetlacz na aparacie pokazuje, że impulsy wyciekają w zawrotnym tempie. Do widzenia, Nick.

- Posłuchaj, Basil... - Lecz było za późno. Po drugiej stronie zapanowała cisza.

Autobus trzydzieści siedem nie skręcał w niedzielę do Roslin. Nick musiał przejść pieszo pół mili dzielące wieś od głównej drogi. Za miastem zrobiło się zimniej. Z zachodu, od strony Pentland Hills, wiał chłodny wiatr. Na szczytach wzgórz przypominających grzbiety wielorybów bielił się śnieg, a nad nimi kłębiły się groźne sine chmury.

Wieś Roslin wydawała się zupełnie nijaka: wokół kilku sklepów i dwóch pubów skupiały się przemieszane ze sobą stare i nowe domy. Jakiś człowiek spacerujący z psem pokazał Nickowi, jak dojść do Roseburn Lodge. Po drodze Nick minął drogowskaz do kaplicy Rosslyn i w oddali mignęła mu jakaś budowla przysłonięta drzewami. Ale kaplica mogła poczekać. Miał teraz na głowie ważniejsze sprawy niż zabytki i dawne legendy.

Roseburn Lodge było prostym georgiańskim domem z szarego kamienia, obrośniętym bluszczem i częściowo ukrytym za gęstym żywopłotem z tarniny. Na krótkim żwirowym podejździe stało stare poobijane kombi, ale nie było śladu Citroena Farnswortha.

Nick pociągnął sznurek dzwonka i gdy zamierzał szarpnąć drugi raz, drzwi otworzyła kobieta o długim, wąskim nosie i najciemniejszych oczach, jakie w życiu widział. Miała na sobie fartuch narzucony na sfatygowaną sukienkę, a włosy związane w ciasny kok.

- Tak? - powiedziała, spoglądając na niego wyniośle.
- Szukam doktora Juliana Farnswortha. - Nick zaryzykował uśmiech, który jednak nie okazał się zaraźliwy.
- Nie ma go.
- Spodziewa się pani, że niebawem wróci?
- Nie wiem.
- A profesor Drysdale? Jest w domu?
- Tak, jest.

- Zechciałaby go pani spytać, czy poświęci mi kilka minut? Możliwe, że doktor Farnsworth wspominał mu o mnie. Nazywam się Paleologus. Nicholas Paleologus.

- Paleologus mówi pan?

- Owszem.

- Niech pan zaczeka.

Oddaliła się ciężkim krokiem, przymykając za sobą drzwi. Nick słuchał krakania gawronów wśród drzew rosnących po obu stronach domu. Z wnętrza dobiegało powolne tykanie zegara i szmer rozmowy prowadzonej gdzieś w głębi. Po chwili kobieta wróciła.

- Proszę wejść.

- Dziękuję.

Poprowadziła go ciemnym korytarzem, gdzie stał zegar, do otwartych drzwi, przed którymi cofnęła się, robiąc mu przejście.

Nick nie miał wątpliwości, że znalazł się w profesorskim gabinecie. Okna wychodziły na zaniedbany ogród, a w głównym wykuszu honorowe miejsce zajmowało ogromne biurko z obitym skórą blatem, na którym leżały rozrzucone książki i papiery. Ściany zajmowały zapchane książkami regały, ale ich pojemność okazała się widocznie niewystarczająca, ponieważ sterty książek leżały na podłodze, a nawet na jednym z dwóch foteli ustawionych po obu stronach kominka, gdzie mimo przejmującego chłodu nie palił się ogień.

Z drugiego fotela podniósł się z trudem starszy mężczyzna, uśmiechając się na powitanie. Nick z własnego doświadczenia dobrze znał ten typ: emerytowany naukowiec w swej wyłożonej książkami kryjówce. Z Michaelem Paleologusem łączyło Vernona Drysdale'a zamiłowanie do sztruksu i owczej wełny, ale pod względem fizycznym stanowił jego zupełne przeciwieństwo: tęgi, rumiany, z wystającym mostkiem i łysy jak kolano, choć brak włosów na głowie rekompensował bokobrodami, które zrastały się z siwym wąsem, upodobniając go bardziej do wiktoriańskiego łowczego niż dwudziestowiecznego historyka.

- Pan Paleologus. - Drysdale mocno uściśnął dłoń Nicka.
- To prawdziwy zaszczyt. - Dźwięczne szkockie „r” w jego wymowie było prawie niesłyszalne.

- Miło z pana strony, że zechciał mnie pan przyjąć, profesorze. Choć nie wydaje mi się, aby miał to być dla pana szczególny zaszczyt.

- Prawdziwy żywy Paleologus. To cud i zaszczyt jednocześnie. Oczywiście kilka razy miałem przyjemność spotkać pańskiego ojca. Proszę przyjąć moje kondolencje.

- Dziękuję.

- Julian mówił, że niedawno zmarł także pański starszy brat. Cóż za okropny zbieg okoliczności.

- Niekoniecznie zbieg okoliczności.

- Nie?

- Właściwie... miałem nadzieję spotkać tu Juliana - doktora Farnswortha.

- Obawiam się, że nie ma pan szczęścia. Został gdzieś wezwany.

- Do Oksfordu?

- Nie jestem pewien. Jak może już panu wiadomo, Julian rzadko odkrywa karty. Wyjechał wczoraj po południu w pewnym pośpiechu.

- Widziałem się z nim wczoraj rano. Nic mi nie mówił o wyjeździe.

- Ktoś zadzwonił i już go nie było. Ledwie zdążył mi powiedzieć, że być może zajrzy pan do mnie. - Drysdale uśmiechnął się. - Z czego w każdym razie bardzo się cieszę. Nieobecność Juliana oznacza, że nie będzie skupiał na sobie całej uwagi. Zechce pan usiąść? - Niedbałym gestem wskazał drugi fotel. - Proszę zrzucić te szpargały gdziekolwiek.

- Dobrze. Dziękuję. - Nick zrobił sobie miejsce i usiadł, starając się nie okazać zirygowania. Z faktu, że u Drysdale'a gości - lub gościł - Farnsworth, nie wynikało, iż profesor musiał być współnikiem w prowadzonej przez niego grze. A jednak było to prawdopodobne. Bardzo prawdopodobne.

- Będą panowie chcieli herbaty? - spytała staruszka.

- Dochodzi południe - odparł Drysdale. - Mam ochotę na coś mocniejszego. Kropelkę szkockiej, Paleologusie?

- Dziękuję. Jeśli można prosić. - Nick zwrócił uwagę, jak szybko Drysdale zaczął się zwracać do niego po nazwisku.

- Wobec tego może nas pani zostawić, pani Logan. - Pani Logan energicznie kiwnęła głową i zniknęła. Drysdale podszedł do regału, gdzie przed długim rzędem czasopism historycznych stała butelka whisky Jura i kilka szklanek. Nalał godziwe porcje, podał Nickowi szklaneczkę i z trudem zajął swoje miejsce.

- *Slainte.*

- Na zdrowie.

- Przykro mi z powodu Juliana.

- To nie pańska wina.

- Człowiek czuje się odpowiedzialny za przyjaciół, nawet jeśli nie powinien.

- Jak długo się panowie znacie?

- Byliśmy razem w Oksfordzie. Krótko po odejściu z uniwersytetu twego ojca. Tak się składa, że już się spotkaliśmy. Na przyjęciu w ogrodzie waszego domu w Oksfordzie. Latem siedemdziesiątego siódmego. Przyprowadził mnie tam wtedy Julian. Ojciec przedstawił mi ciebie jako jasny promyk swojej progenitury, jeśli dobrze sobie przypominam to wyrażenie.

Nick skrzywił się. On także przypomniał sobie wyrażenie ojca.

- Obawiam się, że nie pamiętam tego zdarzenia.

- Dlaczego miałbyś pamiętać? Dla mnie było bardziej pamiętne. Julian mówił... że później... nie miałeś łatwego życia.

- A kto miał?

- Na przykład Julian. I ja, jeżeli mam być szczerzy.

- Julian często pana odwiedza?

- W ogóle. Przyjechał pierwszy raz od wielu lat. - Drysdale uśmiechnął się szeroko. - Nie mam wątpliwości, że do wizyty skłonił go jakiś bardziej przekonujący motyw niż radość

z mojego towarzystwa. Dowodem może być jego częsta nieobecność.

- Co go tak zajmuje?

- Nie wiem. Wyraża się na ten temat bardzo powściągliwie. Z natury jest gadatliwy, ale nie o wszystkim mówi, jak się już zapewne przekonałeś.

- To prawda.

- Niczego nie dawał do zrozumienia?

- Nie. Ale wydaje mi się, że dużo uwagi poświęca mojemu bratankowi.

- Ach. Ostatniemu z Paleologów.

- Słucham?

- Jako jedyni znani potomkowie rodziny cesarskiej...

- Domniemani potomkowie, profesorze. Ten rodowód to w znacznej części pobożne życzenia mojego dziadka.

- Naprawdę? Mam na ten temat nieco inne zdanie.

- Julian mówił, że jest pan wytrawnym znawcą historii Bizancjum.

- To także można uznać za pobożne życzenia. Tylko badaczem, Paleologusie. Ale kim więcej można być, jeśli nie badaczem? Nie ma zajęcia, które stałoby wyżej. - Drysdale zmarszczył brwi. - Choć w opinii niektórych straciłem prawo nazywania się badaczem. - Po tych słowach zamilkł.

- Dlaczego?

- Och, napisałem na wulgarnie populistyczny temat. W pewnych kręgach uchodzi to za przestępstwo podlegające najwyższej karze.

- Mówi pan o „Echach Graala”?

- Czytałeś to?

- Nie, nie. Ale... wspominał o tym Julian.

- Doprawdy? Jakie to... uprzejme z jego strony. Cóż, nie żałuję. Książka świetnie się sprzedaje. Dlaczego miałbym przepraszać?

- Nie sędzę, aby miał pan powody.

- Odwiedziłeś już kaplicę Rosslyn, Paleologusie? Tuż

obok nas, za drogą, znajduje się jedna z największych atrakcji turystycznych Lothian.

- Jeszcze tam nie byłem.

- Koniecznie powinienes iść. Bez wątpienia będziesz pod wrażeniem ogromnego zbioru literatury na ezoteryczne tematy, jaki zgromadzili w sklepie przy kaplicy. Znajdziesz też parę egzemplarzy „Ech Graala”. To mój skromny głos w dyskusji.

- Jakiej dyskusji?

- Tak górajcej, że czasem wydaje mi się, jakby każdy w niej na swój sposób uczestniczył. Zwykła pycha, nic więcej. Ale założę się, że znasz temat, nawet jeśli nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę. Słyszałeś o templariuszach?

- Wiem, że to średniowieczny zakon rycerski, założony podczas wypraw krzyżowych. Poza tym...

- Tak?

- Mam wrażenie, że wiązała się z nimi jakaś tajemnica.

- Istotnie. Tajemnica, która stała się obsesją współczesności. Ludzie chcą w coś wierzyć, Paleologusie. Bo w nic nie wierzyć... czy nie to miał na myśli Conrad w „Jądrze ciemności”, wkładając w usta umierającego Kurtza słowa „Zgroza, zgroza”? Mamy pokolenie agnostyków. Sceptycyzm jest postawą powszechną. Tak więc ludzie powątpiewają w to, w co im się każe wierzyć, i wierzą w to, w co każe im się powątpiewać. UFO, tajemnicze koła na polach, drapieźne koty... i święty Graal - należą do jednego kontinuum. Zaspokajają naszą potrzebę mitu. A także podsycają nasze uparte, wstydlive przekonanie, że w mitach kryje się irracjonalna prawda. Książki to jeszcze nie wszystko. W Internecie aż się roi od takich poglądów. Naukowy establishment spogląda z pogardą na tych, którzy je propagują. Ale popełnia błąd. Należy zabierać głos w każdej debacie, gdyż inaczej będzie przegrana walkowerem. Taki cel mi przyświecał, gdy postanowiłem napisać „Echa Graala”. - Drysdale uśmiechnął się, mrużąc oczy. - Oczywiście poza tantiami.

- Co wspólnego mają z tym templariusze?
- Postaram ci się wszystko streścić jak najzwięźlejš. Jeżeli chcesz poznać wyczerpującą wersję, odsyłam cię do mojej książki za jedyne sześć dziewięćdziesiąt. Ale do rzeczy. Święty Graal to stały element zachodniej literatury. Czym właściwie jest? Kielichem, z którego Chrystus pił na krzyżu. Przy najmniej w opinii niektórych. Niektórzy doszukują się w nim ukrytego lub symbolicznego znaczenia. Czy można je odnaleźć we francuskim słowie *Sangréal* - królewska krew? Zwolennicy tej szkoły wierzą, że Chrystus miał dzieci z Marią Magdaleną, a Graal był związany z boskim rodem. Po ukrzyżowaniu Maria Magdalena wraz z domniemanymi dziećmi Chrystusa uciekła do Prowansji, a ich potomkowie rzekomo założyli francuską dynastię Merowingów. To najzabawniejsze teorie. Rzecz jasna, nie istnieją żadne dowody na ich poparcie, choć wiara w taką wersję wydarzeń mogła stanowić podstawę teologii katarów, heretyków, których aktywną działalność w Prowansji brutalnie zakończył papież Innocenty III na początku trzynastego wieku. Istnienie autentycznych potomków Chrystusa stanowiłoby oczywiście wyzwanie dla władzy papieskiej, dlatego niektórzy utrzymują, że bezwzględne powstrzymanie działalności katarów jest dowodem przemawiającym na korzyść tej teorii.

A co mają z tym wspólnego templariusze? Bezpośrednio nic. Aby poznać ich rolę w alternatywnej historii, musimy się odwołać do innej szkoły. Jej zwolennicy utożsamiają świętego Graala z Arką Przymierza, największym skarbem Żydów. Wierzą, że Arkę zakopano głęboko pod świątynią Salomona w Jerozolimie, aby nie wpadła w ręce Rzymian, gdy miasto zdobyły legiony Tytusa, co stało się w roku pańskim siedemdziesiątym - czy, jak obecnie mówimy, naszej ery. Wierzą również, że po zdobyciu Jerozolimy przez krzyżowców w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym roku zakon templariuszy utworzono specjalnie po to, by odnaleźli Arkę. Przeproszę przy okazji, że przypomina to opowieść w stylu Indiany

Jonesa. Podobno rycerze wiele lat kopali pod świątynią, aż w końcu znaleźli to, czego szukali. Może nie samą Arkę, lecz to, co od zawsze symbolizowała: tajemnicę tajemnic; prawdę; gnozę relacji między Bogiem a człowiekiem.

- I cóż to jest?

- Dobrze pytanie, Paleologusie. Boskie pytanie, można by rzec. To rzecz nieznaną i zarazem niepoznawalną. Mity mają się świetnie, bo każdy znajduje w nich coś dla siebie. Kiedy w roku tysiąc sto osiemdziesiątym siódmym Jerozolimę zdobył Saladyn, templariusze przenieśli swą siedzibę do twierdzy Akka, przypuszczalnie zabierając ze sobą skarb, jeśli istotnie byli w jego posiadaniu. Gdy z kolei padła Akka, przenieśli się na Cypr. I tam pozostali, dopóki w tysiąc trzysta siódmym roku papież Klemens V nie zakazał im działalności pod zarzutem herezji, sodomii i bluźnierstwa, choć głównym motywem jego decyzji była zazdrość o bogactwa i wpływy, jakie zakon zdobył dzięki uległości wobec króla Francji Filipa IV, który ogromnie się u nich zadłużył. Ostatni wielki mistrz templariuszy spłonął na stosie w roku tysiąc trzysta czternastym. Swoją drogą, uroczę imienia wybierali sobie ci średniowieczni papieże, nie uważasz? Innocenty i Klemens. Żaden nie był ani niewinny, ani łagodny.

- Co się stało ze skarbem templariuszy?

- Jeżeli w ogóle istniał? Cóż, właśnie dlatego napisano na ten temat tyle książek. Gdzie trafiła tajemnica; ta wielka i okropna rzecz? Wielu uległo przekonaniu, że templariusze odgadli, co im zagraża, i wysłali swe najcenniejsze mienie na przechowanie. Gdy Robert Bruce został ekskomunikowany, papieska proskrypcja zakonu nie mogła objąć majątku templariuszy na terenie Szkocji. Dlatego stworzono teorię, iż wysłano go tutaj i do dziś leży gdzieś pod kaplicą Rosslyn.

- Nie mówi pan poważnie.

- Mówię poważnie, że wielu w to wierzy. Budowę kaplicy rozpoczęto dopiero w roku tysiąc czterysta czterdziestym

szóstym, ponad sto lat po kasacie templariuszy. Moim zdaniem stanowi to poważny argument przeciw tej hipotezie, ale jej wierni wyznawcy omijają go z zadziwiającą zręcznością, twierdząc, że kaplica była ostatecznym rozwiązaniem tymczasowego, jak uważano wcześniej, problemu. Tak to się przedstawia, jeśli pominiemy wiele dodatkowych szczegółów. Oszczędzę ci wolnomularzy, różokrzyżowców, Prieure de Sion i tajemnicy Rennes-le-Château. Także mają swoje miejsce w tej historii. Lecz mit templariuszy sprowadza się do prostego pytania: czy znaleźli coś pod świątynią Salomona - Arkę, Graala czy co jeszcze zechcesz? Próbowałem na nie odpowiedzieć w „Echach Graala”.

- I jak brzmi odpowiedź?

- Tego nie wie nikt. I nie może wiedzieć. To znaczy, nie może wiedzieć na pewno. Nie ma świadectw. Najpewniej nie ma żadnego dowodu. Jest tylko... - Drysdale wzruszył ramionami. - Plotka i legenda.

- A pan jak sądzi?

- Jako historyk uważam, że plotka i legenda tyleż zaciemniają, ile rozjaśniają. Gnoza to koncepcja, nie przedmiot. Nie sposób jej wykopać. To zrozumiałe. Taki skarb z natury jest... nieuchwytny.

- Czyli pod kaplicą niczego nie ukryto?

- Kości kilku zmarłych rycerzy. Nic więcej. - Drysdale utkwiał spojrzenie w ciemnym wnętrzu kominka. - Tylko tyle znajdują ludzie, kiedy kopią w poszukiwaniu złota. - Popatrzył na Nicka z cieniem uśmiechu pod wąsem. - Tajemnica polega na tym, że nie ma tajemnicy. - Zachichotał. - Przyznaję, że tego wniosku w książce nie umieściłem. „Echa Graala” malują znacznie bardziej zwodniczy i niejednoznaczny obraz. Cóż, takie są nakazy komercji. Ale wobec osoby tak szlachetnego pochodzenia nie będę udawał. Poza tym sam doprowadzisz słuszności tego wniosku.

- Ja?

- Rodowody donikąd nie prowadzą. Przeszłość nie jest ani przekleństwem, ani zbawieniem. Jesteśmy, kim jesteśmy.

Musimy się nauczyć żyć z tą wiedzą - i umrzeć.

Opuszczając Roseburn Lodge, Nick nie był pewien, czy Drysdale zamierzał wygłosić kazanie na temat chciwości jego rodzeństwa. Mit okna Sądu Ostatecznego i żądza pieniędzy Tantrisa doprowadziły ich do odkrycia, które trafnie przewidywałby profesor. Na domiar złego wpłatali się w sytuację, w której następstwie zginęli ich ojciec i brat. Idąc w kierunku kaplicy, Nick przypomniał sobie ostrzeżenie staruszka. Gdyby wzięli je sobie do serca, gdyby go posłuchali... „W tych sprawach należy ufać tylko i wyłącznie źródłom”. Wówczas Nick potraktował to jako zasadę ściśle naukową. Teraz zaczynał podejrzewać, że ojciec miał na myśli dokładnie to, co powiedział. „Tylko i wyłącznie źródłom”. Piękne założenie. Ale gdzie znaleźć te źródła?

Na zdjęciu w przewodniku, który Nick kupił przed wejściem, kaplica Rosslyn wyglądała na dziwnie nieproporcjonalną budowlę ze zbyt dużymi przyporami i wydłużoną po obu stronach zachodnią ścianą, jak gdyby stanowiła część jakiegoś większego budynku, który nigdy nie został ukończony, choć sam nie mógł zobaczyć wiele, ponieważ nad kaplicą umieszczono stalową pokrywę, by przeprowadzić remont dachu.

W środku przekonał się, że Sasha miała rację, mówiąc o niezwykłych rzeźbach. Każdą belkę i filar zdobiły demony, anioły, rycerze i smoki. Sklepienia były pełne symboliki. Gdziekolwiek obrócił wzrok, widział postacie i znaki. Kamieniarze stworzyli prawdziwe cuda, jak gdyby twardy kamień był posłuszny ich palcom jak glina. W przewodniku Nick znalazł informacje o licznych związkach templariuszy z kaplicą, w szczególności o grobowcu Williama St. Claira, prapradziadka założyciela kaplicy. Uznany za rycerza zakonu templariuszy, zginął bohaterską śmiercią w Hiszpanii w 1330 roku podczas próby przewiezienia głowy Roberta Bruce'a do

Ziemi Świętej. Jego nagrobek ozdabiał wizerunek róży w kielichu. Wskazówka była aż nadto czytelna.

Istniały też związki z oryginalną świątynią Salomona. Według przewodnika najwspanialej ozdobiony filar w kaplicy miał być dziełem zwykłego czeladnika, który wyrzeźbił go podczas nieobecności mistrza. Po powrocie, rozwścieczony dowodem kunsztu ucznia znacznie przewyższającego jego zdolności, mistrz zabił czeladnika, roztrzaskując mu głowę młotem. Przewodnik sugerował, że filar czeladnika był wzorowany na jednym z filarów podtrzymujących wewnętrzną przedsiónek świątyni Salomona, a zabójstwo czeladnika nawiązywało do morderstwa Hirma Abifa, architekta świątyni, który także zginął od ciosu w głowę.

Nick rozmyślał o innej śmierci i innym uderzeniu w głowę. Słyszał kiedyś historię Hirma Abifa, choć nie pamiętał, przy jakiej okazji. Zrozumiał wtedy, że miała to być forma ofiary, rytualny mord. Ale kto był mistrzem, a kto czeladnikiem w nowej wersji mitu? Czy tajemnice zawsze umierają wraz z ich posiadaczami?

Nick dał spokój zwiedzaniu i nieco chwiejnym krokiem wyszedł na świeże powietrze. Zdał sobie sprawę, że w kaplicy było chłodniej, zimno i cicho jak w grobie. Inni zwiedzający, wchodząc do kaplicy, obrzucali go dziwnym spojrzeniem. Gdy Nick dotknął ręką czoła, było wilgotne od potu.

Wrócił drogą do wsi i wszedł do baru hotelowego na rogu Manse Road. Usiadł z piwem przy oknie, odizolowany od klientów jedzących lunch niedaleko kominka, i wolno popijał, czekając, aż myśli ułożą mu się w głowie. Wcześniej jednak zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Nick? - zabrzmiał zaniepokojony głos Terry'ego. - Dopiero teraz mogłem do ciebie zadzwonić.

- Coś nie tak, Terry?

- Jasne, że cholernie nie tak. Jak ci poszło z Tomem?

- Nie najlepiej. Zanim zdążyłem go o cokolwiek oskarżyć, ulotnił się.

- Uciekł?
- Na to wygląda.
- Chryste. Kate się wścieknie. Miałem nadzieję... wiesz, może brak wiadomości to dobra wiadomość.
- Nie w tym wypadku.
- Cholera jasna. Kate dzwoniła do niego kilka razy i nikt nie odbierał. Teraz wiem dlaczego.
- Niestety.
- Dokąd poszedł?
- Nie mam pojęcia. A ty?
- Zielonego. Nie umiem go w ogóle rozgryźć. Na litość boską, Nick, nie możesz... niczego zrobić?
- Co masz na myśli?
- Nie wiem. Zrób coś... żeby wyciągnąć nas z tej kabały.
- No... - Nick dotknął kluczy w kieszeni. - Zobaczę, czy się uda.

Cierpliwość Nicka - do Toma, Terry'ego, sytuacji, w jakiej się znalazł - zaczynała się szybko wyczerpywać. Przed wyjazdem z Roslin wstąpił do sklepu obok kaplicy. Tak jak mówił Drysdale, półki były zapchane przeróżnymi książkami na ezoteryczne tematy związane z Rosslyn. Nick kupił egzemplarz „Ech Graala” i wrócił do hotelu, gdzie wkrótce miała przyjechać zamówiona taksówka. Zdążył tylko zerknąć na inne tytuły. Ale to wystarczyło. Żaden z nich nie krył odpowiedzi.

Gdy taksówka toczyła się przez przedmieścia Edynburga, ułożył strategię działania. Da Tomowi czas do zmierzchu. Wtedy, jeśli w domu nadal nikogo nie będzie, wejdzie do mieszkania, otwierając sobie kluczymi, które dostał od Sashy, i zobaczy, co uda mu się znaleźć. Być może nic. Ale niewiele więcej mógł zrobić.

Popołudnie spędził w pokoju hotelowym, czytając książkę Drysdale'a. Profesor zreferował mu sedno, a pełna wersja uzupełniała tylko główny temat o szczegóły. Lecz było tu wiele barwnych szczegółów, które spletały się ze sobą jak rzeźbione węże w kaplicy Rosslyn. Rzeczywiście, epizodyczną

rolę domniemanych spadkobierców tajemnic i wierzeń templariuszy odegrali różokrzyżowcy i wolnomularze, natomiast u źródeł powstania zakonu pojawiały się cienie tajnego francuskiego stowarzyszenia Priure de Sion - zakonu Syjonu. Kaplica Rosslyn najwyraźniej nie była jedynym miejscem, gdzie mógł spocząć ich skarb. Innym był bastion katarów - Langwedocja. Wśród kandydatów pojawiała się również Portugalia i, ku zdumieniu Nicka, Nowa Szkocja. W tle przewijały się motywy na pozór niezwiązane z tematem - od całunu turyńskiego po wyprawę przed Kolumbem. Drysdale streszczał różne pisma z ledwie wyczuwalną nutką ironii. Pozwalał, by dowody same mówiły za siebie. Lecz gdzie były dowody? „Tajemnica polega na tym, że nie ma tajemnicy”. Zdanie nie pojawiało się w książce, ale gdy Nick ją czytał, rozbrzmiewało mu w głowie.

Zapadł zmierzch. Nick zjadł kolację w hotelowej restauracji i wyszedł, po drodze wstąpił do Café Royal. Powtarzał sobie, że nie ma się co spieszyć. Im dłużej zwlekał, tym większa była szansa, że Tom wróci z własnej woli.

A jednak nie wrócił. Nick nie miał co do tego wątpliwości, gdy patrzył w ciemne okna z rozsuniętymi zasłonami na parterze przy Circus Gardens 8. Dochodziła dziewiąta. Nie mógł już zwlekać.

Pierwszym kluczem yale od razu otworzył drzwi wejściowe. W korytarzu zawahał się, nasłuchując dźwięków z klatki schodowej. Było jednak cicho, choć zdawało mu się, że słyszy muzykę dobiegającą z mieszkania Uny Strawn. Nick otworzył mieszkanie Toma i wszedł do środka, przytomnie zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kuchnię, łazienkę i sypialnię miał po prawej, gdzie panowała nieprzenikniona ciemność. Z lewej na dywan w salonie padało bursztynowe światło latarni ulicznej. Nick ruszył przez otwarte drzwi do okna, zaciągnął zasłony i wrócił, by włączyć światło.

Przez sekundę był oślepiiony. Potem na stoliku przed sobą zobaczył białą rozdartą kopertę, która częściowo przykrywała fotografię Toma i Elspeth Hartley zrobioną w Robuście.

Nick wziął zdjęcie, żeby mu się przyjrzeć. Dokładnie takie samo jak to, które ktoś wsunął mu pod drzwiami do pokoju w Thistle. Na kopercie także nie było żadnego napisu. W środku żadnego listu. Ale może nie trzeba było niczego dodawać. Przypuszczalnie Tom zrozumiał wiadomość bardzo wyraźnie.

Gdzie miał szukać wskazówek, które mogłyby go naprowadzić na ślad Toma? Salon sprawiał wrażenie niemal sterylne pomieszczenia. Jeżeli gdzieś kryły się jakieś tajemnice, to na pewno nie tu. Lepszym miejscem wydawała się sypialnia. Nick położył zdjęcie na stoliku i poszedł do pokoju naprzeciwko.

Okno sypialni wychodziło na ogród za domem, nie musiał więc zachowywać przesadnej ostrożności. Wchodząc, zapalił światło.

Stanął jak wryty, czując, że serce podchodzi mu do gardła. Przez ułamek sekundy pomyślał, że Tom po prostu leży na łóżku, patrząc na niego. Ale wyglądał zbyt spokojnie, był zbyt nieruchomy. I na nic nie patrzył. Jego oczy spoglądały w sufit. Miał otwarte usta i skorupę zaschniętych wymiocin wokół warg i na brodzie. Był nagi i blady jak marmur. Na podłodze niedaleko łóżka leżało kilka pustych opakowań foliowych po tabletkach i przewrócona szklanka. W zgięciu lewego ramienia tkwiła pusta strzykawka, której igła nadal wbijała się w żyłę.

W końcu jednak Tom nie uciekł.

Rozdział 18

Nick znów odniósł wrażenie, jak gdyby obserwował wydarzenia i siebie samego z pewnej odległości. Zrozumiał już, że jest to nie tyle reakcja emocjonalna, ile mechanizm obronny, jaki jego umysł wykształcił przeciw demonom, które kiedyś go pokonały. Wycofał się z sypialni, świadomy fizycznych objawów szoku - palpacji, dreszczy i potu - wiedział jednak, że wkrótce ustąpią. Przejęty zgrozą, rozpaczliwie usiłował doszukać się sensu w tym strasznym akcie. Nieoczekiwanie poczuł jednak pewność siebie. Wiedział, że uda mu się wytrzymać. Że przetrwa.

Z salonu zadzwonił pod 999, poprosił o połączenie z policją i powiedział o swoim odkryciu. Dyżurny zapewnił go, że za chwilę przyjadą. Nick rozłączył się i zaczął słuchać ciszy, jaką pozostawiła po sobie śmierć. Nie mógł zostać w mieszkaniu. Nie potrafiłby zacząć szukać śladów, jak wcześniej planował. Nie chciał nawet próbować. Tom swym radykalnym czynem jak gdyby zabronił mu kontynuować poszukiwania. Poza tym Nick miał dziwną pewność, że i tak niczego by tu nie odkrył. Jedynym dowodem związków Toma z Elspeth Hartley było leżące na stoliku zdjęcie. Nick wziął je, wsunął do kieszeni i wyszedł.

Una Strawn z początku nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od Nicka.

- Jest za młody - powiedziała wstrząśnięta. - Nie zrobiłby czegoś takiego.

Kiedy jednak usłyszeli podjeżdżający pod dom radiowóz, uświadomiła sobie, że nie zmieni rzeczywistości, mimo że nie potrafi jej pojąć.

- To będzie straszne dla jego matki - zauważyła w zadumie.

Nick w duchu przyznał jej rację; straszniejsze, niż Una mogłaby sobie wyobrazić.

- Lepiej tam zejść - rzekł, ruszając do drzwi.

- Nick...

- Tak? - Zatrzymał się i odwrócił.

- Wiesz, dlaczego to zrobił?

Nick zawahał się przez moment, po czym odrzekł półgłosem:

- Tak jakby.

Rozbrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

- Powiesz im?

Znów się zawahał, lecz nie powiedział nic, tylko pokręcił głową.

Policja działała sprawnie, zdawkowo okazując mu współczucie. Nie kwestionowali wersji wypadków przedstawionej przez Nicka. Zresztą czy mieli powody? Bezrobotny absolwent studiów uzależniony od narkotyków i przeżywający kłopoty uczuciowe na pewno nie był rzadkością w statystyce samobójców. Kiedy Nick wyjaśniał, że matka Toma bardzo się o niego martwiła po śmierci jego ojca, policjanci kiwali głowami z lekkim znudzeniem, jak gdyby nie usłyszeli nic nowego. Coś zanotowali. Zadzwonili po anatomopatologa i fotografa. Zrobili, co do nich należało.

Nick zgodził się przyjść nazajutrz na komisariat, by złożyć oficjalne zeznanie. Tego wieczoru nie był im już potrzebny. Wrócił do mieszkania Uny i z wdzięcznością przyjął szklance whisky, którą go poczęstowała. Z nieco mniejszą

wdzięcznością przyjął propozycję skorzystania z telefonu. Una zostawiła go samego, aby spełnił obowiązek, w którym nikt nie mógł go wyręczyć.

Potem niewiele pamiętał ze swojej rozmowy z Terryem poza ulgą, jaką poczuł, kiedy się okazało, że nie musi przekazywać złej wiadomości bezpośrednio Kate. Nie powiedział nic o strzykawce ani fotografii, a Terry nie zadawał żadnych podchwytliwych pytań. Ich krótka rozmowa była pełna podtekstów. Obaj wiedzieli, że wiele spraw zostało przemilczanych. Obaj wiedzieli także, że nie czas o nich teraz mówić.

Mniej więcej godzinę później Terry oddzwonił. (Policja i ludzie z zakładu pogrzebowego nadal robili swoje cicho i metodycznie; ciało Toma jeszcze nie zostało zabrane z mieszkania). Terry wyjaśnił, że Kate nie chce zostać w domu ani chwili dłużej. Mieli wyjechać jak najszybciej. Na autostradzie w nocy będzie najmniejszy ruch, powinni więc dotrzeć do Edynburga o świcie. Zarezerwowali pokój w hotelu Balmoral i mieli się skontaktować z Nickiem zaraz po przyjeździe.

Minęła kolejna godzina. Z mieszkania na parterze wyszedł fotograf, po nim lekarz. Mężczyźni w rękawiczkach i kombinezonach załadowali ciało Toma do nieoznakowanej furgonetki i zawieźli do kostnicy. Jeden z policjantów z radiowozu, który przyjechał pierwszy, poinformował Nicka, że skończyli, i ostatni samochód zniknął w ciemnościach. Przy Circus Gardens 8 zapanowała nocna cisza.

Nick nie miał ochoty wracać do bezlitośnie sterylnej pogotowia w Thistle, a Una nie miała zamiaru go wyrzucać. Żadne z nich nie mogłoby zasnąć. Wypili jeszcze trochę whisky, rozmawiając o Tomie.

- Nikt by się nie spodziewał, że taki chłopak jak on zrobi coś podobnego, prawda, Nick? Miał w sobie jakiś blask. Aurę. Ty też pewnie miałeś w jego wieku.

- Może.

- Mówiłeś, że „tak jakby” wiesz, dlaczego to zrobił. Zastanawiałam się, czy wiesz... z własnego doświadczenia.

- Nie doświadczyłem takich rzeczy, jakie zdarzyły się w życiu Toma.

- Powiesz mi, co to znaczy?

- Chyba nie mogę. To dotyczy zbyt wielu innych ludzi.

- Ale ma coś wspólnego z tą dziewczyną ze zdjęcia... z Harriet?

- Wszystko ma związek z jej osobą.

- A więc Sasha miała rację. Nie było mu z nią dobrze.

- To mało powiedziane.

- Ktoś będzie musiał zawiadomić Saszę, co się stało.

- Jutro się z nią spotkam.

- A co zrobisz z Harriet?

Nick przez parę chwil patrzył w milczeniu na whisky w szklance, zastanawiając się nad pytaniem. Po śmierci Toma ślad Elspeth Hartley urywał się na dobre. Oczywiście ona o tym nie wiedziała. Przynajmniej na razie.

- Znajdę ją - mruknął wreszcie. - Prędzej czy później.

Wychodząc, Nick przystanął we wspólnym korytarzu i popatrzył na niebiesko-białą taśmę, którą oklejono drzwi mieszkania Toma. Taśma zapieczętowała także tajemnicę jego związków z Elspeth Hartley. Jeżeli Tom starał się ją ochronić, nie mógł tego zrobić lepiej.

- Znajdę cię - mruknął do siebie Nick. Dobrze jednak wiedział, że łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

Wrócił do swojego pokoju w Thistle i położył się, ale nie spodziewał się, że sen rychło nadejdzie. Musiał jednak zasnąć, bo następną rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, był dzwonek telefonu. Zegarek pokazywał siódmą trzydzieści osiem, a przez zasłony sączyło się szare światło dnia. Nick chwycił słuchawkę.

- Pan Paleologus?

- Tak.

- Dzwoni do pana jakiś pan Mawson.

- Proszę połączyć.

- Nick?

- Witaj, Terry. Gdzie jesteście?
- W Balmoral.
- Możecie mi dać dziesięć minut?
- Jasne. Przyjdę do Thistle. Spotkamy się w holu.

„Przyjdę”. Nick zwrócił uwagę na liczbę pojedynczą. Terry chciał pogadać w cztery oczy, zanim Nick porozmawia z Kate. I rzeczywiście, gdy Nick wysiadł z windy, Terry czekał na niego sam.

Wyglądał jak cień samego siebie; zgarbiony i wymięty, o przekrwionych oczach i z ciemnym zarostem na twarzy. Znużonym gestem położył rękę na ramieniu Nicka i zaprowadził go do foteli i stolika w głębi holu.

- Nick, to najgorszy dzień w moim życiu - powiedział głosem szorstkim jak papier ścierny. - Kate zupełnie się rozkleiła, a ja... - Bezradnie wzruszył ramionami. - Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobić.

- Przykro mi Terry. Nic... tu po słowach.

- Opowiedz, co się stało. Powiedz mi, co do tego doprowadziło.

Nick opowiedział mu o wszystkim, co się zdarzyło od jego przyjazdu do Edynburga: o tym, jak Tom próbował rzucić podejrzenia na Terry'ego; o tajemniczych ruchach Farnswortha; o zdjęciu Toma i Elspeth vel Harriet; o makabrycznym odkryciu przy Circus Gardens 8. Nie było sensu niczego ukrywać.

- Masz obydwie zdjęcia?

- Tak. - Nick położył je na stole.

- Dzięki Bogu choćby za to. - Terry popatrzył na fotografie. - Co za potworna sprawa. Dlaczego to zrobił? Fakt, to było okropne. Ale nie musiało być aż tak okropne.

- Wolalbym, żeby nie było.

- Ja też. - Terry powstrzymał łzy. - Przepraszam. Ale kiedy pomyśle... - Pokręcił głową. - Co kombinuje Farnsworth?

- Nie wiem.

- Musimy się dowiedzieć.

- To nie będzie łatwe.

- Może ten jego kumpel, Drysdale, naprowadzi nas na trop.

- Wątpię. - Nick pochylił się nad stołem. - Słuchaj, Terry, jest pilniejsza sprawa. Co mam powiedzieć Kate? Przecież ona nic o tym wszystkim nie wie, prawda?

- Nie wie.

- Nie sądzisz, że trzeba jej będzie opowiedzieć?

- Tak, ale... - Terry westchnął ciężko. - Powiem jej. Ale na razie jest za wcześnie. Ciągle jest w szoku. Za parę dni... lepiej to zniesie.

- A dopóki się nie otrząśnie...?

- Nick, nie możesz się jakoś wykręcić? Powiedz jej, że spotkałeś się z Tomem, zauważyłeś, że jest w dołku, zacząłeś się martwić, skontaktowałeś się z jego dziewczyną i... potem go znalazłeś, co? A resztę... jakoś pominiesz. Wyjaśnię jej potem, że sam cię o to prosiłem. Postaram się wziąć całą winę na siebie, żebyś był bezpieczny.

Bezpieczny? Nick wątpił, by kiedykolwiek miał być bezpieczny. Wątpił też, czy Terry proponuje zwłokę tylko ze względu na Kate. W grę wchodziła jeszcze drobna kwestia przedstawienia w jak najlepszym świetle swojej roli w wydarzeniach. Chociaż Nick także mógł na tym skorzystać. Nie będzie musiał tłumaczyć Kate, jak i dlaczego przyczynił się do wywierania na Toma presji, której chłopak w końcu nie wytrzymał. Zrobi to za niego Terry i sam wybierze odpowiedni moment.

- Zgoda - rzekł w końcu. - Zostawiam ci to.

- Dzięki, Nick. - Terry'emu wyraźnie ulżyło. - Uwierz mi, to najlepsze wyjście. - Zerknął na zegarek. - Kate była naprawdę zestresowana po podróży. Przekonałem ją, żeby wzięła parę tabletek nasennych. Kiedy wychodziłem, wyglądała na to, że pośpi kilka godzin. - Rozmasował sobie kark. - Boże, ale jestem zmęczony.

- Może też powinieneś spróbować się przespać?

- Dlaczego on to zrobił? Ciągle sobie zadaje to pytanie. Dlaczego? Wszystko jedno, w co się wpakował, moglibyśmy znaleźć jakieś rozwiązanie.

- To zależy.

- Co masz na myśli?
- Zależy od tego, w co się wpackował. Nie wiemy, Terry.
Nadal nie wiemy.

- Nie. Ale Farnsworth wie.
- Tak, on może wiedzieć.
- Jedźmy pogadać z Drysdale'em. Weźmiemy go z zaskoczenia. Zobaczymy, co z siebie wydusi, jak go przyciśniemy.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Ale Terry podjął już decyzję i zerwał się z fotela. Nick był pewien, że pozwolić mu jechać samemu to bardzo zły pomysł. Nie miał więc wyboru.

Ferrari przyciągało liczne spojrzenia, sunąc z rykiem silnika przez zatłoczony w godzinach szczytu Edynburg. Nick szybko zaniechał prób wyperswadowania Terry'emu wizyty. Terry chciał odpowiedzi. I nie przywykł, by mu odmawiano.

Z kolei profesor Vernon Drysdale nie przywykł, by go przesłuchiowano. Kiedy przyjechali, jadł właśnie śniadanie i był wyraźnie niezadowolony, że mu przeszkadzono. W domu nie było pani Logan. Może przychodziła dopiero później. Nie było też Farnswortha.

- Tłumaczyłem wczoraj Paleologusowi, że Julian wyjechał. Nie wiem dokąd i nie wiem na jak długo. - Drysdale spiorunował wzrokiem Terry'ego. - A pan kim właściwie jest?

- To ojczym mojego bratanka - wtrącił Nick. - Powinien pan coś wiedzieć, profesorze.

- O twoim bratanku?
- Nie żyje.
- Co?
- Popelnił samobójstwo. Znalazłem go wczoraj wieczorem.

- Boże wielki. - Drysdale wyglądał na autentycznie poruszonego. - Co za straszna wiadomość.

- Powiem prosto z mostu, profesorze. - Terry chwycił oparcie krzesła, na którym siedział Drysdale, i nachylił się do

niego, tak że ich twarze znalazły się w odległości kilku cali od siebie. - Farnsworth jest jednym z ludzi, przez których Tom odebrał sobie życie. Im dłużej będę czekał, żeby z nim pogadać, w tym gorszym będę humorze. W tym momencie staram się zachowywać bardzo grzecznie. Więc wsadź pan sobie te akademickie i masońskie pierdoły. Gdzie on jest?

- Nie wiem, panie...

- Mawson. Terry Mawson.

- Nie mam pojęcia.

- Nie ze mną te numery.

- Tak się składa, że to prawda. Po wczorajszej wizycie Paleologusa dzwoniłem do Juliana do Oksfordu, ale usłyszałem tylko automatyczną sekretarkę. Przypuszczam, że może tam być. Równie dobrze mógł pojechać dokądkolwiek.

- Podobno to pana przyjaciel. Może jest kimś więcej niż przyjacielem. Przez te lata miało się parę gejowskich zabaw, co?

- To absurd. - Próby zastraszenia nie robiły absolutnie żadnego wrażenia na Drysdale'u. - Jestem w takim samym stopniu jego aniołem stróżem, jak pan był swojego pasierba.

- Co to ma niby znaczyć, do cholery?

- Współczuję panu, panie Mawson. Jeśli Julian ponosi jakąkolwiek winę za stratę, która pana dotknęła, powinien za to odpowiedzieć. Zapewniam pana, że go nie osłaniam.

- Lepiej, żeby pan tego nie robił.

- Naprawdę sędzę, że na panów już czas. Paleologus?

- Daj spokój. - Nick ostrożnie położył dłoń na ramieniu Terry'ego. - Niczego się w ten sposób nie dowiemy.

- Dobra. - Terry się wyprostował. - Dobra. - Uspokoił się natychmiast. Nick zaczął się zastanawiać, czy wybuch agresji nie był w istocie tylko przedstawieniem. Jeśli tak, to widowisko nie wywarło żadnego wrażenia na publiczności. - Gdyby skontaktował się pan z przyjacielem, proszę mu powiedzieć,

że spotkam się z nim, czy tego będzie chciał, czy nie. Drysdale skinął głową.

- Nie omieszkam.

- Pewnie myślisz, że to było niepotrzebne - powiedział Terry, gdy ruszyli w drogę powrotną do Edynburga.

- Po prostu nie...

- Mylisz się, Nick. Lepiej się po tym poczułem. I przekazaaliśmy wiadomość. Chciałem, żeby wiedzieli, że im nie popuszczę. Że śmierć Toma zostanie pomszczona.

- To było samobójstwo. Jesteś pewien, że można za to winić kogo innego?

Słowa Terry'ego powiedziały więcej, niż zamierzał.

- Na pewno.

Nick poprosił Terry'ego, aby się zatrzymał przy głównym komisariacie, gdzie miał złożyć zeznanie. Terry wszedł razem z nim, chcąc sprawdzić, czy są już wyniki sekcji. Odesłano go do biura prokuratora okręgowego, opuścił więc komisariat, na odchodnym błagając szeptem Nicka, by mówił jak najmniej.

Tę prośbę mógł spełnić bez trudu. Policja zaszufłdkowała już śmierć Toma jako samobójstwo popełnione przez przedawkowanie narkotyków. Sekcja stanowiła formalność. Podobnie jak zeznanie Nicka. Złożył podpis pod taką samą wersją wydarzeń, jaką zgodnie z życzeniem Terry'ego miał przedstawić Kate. I była to precyzyjna, wewnętrznie spójna relacja.

Wyszedłszy z komisariatu, zorientował się, że jest bardzo blisko Rankeillor Street. Poprzedniego wieczoru zapewnił Unę, że przekaże smutną wiadomość Sashy, nie zastanawiał się wówczas, jak i kiedy to zrobi. Teraz nadarzała się okazja, której nie mógł zmarnować. Choć całkiem prawdopodobne, że Sasha wyszła już na zajęcia. Poszedł pod dom numer 56 bez większych nadziei, że ją zastanie.

Lecz kiedy się zbliżał, drzwi wejściowe otworzyły się i powitał go nikły uśmiech Sashy. Dziewczyna miała oczy pełne łez i mocno zaciśnięte zęby. Już wiedziała.

- Zobaczyłam cię z góry. Siedziałam chyba ponad godzinę, gapiąc się przez okno i myśląc o Tomie. - Pokręciła głową. - Głupi drań.

- Skąd się dowiedziałas?

- Dzwoniłam do Uny. Martwiłam się o niego.

- Wyczułaś coś?

- Nie. To było o wiele prostsze. I gorsze. Gdybym wyczuła... Lepiej wejdź na górę.

Sasha zajmowała typowe studenckie mieszkanie z jego nieodłącznymi elementami: meblami o złamanych oparciach, naklejonymi na ścianach plakatami, brudnymi naczyniami i wyczuwalną w powietrzu wonią kadzidełek i trawki.

- Dostałam to pocztą dziś rano. - Sasha podała Nickowi list nagryzmołony nierównym pismem. - Od Toma.

- Napisał do ciebie?

- Tak. Pierwszy list od niego. Zadał sobie nawet tyle trudu, żeby znaleźć skrzynkę, z której wyjmują pocztę w niedzielę. Pewnie nie chciał, żebym się dowiedziała od kogoś innego. Nie chciał też jednak, żebym się dowiedziała za wcześnie i próbowała zmienić jego decyzję.

- To list pożegnalny?

- Mniej więcej. Sam zobacz. Jest tam też wiadomość dla ciebie.

Nick usiadł na fotelu i spojrział na list. Była to na pozór beładna płatanina słów z mnóstwem skreśleń, lecz dała się odczytać.

Cześć, Sash. Nie zrozumiesz, dlaczego to robię. Może sobie pomyślisz - szkoda. Prawda jest taka, że nie mam innego wyjścia. Wszystko spieprzone. Nie wiedziałem, że tak się to skończy. Przyrzekam. Może Harriet wiedziała. Pewnie tak to właśnie zaplanowała. Totalna zagłada. Możliwe. Zdążyłem ją poznać

z tej strony. Ale już za późno. Przynajmniej dla mnie. Nie umiem sobie poradzić z tym, co zrobiłem. Nie dam rady tego znieść. Przyjdą po mnie. Ale w domu nie będzie nikogo. Gdybyś spotkała mojego wuja Nicka, powiedz mu, żeby dał sobie spokój. Coś mu wysłałem. Powinien to potraktować jako ostrzeżenie. Jest za dużo ofiar, ale nie będzie zwycięzcy. Sytuacja jest beznadziejna. Mam tylko jedną drogę ucieczki. Przykro mi, że cię skrzywdziłem. Ale to będzie ostatni raz. Tej obietnicy na pewno dotrzymam. Kocham cię, Sash. Jeżeli chcesz coś dla mnie zrobić, to szybko się pozbieraj. Zapamiętaj, jak się śmialiśmy. Tego nam nikt nie odbierze. Baw się dobrze. Zawsze byłaś w tym lepsza ode mnie. Muszę kończyć. To tyle. Całuję, Tom.

Nick drżącymi dłońmi oddał list Sashy. Próbował coś powiedzieć, ale najpierw musiał odchrząknąć.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że był tak nieszczęśliwy. Gdybym wiedział... potraktowałbym go o wiele łagodniej.

- Nick, w co Harriet go wciągnęła?

- To dawne tajemnice rodzinne. Tak tajemnicze, że sam ich nie znam.

- Niebezpieczne?

- Wszystko na to wskazuje.

- Dasz sobie z tym spokój?

- Nie sądzę, aby to było możliwe.

- Ale nie widziałeś jeszcze tego, co ci przysłał?

- Nie. - Nick wstał. - Lepiej wrócę do hotelu. Przesyłka może już tam na mnie czekać. Cokolwiek to jest.

- Napisał, że to ostrzeżenie.

- Tak. Ale... wątpię, czy wezmę je sobie do serca.

- Nadeszła do pana przesyłka - powiedziała godzinę później recepcjonistka w Thistle, wraz z kluczem podając mu kopertę. Od razu rozpoznał na niej pismo Toma.

Otworzył kopertę dopiero w zaciszu swojego pokoju. W środku nie było listu, tylko kserokopia artykułu z gazety. A

raczej, sądząc po jakości druku, kserokopia kserokopii.

Nick usiadł na łóżku, spoglądając w tekst. W lewym górnym rogu widniał tytuł gazety i data: „Birmingham Post” czwartek, 5 października 2000 r. Pod spodem nad dwiema kolumnami tekstu biegł nagłówek: TAJEMNICZA ŚMIERĆ; POŚREDNIK HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI TONIE PODCZAS URLOPU. Nick zaczął czytać.

Wczoraj Sąd Pokoju w Sutton Coldfield wydał werdykt w sprawie ustalenia przyczyn śmierci pośrednika handlu nieruchomościami Jonathana Braybourne'a, który utonął latem tego roku podczas urlopu w Wenecji. Sędziowie orzekli, że był to nieszczęśliwy wypadek. Koroner odrzucił jako bezpodstawną sugestię siostry denata, jakoby Braybourne został zamordowany.

Czterdziestotrzyletni Braybourne, współwłaściciel Oldcorn & Co., firmy z długą tradycją, utonął 30 maja w jednym z weneckich kanałów. Policji włoskiej nie udało się ustalić, dlaczego Braybourne upadł do kanału. Nie znajdował się pod wpływem alkoholu, nie odkryto także żadnych dowodów świadczących, iż padł ofiarą zbrodni. Siniec na lewej skroni może świadczyć, że podczas upadku uderzył się w głowę, co prawdopodobnie spowodowało utratę przytomności. Wypadek wydarzył się w nocy w słabo oświetlonej dzielnicy miasta, a ciało Braybourne'a odnaleziono dopiero nazajutrz rano.

Siostra zmarłego, Emily Braybourne, zeznała, że w jej przekonaniu policja włoska nie zbadala wszystkich okoliczności śmierci jej brata. Oświadczyła, że Braybourne pojechał do Wenecji odwiedzić mieszkającego tam znajomego, którego jej zdaniem przesłuchano zbyt pobieżnie. Wyraziła także przypuszczenie, że ów znajomy mógł być zamieszany w morderstwo jej brata.

Koroner w podsumowaniu poinformował, że konsul brytyjski w Wenecji zapewnił go w liście, iż

śledztwo przeprowadzono bardzo skrupulatnie. Nie stwierdzono podstaw do rzucenia podejrzeń na osobę wymienioną przez pannę Braybourne. Koroner zasugerował, że przez pannę Braybourne przemawia zrozumiałe uczucie żalu, co przeszkadza jej w racjonalnej ocenie sytuacji, i apelował do niej, by pogodziła się z faktem, że jej brat zmarł wskutek tragicznego wypadku.

Czytając artykuł ponownie, Nick wysnuwał z niego coraz więcej wniosków. Przypuszczał, że wie, kim jest Emily Braybourne. A także „znajomy” jej brata, którego nazwisko „Birmingham Post” wstydliwie przemilczał. Domyślił się, że to właśnie jest ostrzeżenie Toma. Jeśli Nick dalej w tym będzie grzebał, skończy jak Jonathan Braybourne, jak tamten człowiek w piwnicy, jak Andrew i jak jego ojciec, wreszcie jak sam Tom. Lista ofiar coraz bardziej się wydłużała. Coraz częściej zdarzały się wypadki. Zagrożenie stawało się realne.

Nick uprzytomnił sobie, że jeżeli to prawda, to Basil znalazł się w niebezpieczeństwie. Dał znać Demetriusowi Paleologusowi o swojej obecności w Wenecji. Kusił los. Nick wpadł w panikę. Wcisnął klawisz w swoim telefonie. Ale nie było żadnej wiadomości od Basila. Zadzwoił do międzynarodowej informacji telefonicznej i z niemałym trudem zdobył numer hotelu Zampogna w Wenecji. Natychmiast go wstukał.

- *Pronto?* - odezwał się opryskliwie kobiecy głos.
- Hotel Zampogna?
- *Si.*
- Muszę rozmawiać z jednym z waszych...
- *Pronto?* - przerwał mu wrzask.
- Z panem Paleologusem. Czy mogę...
- *Chi parla?*
- Proszę posłuchać. To bardzo ważne. *Molto importante.* Jestem bratem pana Paleologusa. Muszę...
- *Il telefono non e per i clienti.*
- Ale...

Ale na tym rozmowa się skończyła. Odpowiedziała mu cicho.

Co miał robić? Przez kilka sekund przeklinał awersję Basila do nowoczesnej techniki, lecz to do niczego nie prowadziło. Basil mógł sobie teraz popijać espresso na placu Świętego Marka... albo leżeć na dnie kanału.

Nick próbował się uspokoić, biorąc długie, wolne oddechy, tak jak uczył go terapeuta. Pomogło, lecz nie za bardzo. Może Basil zadzwoni później i spyta, po co to całe zamieszanie. Lub nie zadzwoni. Jeżeli Nick będzie beczynnym czekał, być może postąpi w najwłaściwszy sposób. Albo roztrwoni tę odrobinę czasu, jaka mu pozostała, by ocalić brata.

Wystukał inny numer. I tak miał tam zadzwonić, choć nie był już przekonany, czy zdoła przeprowadzić rozmowę tak delikatnie, jak zamierzał.

- Pub Old Ferry.

- Irene, tu Nick.

- Cześć. Miło cię słyszeć. Jak tam w Edynburgu? Bo dzwonisz z Edynburga, prawda?

- Posłuchaj, Irene. Przykro mi, że muszę ci o tym powiedzieć. Tom nie żyje.

- Co?!

- Wszystko wskazuje na to, że popełnił samobójstwo. Przedawkował narkotyki. Kate i Terry już tu są. Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, ale...

- Kiedy to się stało?

- W weekend. Ale to teraz nieważne.

- Nieważne?!

- Rozmawiałaś z Basilem?

- Z Basilem? Nie. Co ty...

- Czy Anna dziś pracuje rano?

- Chyba tak. Słuchaj, przestań mówić o Basilu i Annie, dobrze? Tom popełnił samobójstwo?

- Możesz się skontaktować z Kate i Terryem w hotelu Balmoral. Zapytaj Annę, czy Basil do niej dzwonił. Zrobisz to dla mnie? To bardzo ważne. Zadzwonię później. Muszę kończyć.

- Zaczekaj, jak...

- Przepraszam, Irene. Naprawdę zadzwonię później. Cześć.

Odłożył telefon i zaczął się pośpiesznie pakować. Wiedział już dokładnie, co ma zrobić. Rozważanie ryzyka i czekanie na rozwój wypadków było beznadziejnym rozwiązaniem. W grę wchodził tylko jeden sposób, by się upewnić, czy Basil nie wpadł w pułapkę - pojechać za nim tam, gdzie pułapkę zastawiono.

Wyłuskał z kieszeni płaszcza kolejowy rozkład jazdy i sprawdził najbliższe połączenie. Zerknąwszy na zegarek, uświadomił sobie, że nie uda mu się zdążyć na pociąg o dwunastej, ale nie zamierzał się spóźnić na ten o pierwszej. Musiał jednak wytłumaczyć nagły wyjazd Kate i Terry'emu, poza tym był winien Kate wyjaśnienie, jak doszło do śmierci jej syna. Co miał robić? Nie mógł dotrzymać wszystkich zobowiązań. Musiał jechać przez Milton Keynes, żeby zabrać paszport. Zadzwonił do British Airways, gdzie go poinformowano, że z Gatwick do Wenecji są trzy loty dziennie, ostatni o dziewiętnastej dwadzieścia. Przy najbardziej optymistycznych kalkulacjach nie miał szans zdążyć na ten samolot. Próbował zarezerwować bilet na pierwszy lot następnego ranka, ale nie było wolnych miejsc. Poirytowany zdecydował się na samolot odlatujący o trzynastej piętnaście, który miał być na miejscu o szesnastej dwadzieścia pięć. Mimo najlepszych chęci dotrze do Wenecji najprędzej za trzydzieści godzin. A w ciągu trzydziestu godzin wiele może się zdarzyć. Wystarczyło pomyśleć o minionych trzydziestu.

Zadzwonił telefon. Nick odebrał w nadziei, że to nie Irene, modląc się w duchu, aby dzwonił Basil. Był to jednak ktoś zupełnie inny.

- Witaj, Paleologusie. Tu Vernon Drysdale.

- Profesorsze, nie...

- Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu twego bratanka. Być może nie udało mi się należycie wyrazić żalu ze względu na wojowniczą postawę pana Mawsona, którą jestem skłonny złożyć na karb szoku, jaki przeżył

po tej stracie, niemniej to nie tylko osobista, ale i historyczna tragedia. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak się czujesz.

Nick mocno wątpił, czy Drysdale ma choć cień pojęcia, jak się czuje.

- Nie mogę teraz rozmawiać, profesorze. Muszę się rozłączyć.

- Nie rób tego. Widzisz, w świetle ostatniej straty, jaka dotknęła twoją rodzinę, dokonałem ponownej oceny sytuacji i jestem zmuszony stwierdzić, że pewne opisywane przeze mnie wydarzenia mogą mieć istotne znaczenie dla współczesności, choć w mojej najpoczytniejszej publikacji postanowiłem je zbagatelizować, gdyż obawiałem się, że mniej skrupulatni ode mnie badacze wyrwą je z kontekstu i nadadzą im nieuzasadnioną i niepożądaną wagę. Musisz wiedzieć, że po poddaniu ich trzeźwej naukowej analizie nie znalazłem jednoznacznego odniesienia, zatem jeśli nie...

- Przepraszam, profesorze, ale nie mam na to teraz czasu. Muszę kończyć. Do widzenia.

- Ale...

Nick odłożył słuchawkę, wcisnął do torby resztę swoich rzeczy i ruszył do drzwi.

- Wyjeżdżasz?

Kate patrzyła na Nicka z drugiego końca salonu w apartamencie, który wynajęli z Terrym w Balmoralu. Nick odniósł wrażenie, jak gdyby postarzała się o kilka lat od ostatniego razu, kiedy ją widział. Miała wymizerowaną twarz, napiętą, papierową skórę na kościach policzkowych i szczęce, przekrwione i opuchnięte oczy. W za dużym szlafroku hotelowym wyglądała, jakby w ciągu nocy stała się nadzwyczaj drobna i krucha, Śmierć Toma zabiła w niej część dawnej Kate.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Zaraz. Już.

- Nie możesz poczekać, aż wróci Terry? Powinien niedługo być.

- Nie. Przepraszam, ale muszę jechać.
 - Dlaczego?
 - Nie mogę ci wyjaśnić. To zbyt skomplikowane.
 - Chciałam ci zadać tyle pytań... o Toma.
 - Opowiedziałem wszystko Terry'emu.
 - Chciałam to usłyszeć od ciebie. Jak to wyglądało. Czy cokolwiek mogło...
 - Przepraszam, Kate, nie teraz. Uwierz mi. Nie mam wyboru.
 - Jak ci mogę uwierzyć, skoro nic nie rozumiem?
- Przez chwilę Nick patrzył na nią bezradnie, po czym powiedział tylko:
- Nie wiem.
- Odwrócił się i wyszedł.

Dzięki dziesięciominutowemu opóźnieniu odjazdu Nick zdążył wsiąść do pociągu o trzynastej. Zanim wyjechał z przedmieść Edynburga, zadzwonił Terry.

- Nick, co się, do cholery, dzieje?
- Nie mogę się teraz wdawać w szczegóły, Terry. Robię wszystko, żeby nie stało się nic gorszego.
- Co może być gorsze od samobójstwa Toma?
- Porozmawiaj z Sashą Lovell, jego była dziewczyną. Rankeillor Street pięćdziesiąt sześć. Wysłał jej list. Wiem tyle, ile w nim napisał. Ale wcześniej lepiej powiedz Kate prawdę.
- Nie mogę. Jeszcze nie teraz.
- Mamy mało czasu. Obaj. Musisz się odważyć. Dobrze ci radzę.
- Też mi rada.
- Innej nie potrafię ci dać. Do widzenia, Terry.

Nick miał wielką ochotę wyłączyć telefon, ale nie mógł, bo gdyby zadzwonił Basil... Basil jednak nie zadzwonił: Po ich krótkiej rozmowie nie odezwał się także Terry. Gdy pociąg odjeżdżał ze stacji w York, zadzwoniła Irene.

- Nick, rozmawiałam z Kate. Jest zdruzgotana. A twoje

zachowanie nie wpłynęło na nią najlepiej. Dokąd jedziesz?

- Czy Basil skontaktował się z Anną?
- Nie. Ale Basil nie potrzebuje niańki.
- Wiesz, gdzie on jest?
- W Grecji. Albo w drodze do Grecji. Czemu pytasz?
- Basil jest w Wenecji.
- Mylisz się. Mówił Annie...
- Zacierał ślady, Irene. Pojechał do Wenecji spotkać się z

kuzynem Demetriusem.

- Niemożliwe.
- Jednak pojechał. Dowiedziałem się czegoś od Toma i myślę, że Basilowi może grozić niebezpieczeństwo.

- Chyba nie jedziesz za nim?

- Jadę.

- Nie wolno ci. Po prostu nie wolno. Na litość boską, Nick, nie pora na udawanie bohatera. Jeżeli Basil ma jakieś kłopoty, nie chcemy, żebyś też się w nie wpakował.

- Nie rozumiesz, Irene. Już się wpakowałem. Właściwie wpakowaliśmy się wszyscy.

Pociąg wjechał na King's Cross tuż przed szóstą. W Londynie zapadł już chłodny i wilgotny zmierzch i godziny szczytu trwały w najlepsze. Nick ruszył pospiesznie na zachód w kierunku dworca Euston, tą samą drogą, którą szedł w październiku zeszłego roku i przypadkiem spotkał Toma. Przypomniał sobie, jaki chłopak był wtedy beztroski, jak spokojne wydawało się wówczas jego życie. W ciągu czterech miesięcy wszystko wywróciło się do góry nogami. I skończyło. Tom należał już do przeszłości. Już go nie było. Zniknął. Ale to, co zrobił, i powody, dla których to zrobił, nie zniknęły. Zostały. I trzeba im było stawić czoło.

Nick wyszedł z dworca w Milton Keynes i wsiadł do takśówki już po godzinach szczytu. Jadąc pustawymi drogami dwupasmowymi, w ogóle nie miał wrażenia, że wraca do domu, choć formalnie rzecz biorąc, tak było. Miasto nie

wydawało się swojskie. Choć Nick mieszkał tu już osiem lat, zdawało mu się, jakby dopiero się wprowadził. Wszystko, czego tu dokonał, miało trwałość nie większą niż odcisk stopy na piasku.

Dom stał przy ślepej uliczce w dzielnicy Walnut Tree i był za duży jak na jego potrzeby. Zapłaciwszy taksówkarzowi, Nick zbliżył się do budynku, który wcale nie wydawał się opuszczony. Zniósł brak gospodarza równie lekko, jak znosił jego obecność. Sterta poczty w korytarzu nie była tak duża, by utrudnić otwarcie drzwi. Cichy i pusty dom zdawał się wcale nie tęsknić za Nickiem.

Rzucił torbę i pocztę w kuchni, po czym zasłonił okna w pokojach i zapalił światła. W szufladzie w sypialni znalazł rzecz, po którą specjalnie tu przyjechał: paszport. Wsunął go do kieszeni i szedł z powrotem do kuchni. Nie było sensu się rozpakowywać. Miał jednak dość czasu, żeby przeprać parę rzeczy. Do rana powinny wyschnąć. Włączył pralkę, potem zaparzył herbatę i wypił w salonie pełniącym równocześnie funkcję gabinetu, odsłuchując na sekretarce wiadomości, których większość od razu skasował.

Następnie przejrzał pocztę - z podobnym skutkiem. Wszystkie rachunki opłacał stałym zleceniem z konta. Jego życiem sterowała sieć przeróżnych układów administracyjnych. Osobiste zaangażowanie nie było konieczne. Wszystko działało sprawnie i było w pełni przewidywalne. W każdym razie tak było tutaj.

Otworzył zamrażarkę, szukając gotowej kolacji do podgrzania w mikrofalówce, gdy nagle odezwał się dzwonek u drzwi. Nick znieruchomiał, patrząc ze zdziwieniem we własne odbicie w błyszczącej tafli kuchenki stojącej obok lodówki. Może to sąsiad zaniepokojony nieoczekiwanym widokiem światła w domu? Wątpił, aby to był ktoś inny, choć taki odruch sąsiedzkiej troski był dość nietypowy dla mieszkańców Damson Close.

Wyjrząwszy na korytarz przez matową szybę w drzwiach, dostrzegł niewyraźną sylwetkę niespodziewanego gościa. Nie

zapalił światła na ganku, dlatego było zbyt ciemno, by mógł rozpoznać postać, nawet gdyby znał tę osobę. Przyszło mu na myśl, że to może być ankieter albo ktoś zbierający datki, albo co gorsza świadek Jehowy. Wycofał się w nadziei, że intruz sobie pójdzie.

Ale ten nie zamierzał odchodzić. Przymglony zarys ramienia uniósł się do przycisku i ciszę znów przerwał długi, natarczywy dźwięk dzwonka. Może to jednak sąsiad. Może ma jakąś ważną wiadomość. Odpadła dachówka, jakąś paczkę doręczono pod niewłaściwy adres. To mogło być cokolwiek. Tak czy inaczej, trzeba się tym zająć. Nick podszedł do drzwi i je otworzył.

W świetle padającym z korytarza zobaczył twarz Elspeth Hartley.

- Cześć, Nick - powiedziała.

Rozdział 19

Mogę cię zabrać na przejażdżkę? Elspeth Hartley wyglądała inaczej, niż Nick ją zapamiętał. Miała krótsze i prostsze włosy. Nie nosiła już okularów. Była też inaczej ubrana - w czarną skórzaną kurtkę, spodnie i czarny golf; pewnie właśnie tak się nosiła. Jej twarz wydawała się drobniejsza. Stojąc z rękami wbitymi w kieszenie, sprawiała wrażenie spiętej, co jednak nie przeszkadzało jej zlekceważyć ogromu tragedii i kłamstw zdumiewająco niefrasobliwą propozycją. Nick zupełnie nie wiedział, jak ma zareagować.

- No, wyjdiesz? Nie możemy rozmawiać w domu.
- Czy zdajesz sobie sprawę... z rozmiaru krzywd... jakie wyrządziłaś mojej rodzinie?

- Tak.

- I jak gdyby nigdy nic przychodzisz... żeby spokojnie zaprosić mnie na przejażdżkę?

- Kto powiedział, że jestem spokojna?

- Po prostu... nie wierzę.

- Wiem, co się stało z Tomem. Też dostałam list. - Wyciągnęła z kieszeni zmiętą kopertę. - Napisał, co zamierza zrobić. Naprawdę nie musiałam pytać policji o potwierdzenie. Zawsze robił to, co zapowiedział. Mówił też, że zamierza powiedzieć ci o Jontym.

- Jonathan Braybourne był twoim bratem?

- Tak. -
- Czyli jesteś Emily Braybourne.
- Tak.
- Skąd wiedziałaś, że tu będę?
- Tom chciał cię ostrzec. Ale po tym wszystkim, co się stało, pomyślałam, że nie posłuchasz żadnych ostrzeżeń. Wróciłeś po paszport, prawda?
- Bystra jesteś.
- Nieszczególnie. Po prostu trochę znam się na ludziach. Czekam na ciebie od popołudnia. Nie sądzę, żeby ktoś cię śledził, i jestem prawie pewna, że nikt mnie nie ubiegł. Ale bezpieczniej będę się czuła w samochodzie. Idziesz?
- Dlaczego miałbym się posłuchać?
- Bo chcesz znać prawdę. Tom umarł, a muszę ją komuś powiedzieć. Tylko tobie mogę zaufać.
- Ty mi ufasz?
- Tak. Kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia... nawzajem sobie zaufamy.

- Dokąd jedziemy? - spytał Nick, gdy wsiedli do peugeota i ruszyli. Wciąż nie mógł uwierzyć w zaskakujący obrót wypadków. Szukał jej, lecz nie znalazł. To ona znalazła jego.
- Właściwie nigdzie. Objadę po prostu obwodnicę.
- A po drodze opowiesz mi, dlaczego postanowiłaś zniszczyć moją rodzinę, tak?
- Nie, to nie tak. Nie postanowiłam nikogo zniszczyć.
- Już się nie dam nabrać.
- Ustalmy coś, Nick. Ja mówię. Ty słuchasz. Umowa stoi? Bo jeżeli nie...
- Obiecałaś powiedzieć mi prawdę.
- I na pewno ją usłyszysz. Na moich warunkach. Zgoda?
- Zgoda.
- To dobrze. - Przez chwilę skupiła się na wjechaniu na dwupasmową obwodnicę, która biegła wokół całego miasta, po czym podjęła: - Co wiesz o moim ojcu?

- Bardzo mało. Według Juliana Farnswortha mój ojciec i twój poznali się w czasie wojny, gdy obaj stacjonowali na Cyprze. Ale tato nigdy mi nie wspominał o Digbym Braybourne. Wszyscy trzej byli archeologami w Oksfordzie. Twój ojciec był zamieszany w jakieś oszustwo z domem aukcyjnym i trafił do więzienia. W pięćdziesiątym siódmym. I tyle.

- Rozumiem. Zatem posłuchaj reszty. Moja matka pracowała w kuchni w Brasenose College. W młodości była naprawdę śliczna. Spodobała się ojcu, który omamił ją obietnicą małżeństwa. Oczywiście kłamał. To byłoby nie do pomyślenia, gdyby pan profesor ożenił się ze służącą. Zaszła w ciążę. Jonty urodził się mniej więcej wtedy, gdy tato poszedł do więzienia. Kiedy wyszedł, wszystko się zmieniło. Bardzo chciał ożenić się z mamą. Nie miał do kogo iść. Tak więc się pobrał. W sześćdziesiątym szóstym urodziłam się ja. Mieszkaliśmy w Cowley. Daleko od uniwersytetu, dosłownie i w przenośni. Mama załatwiła tacie biurową posadę w Morris Motors. Nie znosił jednak pracy za biurkiem. Zaczął pić i uprawiać hazard. Kiedy był pijany albo miał pecha na wyścigach, zaczynał maltretować mamę. Wylali go z pracy. Potem nas zostawił. I wrócił. I znowu zostawił. Gdy dorastałam, widywałam go dość rzadko, choć i tak częściej, niżbym sobie życzyła. Z Jontym było inaczej. Uważał, że tato nie mógł zrobić nic złego. Uwielbiał go. Powinnam oddać tacie sprawiedliwość, że to uczucie było odwzajemnione. Bardzo pragnął być dla niego ojcem, z którego Jonty mógłby być dumny. Nie był jednak do tego zdolny. W końcu mama się z nim rozwiodła. Jonty był już w Cambridge i później mówił mi, że tato często do niego przyjeżdżał z Londynu, dokąd się przeprowadził. Mama zabroniła mu jechać na uroczystość wręczenia dyplomów. Ale oczywiście potem coś o niej słyszał.

- To znaczy, słyszał o mnie?

- Tak. Cudowne dziecko Paleologusów. Według Jonty'ego twoja kłeska, przez którą popadłeś w niełaskę, podsunęła

tacie pewien pomysł. Miał już ponad sześćdziesiątkę i zaczynał niedomagać. Chciał coś zrobić dla Jonty'ego - i dla mnie - zanim będzie za późno. Chciał nas zabezpieczyć. I udowodnić, że nie jest całkiem do niczego. Pomysł miał związek z twoim ojcem. Prawdę mówiąc, w ogóle by się nie udał bez twojego ojca.

- Na czym polegał?

- Nie wiem. Do dziś. Ale Jonty chyba wiedział. Przypuszczam, że tato zwierzył mu się ze wszystkiego. Wydaje mi się jednak, że Jonty uznał to za fantazję starszaka. Tak czy inaczej nic z tego nie wyszło. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy twój ojciec mu odmówił, czy też tatę obleciał strach i w ogóle tam nie pojechał, bo wkrótce przestał się z nami kontaktować. Nie mieliśmy jego adresu. Przeprowadzał się z jednej nędznej kawalerki do drugiej. I jesienią osiemdziesiątego roku zupełnie zniknął z naszego życia. Mama sądziła, że nie żyje. Mnie też się tak wydawało. Wiesz, niezidentyfikowane ciało wyłowione z Tamizy albo znalezione w bramie. Stopniowo o nim zapomnieliśmy. Jonty został cenionym pośrednikiem handlu nieruchomościami, ożenił się, urodziły mu się dzieci. Tak, kiedy utonął w Wenecji, zostawił rodzinę. Ja też poszłam na Cambridge, po studiach zostałam, żeby zrobić doktorat i rozpocząłam karierę naukową.

- Czyli naprawdę jesteś historykiem sztuki?

- Tak, na Uniwersytecie Wisconsin, obecnie na urlopie naukowym.

- Wiedzą, co naprawdę robisz na urlopie naukowym?

- Nick, zawarliśmy umowę. Masz słuchać, nic więcej. Mama zmarła w lipcu dziewięćdziesiątego dziewiątego. Kiedy potem porządkowaliśmy jej sprawy, odkryliśmy, że ma w banku dużo więcej pieniędzy, niż moglibyśmy się spodziewać. Regularnie co kwartał na jej rachunek trafiał przelew z banku na Cyprze. To wyjaśniało, dlaczego mimo upływu lat mama mogła żyć na trochę lepszym poziomie. Miała coś w rodzaju dodatkowej emerytury. Ale kto ją płacił? Bank nie

chciał nam udzielić żadnych informacji. Ale Jonty się uparł, że musi się dowiedzieć. Tej samej jesieni zabrał Audrey i dzieci na Cypr na wakacje. Wynajął tam miejscowego prywatnego detektywa, żeby poszperał tu i ówdzie. Facet ustalił, że konto, z którego pieniądze trafiały na rachunek mamy, było zarejestrowane na Demetriusa Paleologusa. Znasz go?

- W pewnym sensie. Nigdy go nie spotkałem. Jakiś daleki kuzyn. Tato go znał. Ale on nie mieszka na Cyprze.

- Nie mieszka. Zamelinował się na Cyprze podczas wojny. Do dziś jest właścicielem kilku hoteli na wyspie, ale mieszka w Wenecji. Kiedy nasi ojcowie służyli na Cyprze, Demetrius Paleologus też tam był. Tam się wszyscy spotkali. Na pewno. Jonty sądził, że właśnie stąd wziął się pomysł zarobienia pieniędzy, na który tato wpadł wiele lat później. Jonty nigdy nie wierzył, że tato z własnej woli zerwał z nami kontakty. Uważał, że ktoś go powstrzymał.

- Co masz na myśli, mówiąc „powstrzymał”?

- Jonty podejrzewał morderstwo. A skoro oboje wiemy, co znaleźliście z bratem pod podłogą w piwnicy w Trennor, ja też skłaniam się ku tej wersji. To były zwłoki, prawda, Nick? Nie zaprzeczaj. Najlepiej nic nie mów. Po prostu słuchaj. Jonty odwiedził kilku dawnych znajomych taty z Oksfordu, między innymi Juliana Farnswortha. Pojechał też do twojego ojca, który po prostu kazał mu spływać. Powoli wszystko zaczynało pasować. Pieniądze wpłacane na konto mamy miały uspokoić sumienie wpłacającego. Sumienie mordercy taty. W grę wchodził twój ojciec i jego kuzyn Demetrius. O ile wiem, Jonty'emu mogło się udać wygrzebać prawdziwe dowody ich winy. Ostatni raz widziałam go w Wielkanoc zeszłego roku i wyglądał już jak człowiek ogarnięty obsesją. Audrey bardzo się o niego martwiła. I nie bez powodu, jak się okazało. Kilka tygodni później pojechał sam do Wenecji. I już nie wrócił.

W chwili gdy dowiedziałam się o jego śmierci, wiedziałam, że muszę kontynuować to, czego nie zdążył dokończyć.

Najpierw tata, potem Jonty. Nie mogłam tak tego zostawić. Próbowałam. Ale uznałam, że nigdy nie będę do tego zdolna. Ten wybuch w sądzie był głupi. Nikogo nic nie obchodziło. Nikt nie chciał słuchać. Ale przyrzekłam sobie. Postanowiłam zmusić ludzi, żeby mnie posłuchali. Ze względów rodzinnych Wisconsin pozwolił mi wcześniej wziąć urlop naukowy, miałam więc czas. To był projekt badawczy, z którym nie mógł się równać żaden inny. W ciągu ostatnich miesięcy życia Jonty zgromadził całe mnóstwo książek. Przejrzałam wszystkie. Większość na temat historii średniowiecza - Wenecja, Bizancjum, wyprawy krzyżowe. I dużo ezoterycznych rzeczy o templariuszach i masonerii. Nie bardzo rozumiałam, po co to wszystko. Ale często pojawiała się tam nazwisko Paleologów. Jonty miał też sporo literatury o archeologii i mitologii Tintagel i chyba wszystko, co kiedykolwiek wydano na temat witraży w St Neot, dzięki czemu trafiłam na tajemnicę okna Sądu Ostatecznego, które miało związek z Trennor, gdzie mieszkał ktoś by inny, jeśli nie Michael Paleologus, dawny kumpel taty z wojska.

- Taki związek naprawdę istnieje? Wiem, że okłamałaś mnie w sprawie listu Bawdena.

- To była drobna nadinterpretacja. „Wspaniały i szczególny skarb parafii” to musiało być okno Sądu Ostatecznego. Jestem prawie pewna, że Mandrell, czyli wspomniany przez Bawdena strażnik skarbu, mieszkał w Trennor.

- „Prawie” nie oznacza stuprocentowej pewności.

- Zgoda. Powiem ci, czego jestem pewna. Musiałam jakoś przeniknąć do twojej rodziny. Potrzebowałam sojusznika. Wybrałam Toma, bo był z młodszego pokolenia, dlatego wydało mi się mniej prawdopodobne, aby miał jakiś udział w tym, co się kiedyś stało. Obserwowałam go bardzo uważnie. Szczerze mówiąc, chyba pochlebilo mu moje zainteresowanie, potem naprawdę mu się spodobałam, a później, cóż, zadurzył się we mnie. Przyznaję, że bez wzajemności. Zrobiłam wszystko, żeby zechciał mi pomóc i nie wycofał się w

połowie drogi. Ale to był tylko jeden z powodów, dla których zgodził się wziąć udział w moim planie. Nick, twoja rodzina jest w opłakanym stanie. Musisz o tym wiedzieć. Niewiele trzeba było, żeby was ze sobą skłócić. Stosunki Toma z ojcem i dziadkiem układały się naprawdę fatalnie. Czuł się nieakceptowany, pogardzany. Taka sytuacja nie sprzyja lojalności.

Poza tym przypomniał sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa. Kiedyś jego rodzice wyjechali na weekend, zostawiając go w Trennor pod opieką dziadków. Miał wtedy osiem czy dziewięć lat. Czyli w osiemdziesiątym szóstym albo siódmym. W nocy obudziły go podniesione głosy. Wyszedł z sypialni i zaczął słuchać dziadków, którzy kłócili się głośno gdzieś na dole, najprawdopodobniej w piwnicy. Pamiętał, jak bardzo przstraszyły go wściekle krzyki ludzi, których dotychczas uważał za kochaną dobrą babcie i kochanego dobrego dziadka. Cicho wrócił do łóżka i nigdy nie pisał słowa o tym, że ich wtedy słyszał. Szczególnie utkwiło mu w pamięci jedno zdanie wypowiedziane przez babcie. „Chcę, żeby to stąd zabrano”. Powtórzyła to kilka razy. „Chcę, żeby to stąd zabrano”.

Doszłam do wniosku - oboje doszliśmy - że nadszedł czas, aby sprawdzić, o czym mówiła babcia. Wiedziałam, co pomyślałby Jonty. Sama zaczynałam to samo podejrzewać. Chciała, żeby z piwnicy zabrano ciało mojego ojca. Obmyśliłmy więc próbę. Jeżeli Michael Paleologus naprawdę zamordował mojego ojca, a ciało ukrył pod podłogą w Trennor, nie zgodzi się za żadną cenę sprzedać domu. Nie ustąpi, nawet gdyby błagały go o to dzieci, nawet gdyby nie miał żadnego rozsądnego argumentu, by nie sprzedawać. Oczywiście, chcieliśmy także, żeby wiedział. Żeby sobie uświadomił, o co naprawdę chodzi.

Pożyczyłam sobie imię i nazwisko od historyka sztuki z Bristolu, Elspeth Hartley, z którą współpracowałam od czasu do czasu. Wiedziałam, że wyjechała na urlop naukowy.

Harriet Elsmore to zmyślony pseudonim. Pomysł z Tantrismem był bardziej skomplikowany. Wpadł na niego Tom. To miała być kpina i zarazem dodatkowa próba. Wystarał się też o pieniądze, bez których nie moglibyśmy w ogóle wystąpić z ofertą w imieniu Tantrisa. Już wtedy zauważyłam, że zaczął się świetnie bawić, co mnie zaniepokoiło. Zaczął czerpać autentyczną przyjemność z dręczenia dziadka, a co za tym idzie - reszty rodziny. Ale nie na tym miał polegać plan. Przynajmniej moim zdaniem. Chciałam tylko poznać prawdę. I nadal chcę.

- Oboje chcemy.

- Zgoda. Jasne. Później zaczęło się robić gorąco. Musisz wiedzieć, że nie pozwoliłabym tego kontynuować, gdybym przewidziała skutki naszej niewinnej intrygi. Po śmierci twojego ojca próbowałam nawet ją zakończyć. Ale Tom mi nie pozwolił. „Nie możemy teraz przestać - mówił. - Nie możemy skończyć, dopóki wszystko nie wyjdzie na jaw”. Podejrzewam, że tego wieczoru, gdy zmarł twój ojciec, Tom był w Trennor, chociaż temu zaprzeczał. Oczywiście wszyscy myśleliście, że jest w Edynburgu. Był jednak o wiele bliżej. Włożył kartkę z kondolencjami za wycieraczkę land-rovera twojego brata. Pojechał za wami do Minions, domyślił się, co zamierzacie zrobić, i już na was czekał, kiedy nazajutrz wieczorem wrzuciliście ciało do szybu. Następnego dnia wsiadł do pociągu na stacji w Plymouth i wysiadł na Bodmin Parkway, gdzie czekał na niego Andrew, przekonany, że Tom przyjechał prosto z Edynburga. Potem opowiedział wam historijkę, jakoby dziadek przysłał mu „Dzieje Tristana”. W trakcie stypy podrzucił ci kasetę do samochodu. A później spokojnie patrzył, co zrobicie.

Wtedy sytuacja zaczęła mu się wymykać z rąk. Andrew zginął w wypadku, ale za jego śmierć w dużym stopniu odpowiedzialny był Tom. Dopiero wówczas chyba zdał sobie sprawę, że to nie jest niewinna gra. A jeżeli tak, to obowiązują w niej zasady, których nie rozumie. Włączyli się inni gracze, znacznie silniejsi od nas.

Dopilnowali, żeby policja nie znalazła niczego w szybie. Potem ruszyli za nami. Jednym z nich jest Farnsworth. Ale muszą być inni. Kto usunął ciało z szybu? Kto zrobił zdjęcie mnie i Tomowi w Robuście? Kto i dlaczego? Próbowałam znaleźć odpowiedź na te pytania. Namawiałam Toma, żeby wyjechał z Edynburga. Tam stanowił bardzo łatwy cel. Ale odmówił. Jak gdyby sam chciał się ukarać za to, co zrobił. Po śmierci Andrew bardzo się zmienił. I to w krótkim czasie. W końcu uznał, że pozostało mu jedynie samobójstwo.

- Gdzie byłaś, kiedy po kolei tracił inne wyjścia?
- Ukrywałam się. I myślałam.
- Ja też sporo myślałam.
- Dlatego jedziesz do Wenecji?
- Jadę do Wenecji, bo tam pojechał Basil i boję się o niego.
- Nie możesz mu po prostu powiedzieć, żeby wracał?
- Straciliśmy kontakt.
- To znaczy, że zaginął?
- Być może.
- Wobec tego chyba musisz jechać. Ale powinieneś uważać. Bardzo.
- Sądzisz, że mogę wylądować na dnie kanału?
- Obawiam się, że tak.
- Lepiej miej nadzieję, żeby tak się nie stało. Jeżeli tego nie załatwię, wciąż będą cię prześladować, kimkolwiek są.
- Nawet gdyby się nie odczepili, mam nadzieję, że nic ci się nie stanie. Uważam, że twój ojciec był zamieszany w morderstwo mojego ojca i w związku z tym także mojego brata. Ale ciebie nie obarczam odpowiedzialnością. Powinieneś być pójść na policję, kiedy tylko znalazłeś ciało, lecz teraz musisz ponieść konsekwencje swojego błędu. Chciałabym, żeby mój ojciec miał stosowny pogrzeb, ale to już niemożliwe. Szczerze żałuję, że niczego nie zrobiłam, by ocalić Toma, ale już za późno. Nic już nie mogę zrobić. Tylko ocalić siebie - i kilka innych osób, jeśli się uda.

- Jak zamierzasz to zrobić?
- Wracam do Milwaukee. Mam nadzieję, że tam dadzą mi spokój. I zrozumieją, że się poddam i wycofuję. Muszę myśleć nie tylko o sobie, ale i o innych. Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa dzieci Jonty'ego. Powiedziałam ci prawdę, Nick. Mam nadzieję, że to pomoże. To jedyna pomoc, jaką mogę ci zaoferować.

- Niewiele.

- Nie obiecywałam ci dużo.

- Co możesz mi powiedzieć o Demetriusie Paleologusie?

- Nic. Czytałam raport na jego temat napisany przez prywatnego detektywa, którego Jonty wynajął na Cyprze, ale nie było tam nic więcej ponad to, co już wiesz. Starszy człowiek, hotelarz mieszkający poza Cyprem, na stałe przebywający w Wenecji. Przypuszczam, że zna cenną tajemnicę. Ale co to za tajemnica... - Westchnęła. - Istnieje pewien niejasny, bardzo luźny związek, którego nie da się zinterpretować. Łączy Paleologusów z St Neot i Tintagel. Wskazuje, że ich historie gdzieś się krzyżują. Ale to może być zbieg okoliczności. Nie powinieneś...

- Co to za związek.

- Dobrze, powiem ci. Wśród książek Jonty'ego znalazłam biografię Ryszarda hrabiego Kornwalii, tego, który zbudował zamek Tintagel. Książka nosi tytuł „Po lewicy króla”. Od wielu lat nie wznawiana. Bóg jeden wie, gdzie Jonty ją zdobył. Może słyszałeś o autorze. Vernon Drysdale.

- To przyjaciel Farnswortha. Poznałem go w Edynburgu.

- Wspominał o swojej książce?

- O tej nie.

- Jonty ma jeszcze jedną. „Echa Graala”. Taka chałtura. Szkoda czasu.

- Za późno. - Nick przypomniał sobie telefon Drysdale'a tuż przed swoim wyjazdem z Edynburga. Profesor próbował zwrócić jego uwagę na inny tekst, który napisał. Ale Nick nie

słuchał. Chciał posłuchać teraz. - Opowiedz, o czym jest ta pierwsza.

- Zgoda. Tytuł - „Po lewicy króla” - odnosi się do bliskich związków łączących przez całe życie Ryszarda z jego bratem, królem Henrykiem III. Urodzili się piętnaście miesięcy jeden po drugim i zmarli w odstępie kilku miesięcy. Większość historyków rozpisuje się o ich domniemanej rywalizacji, ale Drysdale widzi rzecz inaczej. Jego zdaniem byli najwierniejszymi sojusznikami, którym często wygodniej było udawać wrogów. Ich ojciec, król Jan bez Ziemi, zmarł w tysiąc dwieście szesnastym roku, kiedy byli dziećmi. Matka wyszła za mąż za członka rodziny Lusignanów, która rządziła Jerozolimą aż do najazdu Saracenów. Tak więc przez matkę Ryszard od najmłodszych lat miał związki z krzyżowcami. W wieku szesnastu lat otrzymał tytuł hrabiego Kornwalii, a kilka lat potem kupił majątek Bossiney tylko po to, żeby zbudować zamek w Tintagel.

To był szalony projekt, skomplikowany pod względem technicznym i dlatego bardzo kosztowny, poza tym pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia strategicznego. Zamek był też celowo staroświecki. Nie pełnił żadnej funkcji militarnej. Podobno miał to być kaprys bogatego młodzieńca, scenografia do zabawy w króla Artura. Drysdale ma co do tego wątpliwości. Uważa, że to król Henryk namówił brata do zbudowania zamku albo przynajmniej gorąco popierał jego pomysł. Drysdale nie wie dlaczego, ale podejrzewa jakiś ukryty zamiar. Budowę ukończono w tysiąc dwieście czterdziestym roku.

W czerwcu tego samego roku Ryszard wyruszył do Ziemi Świętej, choć nie wiadomo dokładnie w jakim celu. Dotarł na miejsce w październiku i został tam do maja tysiąc dwieście czterdziestego pierwszego roku, a w ciągu tego okresu dziwnym sposobem został uznany za suzerena państw krzyżowców i reprezentował ich w rozmowach z wysłannikiem cesarza bizantyjskiego Jana Watatzesa. Wysłannikiem był Andronik Paleolog. Towarzyszył mu syn Michał - przyszyły

cesarz Michał VIII, założyciel cesarskiej dynastii Paleologów. Jednym ze świty rycerzy Ryszarda był Ralph Valletort, właściciel majątku Lewarne w parafii St Neot. Oczywiście Drysdale nie zwraca żadnej uwagi na ten fakt, wspominając mimochodem jego nazwisko. Ale Valletort to ważna postać. Jego herb widnieje w jednym z okien St Neot, choć ostatni członekowie jego rodu zmarli w czternastym wieku, ponad sto lat przed rozpoczęciem montowania witraży w kościele.

- Czego to może dowodzić?

- Niczego. Ale coś oznacza. Powinieneś wiedzieć jeszcze jedno o Ryszardzie Kornwalijskim, mam na myśli jego żonę. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, ożenił się z córką Williama Marshalla, hrabiego Pembroke. Pembroke sprawował władzę regenta podczas małoletności Henryka III. Miał silną pozycję w królestwie. Był także templariuszem. Jego grób możesz zobaczyć w Temple Church w Londynie. Tak jak powiedziałam, to wszystko może być czystym zbiegiem okoliczności. Ale nie sądzę. I wątpię, żebyś ty w to wierzył. Kruccjaty, templariusze, Tintagel, St Neot, Trennor i twoja rodzina. Coś ich łączy. Przez ten tajemniczy związek zginął mój ojciec i brat.

- Mój ojciec i brat też, jeżeli przypadkiem zapomniałaś.

- Nie zapomniałam. Ale co zyskamy, czyniąc sobie nawzajem wyrzuty? Co się stało, to się nie odstanie, Nick. Nie możemy naprawić przeszłości. Liczy się tylko przyszłość. Nasza przyszłość. I naszych najbliższych. Dlatego chcę się poddać. Tobie radzę to samo.

- Może też dam za wygraną. Kiedy się dowiem, że nic nie grozi Basilowi.

- Kiedy ostatni raz miałeś od niego wiadomości?

- Wczoraj rano.

- A kiedy ostatni raz spodziewałeś się wiadomości od niego?

- Już dawno powinien się odezwać.

Elspeth Hartley - czy raczej Emily Braybourne, jak próbował myśleć o niej Nick - zamilkła. Przez kilka minut jechali w ciszy przez noc przecinaną bursztynowym blaskiem latarni. Potem Nick zapytał:

- O czym myślisz?

- Myślę, że pojedziesz za nim bez względu na to, co ci powiem.

- Ale uważasz, że już jest za późno, prawda?

- Uważam, że dla ciebie jeszcze nie jest za późno, Nick. Wciąż masz szansę.

- I tak pojedę.

- Wiem.

- Może więc powinnaś odwiedzić mnie do domu.

Nie padło już ani jedno słowo, gdy po okrążeniu obwodnicy wracali na Damson Close. Nick był zmęczony fizycznie, a po tym, co usłyszał, także wyczerpany psychicznie. Ilekroć usiłował złożyć wszystko razem - witraże z minionych wieków, prace wykopaliskowe w Tintagel sprzed siedemdziesięciu lat, tajemnicę, która dziesięć lat później rzekomo połączyła trzech ludzi na Cyprze - obraz rozpadał się w kawałki. Nick nie mógł nawet odnaleźć ulgi w obarczeniu całą winą nieuchwytniej Elspeth Hartley, która nie była już ani nieuchwytna, ani nie była Elspeth Hartley. Nazywała się Emily Braybourne i miała pełne prawo, by uznać ją za ofiarę.

Na obwodnicy panował niewielki ruch, a uliczki Walnut Tree świeciły pustkami. Kiedy jednak zbliżali się do Damson Close, z zaułka wyjechała ciemna furgonetka bez świateł i przemknęła tuż obok nich. Emily gwałtownie zahamowała, wciskając klakson, lecz furgonetka, nie zatrzymując się, tylko włączając światła, popędziła do najbliższego zakrętu, za którym zniknęła.

- Chryste - powiedziała Emily. - Co za... - Spojrzała na Nicka. - Nie przypuszczam, żeby tak się jeździło w tej okolicy, co?

- Masz rację.

- Zamierzałam cię tu wysadzić. Ale może lepiej podwoję cię pod drzwi.

Skręciła w Damson Close i wolno dojechała do domu Nicka. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Palily się te same światła, które zostawił włączone. Emily zatrzymała peugeota i Nick wysiadł.

- Zaczekaj tu - zawołał, idąc podjazdem w stronę domu. Przez szybę zobaczył, jak kiwa głową. W blasku latarni jej twarz wydawała się ziemista.

Podchodząc do drzwi, zauważył, że są uchylone. Zamek został uszkodzony. Zasuwka już nie trzymała. Nick wszedł do środka, zajrzał do kuchni i dostrzegł zawartość swojej torby rozrzuconą na podłodze. Instynktownie pomacał kieszeń, upewniając się, że ma paszport przy sobie. Pomiędzy ubraniami leżała książeczka czekowa - dziwne niedopatrzenie ze strony włamywacza. Ale intruz nie był oczywiście zwykłym włamywaczem.

Nick zajrzał do jadalni. Ktoś powyciągał szuflady z biurka i szafki. I zabrał dyskietki.

Wybiegł z domu przez podjazd na ulicę. Zdziwiony zobaczył, że Emily rozmawia przez telefon komórkowy. Kiedy się zbliżał, wyłączyła aparat i odkręciła okno.

- Co jest?
- Ktoś się włamał i przeszukał dom.
- Zabawne, co? Kiedy cię nie było, nic się nie działo. Ledwie wróciłeś, od razu cię obrobili.
- Co o tym myślisz?
- Mam wrażenie, że interesowało ich tylko to, co mogłeś przywieźć.
- Wobec tego musieli się rozczarować.
- Nie powinieneś tu zostawać.
- To tylko jedna noc. I tak nie mam dokąd iść.
- Mogę cię gdzieś zabrać.
- Myślałem, że chcesz wykorzystać dobry moment i wyjechać.
- Nadal chcę.
- Z kim rozmawiałaś przez telefon?
- Nie ufasz mi, Nick?

- Bardziej, niż ufałem do dziś.
- Ale nie do końca. Dostałam wiadomość. Jeśli chcesz wiedzieć, rozmawiałam z hotelem na Heathrow, w którym mam rezerwację. Anonimowość jest najbezpieczniejsza. Sprawdzałam, czy mają dużo wolnych miejsc.

- I mają?

- Jedno więcej to żaden kłopot.

Nick zastanawiał się, co począć. Nie mógł zignorować włamania. Kimkolwiek byli włamywacze, trafili na jego trop. Na odosobnionym przedmieściu nietrudno go było znaleźć.

- Decydujesz się czy nie, Nick? Chciałabym już jechać.

Wahał się nie dłużej niż kilka sekund.

- Decyduję się.

Emily Braybourne miała rację, mówiąc o hotelu. Był to jeden z paru nijakich kilkupiętrowych budynków stojących wzdłuż A4 od północnej strony lotniska Heathrow. Trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce na tymczasowe schronienie.

Emily poszła prosto do swojego pokoju, a Nick ruszył do baru wysączyć kilka szklaneczek szkockiej. Whisky w najmniejszym stopniu nie pomogła mu się odprężyć. Pianista grał, kelner krzątał się przy zamówieniach, a w głowie Nicka wirowały pytania, ale nie mógł znaleźć ani jednej odpowiedzi. Wiedział, że jest zbyt zmęczony, by logicznie myśleć, lecz nie mógł się powstrzymać. Drysdale powiedział mu: „Tajemnica polega na tym, że nie ma tajemnicy”. Bywały chwile, że Nick zaczynał w to wierzyć. Ale już nie wierzył. Tajemnica istniała naprawdę. Wydarzenia toczyły się według jakiegoś porządku. Kluczem poznania tego porządku była prawda. Ale jaka była prawda, jaka mogła lub mogłaby być... Może Drysdale powinien powiedzieć: „Tajemnica polega na tym, że nie można poznać tajemnicy”.

Gdy Nick dopijał ostatnią kroplę ostatniej, jak sobie przyrzekł, szklaneczki whisky, na tonący w półmroku kąt w barze, gdzie siedział, padł cień ciemniejszy od innych. Nick uniósł głowę i ujrzał nerwowo, jak gdyby autoironiczny uśmiech Emily Braybourne.

- Zastanawiałam się właśnie, czy cię tu znajdę.
- Widać, że znasz się na ludziach.
- Nie mogłam zasnąć.
- Ja nawet nie próbowałem.
- Mogę się przysiąc?
- Śmiało.

Usiadła. Prawie natychmiast jak spod ziemi wyrósł kelner. Emily zamówiła tę samą whisky co Nick. A Nick zamówił jeszcze raz to samo.

- O której masz jutro samolot?
- Piętnaście po jedenastej.
- Jak długo trwa lot?
- Około dwunastu godzin, wliczając międzylądowanie w Chicago.

- A więc jutro o tej porze...
- Będę w bezpiecznym miejscu. Teoretycznie.
- A praktycznie?
- Pewnie też. Ale...
- Ale co?
- Wszystko.

Podpłynął kelner z zamówionymi drinkami. Żadne z nich nie odezwało się, gdy pieczołowicie ustawiał szklanki na podkładkach i dosypywał orzeszki. Nick miał wrażenie namacalności ciszy, jaka zapadła. Emily z kamienną twarzą wytrzymała jego spojrzenie. Po chwili kelner się wycofał.

- Jak to się ma do siebie? Krzywdy, jakie moja rodzina wyrządziła twojej - i odwrotnie?
- Po obu stronach jest tego za dużo. O wiele za dużo.
- A więc czas z tym skończyć.
- Zgadzam się.
- Tylko jak to się skończy? Powiedz.

- Nie wiem.
- Tom mówił... - Odwróciła wzrok i wzięła głęboki oddech. Po chwili znów na niego spojrzała. Na jej twarzy wrócił niepewny uśmiech. - Przepraszam.

- Za co?

- Nie radzisz sobie zbyt dobrze z emocjami, prawda, Nick? Przeszkadzają ci. Musisz być jednym z najbardziej opanowanych ludzi, jakich znam, a jednak raz w przeszłości zupełnie straciłeś panowanie nad sobą. Czy to... tłumienie uczuć... jest twoim sposobem na to, żeby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło?

- Co ci mówił Tom?

- Powiedział... - Znów głęboko odetchnęła. - Powiedział, że jeśli ktoś chce poznać prawdę, najlepiej niech sam zacznie ją mówić.

- Powiedziałem ci prawdę, Emily.

- Nie całą. Powinnaś wiedzieć. Ja też nie powiedziałam ci całej prawdy.

- Nie?

- Oboje jesteśmy przerażeni i samotni. Ale wcale nie musimy być aż tak przerażeni i samotni. Ja tego nie chcę.

W każdym razie nie dziś. - Patrzyła mu prosto w oczy, wyzywająco, a jednocześnie dziwnie ulegle. - A ty?

Rozdział 20

Nie było pożegnania. Tak się umówili. Wychodząc, Nick minął jej pokój. Pokojówka już tam pracowała, niewątpliwie zadowolona z wcześniejszego wyjścia gościa. Nick oczywiście wiedział, że Emily już nie ma, ponieważ zapowiedziała mu, że wyjedzie wcześniej. Zerknął na zegarek, obliczając w myśli, że podczas gdy on stoi w korytarzu, Emily prawdopodobnie zgłasza się na odprawę w terminalu 4. Ich drogi miały się rozjeść nieodwołalnie. Ruszył w kierunku windy.

Siedząc w hotelowym autobusie zmierzającym na stację Victoria, uświadomił sobie nagle, że zaczyna wątpić w to, co zdarzyło się w nocy. To, co zrobili, wydawało się jeszcze bardziej niewiarygodne po fakcie. Nie powinno być w ogóle możliwe. Nie powinien mieć poczucia, że postępuje właściwie. Był już na wpół zakochany, ledwie przestał jej nienawidzić. „Jutro będziemy się zastanawiać, czy to się naprawdę stało” - powiedziała. Dopiero teraz w to uwierzył. „Dla nas nie ma żadnego «potem»”. Rozumiesz, prawda?”. Dopiero teraz zaczynał rozumieć. „Zadzwoń do ciebie po wszystkim” - obiecał. Ale ona pokręciła głową. „Nie zadzwonisz”. I dopiero teraz słowa sprzeciwu, jakie wówczas wypowiedział, zabrzmiały mu równie pusto, jak na pewno zabrzmiały jej.

Oczywiście wcale nie musiało tak być. Przepowiednia to nie pewność, powiedział sobie, gdy ekspres Gatwick pędził przez Surrey na południe. Mógł uczynić swoją przyszłość lepszą niż przeszłość. Może także jej przyszłość. Niektóre rzeczy bywają mniej prawdopodobne od innych. Ale wszystkie są możliwe. Nawet szczęście. Ich wspólne.

Gdy pociąg dojeżdżał do Gatwick, Nick doszedł do wniosku, że sięganie myślą dalej niż najbliższe kilka dni i tak nie ma sensu. Nie miał pojęcia, co czekało go w Wenecji. Jeszcze mniej wiedział o tym, co mogło czekać go po powrocie - jeśli w ogóle stamtąd wróci.

Jak gdyby na potwierdzenie tego przekonania w punkcie odpraw w północnym terminalu powitano go nieoczekiwane złą wiadomością. Lotnisko Marco Polo było sparaliżowane przez mgłę. Wszystkie loty do Wenecji zostały odwołane.

Nagle Nick stał się jednym z wielu niedoszłych pasażerów, którzy próbowali znaleźć inną trasę, przekładać rezerwację albo zmieniać plany. Oczywiście alternatywa - lot do Werony i przejazd do Wenecji pociągiem - znalazła zbyt wielu chętnych. Jedyne wyjście, jakie mu pozostało, to lecieć wieczornym rejssem do Mediolanu i dostać się stamtąd do Wenecji, choć nikt nie miał pojęcia, kiedy będzie mógł dotrzeć na miejsce. Przysłał na to.

Podczas długiego popołudnia kilka razy zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Irene. Albo do Kate i Terry'ego. Albo do wszystkich trojga. Raz nawet zaczął wstukiwać numer Old Ferry, ale zaraz go skasował. Spacerował tam i z powrotem po hali odlotów. Przyglądał się startującym i lądującym samolotom. Uspokajał nerwy. I czekał.

Samolot o osiemnastej czterdzieści pięć do Mediolanu wystartował punktualnie. Dwanaście godzin później, po krótkiej i niespokojnej nocy spędzonej w hotelu położonym najbliższej stacji Milano Centrale, Nick wsiadł do pierwszego pociągu do Wenecji. Zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek

dostanie się tam, dokąd się wybierał.

Lecz każda podróż ma swój koniec. Dla Nicka nastąpił on, gdy pociąg tuż przed dziewiątą rano mijał Lagunę Wenecką. Nick spał.

Nick mówił Farnsworthowi, że nigdy nie był w Wenecji. Nie była to do końca prawda. Spędził tam dwa dni w drodze powrotnej z Grecji latem 1978 roku. Ironia losu związana z tym wspomnieniem polegała na tym, że powodem wyprawy do Grecji była troska o Basila, który rozpoczynał wtedy swoją przygodę z zakonem. Wspomnienie nie mogło się jednak do niczego przydać. Z tamtego czasu Nick zachował w pamięci jedynie ogólny obraz miasta - kanałów, gondoli i tłumów na placu Świętego Marka. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, gdzie wtedy mieszkał. Na dobrą sprawę odwiedzał miasto po raz pierwszy.

Dworzec Santa Lucia był więc początkiem faktycznie nieznanego terytorium. Nick kupił plan miasta, potem skierował kroki do biura zakwaterowania dla turystów i poprosił o adres hotelu Zampogna. Dowiedział się, że hotel nie jest ujęty w żadnej oficjalnej klasyfikacji, nawet w najniższej kategorii, co oznaczało, że powinien go omijać z daleka. Ale ponieważ tak bardzo nalegał... poinformowano go, że znajduje się w dzielnicy Cannaregio i może tam dojść pieszo.

O tak wczesnej godzinie w biurze nie było dużego ruchu, toteż urzędnik chętnie wskazał Nickowi lokalizację jeszcze jednego domu. Po sprawdzeniu w spisie adresów narysował na planie Nicka znak X. Palazzo Falsetto był położony na ostatnim łuku Canale Grande przed ujściem do laguny. Jeśli Basil nie będzie na niego czekał w Zampogna - co było optymistyczną, choć mało prawdopodobną możliwością - Nick zamierzał odwiedzić pałac tajemniczego kuzyna.

Droga do hotelu Zampogna na planie wyglądała na dość prostą. W rzeczywistości było trochę inaczej. Ranek był zimny

i szary, a im dalej na północny wschód od stacji Nick się posuwał, tym bardziej robiło się cicho i pusto. Brak samochodów zamiast spokoju wprowadzał dziwną atmosferę niesamowitości. Nick kluczył zygzakiem przez wąskie alejki i wzdłuż mętnych bocznych kanałów, między którymi ukazywało się od czasu do czasu podwórko obwieszone praniem, gdzie jedyną oznaką życia był przemykający chyłkiem kot.

Skręciwszy kilka razy w niewłaściwe uliczki, znalazł w końcu aleję, której szukał: Calle delle Incudine. Na rogu znajdował się obskurny z wyglądu bar, a obok przy tej samej *calle* stał budynek hotelu Zampogna.

Wiele lat temu namalowano nazwę na ścianie barwy musztardy, ale większość liter odpadła razem z tynkiem, a pozostałe wyblakły, tworząc upiorny cień napisu, który niegdyś miał zapraszać mijających hotel podróżników. Ciemne wejście nie wyglądało zachęcająco, lecz drzwi były uchylone. Nick zebrał się na odwagę i wszedł.

Korytarz był wąski i słabo oświetlony. Nierówne i obłupane płytki, którymi wyłożono podłogę, przykrywał wytarty dywan. W bok prowadziły schody, u których stóp znajdowała się budka przypominająca kasę biletową na podupadłej stacji kolejowej. Przez otwarte okienko Nick dostrzegł kobietę, domyślił się, że to właśnie z nią rozmawiał przez telefon. Miała na sobie bezkształtną brązową sukienkę i szal. Jej pokryta zmarszczkami i ściągnięta twarz była niemal tego samego koloru co sukienka, wskutek czego nienaturalnie gęsta czupryna rudych kręconych włosów sprawiała jeszcze bardziej zaskakujące wrażenie. Kobieta spojrzała na niego bez uśmiechu.

- *Si?*

- Szukam Basila Paleologusa. To mój brat. Basil Paleologus. Mieszka w tym hotelu.

- *Che?*

- *Parla inglese?*

- *Inglese?*

- Tak. *Si. Inglese*. Ja i on. Basil Paleologus. Czy jest tutaj?

- Paleologus?

- Owszem. Chciałbym...

Ale wystarczyło jej usłyszeć nazwisko. Nagle zaczęła mu wymyślać, wrzeszcząc niezrozumiale i wymachując rękami, a jej głos rozbrzmiewał echem w wąskim korytarzu, odbijając się od ścian. Nick nie rozumiał ani słowa, lecz nie miał wątpliwości, że nie jest to panegiryk na cześć Basila. Kobieta była wściekła. Próbował ją udobruchać uśmiechem, przeprosinami i uspokajającymi gestami, ale bez skutku. W końcu musiał się wycofać.

Jej przekleństwa goniły go jeszcze na *calle*, aż wreszcie ucichły. Bez wielkich nadziei, że uzyska pomoc, ale nie mając dokąd iść, Nick wstąpił do knajpki obok. Mimo chłodu drzwi były szeroko otwarte, ukazując biegnący skośnie przez środek pomieszczenia bar, za którym stał *barista* z okazałym brzuchem piwosza. Jego wiek można było określić jako przejściowy między średnim a podeszłym. Był łysy, lecz twarz zdobił mu sumiasty wąs. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z jedynym prócz Nicka klientem - młodym mężczyzną ubranym w zakurzony kombinezon, który stał oparty o bar - a potem uśmiechnął się do Nicka.

- *Buongiorno*.

- *Buongiorno*. - Nick starał się mówić nonszalanckim tonem. - *Doppio espresso, per favore*.

- *Prego*.

Barista odwrócił się i uruchomił syczący ekspres. Młodzieniec opróżnił filiżankę, zgniółł puste pudełko po papierosach i rzucił na bar.

- *Ciao, Luigi* - rzucił, mijając Nicka i wychodząc na *calle*.

- *Ciao, Gianni* - zawołał przez ramię Luigi. Stał odwrócony plecami do Nicka, podczas gdy maszyna głośno i powoli wykonywała swoją pracę. Po chwili postawił na barze efekt jej wysiłków. - *Eccolo*.

- Dziękuję.

- Proszę. Po spotkaniu z *la dragonessa*, nie ma to jak *doppio*. - Luigi uśmiechnął się szeroko. - O co poszło? Słyszałem, że naprawdę się na pana wkurzyła.

- Nie jestem pewien. Szukam brata. Mieszka w hotelu Zampogna.

- Signor Paleologus?

- Tak jest. Przychodził tutaj?

- *Si*, kilka razy. Ale nazwisko znam od Carlotty - *la dragonessa*. To pański brat?

- Tak. Basil Paleologus. Nazywam się Nick Paleologus.

- Paleolodzy z Anglii. Nie wiedziałem, że aż tak daleko zawędrowali.

- Może mi pan coś powiedzieć o bracie?

- Zwiął. Opuścił Zampogna, nie płacąc rachunku. Kiedy Carlotta się o tym dowiedziała, wybuchła jak Etna.

- Kiedy to się stało?

- Chyba w poniedziałek. Był tu wcześniej rano i wypił swoją *te verde*. A potem... bach! Ani śladu. Carlotta mówi, że rzeczy zostały w pokoju. Ale nie ma *signore*. Ani pieniędzy. Zniknął.

- Co Carlotta zrobiła?

- Jak to co? Zaczęła na mnie wrzeszczeć.

- Nie zawiadomiła policji?

- *La polizia*? Żartuje pan. Pewnie zamknęliby jej tę budę.

- Ale Basil może mieć jakieś kłopoty.

- Będzie miał, jeżeli wpadnie w ręce Carlotty. Pan też, jeżeli się dowie, że jesteście rodziną.

- Niech pan posłucha. Jeśli tylko na tym polega problem, zapłacę za niego. Niepokoję się o brata. Próbuję go odnaleźć. Uchylenie się od płacenia rachunków to nie w jego stylu. Fakt, że zostawił rzeczy, na pewno dowodzi, że zamierzał wrócić. Coś musiało mu przeszkodzić.

Luigi wzruszył ramionami.

- Może.

- Mógłby pan wyświadczyć mi przysługę i wytłumaczyć jej to? Byłbym bardzo wdzięczny.

- Po to przecież prowadzę ten interes, tak? Żeby wyświadczać przysługi klientom. - Luigi westchnął teatralnie. - Dobra. Spróbujemy. - Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, mrugając do Nicka. - W ten sposób nie będzie mogła niczym we mnie rzucić. *Carlotta? Buongiorno. Sono Luigi. Sì, sì. Sì calma, Carlotta, sì calma.*

Rozmowa trwała kilka minut. Nick nie miał pojęcia, o czym mówią, ale stopniowo zaczął przeważać rzeczowy i rozsądny ton, a na koniec *barista* i *padrona* niemal gruchali do siebie. Wreszcie Luigi z nieco przesadnym rozmachem odłożył słuchawkę i poczęstował Nicka triumfalnym uśmiechem.

- Zawarłem porozumienie w pana imieniu, signor Paleologus. Warunki przedstawiają się tak: może pan zająć pokój brata, dopóki nie wróci albo dopóki... wszystko jedno co. Sto tysięcy lirów za noc, licząc od zeszłej soboty. Plus z góry za dzisiaj. Jeżeli o mnie chodzi, zatrzymałbym się raczej w Cipriani. Ale jeżeli lubi pan spać na twardym łóżku i słuchać wyzwick, spodoba się panu w Zampogna. Co pan na to?

Nick oczywiście na to przystał i wrócił do hotelu, na wszelki wypadek mając się na baczności. Tym razem Carlotta zachowała się najlepiej, jak potrafiła, przyjmując garść wynegocjowanych lirów z czymś na kształt uprzejmego podziękowania, a potem zaprowadziła Nicka do pokoju Basila, który teraz stał się jego lokum.

Pokój był mały, z niskim sufitem i minimalnie umeblowany. Stało tu łóżko, szafa, szafka i twarde krzesło. W rogu była umywalka, dekorację stanowiła oprawiona w ramki fotografia Wenecji w 1500 roku z lotu ptaka, a z maleńkiego okna roztaczał się widok na stłoczone kominy i sznury z praniem.

Na pierwszy rzut oka Nick zauważył, że Basil wyszedł stąd, zamierzając niedługo wrócić. Na szafce nocnej stał jego budzik, przybory toaletowe leżały w nieładzie na umywalce. Plecak do połowy wypchany ubraniami wciąż spoczywał w szafie, gdzie zostawił go Basil. Szukając śladu, który mógłby

zdradzić, gdzie brat podziewa się od poniedziałku, Nick poszperał w plecaku, ale dosłownie nic nie znalazł, a następnie skupił się na lustracji pokoju. Ale tu także nie natrafił na nic godnego uwagi. W szufladzie nocnej szafki tkwił zmięty egzemplarz „Corriere della Sera”. To wszystko.

Nick usiadł na skraju łóżka i zapatrzył się obojętnie w szary poranek za oknem. Gdzie Basil mógł zniknąć? Gdzie i dlaczego? Można było sprawdzić tylko jeden trop. Im szybciej wyruszy do Palazzo Falchetto, tym lepiej. Wstał.

Lecz raptem usiadł z powrotem, tknięty nagłą myślą. Basil z pewnością znał włoski lepiej od niego, ale czy na tyle, by przeglądać kolumny „Corriere della Sera”? Nick otworzył szufladę i wyciągnął gazetę. Był to numer sprzed tygodnia otwarty na jednej z środkowych stron. Nick rozłożył go na łóżku. Prawie natychmiast dostrzegł zakreślony na czerwono niewielki artykuł. Oczywiście mało z niego zrozumiał, ale w nagłówku było słowo - *omicido* - które, był niemal pewien, oznaczało morderstwo.

Za cenę jeszcze jednego espresso Luigi przetłumaczył ogólny sens artykułu. Dotyczył postępów - a raczej braku postępów - policyjnego dochodzenia w sprawie morderstwa Valeria Nardiniego, pięćdziesięcioletniego antykwariusza handlującego starymi mapami, którego ciało znaleziono na początku stycznia w opuszczonym magazynie w dzielnicy Arsenale; zginął od strzału w głowę. Niektórzy kojarzyli morderstwo Nardiniego z pewną aukcją odbywającą się dwa miesiące wcześniej w Genewie, na której licytowano kilka średniowiecznych *portolani* rzekomo nielegalnie wywiezionych z Włoch. Luigi nie potrafił znaleźć angielskiego odpowiednika słowa *portolano*. Zdołał wytłumaczyć, że to „taka specjalna mapa dla żeglarzy”. Niezbyt dobrze pamiętał tę sprawę. Zażartował, że choć włoskie słowo oznaczające licytatora brzmi *banditore*, równie dobrze mogłoby to być

bandito. Nie należało im ufać. Wątpił też, by policja dokonała aresztowania w najbliższej przyszłości.

Nick wydarł z gazety stronę z artykułem, schował ją do kieszeni i ruszył na południe, mając nad głową stalowoszare niebo. Luigi poradził mu, jak najłatwiej dostać się do Palazzo Falcetto, skierował się więc do najbliższej przystani *vaporetto*. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu Basil zainteresował się zamordowanym sprzedawcą map, nie miał jednak wątpliwości, że przyczyna wiąże się w jakiś sposób z innymi zgonami, które przywiodły go do Wenecji. Gdyby tylko rozumiał ten związek, wszystkie pozostałe elementy układanki wskoczyłyby na swoje miejsce. Nie mógł wprawdzie wiedzieć na pewno, czy gazety nie zostawił w pokoju poprzedni lokator. W końcu ukazała się dwa dni przed przyjazdem Basila. Ale czuł, że się nie myli. Był absolutnie pewien. Żałował tylko, że nie może mieć takiej pewności w tylu innych sprawach.

Vaporetto numer 1 płynął Canale Grande, wolno sunąc od jednego brzegu do drugiego. Był zapełniony tylko do połowy nieco przygnębnymi turystami i mieszkańcami. Karnawał skończył się już definitywnie, co zdawały się podkreślać ślady deszczu na niszczących fasadach *palazzi* od strony kanału. Nie zwracając szczególnej uwagi na przesuającą się obok niego wspaniałą architekturę z czasów wielkości Wenecji, Nick rozmyślał o starych mapach oceanów. Specjalizowały się w udzielaniu żeglarzom złowieszczych przestroóg w rodzaju: „Tu strzeż się węży morskich”. Gdy ktoś zignorował ostrzeżenie, wówczas, tak jak właśnie czynił to Nick, wkraçał na niebezpieczny rejon na własną odpowiedzialność.

Nick zobaczył Palazzo Falcetto, gdy tramwaj wodny dobił do pomostu na przystanku San Toma, gdzie kazał mu wysiąść Luigi. Pałac być może przewyższał gotycką elegancją

sąsiednie budowle - o łukach zdobionych czterolistnymi ornamentami i balustradach balkonów wypełnionych maswerkami - ale nie sposób było tego stwierdzić, ponieważ fasadę zasłaniały rusztowania i gruba folia. Robotnicy wyładowywali worki z cementem z łodzi na ponton przed portykiem, za którym można było dostrzec kamienny taras. Napis na tablicy ustawionej przez firmę remontową głosił RICOSTRUZIONE i rzeczywiście prace trwały w najlepsze.

Nick wysiadł z *vaporetto* i kierując się planem miasta, ruszył krętą drogą w stronę wejścia do *palazzo* od strony lądu. Podążał wąską Calle Falcetto, mając po bokach zasłaniające widok wysokie mury. Na końcu alei ujrzał bramę z kutego żelaza, za którą znajdował się zaniedbany ogród, a naprzeciw niego wznosiło się skrzydło strzelistego budynku z tej strony pozbawione rusztowania. Zbliżył się do bramy i pociągnął dzwonek.

Dopiero gdy zadzwonił drugi raz, zjawił się nieogolony młodzieniec o ciężkich powiekach.

- *Buongiorno* - wymamrotał z ustami pełnymi jedzenia i uchylił bramę, dodając jakąś niezrozumiałą uwagę.

- *Parla inglese?*

- Trochę. Czego pan chce?

- Szukam signore Paleologusa. Mieszka tu, prawda?

- *Il capo? Sì, ma...* - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Teraz nie mieszka. *Non al momento*. Bo jest... *la ricostruzione*. Rozumie pan? Przyjeżdża, ogląda prace. I odjeżdża.

- Ale dziś ma przyjechać, prawda?

- *Sì*. Później.

- O której godzinie?

- O której? Pan myśli, że ma... *un appuntamento*? Przychodzi, kiedy chce.

- Muszę koniecznie z nim porozmawiać. Proszę mi wierzyć. To... *molto importante*. Nie wie pan, o której można się go spodziewać?

Mężczyzna znów wzruszył ramionami.

- O trzeciej. Czwartej. Kto to wie? Przyjeżdża z... *Il architetto*. Potem jedzą lunch.

- Kiedy najłatwiej go zastać? - Nick wyciągnął z portfela pieniądze i wysunął banknot. - Jak pan sądzi?

Mężczyzna myślał przez chwilę.

- Za piętnaście czwarta. - Wziął banknot z ręki Nicka. - Wtedy bym próbował.

- Dziękuję.

- Mam mu powiedzieć, że pan przyjdzie?

Po krótkim wahaniu Nick odrzekł: - Nie.

- Dobrze. - Mężczyzna uśmiechnął się, chowając banknot do kieszeni. - Nasza tajemnica. - Potem zamknął bramę, obrócił się na pięcie i zniknął.

Nick miał nadzieję, że zdąży porozmawiać z kuzynem Demetriusem, zanim będzie zmuszony spróbować szczęścia w konsulacie brytyjskim, lecz okazało się, że musi zmienić kolejność. W konsulacie mogli coś wiedzieć o Basilu i Nick przypuszczał, że najlepiej odwiedzić placówkę rano. Według wszystkowiedzącego Luigiego placówka mieściła się tuż obok mostu Accademia, dwa przystanki *vaporetto* na południe od San Toma. Tam właśnie skierował się Nick.

W tym miejscu gromadzili się turyści, przyciągani roztańczającym się z mostu malowniczym widokiem Canale Grande oraz skarbami sztuki w pobliskiej Galleria dell'Accademia. Po jednej stronie zatłoczonego *campo* przed galerią stał *palazzo* z różową elewacją, z którego balkonu na *piano'nobile* zwisała smętnie brytyjska flaga. Interesanci wchodzili do konsulatu przez boczną bramę wyposażoną w kamerę telewizyjną wewnętrzną oraz domofon. Nick z ulgą skonstatował, że trafił na godziny otwarcia; na tabliczce widniała informacja: poniedziałek - piątek, 10.00 - 13.00. Wcisnął guzik brzęczyka i poprosił, aby go wpuszczono, co uczyniono bez zbędnych ceregieli. Przeciął otoczony murami ogród, wszedł do budynku i kierując się strzałką, wszedł się

po imponujących schodach, mijając po drodze ogromne greckie popiersia, aż w końcu dotarł do recepcji. Recepcjonistka nie była akurat niczym zajęta i wyraziła mu szczerze współczucie, gdy wyjaśnił, że przyjechał do Wenecji w poszukiwaniu brata, który zniknął z hotelu. Obiecała sprawdzić, czy ktoś mógłby mu pomóc.

Znalazł się ktoś taki: Brooks, jasnowłosy mężczyzna o twarzy bez wyrazu, zajmował mały gabinet w drugim skrzydle *palazzo* wychodzącym na północ. Był to młody człowiek z miną znacznie starszej osoby, ubrany jak gdyby miał jechać na posiedzenie rządu, o czym zapewne marzył w głębi duszy. Przywitał jednak Nicka dość życzliwie.

- Ma pan egzotyczne nazwisko, panie Paleologus. Czyżby pańscy przodkowie pochodzili z Bizancjum?

- Wielu członków mojej rodziny chętnie w to wierzy.

- Nie można im mieć tego za złe, prawda?

- Panie Brooks, zastanawiałem się, czy nie wiecie państwo czegoś na temat mojego brata. Basila Paleologusa. Przebywa w Wenecji od końca zeszłego tygodnia.

- Obawiam się, że nic nie wiemy. Na pewno zapamiętałbym takie nazwisko. Zaginął, jak rozumiem.

- Tak. - Nick jak najzwięźlej przedstawił fakty związane ze zniknięciem Basila, nie ujawniając rzecz jasna ich kontekstu. Postarał się przekonać Brooksa, że ma do czynienia z turystą w niedoli. Ani słowem nie wspomniał o kuzynie Demetriusie. Zatajanie części prawdy nie było wprawdzie najlepszą strategią, jeśli oczekiwał pomocy, ale w tej chwili nie mógł sobie pozwolić na obranie innej strategii.

- Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z bratem, panie Paleologus? - brzmiało pierwsze pytanie Brooksa, gdy Nick skończył.

- W niedzielę rano.

- A kiedy ostatni raz widziano go w hotelu?

- W poniedziałek rano.

- Cóż, mamy dopiero środę. Być może wszczyła pan alarm przedwcześnie.

- Nie sądzę. Zostawił wszystkie swoje rzeczy w pokoju hotelowym. To jasne, że zamierzał wrócić.

- W Wenecji można znaleźć wiele atrakcji. Może... kogoś poznał.

- Nawet wówczas musiałby myć zęby i zmieniać ubranie.

- Oczywiście. Co sądzi właścicielka hotelu?

- Podejrzewa, że uciekł, nie płacąc rachunku. Ale tę sprawę już udało mi się załatwić.

- To dobrze. Chyba nie chcielibyśmy, aby zainteresowała się nim policja, prawda?

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby go znalazła.

- Naturalnie może im pan zgłosić zaginięcie. Byłbym gotów nawet zadzwonić do nich w pańskim imieniu - Questura raczej nie jest bastionem wielojęzyczności. Ale wątpię, czy potraktowałyby sprawę poważnie, ponieważ niewiele czasu upłynęło od zniknięcia brata. Naprawdę nic nie wskazuje na to, że mogło mu się stać coś złego. Mężczyzna w średnim wieku odwiedza samotnie Włochy i zapada się pod ziemię. Nie sądzi pan, że pańska reakcja może się wydawać... zbyt gwałtowna?

Nick zdławił irytację. Z punktu widzenia Brooksa istotnie tak to mogło wyglądać.

- Przyszedłem sprawdzić, czy Basil kontaktował się z kimś z konsulatu albo czy mieliście o nim jakieś wiadomości. Skoro odpowiedź brzmi nie ... - Nick wstał. - Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

- Radzę poczekać kilka dni, panie Paleologus.

- Może skorzystam z pańskiej rady. - Ale pewnie nie skorzystam, pomyślał. - Ach, nie wie pan przypadkiem, co to są *portolani*?

Brooks uniósł brwi.

- *Portolani*? Tak się składa, że wiem. Dlaczego pan pyta?

Nick uznał, że nie chce wspominać mu o artykule. Na poczekaniu zmyślił proste kłamstwo.

- To słowo było zapisane na kartce, którą znalazłem w pokoju Basila. Wyglądało, jakby to on je napisał.

- Naprawdę? Czy pański brat zna włoski?
- Trochę.
- Interesuje się starymi mapami?
- Niespecjalnie. Czy to są właśnie *portolani*?
- W pewnym sensie. Po angielsku to portolany.
- Nigdy o nich nie słyszałem.
- To mało znane peryferie historii kartografii. Trochę się tym interesuję.

- Proszę mi więc powiedzieć, czym są.
- Linearne mapy przeznaczone dla marynarzy, przedstawiające linie brzegowe i morza między nimi, sporządzane do konkretnych rejsów. Są tam naniesione porty, przylądki, mielizny, rafy, skały i tak dalej. Często bywają dokładniejsze od ogólnych map pochodzących z tego samego okresu. Najwcześniejsze pochodzą z początków czternastego wieku. Wiele z nich powstało tu, w Wenecji. Jeśli chce pan zobaczyć, o czym mówię, proszę odwiedzić Muzeum Correr, które ma całkiem niezłe zbiory. Jest na placu Świętego Marka.

- Może zajrzę.
- Koniecznie. Zobacz pan, że są fascynujące. Sądzi pan, że spodobałyby się pańskiemu bratu?

- Nie wiem.
- Dziwne tylko... - Brooks zmarszczył brwi. - Kilka miesięcy temu zrobiło się o nich dość głośno.

- Tak? Z jakiego powodu?
- Pojawiło się podejrzenie, że bardzo stare weneckie portolany, które w listopadzie sprzedano na aukcji w Genewie, wywieziono z Włoch nielegalnie. O ile pamiętam, osiągnęły cenę pół miliona franków szwajcarskich. Oczywiście, zanim jeszcze wybuchła sprawa podejrzeń. Związana z nimi była jeszcze jedna dziwna rzecz, która wywołała kolejne podejrzenie - że były falsyfikatami. Nie bardzo pamiętam, o co dokładnie chodziło, i nie jestem pewien, czy kiedykolwiek potwierdzano ich autentyczność. Tak czy owak, sfalszowane czy nielegalnie wywiezione, bezsprzecznie były... gorącym tematem dla prasy. - Brooks uśmiechnął się nieznacznie. -

Miejscowy sprzedawca map wplątany w tę aferę został zamordowany na początku tego roku. Wnioski pozostawiam panu.

- Chyba nie jestem kompetentny.

- A kto jest, panie Paleologus? Na pewno można powiedzieć tylko tyle, że to niebezpieczne wody. Najlepiej w ogóle nie moczyć w nich nóg. - Brooks zmrużył oczy. - Chyba niemożliwe, żeby pański brat... - chrząknął znacząco - został w to wplątany?

- Absolutnie nie.

- Oczywiście. Tak myślałem. W takim razie... - Brooks rozłożył ręce. - Jestem przekonany, że niebawem się odnajdzie.

Nick nie podzielał przekonania Brooksa. Za dużo wiedział.

Wyszedł z konsulatu, przeciął most i kierując się znakami, podążył za grupkami turystów na plac Świętego Marka. Na miejscu stwierdził, że plac wygląda mniej więcej tak, jak go zapamiętał - najgęstsze tłumy tłoczyły się pod arkadami oraz przed bazyliką i Pałacem Dożów.

Muzeum Correr cieszyło się mniejszą popularnością. Znajdowało się na górnych kondygnacjach budynków po dwóch stronach placu i zanim Nick dotarł do map, musiał przemaszerować przez wiele sal pełnych rzeźb, monet i zbroi.

Nie miał wątpliwości, że wystawione portolany zostały sporządzone dla zawodowych żeglarzy. Ukształtowanie wybrzeża było opisane w najdrobniejszych szczegółach, podczas gdy w miejscu lądu ziała pustka. Były to mapy żeglarskie zawierające wyłącznie niezbędne informacje o trasie rejsu. Baraszkujące w morzach węże morskie nie zostały na nich uwzględnione. Najstarsze z map pochodziły jednak z piętnastego wieku. Trudno było ocenić, jak wyglądały portolany z czternastego i trzynastego wieku. A Brooks nie powiedział, z jakich czasów miały pochodzić kontrowersyjne portolany sprzedane na aukcji w Genewie.

Opuściwszy muzeum, Nick spacerował wolno po placu, zastanawiając się, co powinien dalej robić. Zostały ponad dwie godziny do chwili, gdy będzie miał po co wrócić do Palazzo Falcetto. Powinien zjeść lunch, ale nie czuł głodu. Postanowił przejść się do Rialto, coś zjeść, a potem wrócić *vaporetto* do San Toma.

Trasa prowadziła przez Calle dei Fabbri, na północ od placu Świętego Marka. Zaulek był wąski i zatłoczony, pełen małych sklepów. Nick nie zwracał na nie zbyt dużej uwagi i nie umiał wyjaśnić, dlaczego minawszy łuk uliczki, spojrzął na zamknięty na głucho sklepik i zerknął na szyld nad wejściem. Ale gdy zobaczył napis, stanął jak wryty. „Valerio Nardini, Carte Antiche”.

Był to dziwny i niepokojący zbieg okoliczności. Nick wszedł do baru nieopodal, gdzie zamówił grappe i piwo. Przeszłość w Wenecji wydawała się o wiele bliższa niż w Anglii. Wędrował po obcym mieście-muzeum, gdzie w każdym eksponacie mogło czyhać niebezpieczeństwo. Tu zginął Jonathan Braybourne. A także Valerio Nardini. Być może i Basil. Nick dwoma łykami opróżnił szklaneczkę grappy, która jednak nie zdołała wypalić w nim strachu. Z palpitacjami było inaczej. Ustały, gdy tylko alkohol zaczął działać.

Nick wyciągnął z kieszeni komórkę, chcąc sprawdzić wiadomości. Ale tak jak można było przewidzieć, bateria się rozładowała. Nie wziął ze sobą ładowarki. Uznał jednak, że to i tak bez znaczenia, zważywszy na przypuszczalny stan instalacji elektrycznej w hotelu Zampogna. Schował telefon i zaczął sączyć piwo.

Później, po drugim piwie i kanapce z szynką, Nick ruszył na północ w stronę mostu Rialto. Postanowił pokonać pieszo drogę do Palazzo Falcetto, aby w ten sposób zabić czas, jaki pozostał do piętnastej czterdzieści pięć. Wybrał wyjątkowo okrężną trasę, nawet jak na zawiłą architekturę miasta, lecz przed dotarciem do *palazzo* zdążył jeszcze wstąpić do baru niedaleko San Toma na *doppio corretto*. Lekarz oczywiście

nie zalecałby mu przyjmowania alkoholu i kofeiny na prawie pustej żołądek, lecz w tym momencie taka terapia pomagała Nickowi nie do końca uświadamiać sobie stopień ryzyka, jakie podejmował - choć w zakamarkach duszy zdawał sobie sprawę, że jest ogromne.

Kim był Demetrius Paleologus? Kim był dla Michaela Paleologusa? Wiązało ich coś więcej niż pokrewieństwo. Ich, a także Digby'ego Braybourne'a. Coś, co się zaczęło na Cyprze w czasie wojny, a może jeszcze w Tintagel w latach trzydziestych. Starzy ludzie i ich jeszcze starsze tajemnice. Portolany, witraże, templariusze i święty Graal - i ukryty w nich szyfr; w punkcie zerowym, gdzie zbiegają się wszystkie sekrety, czeka jedna jedyna odpowiedź. Nick zmierzał do tego punktu, idąc Calle Falcetto, która zdawała się zwęzać z każdym jego krokiem. Była za osiem czwarta.

Na dźwięk dzwonka zjawił się ten sam senny młodzieniec, którego zarost po kilku godzinach odrobinę pociemniał. Jedyłą oznaką, że poznaje Nicka, był nieznaczny błysk oczu ocienionych daszkiem czapki bejsbolowej Nike.

- Czy jest signor Paleologus?
- *Si.*
- Mógłbym z nim rozmawiać?
- Pan jest umówiony?
- Nie.
- Pana nazwisko?
- Paleologus. Nicholas Paleologus.
- Paleologus? - Mężczyzna uśmiechnął się, jakby usłyszał przedni żart. - Dobrze. - Uchylił bramę, wpuszczając Nicka. - Pan tu zaczeka.

Nick patrzył w ślad za nim, jak wchodzi przez wysokie otwarte drzwi na schody, gdzie w unoszącym się pyłe stali dwaj mężczyźni pograżeni w rozmowie. Byli starsi i elegancko ubrani, a jeden z nich trzymał w dłoni podkładkę z jakimś kartkami. Rozmowę przerwało zjawienie się sennego

młodzieńca, który wskazał kciukiem Nicka. Mężczyźni spojrzeli w jego stronę. Po chwili jeden z nich ruszył naprzód.

Był to szczupły, przystojny pięćdziesięciokilkulatek, ubrany swobodnie, choć w markowe rzeczy, w narzuconym na ramiona płaszczu Aquascutum. Jasne pasemka we włosach maskowały siwiznę, a przyciemniane okulary - zmarszczki wokół oczu. Na jego przegubie błyszczał duży rolex. Chód mężczyzny zdradzał pewność siebie. Gdy się zbliżał, w powietrzu przesyconym zapachem cementu można było wyczuć woń płynu po goleniu. Nick nie miał pojęcia, kto to jest, ale na pewno nie ten, którego szukał.

- Jestem Paleologus - przedstawił się mężczyzna z prawie niezauważalnym obcym akcentem. - Czyżbyśmy byli spokrewnieni?

- Szukam Demetriusa Paleologusa.

- Właśnie go pan znalazł.

- Nie sądzę. Musiała zajść jakaś pomyłka. To starszy człowiek. Demetrius Andronicus Paleologus.

- Ach. Rozumiem. Ja jestem Demetrius Constantine. Demetrius Andronicus był moim ojcem.

- Był?

- Tak. Obawiam się, że nie może pan z nim rozmawiać. Prawie od roku nie żyje. - Demetrius Constantine zdjął okulary, spoglądając na Nicka zatroskanym wzrokiem. - Przykro mi. Bardzo się pan spóźnił.

Rozdział 21

Przykro mi - powiedział Demetrius Constantine Paleologus po raz trzeci czy czwarty od przyjścia Nicka. - Palazzo Falcetto nie jest w takim stanie, w jakim chciałbym go pokazać Paleologusowi.

Stali u szczytu szerokich, lecz zniszczonych marmurowych schodów prowadzących na *piano nobile*. Otwarte przejście z prawej ukazywało obszerną i jeszcze bardziej zniszczoną salę balową. Z dołu dobiegały odgłosy wiercenia i walenia młotka w dłuto mieszające się z okrzykami żartujących robotników.

- Ojciec doprowadził *palazzo* do ruiny, szczególnie zaniedbując go po śmierci mojej matki. Przywracam pałacowi poprzednią świetność. Zamierzam zaadaptować go na luksusowy hotel. To niełatwe przedsięwzięcie. Toczy się o wiele wolniej, niżbym sobie życzył. Ale gdy skończę, pałac będzie piękny. Będzie... wspaniały.

- Od jak dawna twoja rodzina tu mieszka?

- Od ponad dwustu lat. Mój prapraprapradziadek, Manuel Paleologus, kupił *palazzo* od spadkobierców ostatniego z rodu Falcettich w 1789 roku. Ale mieszkamy w Wenecji od upadku Bizancjum w 1453. Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o angielskiej linii rodziny. Jeżeli jesteśmy kuzynami, nie potrafię powiedzieć, jakiego mamy wspólnego przodka.

- Podobno nasi ojcowie spotkali się na Cyprze podczas wojny.

- Możliwe, choć papa nigdy o tym nie wspominał. Przeprowadził się tam w latach trzydziestych, kiedy faszyci zaczęli mu tu utrudniać życie. Nie przepadał za Mussolinim. Ja urodziłem się już na Cyprze. Wróciliśmy do Wenecji, gdy byłem dzieckiem, po śmierci człowieka, któremu papa wynajął *palazzo*.

- Czy twój ojciec często wspominał wojenne czasy?

- Nie. Odnosiłem wrażenie, że niewiele miał do powiedzenia. Na Cyprze nie toczyły się żadne walki. Jako obywatel Włoch mieszkający w kolonii brytyjskiej miał duże szczęście, że nie został internowany. Przypuszczalnie pomógł mu fakt, że był spokrewniony ze stacjonującym tam brytyjskim oficerem. Ale nigdy mi o tym nie opowiadał. O... - Demetrius wskazał ruchem głowy starszego robotnika w kasku, który wspinał się po schodach, zmierzając w ich stronę. - Chyba mamy jakieś wiadomości.

Wcześniej Demetrius wyjaśnił, że nikt mu jeszcze nie wspomniał o wizycie Basila. Przez cały weekend trwały roboty i nie wiadomo dokładnie, z kim Basil mógł wtedy rozmawiać. Podczas gdy Demetrius oprowadzał Nicka po pałacu, majstrowi polecono zbadać tę sprawę. Widocznie właśnie zakończył dochodzenie.

Odbyła się krótka wymiana zdań wypowiedzianych po włosku z zawrotną szybkością, w trakcie której majster co chwila wzruszał ramionami. Następnie wycofał się, pozostawiając Nicka w chwilowej niepewności. Najwyraźniej Demetrius nie zamierzał mu niczego wyjaśniać, dopóki znów nie zostaną sami. Wydawało się to nieco dziwne, ponieważ majster najprawdopodobniej nie znał angielskiego. Lecz Nick prawie nie zwrócił na to uwagi. Głowił się nad znacznie poważniejszymi tajemnicami.

- Ktoś tu przyszedł w sobotę po południu - rzekł Demetrius, gdy majster zniknął im z oczu. - Rozmawiał z Brunonem Stamatim, moim współnikiem. Nie wiedziałem, że Bruno tu wtedy był, ale teraz rozumiem, dlaczego twój brat mówił coś o moim wyjeździe z miasta na czas karnawału.

Brunona zawsze trzymają się żarty. Czasem zabawne, czasem nie. Tak czy inaczej, zadzwonimy do Brunona i wyjaśnimy sprawę. - Demetrius wydobyl z kieszeni cieniutki, elegancki telefon komórkowy i nacisnął jeden klawisz. Po upływie kilku sekund zmarszczył brwi i powiedział do słuchawki parę słów beznamiętnym głosem, zostawiając wiadomość, po czym rozłączył się, krzywiąc się przepraszająco. - Chyba Bruno dzisiaj zrobił sobie weekend. *Tipico*. Nieważne. Później go złapię. Ale czy to pomoże w ustaleniu, gdzie teraz jest twój brat... - Wzruszył ramionami, nachylając pagony płaszcza pod kątem czterdziestu pięciu stopni. - Naprawdę nie wiem.

- Naprawdę się o niego niepokoję - rzekł Nick. - Jeżeli możesz cokolwiek zrobić...

- Oczywiście, oczywiście. Łatwiej mi się wszystkiego wywiedzieć niż tobie. Znam Wenecję. Wiem, kogo najlepiej zapytać. I jak zapytać. Możesz mi zostawić tę sprawę. Daj mi dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli są jakieś informacje, na pewno je zdobędę.

- To miło z twojej strony. Bardzo...

- Nie ma o czym mówić. Jesteśmy Paleologami. To mój obowiązek. - Demetrius uśmiechnął się do Nicka. - I przyjemność.

Nick wyszedł z Palazzo Falcetto wstrząśnięty. Poznał prawdę, której w ogóle nie brał pod uwagę. Prawdę, która przekreślała wszystko, co się dotychczas zdarzyło. Michael Paleologus zapisał Trennor nieboszczykowi. Jego ostatni pośpiesznie spisany testament nic nie znaczył. Jeśli tak, to sporządzenie dokumentu było równie daremne jak jego późniejsze zniszczenie. Ale nie tylko testament uległ zniszczeniu. W wyniku owego konspiracyjnego aktu zginęli Andrew i Tom, a być może także Basil.

Wędrując bez celu w gasnącym powoli świetle dnia, Nick zaczynał rozważać jeszcze jedną, przerażającą możliwość. Czyżby ojciec celowo sporządził nieważny testament? Czy miał to być ostatni niesmaczny żart z rodziny - misternie przygotowane wyzwanie rzucone dzieciom, by sprawdzić, do czego potrafią się posunąć, by uniknąć zagrożenia, które w

ogóle nie istniało? Nie, niemożliwe, powiedział sobie Nick. Staruszek działał w pośpiechu, nie zadając sobie trudu, aby sprawdzić, czy kuzyn jeszcze żyje. Tak, to na pewno była prawda. To musiała być prawda.

Jeżeli nawet tak wyglądała prawda, nie mogła Nickowi pomóc odnaleźć Basila. Poszukiwania Demetriusa okażą się zapewne bardziej owocne niż jego wysiłki. Lecz perspektywa dwudziestoczterogodzinnej bezczynności napawała go grozą. Nie mógł biernie czekać. Zapadł już zmierzch, gdy Nick z niejakim zdziwieniem spostrzegł, że dotarł do Rialto, choć nie potrafiłby odtworzyć trasy, jaką pokonał. W portfelu miał wizytówkę Demetriusa i kartę telefoniczną Telecom Italia - stanowiły dowód jego dokonań. Dołączył do tłumu ludzi wracających z pracy i wsiadł na pokład zmierzającego na północ *vaporetto*. Wysiadł na następnej przystani i wybierając jak najprostszą drogą przez Cannaregio, skierował się z powrotem do Zampogna. Był to jakiś cel i choć tylko tyle można było powiedzieć o hotelu, w obecnych okolicznościach oznaczało to wcale niemało. Istniał przecież cień nadziei, że podczas nieobecności Nicka Basil wrócił.

Ale Basil nie wrócił. W Zampogna nic nie czekało na Nicka.

Siedział w pokoju przez dwadzieścia minut, które wydawały się ciągnąć ponad godzinę. Wreszcie nadeszła pora, o której otwierano Old Ferry, i Nick miał pewność, że gdy zadzwoni do pubu, będzie rozmawiał z Irene. Nieudany telefon kosztowałby go zbyt dużo nerwów. Wciąż nie wiedział, co ma powiedzieć siostrze. Ale zdawał sobie sprawę, że coś musi powiedzieć.

Wyszedł z hotelu, żeby zadzwonić. Wysiadając wcześniej z tramwaju wodnego, zauważył automat telefoniczny na karcie na Strada Nova i chciał z niego skorzystać, gdyby nie udało mu się znaleźć po drodze innego. Najpierw jednak potrzebował czegoś dla kurażu.

- Signor Paleologus - powitał go z szerokim uśmiechem Luigi, gdy Nick wszedł do baru. - Musiał pan pewnie wiedzieć.

- O czym?
- Mam dla pana paczkę. - Luigi wydobyl spod baru dużą wypchaną kopertę z wypisanymi flamastrem dużymi literami imieniem i nazwiskiem NICHOLAS PALEOLOGUS.

- Co to jest?

- Nie wiem. Ktoś przyniósł dziś po południu. Poszedłem do ubikacji i przez chwilę za barem nie było nikogo. Kiedy wróciłem, leżało tutaj. - Luigi wymownie stuknął w blat. - W tym miejscu.

- To nie ma sensu.

- Ale tak było.

Nick ze zdezorientowaną miną wziął do rąk paczkę. Poza jej zawartością zaniepokoił go tajemniczy sposób, w jaki została doręczona. Skąd ktoś by wiedział, że Nick w ogóle ją odbierze? Bezpieczniej byłoby podrzucić ją do hotelu Zampogna. A może nie? Ze zdziwieniem spojrzął na Luigiego.

- Nikt nie wie, że tu jestem.

- Widocznie ktoś wie. Chce się pan napić? Może czegoś, co ma kopa jak bramkarz?

- Brzmi niezłe.

- Nie powiedziałem, że to niezłe. Obiecuję za to kopa. - Nalał do małej szklaneczki jakiegoś przezroczystego płynu z zakurzonej butelki. - Chce pan otworzyć tę paczkę czy najpierw ją pan prześwietli, *dottore*?

- Dobrze, dobrze. - Nick rozdarł kopertę i zajrzał do środka. - To książka - oznajmił.

- Lubię dobrą książkę. Mickey Spillane. Coś w tym stylu.

Nick wysunął książkę na bar i wzdrygnął się z zaskoczenia. Była to napisana przez Drysdale'a biografia Ryszarda Kornwalijskiego „Po lewicy króla”. Książka miała pozaginane rogi.

- Nie Mickey Spillane - powiedział Luigi.

- Zdecydowanie nie. - Nick ostrożnie spróbował „bramkarza” i znów się wzdrygnął. Był to solidny wolej daleko na połowę przeciwnika. Następnie wziął biografię i otworzył. Równocześnie zauważył, że mniej więcej w jednej trzeciej książki tkwi zakładka. Otworzył na zaznaczonej stronie i jego

wzrok natychmiast zatrzymał się na nazwisku Paleolog gdzieś w środku akapitu.

Potem spojrzął na samą zakładkę. Była to wizytówka. „Valerio Nardini, Carte Antiche”.

Nick nie był pewien, czy Luigi zdołał odczytać napis na wizytówce. Mimo że widział litery do góry nogami, a Nick zatrzasnął książkę, gdy tylko ujrzał nazwisko antykwariusza, *barista* prawdopodobnie zdążył dostrzec napis. Ale nic nie można było na to poradzić. Przed kimkolwiek Nick powinien się chronić, to nie przed Luigim.

Nick wycofał się w zacisze obskurnego pokoju w Zampogna i ponownie otworzył książkę w zaznaczonym miejscu. Wpatrywał się w wizytówkę Nardiniego, pewien, że ktoś chciał mu w ten sposób przekazać wiadomość. Nie wiedział jednak nawet, co miało być wiadomością: wizytówka czy książka.

Odnalazł ustęp, gdzie pojawiło się nazwisko Paleologa. Zaczął czytać.

...Spotkanie Ryszarda z Andronikiem Paleologiem w cytadeli Limassol na Cyprze w marcu 1241 roku było wydarzeniem o wiele bardziej niezwykłym, niż się dotychczas sądzi. Stosunki panujące między Cesarstwem Bizantyjskim a państwami krzyżowców nigdy nie należały do najcieplejszych, a po splądrowaniu Konstantynopola przez czwartą krucjatę w roku 1204 i późniejszym zajęciu znacznej części terytorium bizantyjskiego przez weneckich sojuszników krzyżowców nabrały jawnie wrogiego charakteru. Mimo to Ryszard, tymczasowy namiestnik Outremer, zasiadł w Limassol do negocjacji z megas domestikos cesarza Jana Watatzesa. Andronik Paleolog był najbardziej zaufanym doradcą Jana i w rozmowach występował jako jego pełnomocnik.

Najtrudniej odpowiedzieć na pytanie, co stanowiło przedmiot negocjacji. Cesarstwo Łacińskie założone przez krzyżowców na Bałkanach w 1204

roku obejmowało niewiele więcej niż sam Konstantynopol. Wskazuje się na możliwość, iż Jan Watatzes chciał uzyskać - i uzyskał - przyzwolenie na realizację swych ambicji i podjęcie próby odzyskania miasta. Ten cel został ostatecznie osiągnięty dopiero po śmierci Jana. Cesarzem, który w 1261 roku odbił Konstantynopol, był nie kto inny jak Michał Paleolog, dwadzieścia lat wcześniej towarzyszący ojcu, Andronikowi, w wyprawie na Cypr.

W istocie państwa krzyżowców były nieprzygotowane do blokowania poczynań Jana Watatzesa przeciwko Cesarstwu Łacińskiemu. Cesarz nie potrzebował ich zgody, ani milczącej, ani otwartej, choć przypuszczalnie chciał gwarancji, że ich potężniejsi patroni w zachodniej Europie nie będą ingerować w jego plany. Jeśli rzeczywiście tak było, wydaje się dziwne, że żaden zapis podobnej strategii nigdy nie ujrzał światła dziennego. Ściśle mówiąc, nie sposób nawet udowodnić, że w ogóle doszło do negocjacji w Limassol. Wiemy jedynie, że główne postacie przebywały jednocześnie w tym samym miejscu. Niedorzecznością byłoby sądzić, iż zjawily się tam w innym celu niż po to, by odbyć poważne rozmowy. Ale rozmowy okrywała i okrywa do dziś nadzwyczajna tajemnica. Nadal możemy się tylko domyślać, czego dotyczyły.

Jednym z najbardziej zagadkowych skutków owych negocjacji był rozpad kilku, zdawałoby się, trwałych sojuszy. Jan Watatzes oskarżył Michała Paleologa o spisek. Mimo że Michałowi udało się formalnie odeprzeć zarzut, incydent nigdy nie doczekał się jasnego wyjaśnienia. Jeśli natomiast chodzi o samego Ryszarda, jego szwagier Szymon de Montfort, hrabia Leicester, który podczas pobytu Ryszarda w Ziemi Świętej pełnił funkcję jego zastępcy i brał udział w negocjacjach w Limasol, później rozpętał w Anglii wojnę domową przeciw Ryszardowi i jego bratu królowi Henrykowi III.

Na głowy uczestników narady okrytej bezprece-

densową tajemnicą spadły rozmaite nieszczęścia, a w ich serca wkradła się nieufność. W marcu roku 1241 Ryszard prawdopodobnie osiągnął apogeum swej sławy i dokonań. Dwa miesiące później opuszczał Ziemię Świętą na zawsze, triumfalnie kończąc służbę namiestnika. Lecz uczucie triumfu nie towarzyszyło mu zbyt długo. Traktat pokojowy wynegocjowany przez niego z sultanem Egiptu miał zostać zerwany w ciągu następnego roku, a templariusze i szpitalnicy wkrótce skoczyli sobie do gardeł.

Wiele tu jeszcze powiemy o szerokiej działalności dyplomatycznej Ryszarda w roku 1241, ale najpierw przenieśmy się w przyszłość do stycznia 1242 roku, gdy wracał do Anglii. Jak się dowiadujemy (Matthew Paris, „Chronica Majora”), tuż po powrocie do Dover wielce przygnębiła go wiadomość, że okręt wysłany przez niego z Akki wiosną poprzedniego roku zatonął podczas sztormu w pobliżu wysp Scilly, tragicznie kończąc rejs prawie u wrót portu. Okrętem dowodził Ralph Valletort, adiutant Ryszarda w Ziemi Świętej, który, jak możemy śmiało przypuszczać, był wtajemniczony w porozumienie, jakie osiągnięto w Limassol, choć można jedynie snuć domysły, czy jego fatalna wyprawa miała z owym porozumieniem jakikolwiek związek.

Zawód miał go również spotkać w przyszłości, gdy w czerwcu 1241 roku Ryszard dotarł na Sycylię i niemal natychmiast został wciągnięty w podejmowane przez cesarza Fryderyka II próby...

Nick przerwał lekturę i cofnął się o kilka linijek do miejsca, w którym wspomniano Ralpha Valletorta. Emily miała rację. Istniał jakiś związek. Jakiś sens. Przez ułamek sekundy Nickowi przemknął przez myśl jakiś ślad, fragment... ulotny jak wspomnienie snu. Po chwili zniknął.

Uznał, że wyobraźnia płata mu figle. Nie potrafił zgłębić prawdy. Nie znał sposobu rozszyfrowania tajemnicy. Jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać bieg wypadków, w który została uwikłana jego rodzina. Szukając Basila, szukał jednocześnie wyjścia, drogi ucieczki dla tych, którzy jeszcze mogli z niej skorzystać.

Minęła ósma - czyli siódma w Anglii. Musiał zadzwonić do Irene. Nie mógł dłużej zwlekać. Schował książkę Drysdale'a do torby wciśniętej do szafy i wyszedł.

Noc była zimna, bezwietrzna i bezksiężycowa. Znad kanałów unosiła się nieprzyjemnie wilgotna mgła. Wenecja - przynajmniej ta jej część, w której był Nick - wyglądała jak umarłe miasto, gdzie niepodzielnie zapanowała cisza i mrok. Szedł szybkim krokiem przez puste *calle*, zatrzymując się tylko po to, by sprawdzić drogę na mapie. Zbliżając się do Strada Nova, dostrzegł kilku innych przechodniów. Skręcivszy zaledwie parę razy w niewłaściwe uliczki, dotarł na *campo*, gdzie stał rząd automatów telefonicznych, które wcześniej mijał.

Gdy podchodził do telefonów z kartą w rękę, jeden z aparatów zaczął dzwonić. Nick przystanął, wpatrując się w automat i słuchając natarczywego dzwonka, którego hałas zwielokrotniały mury domów otaczających *campo*. Minęła go jakaś para, zerkając ciekawie na telefon, a potem na Nicka. Dzwonienie nie ustawało.

Nick zbliżył się i podniósł słuchawkę.

- Tak? - spytał ochryple.

- Idź na wschód cały czas Strada Nova - powiedział nieznanym głosem. - Skręć w prawo w Calle Palmarana. Dojdź do kanału. Będzie na ciebie czekała taksówka wodna.

- Zaraz. Kto...

- Masz pięć minut.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Nick czujnie popatrzył na cienie zalegające na *campo*. Nie zauważył żadnego ruchu. Przez minutę strach walczył w nim z ciekawością. Wreszcie odłożył słuchawkę i ruszył na wschód.

Taksówka wodna czekała na niego tam, gdzie zapowiedział mu głos w telefonie - przycumowana na końcu *calle* i z włączonym silnikiem, mruczącym na wolnych obrotach. Gdy Nick podchodził, pilot uniósł głowę i wrzucił niedopałek papierosa do Canale Grande.

- Signor Paleologus?

- Tak.

- *Prego*. - Mężczyzna podał mu rękę. Nick zawahał się przez moment. Czy to był naprawdę dobry pomysł? Nie, twierdził uparcie przezorny głos rozsądku. Ale czy miał inny pomysł? Wskoczył na pokład i wszedł do kabiny.

Pilot zdjął cumę i ruszył w górę Canale Grande, tam skąd Nick przyszedł. Po kilku minutach dotarli do przystani Ca' d'Oro, gdzie Nick wcześniej wysiadł z tramwaju wodnego. Przy pontonie nie było *vaporetto*, ale kiedy dopływali do przystanku, jakaś postać podeszła do nabrzeża. Taksówka zwolniła, by człowiek mógł wskoczyć. Znaleźli się teraz bliżej rzędu automatów telefonicznych niż w chwili, gdy Nick wsiadał do taksówki. Jeżeli człowiek, który rozmawiał z nim przez telefon, był niedaleko i obserwował go, miał dość czasu, by dojść do przystani - i dosiąść się do niego.

- Cześć - powiedział przybysz, zamykając za sobą drzwi kabiny i rzucając na podłogę wypchaną torbę podróżną, podczas gdy taksówka odbiła od brzegu i popruła w górę kanału. Był to niski, korpulentny mężczyzna ubrany w cienki płaszcz przeciwdeszczowy, workowaty lniany garnitur oraz sweter krykiecisty. Nieogolony podbródek zlewał się z wałkiem tuszczu wokół szyi, rozpychając postrzępiony kołnierzyk koszuli. Mokre od deszczu lub potu włosy lepiły mu się do czaszki. Miał szarozielone rozbiegane oczy, a gdy się uśmiechnął, rozchylając wilgotne usta, oczom Nicka ukazał się obszar kłęski ortodontycznej. - Nick Paleologus?

- Tak.

- Jestem Fergy Balaskas. - Niezręcznie usiadł na obitej kremową skórą ławeczce naprzeciw niego i wyciągnął szeroką, drżącą dłoń, którą Nick niechętnie uściśnął.

- Dokąd płyniemy, panie Balaskas?
- Na lotnisko. To znaczy ja płynę na lotnisko. A ty płyniesz dla towarzystwa. Bo wrócisz tą samą taksówką. Trasa tam i z powrotem będzie cię kosztować czterysta tysięcy lirów, ale co tam. Tak w ogóle to nigdzie nie lecę. Tyle że na lotnisku mogę sobie wybrać następny środek transportu. Autobus, taksówka, *motoscafo*: wystarczający wybór, żebyś nie zgał. Ani ty, ani nikt inny, kogo by to interesowało.

- Co mnie może obchodzić, dokąd się pan wybiera?
- Nic. Ale jeśli nie wiesz, nikomu nie powiesz. A ty jesteś jak zapchlony pies, Nick. Nie chcę nic od ciebie złapać.

- O czym pan mówi?
- O środkach ostrożności, chłopie. Sam powinieneś to wypróbować.

- Ta komedia z telefonem też miała być jednym z tych środków ostrożności?

- Tak. Dzięki temu możemy sobie uciąć pogawędkę z dala od oczu i uszu innych. Przy okazji, rozumiem, że dostałeś książkę. Pasjonująca rzecz, nie?

- Kim pan właściwie jest?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Balaskas wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał mu. Nick zbliżył ją do lampy w kabinie, by ją przeczytać. „F. C. Balaskas, Usługi detektywistyczne i odzyskiwanie długów, 217a Leoforos Archiepiskopou Leontiou, Limassol, Cypr”.

- To pana wynajął Jonathan Braybourne, żeby sprawdzić Demetriusa Paleologa?

- Nie inaczej.

- Nie mówi pan jak Cypryjczyk.

- Bo nie jestem Cypryjczykiem. Mój ojciec był, w każdym calu. Ale zaraz po wojnie wyemigrował do Anglii i ożenił się z londynką. Jakies dwadzieścia lat temu miałem drobny kryzys zawodowy i wyjechałem na Cypr odwiedzić krewnych i posiedzieć na słonku, ale zauważyłem, że w środowisku moich rodaków na obczyźnie otwiera się szansa na pracę dla tajniaka, i zostałem. Odtąd dzięki ich długom i rozwodom

mam dość roboty. Żałuję, że przy tym nie zostałem i nie poradziłem Braybourne'owi, żeby sobie wsadził swoje teorie spiskowe, ale po szkodzie każdy jest mądry, nie? Na pewno sam oglądasz się za siebie i próbujesz zgadnąć, w którym miejscu skręciłeś w złą drogę.

- To pan zostawił mi paczkę u Luigiego?

- Tak. Dał mi cynk, że się pojawiłeś, dlatego podrzuciłem książkę, żebyśmy mieli, że tak powiem, układ odniesienia dla naszej *conversazione*. Przyjechałeś znaleźć brata? Może potrafię naprowadzić cię na właściwy trop. Poznałem go kilka dni temu. Zabawny gość. Też pokazałem mu książkę. Nawiasem mówiąc, możesz ją sobie zatrzymać. Nie będę się domagał zwrotu.

- Jak pan poznał Basila?

- Miałem oko na Palazzo Falcetto, kiedy się tam zjawił w sobotę. Poszedłem za nim aż do Zampogna, sprawdziłem, a następnego... przedstawiłem się i, hm, wymieniliśmy spostrzeżenia.

- Na jaki temat?

- Wyluzuj się, Nick. Gramy w tej samej drużynie. No, może grzejemy tę samą ławkę rezerwowych. Jonathan Braybourne wynajął mnie, żebym się dowiedział, od kogo pochodziły pieniądze z cypryjskiego banku, które dostawała jego nieżyjąca matka. No to się dowiedziałem: płacił Demetrius Andronicus Paleologus, podczas wojny przebywający na Cyprze, później hotelarz i samotnik mieszkający na stałe w Wenecji. Zacząłem grzebać w jego sprawach, tymczasem staruszek umarł. Ale Demetrius Constantine Paleologus, jego syn, podejrzany biznesmen, jest w całkiem niezłej formie. Na dowód mam parę siniaków, a Braybourne - nagrobek na cmentarzu w Sutton Coldfield. Kiedy mi klient odwała kite, zaczynam się denerwować. W tym wypadku nie bez powodu. Jakiś czas temu ktoś mi zaczął deptać po piętach w Limassol. Właściwie kilku ktosiów. Musiałem wiać. A to niełatwe dla faceta w moim wieku, który na dodatek nie należy do szybkobiegaczy. Wygląda na to, że dowiedziałem się o Demetriusie starszym dużo więcej, niż jego syn chciałby komukolwiek zdradzić. Przypuszczam, że Braybourne dowiedział

się jeszcze więcej, dlatego skoczył na główkę do kanału.

- Sądzi pan, że Demetrius młodszy kazał zabić Jonathana Braybourne'a?

- Sądzę, że to hipoteza, nad którą warto popracować. Ja pracuję.

- Powiedział pan o tym Basilowi?

- Oczywiście. Moim zdaniem zrobiło to na nim mniejsze wrażenie, niż powinno. Miał własny program działania. Pewnie masz taki sam i nie przypuszczam, żebyś chętniej od niego zdradził, o co w nim chodzi. Ale bywam domyślny. I nieźle, a nawet biegle znam grekę. Nazwisko Paleologus to złożenie dwóch greckich słów. *Palaios*: starożytny. *Logos*: słowo. Może więc nie powinno być w tym nic dziwnego, że Paleologusy skrywają dawne tajemnice.

- Jakie tajemnice?

- Nie bądź taki skromny, Nick. Wycinek z gazety o Nardinim dał do myślenia twojemu bratu, ale nie aż tak, żeby poważnie potraktował groźbę. Nie popełniaj tego samego błędu. Z tym wszystkim jest powiązana twoja rodzina. Jeżeli nie wiesz jak, to ja tym bardziej. Wiem tylko, że ośmioczęściowy wenecki portolan z tysiąc trzysta czterdziestego pierwszego roku, sprzedany na aukcji w Genewie w listopadzie zeszłego roku, pokazywał podobno szczegóły nawigacyjne wybrzeża Ameryki Północnej - ponad sto pięćdziesiąt lat przedtem, jak Kolumb wyruszył w morze. A więc to autentyczny albo fałszywy zapis nieznanego kawałka historii. Legenda głosi, że Antonio Zeno, kupiec wenecki, około tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego roku popłynął do Nowej Szkocji w towarzystwie szkockiego szlachcica, Henry'ego St. Claira, hrabiego Orkney, tak więc kto wie...

- Powiedział pan, St. Claira?

- Brzmi znajomo, co?

Brzmiało bardzo znajomo, lecz nie układało się w logiczną całość.

- Do czego pan zmierza, panie Balaskas?

- Do prawdy, stary. Masz rację. Zmierzam, ale do niej nie

dochodzę. Drysdale zakończył przedmowę do „Po lewicy króla”, dopisując pod nazwiskiem swój adres: Roslin, Lothian. A zamek Rosslyn to rodowa siedziba St. Clairów. Jeżeli sześćset lat temu jeden z St. Clairów popłynął do Nowej Szkocji z Antonio Zenem; portolan, o którym właśnie mówimy, cholernie by im się przydał. Nardini pośredniczył w tej transakcji, reprezentując anonimowego klienta, i nie ma już szans, żeby nam wyjawiał jego nazwisko. Ale najdziwniejszy jest inny fakt. Pół roku przed sprzedażą portolanu do Wenecji przyjechał Jonathan Braybourne z książką Drysdale'a w torbie. Też pożegnał się z życiem. Kiedy żona odbierała jego rzeczy, była wśród nich książka, którą później przekazała mnie. W środku między stronami - w tym samym miejscu, które zaznaczyłem dla ciebie - tkwiła wizytówka Nardiniego.

- Zaraz. Książkę dała panu żona Braybourne'a? - Nicka zaczynały ogarniać coraz poważniejsze wątpliwości. Od chwili gdy odkrył, że Demetrius Andronicus Paleologus nie żyje, nie mógł pojąć, dlaczego Emily nie wiedziała, iż Demetrius, z którym jej brat chciał się spotkać w Wenecji, nie jest tym samym Demetriusem, którego podobno w czasie wojny spotkał na Cyprze ich ojciec. Wspominała także, że znalazła „Po lewicy króla” wśród rzeczy Jonathana. Emily - nie jego żona. Coś tu było nie tak. Coś się ze sobą nie zgadzało. - Kiedy to się stało?

- Na początku stycznia. Zaraz po morderstwie Nardiniego. Właśnie wtedy zrobiło się wokół mnie gorąco w Limassol. Zbieg okoliczności? Nie sądzę. Ktoś postanowił wykupić sobie drogą polisę ubezpieczeniową. Nardini i ja byliśmy częścią składki. Mówiłem twojemu bratu...

- A siostra Braybourne'a?

- Siostra?

- Tak. Emily Braybourne.

Balaskas przez chwilę patrzył obojętnie na Nicka, a potem zmarszczył brwi.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

Rozdział 22

Taksówka wodna mknęła przez spowitą mrokiem tafłę laguny. Zerkając przez okno kabiny, Nick dostrzegł w oddali światła. Pewnie lotnisko, pomyślał. Pociągnął jeszcze jeden łyk whisky z piersiówki, po czym oddał ją Balaskasowi.

- Dzięki.
- Nie ma sprawy, chłopie. Chyba tego ci było trzeba.
- To przez kołysanie. Po prostu zrobiło mi się niedobrze.
- Tak? Na szok też nieźle robi. A coś mi się zdaje, że właśnie przeżyłeś coś takiego. Jeżeli twierdzisz, że Emily Braybourne faktycznie zrobiła takie zamieszanie na posiedzeniu sądu, to mogę tylko przypuszczać, że zaraz potem postanowiła dać sobie spokój z protestami i dać nogę do Stanów, bo jej szwagierka nie pisnęła o niej ani słowem. Jasne, że najrozsądniejsze wyjście to ucieczka. Wystarczy popatrzeć na moje ostatnie doświadczenia. Może ta kobieta, z którą rozmawiałeś, po prostu podawała się za Emily Braybourne. Wziąłeś pod uwagę taką możliwość?

- Teraz biorę.
- Wy płynęliśmy na nieznaną wodę, Nick. Tu trzeba nabrać powietrza i pruć kraulem do brzegu. Ja w każdym razie zamierzam tak zrobić. I tobie radzę to samo.

- Nie mogę. Muszę znaleźć Basila.

- Życzę szczęścia. Myślę, że będziesz go potrzebował. Ostrzegalem go, żeby zostawił Demetriusa w spokoju. Ale chyba mnie nie posłuchał.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- W poniedziałek. Kiedy oddawał mi książkę Drysdale'a. Umówiliśmy się na spotkanie na *vaporetto* czterdzieści dwa - to jeden z tych pływających okrężną trasą. Powiedziałem mu o Demetriusie tyle, ile odważyłem się zdradzić, czyli wszystko, co wiedziałem.

- Wobec tego niech mi pan także powie.

- Zgoda. Demetrius starszy był kryształowo uczciwym potomkiem szlchetnego rodu. Demetrius młodszy jest z zupełnie innej gliny. Na Cyprze uznano go za *persona non grata*, bo jest podejrzany o udział w praniu pieniędzy za granicą. Hotele, które odziedziczył po ojcu, zostały zamknięte, dopóki nie odpowie na zarzuty. Zajęto jego cały majątek na Cyprze.

- Boże.

- Znalazł się w dołku finansowym, Nick. Zresztą nie tylko przez grecki rząd na Cyprze. Turcy cypryjscy też nie są z niego zadowoleni. Krążą plotki, że ma jakieś związki z włoską mafią. Z której strony spojrzeć, z facetem są same problemy. Tamten podejrzany portolan nie był jedynym skarbem kartograficznym, jaki Nardini sprzedał w zeszłym roku. Ani nawet najcenniejszym. Wydaje mi się, że Demetrius wykorzystał Nardiniego, żeby upłynnić część albo całość należącej do jego ojca kolekcji zabytkowych map i atlasów. Potrzebował pieniędzy, by wierzyciele nie dobrali mu się do skóry. A jego wierzyciele należą do tych, którzy jeśli nie dostaną gotówki, są gotowi odebrać dług w naturze. Demetrius ma willę na Lido strzeżoną przez zbirów, jakich mógłbyś zobaczyć przed rezydencją jakiegoś łatynoskiego dyktatora żyjącego na wygnaniu. Gość ma kłopoty i sam może cię wpędzić w kłopoty. Z takim lepiej nie robić żadnych interesów. Wytłumaczyłem to twojemu bratu. Bardzo jasno.

- I co powiedział?

- Podziękował mi za informacje. Podał mi rękę. Potem

wysiadłem z *vaporetto*. On został na pokładzie. Płynął na San Michele - wyspę cementarną. Powiedział, że chce popatrzyć na grób Demetriusa starszego. I tyle. Tak się rozeszły nasze drogi. Od tego czasu o twoim bracie ani widu, ani sły-
chu.

- Kiedy rozmawiałem z Demetriusem, był przemity. I chętnie zgodził się pomóc.

- Zwodzi cię, Nick. Nie ufaj mu.

- Co pana zdaniem stało się z Basilem?

- Moim zdaniem Demetrius mógłby ci od razu odpowiedzieć na to pytanie, gdyby miał ochotę. Ja mogę tylko stawić hipotezy.

- Słucham.

- Lepiej mnie o to nie proś.

- Ale proszę.

- Nie. - Balaskas utkwiał w nim stanowcze spojrzenie. - Uwierz mi. Lepiej nie.

Były to prawie ostatnie słowa, jakie powiedział do Nicka Balaskas, zanim wysiadł na pomoście przy lotnisku Marco Polo i poszedł w kierunku przystanków autobusowych i rzędu taksówek stojących przed budynkiem terminalu. Jego lewe ramię ugięło się pod ciężarem torby podróżnej i sprawiał wrażenie, jak gdyby utykał. Nie obejrzał się za siebie.

- Powiedział, że pan płaci - warknął pilot.

Nick podał mu zwitek lirów.

- Fondamente dell'Abbazia?

Pilot uważnie obejrzał banknoty, po czym skinął głową.

- Dobrze.

Z tego, co mówił Balaskas, niekoniecznie wynikało, że Emily skłamała. Wcale nie musiała być oszustką. Przypuszczalnie po prostu poprosiła szwagierkę, aby nie wspominała o niej osobom trzecim. Nick w żaden sposób nie potrafił natomiast pojąć, dlaczego nie wyjaśniła nieporozumienia co do tożsamości Demetriusa Paleologa. Taksówka pędziła z

powrotem przez lagunę, podskakując na falach, a Nick wpatrywał się w swoje żółtawe odbicie w oknie kabiny, uświadamiając sobie, że przyczyną drżenia rąk i trzepotu serca w piersi nie są wcale wibracje kadłuba. Nikomu nie można było ufać. W nic nie można było wierzyć. Za każdym oszustwem czaiło się następne. Tajemnica polegała na tym, że nie było tajemnicy. To także było kłamstwo. Nick ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy.

Tego wieczoru nie zadzwonił już do Irene. W barze niedaleko hotelu Zampogna - ale nie tak blisko usytuowanym jak knajpa Luigiego - uspokoił wir myśli dużą ilością grappy. Potem ogarnęło go obezwładniające znużenie. Zasnął głęboko w wąskim łóżku, gdzie przedtem spał jego brat, a po przebudzeniu uprzytomnił sobie, że śnił mu się ojciec. Nie pamiętał jednak, co staruszek mówił ani robił. Wszystko odeszło razem z nim, na zawsze znikając w mogile.

Wstał pogodny, niemal wiosenny ranek. Nick poszedł na wschód do Fondamente Nuove, gdzie w barze zjadł coś w rodzaju śniadania, spoglądając przez lagunę na Isola di San Michele - wyspę cmentarną, na którą przed trzema dniami popłynął Basil, pożegnawszy się z Balaskasem. Ponad terakotowym murem cmentarza Nick widział jedynie zieloną gęstwinę rosnących w rzędach cyprysów. Ale w ich cieniu ciągnęły się szeregi grobów. Jeden z nich należał do Demetriusa Andronicusa Paleologusa. Taka była prosta rzeczywistość śmierci.

Nick postanowił już, co zrobi. Wróci do konsulatu i poprosi Brooksa, by w jego imieniu skontaktował się z policją, która mogła zrobić dla Basila więcej niż on. Była jego jedyną nadzieją. Z Irene porozmawia później, gdy będzie dysponował jakimikolwiek konkretnymi informacjami. Siostra zażąda wyjaśnień, których nie potrafiłby udzielić, gdyby teraz do niej zadzwonił. Poza tym w Angui była dopiero ósma. Irene prawdopodobnie jeszcze spała. Uśmiechnął się do siebie,

przyznając, że nawet jeżeli nie potrafi znaleźć niczego innego, zawsze potrafi znaleźć wymówkę.

Ale niektóre wymówki mają swe dobre i złe strony. Konsulat był jeszcze zamknięty. Nick wyszedł z baru, skierował się na przystań *vaporetto* i przestudiował rozkłady jazdy. Za kilka minut odchodził tramwaj wodny na San Michele. Kupił bilet i czekał, patrząc na pozostałych ludzi na pomoście i zastanawiając się, czy któryś z nich może go śledzić. Balaskas wzbudził w nim przekonanie, że depczą mu po piętach na każdym kroku. Być może rzeczywiście tak było. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Ujawnią się sami, jeśli zechcą. Dopóki to nie nastąpi, jest bezradny. Ale odtworzy ostatnią podróż Basila, o jakiej wiedział.

Vaporetto płynął na wyspę Murano. Wkrótce okazało się, że zmierzają tam wszyscy pasażerowie z wyjątkiem Nicka i pewnej nienagannie ubranej staruszki dźwigającej duży bukiet kwiatów opakowany w celofan. Tylko oni dwoje wysiedli na przystani Cimitero.

Nick podążył za staruszką przez sklepione przejście prowadzące na teren cmentarza. Groby ciągnęły się aż do muru, przedzielone prostymi alejkami, które były wysypane równo zagrabionym żwirem. Wzdłuż nich, jak gdyby na baczność, stały cyprysy rosnące w regularnych odstępach. Staruszka bez wahania ruszyła przed siebie i po chwili zniknęła między nagrobkami. Wiedziała, dokąd zmierza.

Nick nie zastanawiał się wcześniej, jak znajdzie grób Demetriusa Paleologusa. Dostrzegłszy tabliczkę wskazującą drogę do biura cmentarza, cofnął się do krużganków otaczających kościół San Michele. Biuro właśnie otwierano. Pracownik obsługi całkiem niezłe mówił po angielsku i ku zdziwieniu Nicka skojarzył nazwisko Paleologus. Podał Nickowi plan cmentarza, pokazując mu część oznaczoną na mapce „Ree. Greco”.

- Był prawosławnym, tak? Tu go pan znajdzie. Nagrobek jest od niedawna.

Prawosławny? Ależ tak, oczywiście. Stary Demetrius zachował wiarę bizantyjskich przodków. Spoglądając po drodze na mapkę, Nick minął budynek krematorium i ruszył w kierunku dwóch odgrodzonych murem części cmentarza. Jedna z nich była przeznaczona dla protestantów, druga dla tych, którzy za życia uznawali autorytet patriarchy Konstantynopola, dzięki czemu po śmierci przyznano im odrobinę luksusowej prywatności.

Strzałki na mapce wskazywały miejsca ostatniego spoczynku dwóch rosyjskich prawosławnych znakomitości, Diagilewa i Strawińskiego. Żaden nie interesował Nicka, który kluczył między grobami, szukając nowego nagrobka. Słońce zaczęło przygrzewać, a wysokie mury zatrzymywały ciepło. Gdzieś gruchał gołąb. Upamiętnione tu dusze zdawały się zażywać całkowitego spokoju.

Wreszcie odnalazł nazwisko, które napisano z grecka: PALAIOLOGOS. Gdy cień Nicka padł na nagrobek, z kamienia pierzchnęła jaszczurka.

QUI RIPOSANO
DIMITRIOS ANDRONIKOS PALAIOLOGOS
NATO IL 2 FEBB 1908 MORTO IL 24 MAR 2000
E LA CONSORTE
GIULIA AGOSTINI PALAIOLOGOS
NATA IL 11 LUG 1914 MORTA IL 22 AGOS 1986

Odczytawszy inskrypcję, Nick zauważył wyrzeźbionego ponad nią dwugłowego orła Bizancjum, takiego samego jak na grobie jego dziadków w Landulph. Widocznie żadnemu Paleologusowi nie pozwolono wyrzec się przeszłości.

Gdy Nick patrzył na pieczołowicie wyryte daty narodzin i śmierci swego kuzyna, nagle przyszła mu do głowy pełna otuchy myśl - w chwili i w miejscu, gdzie nie spodziewał się znaleźć żadnej nadziei. Emily, czytając raport Balaskasa, który na pewno znalazł się wśród rzeczy jej brata, wcale nie musiała wiedzieć, że bohater raportu nie żyje. Jonathan

Braybourne dowiedział się o tym prawdopodobnie krótko przed własną śmiercią. Możliwe - tak, naprawdę bardzo możliwe - że Emily do dziś nie zdawała sobie sprawy, że istnieje młodszy, bardziej bezwzględny i potencjalnie niebezpieczniejszy Demetrius Paleologus, na którego należy uważać. Może jednak wcale nie oszukała Nicka.

Jego cień wydłużył się nagle, zasłaniając wyryte w kamieniu nazwiska i daty. Nick odwrócił się i drgnął zaskoczony na widok człowieka, o którym właśnie myślał; Demetriusa Constantine'a Paleologusa, który uśmiechnął się do niego.

- Co za zbieg okoliczności, kuzynie.
- Rzeczywiście.
- Kiedy wczoraj rozmawialiśmy, przypomniałem sobie, że dawno tu nie zaglądałem. A ciebie co tu przywiodło?
- Przypuszczam, że ciekawość.
- Może chciałeś zobaczyć grób na własne oczy, żeby mi uwierzyć.

- Nie, tylko...
- Mnie też czasem trudno uwierzyć, że ojciec nie żyje. Owszem, był stary i szykował się na śmierć. A jednak czasami łapię się na tym, że spodziewam się usłyszeć jego głos, zobaczyć oczy. W *palazzo*, kiedy robotnicy już wyjdą i robi się ciemno... - Demetrius wzruszył ramionami. - Wiesz, o czym mówię?

- Tak, wiem.
- Dziś rano rozmawiałem z Brunonem. Przypomina sobie spotkanie z twoim bratem. Ale to wszystko. Na niewiele ci się to przyda, prawda?

- Chyba nie.
- Sprawdzę inne źródła, co może potrwać trochę dłużej. Musisz być cierpliwy.

- Postaram się.
- To dobrze.
- Lepiej już pójdę. Pewnie chcesz zostać sam.
- Nie musisz odchodzić. Przyplynałeś *vaporetto*?
- Tak.

- Możesz wrócić ze mną moją motorówką. Tylko chwilę zaczekaj. Tymczasem obejrzyj sobie grobowiec rodzinny. - Demetrius wskazał oplecione bluszczem mauzoleum z szarego kamienia, stojące niedaleko przeciwległego muru prawosławnej części cmentarza. - Moja matka nie chciała tam być pochowana. Tak więc ojciec leży z nią tutaj. Ale jego ojciec i wielu ojców żyjących przed jego ojcem spoczywa w grobowcu Paleologusów.

Nick oddalił się wolno, a Demetrius został przy grobie rodziców, stojąc z pochyloną głową. Nick nie był już pewien, czy jego niepokój ma jakieś racjonalne podstawy. Zdaniem Balaskasa Demetrius był niebezpieczny. Ale czy rzeczywiście?

Nick dotarł do grobowca. Na frontonie nad zamkniętymi na kłódkę stalowymi drzwiami widniało wyryte greckimi literami nazwisko Paleologów: ΠΑΛΑΙΟΛΟΓΟΣ. W tych murach zostały zebrane kości „wielu ojców żyjących przed jego ojcem”. Nick nigdy dotąd nie czuł się tak blisko pokoleń zmarłych przodków. Proch, w jaki się obrócili, zdawał się unosić w złudnie ciepłym powietrzu.

- Gdzie jesteś, Basil? - odezwał się półgłosem. - Co się z tobą stało?

Wrócił pamięcią do ostatniej rozmowy, jaką w niedzielę rano odbył z bratem. Basil był już wówczas po spotkaniu z Brunonem Stamatim. Jakie było prawdopodobieństwo, że w trakcie tego spotkania nie okazało się, iż właściciel Palazzo Falchetto jest o wiele za młody, by móc znać ich ojca podczas wojny?

Odwrociwszy się, Nick ujrzał Demetriusa zdążającego w jego kierunku. Zamiast prochowca miał dziś na sobie lekki kaszmirowy płaszcz, który podkreślał jego dumny krok. Demetrius uśmiechał się, lecz nie sposób było zobaczyć, czy uśmiech odbija się także w jego oczach, które zasłaniały przyciemniane szkła okularów.

- Gdyby zmarli mogli mówić, co? - powiedział. - Ile tajemnic mogliby nam zdradzić?

- Może powiedzieliby nam, czy naprawdę istnieje niebo i piekło.

- I Bóg, i szatan, którzy stoją na ich czele. Tak, to byłaby użyteczna informacja.
- A może największa tajemnica polega na tym, że nie ma tajemnicy.
- Nie ma tajemnicy? - Demetrius zachichotał. - To by dopiero było rozczarowanie.
- Życie jest pełne rozczarowań. Czemu nie śmierć?
- Właśnie, czemu nie? Choć jeśli o mnie chodzi, nie doświadczam częstych rozczarowań.
- Masz szczęście.
- Rzeczywiście. Ale szczęście to co innego niż okazja. O pierwsze musisz się postarać, z drugiej skorzystać. - Demetrius rozpromienił się w jeszcze szerszym uśmiechu, ukazując białe zęby błyszczące w słońcu jaśniej od marmuru. - Idziemy?

Przeszli do głównej części cmentarza i ruszyli główną aleją wysadzaną cyprysami w stronę przeciwną do tej, po której znajdował się kościół i przystań *vaporetto*. Aleja kończyła się wysoką ozdobną bramą, przez którą wychodziło się poza mur cmentarza. Nick dostrzegł jakiegoś mężczyznę opierającego się o pręty bramy. Był ubrany w ciemny sportowy strój i zdawał się ich obserwować.

- My, prawosławni, mamy szczęście - odezwał się Demetrius, przerywając kilkuminutowe milczenie. - Ze względu na ograniczoną przestrzeń na San Michele katolicy są ekshumowani dziesięć lat po pogrzebie i przenoszeni na wspólne miejsce pochówku. Taki los na pewno nie spotka Paleologów. Pozostaniemy... na zawsze.
- Dobrze wiedzieć.
- Cieszę się, że tak sądzisz, chociaż oczywiście w ostatecznym rozrachunku to zupełnie nieistotne, co się stanie z ciałem.
- Nieistotne?
- Owszem. - Demetrius spojrzał na Nicka z ukosa. - Zajrzałeś wcześniej do części protestanckiej?
- Nie.
- Jest tam pochowany poeta Ezra Pound. *Il miglior*

fabbro, jak mówił o nim Eliot. Napisał kiedyś: „To co najbardziej kochasz - pozostanie. Reszta to śmieci”*

* Pieśń LXXXI w przekładzie Andrzeja Szuby (przyp, tłum.)

Wierzysz w to?

- Częściowo.

- Którą część masz na myśli?

- Śmieci, kuzynie. Śmieci. - Demetrius spojrzął przed siebie i uniósł rękę, palcem wskazującym dając znak mężczyźnie przy bramie. Ciemno ubrany człowiek wyprostował się i gdy zaczęli wchodzić po schodach, uchylił skrzydło bramy. - Jadę do swojej willi na Lido. Może masz ochotę mi towarzyszyć? Później prosto z lotniska przyjedzie tam Bruno. Pomyślałem, że zechcesz porozmawiać z nim osobiście.

Wyszli przez bramę na pomost. Czekala tam na nich elegancka motorówka Demetriusa, prawdziwa wodna limuzyna o lśniących miodowych deskach pokładu i błyszcząca od chromu, której silnik mruczał jak pantera. Pilot zerknął na nich zza lustrzanych okularów. Był opalony i muskularny, podobnie jak jego kompan, i Nick zaczął się zastanawiać, czy tak właśnie wyglądają „zbiry” pilnujące willi Demetriusa. Usłyszał brzęk zamykanej bramy i uświadomił sobie, że zaproszenie do domu kuzyna jest za dogodną okazją, by ją przepuścić, i jednocześnie zbyt dużym ryzykiem, by je podjąć. Jak to powiedział Demetrius? „O pierwsze musisz się postarać, z drugiej skorzystać”. Ale w tym wypadku dla kogo miało to być szczęście - a dla kogo okazja?

- Ładny statek, co?

- Bardzo.

- Wobec tego zapraszam na pokład. Pokażemy ci, co potrafi.

Nick wahał się tylko przez ułamek sekundy.

Pilot pomógł mu zejść z pomostu do łodzi. Zaraz potem wsiedli Demetrius i mężczyzna w ciemnym stroju. Zdjęto cumę, zagrał silnik, po czym motorówka żwawo odbiła od brzegu

Mknęli na Lido, tnąc fale laguny z zawrotną prędkością. Pęd chłodnego powietrza wkrótce zmusił Nicka i jego kuzyna do zejścia do kabiny. Demetrius niedbale rzucił płaszcz w kąt, spoglądając z dumą na spieniony kilwater. Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy - ledwie słyszalnie, jak się zdawało Nickowi - i nastąpiła rozmowa, w której udział Demetriusa ograniczał się jedynie do powtarzanego w regularnych odstępach *Si*, urozmaicanego od czasu do czasu krótkim *Subito* lub *Senz'altro*.

Kiedy kuzyn zakończył rozmowę, łódź zbliżała się do długiego, niskiego brzegu po zachodniej stronie Lido. Pilot zdławił silnik, sterując w kierunku wąskiego ujścia kanału. Nad samym brzegiem laguny po obu stronach kanału ciągnął się szereg willi krytych terakotowym dachem, ukrytych za wysokimi murami i tonących w zieleni.

Demetrius wyprowadził Nicka z kabiny i pokazał mu willę stojącą dalej na lewym brzegu kanału.

- Moja - oznajmił. Dom był większy i surowszy od sąsiednich budynków, z prostą kremową elewacją, raczej skromny i bezpretensjonalny. Taras z kolumnadą oplatało dzikie wino wspinające się po ścianie domu od strony laguny. Kominy stanowiły dwudziestowieczną wersję średniowiecznych *fumaioli*, jakie Nick widział w całej Wenecji. Był to jedyny wenecki akcent w wyglądzie domu. Poza tym patrzył na typową, niczym szczególnym niewyróżniającą się letnią rezydencję. I chyba niezbyt często odwiedzaną przez właściciela, sądząc po liczbie zamkniętych na głucho okiennic.

Niedaleko ujścia kanału znajdował się pomost. Pilot przybił do niego i przycumował łódź. Nick i Demetrius wysiedli; Demetrius ruszył przodem, prowadząc kuzyna przez bramę z kutego żelaza, zwirową ścieżką wokół niewielkiej kępy drzew na podjazd biegnący od strony lądu. Na szerokim podwórzu przed domem stała srebrna lancia, a obok niej ciemnoczerwona furgonetka.

Kiedy się zbliżali, uchyliły się drzwi wejściowe. Ukazał się za nimi mężczyzna łudzaco podobny do pilota i jego

towarzysza, lecz bardziej elegancko ubrany. Przytrzymał drzwi, nieznacznym skinieniem głowy wyrażając swoje uszanowanie najpierw Demetriusowi, potem Nickowi. Weszli do pustego, chłodnego korytarza i skierowali się do przestronnego salonu, którego oszklone drzwi wychodziły na taras. Za kolumnadą widać było wypielegnowany trawnik i przykryty basen, obok którego stały czekające na lato, zasłonięte pokrowcami leżaki, a w oddali połyskiwało morze.

Salon był kosztownie urządzone i utrzymany w stylu art déco. Meble z jasnej skóry i zdobionego ekstrawaganckim fornirem drewna modnie kontrastowały z nowoczesnym szerokoekranowym telewizorem i wieżą hi-fi. Na lekkim podwyższeniu w głębi pokoju stał fortepian.

- Rozgość się - rzekł Demetrius. - Napijesz się kawy? A może czegoś mocniejszego?

- Kawy - chętnie.

- Wobec tego ja też. - Demetrius wycofał się do korytarza i zamienił kilka słów z mężczyzną, który ich wpuścił, zwracając się do niego „Mario”. Gdy wrócił do salonu, usiadł w jednym ze skórzanych pastelowych foteli i gestem zaprosił Nicka, by zajął miejsce naprzeciwko.

- Kiedy spodziewasz się Brunona?

- Niebawem, niebawem. Tymczasem mamy sporo spraw do omówienia.

- Tak?

- Naturalnie. Najpierw muszę ci podziękować, Nicholasie. Naprawdę jestem ci szczerze wdzięczny.

- Za co?

- Za to, że tu przyjechałeś.

- To żaden kłopot.

- Rzeczywiście. Ale mógłby być. Mógłbyś stwarzać poważne trudności. A tak... - Demetrius uśmiechnął się. - Proszę bardzo, jesteś.

- Dlaczego miałbym stwarzać trudności?

- Nieważne, skoro tego nie zrobiłeś.

- Chyba czegoś tu nie rozumiem, prawda?

- Przypuszczalnie.

Potem zapadła cisza, ponieważ wszedł Mario, niosąc lakierowaną tacę, na której spoczywały dwie filiżanki kawy, dzbanuszek ze śmietanką i cukiernica. Postawił tacę i wyszedł bez słowa. Demetrius posłodził kawę i wolno zamieszał.

- Kazałem cię śledzić, Nicholasie. Powinieneś się domyślić. Poza kilkoma godzinami wczoraj wieczorem, gdy udało ci się wymknąć moim ludziom, od chwili przyjazdu każdy twój ruch jest uważnie obserwowany.

Nasze poranne spotkanie na San Michele nie było przyawkowe.

Demetrius mówił tym samym przyjaznym tonem, którym posługiwał się w ich dotychczasowych rozmowach, i Nick przez chwilę miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Co?

- Chyba słyszałeś. Nawiasem mówiąc, gdzie byłeś wczoraj wieczorem? Chętnie bym się dowiedział.

- Kazałeś mnie... śledzić?

- Tak.

- Po co?

- Żeby mieć pewność, że nigdzie nie zbłądzisz. To bardzo uprzejmie z twojej strony, że potem wróciłeś do Zampogna. Uprzejmie i... dość głupio, jeśli można tak rzec.

- Posłuchaj... - Nick zaczął wstawać.

- Usiądź, Nicholasie. Chciałbym ci coś pokazać. - Demetrius wziął ze stolika pilota, skierował w stronę telewizora i wcisnął przycisk. Ekran rozbłysnął.

Nick znieruchomiał, nie zdążywszy wstać, wpatrując się w odrobinę zamglony czarno-biały obraz. Z ekranu patrzył na niego Basil. Siedział na krześle z twardym oparciem pośrodku najwyraźniej pustego pokoju. Stopy miał przywiązane do nóg krzesła, a ręce skrepowane za plecami. Był ubrany w jasną koszulkę, dżinsy i espadryle. Jego podbródek i skórę czaszki pokrywał meszek zarostu. Miał obojętną minę, niewyrażającą ani strachu, ani sprzeciwu. Na szczęście nie było widać żadnych śladów maltretowania. Ale był uwięziony. Co do tego Nick nie miał wątpliwości. Nie wątpił także, że człowiek

odpowiedzialny za uwięzienie Basila siedzi teraz w fotelu naprzeciwko, uśmiechając się beznamiętnie.

- Radzę ostrożność, Nicholasie. Oglądasz obraz z telewizji wewnętrznej z miejsca, gdzie jest teraz Basil. Pilnują go zawodowcy, którzy nie zawahają się go zabić na jedno moje słowo. Pozwól, że zademonstruję ci stopień niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. - Demetrius wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, nacisnął klawisz i półgłosem wydał jakieś polecenie. Na ekranie pojawiła się jakaś postać ubrana jak archetyp terrorysty: w adidasach, dżinsy, bluzę i kominiarkę. Nieznajomy stanął obok Basila, wyciągnął pistolet i ostentacyjnie zbliżył go do twarzy Basila. Basil lekko cofnął głowę, lecz była to jego jedyna reakcja.

- Udowodniłeś, co chciałeś - rzekł Nick, starając się panować nad głosem.

- To dobrze. - Demetrius znów mruknął coś do telefonu i człowiek w kominiarce opuścił broń i zniknął z kadru. - A teraz usiądź.

Nick wolno opadł na fotel, z trudem przelękając ślinę. Właściwie powinien teraz doznać gwałtownego ataku paniki, tymczasem czuł się dziwnie spokojny. Wyszło mu w ustach, miał wilgotne dłonie, a w głowie krążyły mu chaotyczne myśli. Mimo to panował nad sobą, choć oczywiście nie mógł zapanować nad sytuacją. Wiedział, że ze względu na Basila nie może stracić zimnej krwi.

- Czego chcesz?
- Pełnej współpracy z twojej strony.
- A jeżeli zgodzę się współpracować?
- Basil będzie wolny.
- W takim razie zgadzam się.
- Powinieneś najpierw usłyszeć, na czym ma polegać twoja współpraca.
- Słucham.
- Doskonale. - Demetrius ujął w dłoń filiżankę. - Kawa ci wystygnie.
- Powiedz mi.

- Zgoda. - Demetrius bezgłośnie odstawił filiżankę na spodek. - Nie chciałbym jednak później wszystkiego powtarzać. Niedługo zjawi się mój współnik. Wtedy wszystko ci wyjaśnimy. - Pstryknął pilotem i ekran telewizora zgasł. - Tymczasem pij kawę.

- Nie, dziękuję.

- Jak sobie zyczysz.

- Czekamy na Brunona Stammatiego?

- Nie.

- A więc na kogo?

- Niebawem się przekonasz. - Demetrius obejrzał się, jak gdyby coś usłyszał. - O, chyba przyjechał samochód. - Zerknął na zegarek. - Punktualność godna podziwu.

Nick niczego nie słyszał. Dopiero później dobiegł go odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu. Po chwili usłyszeli kroki, które nagle stały się głośniejsze, gdy otworzyły się drzwi willi, i zbliżały się, czemu towarzyszył stukot o marmurową posadzkę korytarza. Nick uniósł głowę, przeklinając w duchu własną naiwność, z jaką aż do tej chwili łudził się, że nie ujrzy twarzy kobiety, którą w myślach zaczął już nazywać Emily Braybourne.

Zobaczył. To była ona.

- Witaj, Nick - powiedziała.

Rozdział 23

Spojrzała Nickowi prosto w oczy. W jej minie nie można się było doszukać śladów wstydu ani żalu. Lekko uniesione brwi, brak uśmiechu i nieruchoma twarz zdradzały absolutny spokój, niemal obojętność. Nie zamierzała przeproszać. Nie zamierzała triumfować. Zjawiła się, jak zawsze dyktując własne warunki.

- Jak mam teraz do ciebie mówić? - spytał Nick, nie próbując ukryć tonu goryczy.

- Mów do niej Emily - odparł Demetrius. - Tak, to jest Emily Braybourne.

- To prawda? - zwrócił się do niej Nick.

- Tak. - Gdy podeszła do stolika, zauważył, że trzyma cienką srebrnoszarą aktówkę. Położyła ją, a potem cofnęła się, przysiadając na oparciu fotela Demetriusa, zwrócona twarzą do Nicka. - Prawdą jest też wiele innych rzeczy, o których ci mówiłam.

- Nigdy nie wspominałaś, że sypiasz z mordercą własnego brata.

- Ciekawa metafora, Nicholasie - zauważył Demetrius, z roztargnieniem gładząc jej udo przez nogawkę czarnych spodni. - Oczywiście masz na myśli interesy. I słusznie, ponieważ Emily już dawno uznała stratę brata za smutną konieczność podyktowaną dobrem interesów. Czyż nie tak, *cara*?

- Tak. - Powiedziała to z kamienną twarzą.
- Być może zastanawiasz się, co jest w tej teczce - ciągnął Demetrius. - Wyjaśnimy ci później. Jeżeli będzie trzeba.
- Będzie - rzekła Emily.
- Emily ma pewną teorię. Elegancką i wiarygodną, która pasuje do faktów. Niebawem przekonamy się, czy słuszną. Tak czy inaczej dostanę to, czego chcę.
- Czyli co?
- Nie zapominaj, że obiecałeś mi pełną współpracę.
- Nie zapominam.
- To dobrze. - Demetrius zerknął na Emily. - Powiedz mu.
- Jonty dowiedział się, że Demetrius przemyślał do Szwajcarii portolany - zaczęła bezbarwnym tonem. - Próbował wywierać na Demetriusa nacisk, aby dopuścił go do interesu w nadziei, że dzięki temu rozgryzie tajemnicę. Ale tajemnica nie ma nic wspólnego z portolanami. Natomiast naciskanie Demetriusa okazało się fatalnym błędem. Kiedy to wszystko przemyślałam, doszłam do wniosku, że lepiej mieć w nim sprzymierzeńca niż wroga. Tak więc połączyliśmy siły. Zemsta nie daje szczęścia ani bogactwa, Nick. Ale może zdobycie szczęścia i bogactwa jest formą zemsty. Wybrałam tę drugą możliwość. Ojciec Demetriusa pozostawił po sobie wiele cennych rzeczy. Ale miał udział w czymś znacznie cenniejszym. Jeżeli uda się nam to zdobyć, sami będziemy mogli ustalić cenę. Dosłownie.
- I będzie to bardzo wysoka cena - dodał Demetrius. - Kiedy dorastałem, papa dawał mi do zrozumienia, że zna jakąś wielką tajemnicę, którą wyjawি mi pewnego dnia. Nazywał ją *il segreto favoloso*. Ale nigdy jej nie wyjawił. Powiedział później, że okazałem się niegodny. Miał na myśli fakt, że nie chciałem żyć według jego zasad. Ukrył przede mną ten sekret. Mówił, że jest bezpieczny u kogoś innego. Mnie nie można było ufać. Kiedy ostatnio twój ojciec usiłował się z nim skontaktować, domyśliłem się oczywiście dlaczego i dopilnowałem, żeby nie dowiedział się o śmierci starego przyjaciela. Papa umarł ze swoją tajemnicą. Ale tajemnica nie

umarła wraz z nim.

- Wiedzę o niej przekazywano z pokolenia na pokolenie - podjęła Emily. - Twój przodek, Theodore Paleologus, nie osiedlił się w Landulph przez przypadek. Pojechał tam w poszukiwaniu czegoś, o czym jego przodek, cesarz Michał VIII, usłyszał w Limassol wiosną tysiąc dwieście czterdziestego pierwszego roku. Rozmawiano wówczas o jakiejś relikwii, artefakcie przechowującym święte informacje. Odkryli go w Jerozolimie templariusze, ale wobec pogarszającej się sytuacji w Ziemi Świętej, nie mógł tam dłużej pozostać. Należało go ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Dlatego właśnie Ryszard Kornwalijski zbudował zamek w Tintagel. Otrzymał takie instrukcje - polecono mu stworzyć schowek, który miał wyglądać jak budowla wzniesiona dla kaprysu bogatego księżątka, aby nikt nie domyślił się jej prawdziwego przeznaczenia, z dala od pól bitewnych, gdzie walczyły ze sobą wrogie dynastie europejskie, żeby relikwia bezpiecznie ocalała.

W tysiąc dwieście czterdziestym roku wyruszył do Ziemi Świętej zameldować, że wszystko gotowe. Spotkał się z wysłannikiem cesarza bizantyjskiego i poinformował go o planach co do znaleziska, przypuszczalnie po to, aby decyzję podjęły wspólnie obydwie odłamy chrześcijaństwa. Niedługo potem z Akki wypłynął Ralph Valletort, kierując się do Tintagel, z relikwią na pokładzie.

Nie chciano ryzykować wyprawy drogą lądową w obawie, by cenny ładunek nie wpadł w niewłaściwe ręce. Ale na morzu także czai się ryzyko. Statek zatonął w pobliżu wysp Scilly. Znalezisko templariuszy przepadło. Ale ocalał Valletort. Nieuchwytność znaczenia i charakteru artefaktu polega na tym, że nie widzieli go nawet ci, którzy przesądzali o jego losie. Jego tajemnicy strzegła wąska grupa templariuszy. Na pewno kilku z tych rycerzy towarzyszyło w podróży Valletortowi. Niewykluczone, że powierzyli mu sekret. Być może sam obejrzał relikwię. Jestem pewna, że wiedział - i że

wzmiankę o tajemnicy umieścił w oknie Sądu Ostatecznego w St Neot, w swojej macierzystej parafii. A może uczynił to jego syn albo wnuk.

Chodzi o to, że okno Sądu Ostatecznego jest starsze i wykracza poza piętnastowieczne układy witraży. Administratorzy kościoła wiedzieli, że muszą je ocalić za wszelką cenę. Dlatego zostało ukryte w Trennor. I prawdopodobnie dlatego twój dziadek kupił Trennor w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku.

- Chwileczkę - przerwał jej Nick. - Co mój dziadek mógł o tym wszystkim wiedzieć?

- Więcej, niż sądzisz. Pamiętaj, co powiedziałam. Z pokolenia na pokolenie. Kiedy w trzydziestym trzecim rozpoczęły się prace wykopaliskowe w Tintagel, brali w nich udział twój dziadek i ojciec. Ale chcieli pomóc czy je utrudnić? Razem z twoim ojcem pracował tam Fred Davey. A jego dziadek w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku pracował przy ostatniej w Tintagel próbie wydobywania rud ołowiu. Krążyły plotki, że właśnie wtedy dokonano jakiegoś odkrycia - jakoby podczas drążenia tunelu bezpośrednio pod główną salą zamku Tintagel odsłonięto podziemną komnatę, która mogła być skrytką, gdzie przechowywano jakiś bardzo cenny przedmiot. Oczywiście tamto znalezisko nigdy nie dotarło do miejsca przeznaczenia. Spoczęło na dnie morza osiemdziesiąt mil na zachód. Mimo to odkrycie podziemnej komnaty musiałyby wywołać wiele pytań. Podejrzewam, że Daveyowie, ojciec i syn, porozumieli się z Paleologusami, ojcem i synem, aby ten fakt nigdy nie wyszedł na jaw.

Później, służąc podczas wojny na Cyprze, twój ojciec poznał zaginionego kuzyna, który wiedział tyle samo, jeśli nie więcej, o charakterze i znaczeniu artefaktu, jaki zamierzano przewieźć do Tintagel w tysiąc dwieście czterdziestym pierwszym roku. Zostali przyjaciółmi i swoimi powiernikami. Twój ojciec zwierzył się innemu koledze z wojska, że w Trennor jest ukryta jakaś rzecz o niezwykłym znaczeniu, mogąca

przynieść bogactwo temu, kto ją odnajdzie. Przypuszczalnie byli kimś więcej niż kumplami. Jeżeli tak, to by wyjaśniało, dlaczego twój ojciec powierzył mu takie informacje.

- Nie możecie niczego udowodnić - zaprotestował Nick.

- Ależ możemy - odparł Demetrius. - W tym cały urok. Twój ojciec nie dopuściłby do tego, aby tajemnica przepadła w jego linii rodu. Musiałby ją przekazać następnemu pokoleniu - albo kolejnemu. Musiałby powiedzieć jednemu z was.

- Na pewno - powiedziała Emily. Spojrzała prosto w oczy Nicka, który po raz pierwszy dostrzegł w jej twarzy cień współczucia lub poczucia winy. - Jeden z was wie.

- Tylko który? - dodał ze znaczącym uśmiechem Demetrius. - Oto pytanie za milion dolarów.

- To nie był Andrew - rzekła Emily. - Za bardzo się palił do sprzedania domu mitycznemu Tantrisiowi. Twoje siostry też można wyłączyć z podobnych powodów. Na pewno nie Tom. Gdyby wiedział, nigdy by nie przystał na mój plan. Twoja siostrzenica jest za młoda. Poza tym twój ojciec był tradycjonalistą. Wierzył w zasadę patrymonium. Tajemnicę dziedziczyli potomkowie płci męskiej. Czyli jedynymi kandydatami pozostajesz ty i Basil. Pomysł sprzedaży domu traktowaliście co najmniej powściągliwie.

- Ale jeżeli to Basil - powiedział Demetrius - dlaczego tak naiwnie narażałby się na ryzyko, przyjeżdżając tu?

- Nie ryzykowałby - rzekła Emily.

- Otóż to. - Demetrius i Emily podsuwali sobie nawzajem kwestie, jak gdyby odgrywali przed Nickiem przeciwiony wcześniej dialog. - Poza tym trzymałem mu lufę przy skroni, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że jestem gotów w każdej chwili pociągnąć za spust. I nie pisnął ani słówkiem.

- Łajdaku. - Nick patrzył na Demetriusa, pragnąc wyrazić wzrokiem to, czego nie mógł powiedzieć głośno: że jeżeli kiedykolwiek znajdzie sposób, aby się zemścić, nie zawaha się ani przez chwilę.

- To ty, Nick - rzekła cicho Emily.

- Co?

- Ty znasz tajemnicę.

Nick spojrział jej prosto w oczy.

- Mylisz się.

- Nie wyjawisz nam *il segreto favoloso*, Nicholasie? - spytał kpiąco Demetrius.

- Nie znam go.

- Obiecałeś pełną współpracę.

- Mówię prawdę.

- Wyznasz nam sekret i Basil będzie wolny.

- Nie mam czego wyznawać.

- Masz.

- Nie słyszysz, co mówię? Nie znam żadnej tajemnicy.

- Sądźmy, że znasz.

- Na litość boską...

- Dałem ci szansę. - Demetrius wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Nie! - Nick zerwał się z fotela, rzucając się na Demetriusa.

- W porządku, Nick. - Emily stanęła nagle między nimi, kładąc ręce na ramionach Nicka i zbliżając twarz do jego twarzy. - Już dobrze. Nie zadzwoni.

Nick spojrział na Demetriusa, który nie odrywając od niego wzroku, ostentacyjnie rzucił telefon na pusty fotel.

- Nie zadzwonię - powiedział cicho Demetrius.

- Usiądź, Nick. - Oczy Emily błagały go, by zapomniał o wszystkich powodach, dla których miałby jej nie posłuchać. - Proszę.

Oddechnął ją i przez chwilę stał, kołysząc się lekko. Jego oddech się uspokoił. Mięśnie się rozluźniły. Napięcie nieznacznie opadło. Nick usiadł.

Emily podeszła do fotela, na który Demetrius rzucił telefon, położyła aparat na stoliku obok teczki i także usiadła.

- Posłuchaj mnie uważnie, Nick. Uważamy, że wiesz. Ale uważamy też, że możesz nie wiedzieć, że wiesz.

- Co to ma, do cholery, znaczyć?

- Mówię o twoim załamaniu i jego prawdopodobnych przyczynach. Sądzę, że ojciec przekazał tajemnicę właśnie tobie. Byłeś cudownym dzieckiem, przyszłym geniuszem - to jasne, że nie miał kłopotu z wyborem. Ale okazało się, że sekret cię przerósł albo był jedną z wielu rzeczy, które cię przerosły. Nie poradziłeś sobie. Odrzuciłeś tę wiedzę. Zapomniałeś. Ale podświadomość nie słucha rozkazów. Tajemnica wciąż tam tkwi, tylko jest zamknięta. Musisz po prostu przekręcić klucz.

Jej słowa rzeczywiście przekręciły jakiś klucz. Nick patrzył na Emily, oczyma duszy widząc siebie, jak wdrapuje się na brzeg rzeki niedaleko Grantchester po skoku z łodzi. Tylko że wcale nie wyskoczył. Po prostu wszedł do wody. Był dalej od świata. Przed siebie, przez wilgotne pola tonące w półmroku długiego wieczoru. „Idź - mruczał do siebie. - Nie zatrzymuj się”. Gdzieś w zakamarkach duszy nadal tkwił w nim uciekinier, jakim stał się tamtego dnia. Lecz nadal nie chciał wiedzieć, przed czym uciekał. Czyżby to była prawda? Czyżby Emily miała rację? Czyżby wiedział od początku, nie zdając sobie z tego sprawy?

- Muszę cię zahipnotyzować, Nick. Nie bój się. Wiem, jak to się robi. Przy twojej pomocy uda się poznać informacje, które dawno wyparłeś ze świadomości. Dojdziemy do prawdy.

- Poddawano mnie wtedy hipnoterapii. Ale nic takiego, co masz na myśli, nie wyszło na jaw.

- Zadawano ci niewłaściwe pytania.

- Możliwe. Powiedzieli mi jednak kilka rzeczy. Na przykład to, że badanie wypartych ze świadomości wspomnień w hipnozie może być niebezpieczne.

- Będę uważała.

- Od czasu do czasu wszyscy musimy podejmować ryzyko - zauważył Demetrius.

Nick wpatrywał się nieruchomo w oczy Emily. Nie mógł sobie pozwolić na gniew. Nie teraz. Jeszcze nie.

- Pacjent musi też ufać hipnotyzerowi. W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie.

- Uda się - rzekła z uporem Emily. - Musisz mi po prostu pozwolić przejąć kontrolę. To pomoże. - Zwolniła zamki ak-tówki i otworzyła ją, odwracając jednocześnie teczkę, aby Nick nie zobaczył jej zawartości. Wyciągnęła wąski plastikowy pojemnik, otworzyła i położyła na stoliku. Wewnątrz znajdowała się strzykawka i mała buteleczka z jakimś płynem. - To zwykły środek uspokajający. Zadziała szybciej, jeśli podam ci go dożylnie. Musisz się rozluźnić i przygotować na to doświadczenie.

- Umówiliśmy się, że będziesz współpracował - przypomniał Demetrius, na co Emily posłała mu nieco zirytowane spojrzenie. - Wtedy zobaczysz brata.

- Jaką mam gwarancję, że go zobaczę, kiedy to się skończy?

- Żadnej. Ale gdybym zabił Basila - i ciebie, jeśli podejrzewasz taką możliwość - skierowałbym uwagę policji na nazwisko Paleologusów. Byłaby to głupota z mojej strony, ponieważ zamierzam kupić od twojej rodziny Trennor, żeby zdobyć ukryty tam skarb. Wystarczy więc, żebyś mi dał, czego chcę, i jeszcze dziś szczęśliwie spotkasz się z Basilem w Zampogna. W swoim czasie razem ze swoimi siostrami zdecydujecie, na co przeznaczyć pieniądze, jakie wam zapłacę za dom. Zapewniam cię, że wystarczy dla wszystkich.

- Co ty na to, Nick? - Wzrok Emily wciąż spoczywał na jego twarzy.

Nick westchnął.

- Róbcie swoje.

- Emily, pacjent wyraża zgodę - powiedział Demetrius.

- Tak. - Emily głęboko nabrała powietrza. - Dobrze.

Podwiń rękaw.

Kiedy Nick to zrobił, usiadła na stoliku i pochyliła się, by zrobić mu zastrzyk. Odwrócił głowę od igły. Poczul w nozdrzach drażniącą woń jej perfum i lekko zamglił mu się wzrok.

- W porządku. Teraz możesz się rozluźnić.

Usiadł wygodnie, przekonany, że w tych warunkach relaks jest niemożliwy.

- A jeżeli się mylisz? Jeśli naprawdę nic nie wiem?
- Nie myślę się.
- Nikt nie jest nieomylny.
- Jestem pewna, że dasz nam odpowiedź.
- Mimo to...
- Basilowi nic się nie stanie. Obiecuję.

Ku swojemu zdumieniu Nick zachichotał. Nie było sensu dowodzić, jak niewiele warte są obietnice Emily. Musiał jedynie mieć nadzieję, że ta nie okaże się równie pusta.

- Mówiłaś mi o innych graczach, którzy biorą w tym udział. Nie ma nikogo innego, prawda? Ty i Demetrius postaraliście się o to, żeby ciało twojego ojca zniknęło z szybu.

- Nie możemy pozwolić, żeby policja grzebała w okolicach Trennor, Nicholasie - powiedział Demetrius. - Nie wiadomo, co mogłaby znaleźć.

- Ale wysłałaś policji kasetę. Sama wskazałaś im trop.

- I zadzwoniłam do nich po przeszukaniu szybu - odparła Emily. - Zrobiłam to ze względu na Toma. Musiałam go przekonać, że nie żartujemy.

- Co zrobiłaś z ciałem, Emily? Jak się pozbyłaś ojca?

- Kremacja - odrzekła cicho. - Wszystko odbyło się jak trzeba.

- Czyli sprawa załatwiona.

- Spróbuj się rozluźnić. Spróbuj nie myśleć.

- Chciałbym.

- Nagram to, co powiesz w hipnozie, zgoda? Być może będziesz mówił niewyraźnie, tracił wątek. Musimy się zabezpieczyć, żeby w razie potrzeby móc tego posłuchać jeszcze raz.

- Nie krępuj się.

Emily wyciągnęła z aktówki dyktafon i postawiła na brzegu stołu, jak najbliżej Nicka.

- Jak się teraz czujesz?

- Świetnie. - Nick chciał, aby zabrzmiało to sarkastycznie, ale zaczęła go ogarniać dziwna i niepokojąca euforia.

Środek uspokajający zaczynał działać o wiele szybciej, niż się spodziewał. - Powiedz mi przy okazji, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Farnsworth? Pracuje dla ciebie?

- Zapomnij o Farnsworthcie.

- Nie spiesz się tak, Emily. Dopiero gdy pacjent jest w transie, możesz mu mówić, o czym ma zapomnieć, a co ma sobie przypomnieć. W tym wypadku będziemy zapominać, tak?

- Chyba jesteśmy gotowi. Demetriusie, możesz zasunąć zasłony?

Demetrius wstał i podszedł do okien. Nick usłyszał szelest zasłon przesuwanych na karniszach jedna po drugiej. W salonie zapanował półmrok. Emily wyciągnęła z teczek małą latarkę, położyła na stole i włączyła, kierując snop światła w swoją stronę. Potem włączyła dyktafon.

- Patrz na latarkę, Nick. I słuchaj mnie. Tylko latarka i ja. Nic więcej. Odpręż się zupełnie, fizycznie i psychicznie. Oddychaj powoli. Niech wszystko zwolni. Mamy mnóstwo czasu. Patrz cały czas na latarkę. Słuchaj mnie. Zapomnij o wszystkim innym. Niech wszystko się oddali. Niech odpłynie. Zaczynaj liczyć w myślach od stu wstecz.

Nick zaczął odliczać. Głos Emily zdawał się mu towarzyszyć, zwalniając, gdy on zwalniał, cichnąc do ledwie słyszalnego szmeru, gdy liczby leniwie przewijały się w jego głowie.

- Twoje ręce stają się ciężkie. Twoje nogi stają się ciężkie. Twoje powieki stają się ciężkie. Odpręż się. Stajesz się senny. Zamknij oczy. Nie broń się przed snem. Słuchaj mnie. Jestem tu. Twoje oczy są zamknięte, ale ciągle liczysz. Wolno. Bardzo wolno. Rozluźnij się. Rozluźnij się zupełnie.

Słyszał tylko jej głos. Uświadomił sobie, choć zdawało się, jak gdyby po prostu sobie o tym przypominał, że jej głos był jedną z rzeczy, które najbardziej go w niej urzekły, zwłaszcza teraz, gdy mówiła niemal szeptem. Szemrał i szeleścił jak lekki wietrzyk w wysokich trawach. Przypominał mu, choć o tym także wcześniej świadomie nie myślał, inny głos z

dalekiej przeszłości. Należał do przewodniczki w jednej z sal opactwa Buckland, dawnego domu sir Francisa Drake'a niedaleko Plymouth. Nick pojechał tam z ojcem latem podczas wakacji, gdy uczył się jeszcze w Cambridge. Ton i tembr głosu tej kobiety oczarował go niemal od razu. Stał, słuchając historii domu kilkakrotnie powtarzanej nowym grupom zwiedzających. Pragnął wtedy słuchać tego głosu wiecznie.

Tamtego dnia zdarzyło się coś jeszcze. W Buckland wystawiono obraz - wyidealizowaną wiktoriańską wizję pogrzebu Drake'a na morzu niedaleko wybrzeża Panamy w 1596 roku. Nazwa hiszpańskiej osady, nieopodal której zatrzymał się statek, dziwnie kojarzyła się Nickowi z jakimś wyrażeniem, które mocno utkwilo mu w pamięci. *Nombre de Dios*. Tak brzmiała. Tak nazywała się osada. A z jakim wyrażeniem łączyła się jej nazwa? Wtedy dość dobrze znał hiszpański. *Nombre de Dios*. Imię Boga. Brzmiała podobnie do hiszpańskiego odpowiednika innego angielskiego wyrażenia. Stojąc obok ojca, Nick wypowiedział ją półgłosem. Gdyby skupił się na tamtej odległej chwili, odnalazłby w pamięci te słowa. Był pewien. Już, już je sobie prawie przypomniał. Wystarczyło tylko...

- Dziesięć. Nie pamiętasz niczego poza tym, że niczego nie pamiętasz. Nie zapomniałeś. Po prostu nic się nie wydarzyło. Dziewięć. Nie śpisz już tak głęboko. Ręce i nogi stają się lżejsze. Osiem. Wracasz do świata i świat wraca do ciebie. To łatwe. Chcesz tego. Siedem. Zaczynasz dostrzegać otoczenie, zaczynasz słyszeć inne dźwięki poza moim głosem. Sześć. Odzyskujesz świadomość siebie, wiesz, gdzie jesteś. Pięć. Czujesz się odprężony. Wypoczęty. Szczęśliwy. Cztery. Zaczynasz się budzić. Przez powieki zaczyna się sączyć światło. Trzy. Już prawie się obudziłeś. Musisz jeszcze tylko otworzyć oczy. Dwa. Budzisz się. Jeden. Otwierasz oczy.

Nick zamrugał i rozejrzał się wokół siebie. Był sam. Pokój był pusty. Dyktafon wyłączył się z pstryknięciem. Nick popatrzył na urządzenie, zastanawiając się, jak dawno temu

Emily wyszła, zostawiając mu nagrane polecenia. Nie powiedziała mu, że tak zamierza zrobić, chociaż powinien się spodziewać jeszcze jednego podstępu. Spojrzał na zegarek, ale nie wiedział, kiedy wszedł w trans, nie potrafił więc dokładnie obliczyć, jak długo pozostawał w tym stanie. Przypuszczał, że mniej więcej pół godziny, choć zdawało mu się, że minęło najwyżej pięć minut, jak gdyby Emily o nic go nie pytała, jak gdyby go po prostu zahipnotyzowała, a potem od razu wyprowadziła z transu. Ale wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że musiała zadać mu wiele pytań, na które on na pewno odpowiedział.

Zniknęła aktówka wraz ze strzykawką i latarką. Zniknęła też Emily i Demetrius. Dom był pograżony w zupełnej ciszy. Nick wstał, słysząc szelest własnego ubrania. Czuł lekkie zawroty głowy, jakby środek uspokajający jeszcze nie przestał działać. Spojrzał na dyktafon. Emily mówiła, że będzie nagrywać to, co Nick powie w hipnozie. Widocznie jednak musieli zabrać ze sobą tę taśmę. W magnetofonie tkwiła inna kaseeta, nagrana wcześniej. Wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane i najwyraźniej wydarzenia potoczyły się po ich myśli.

Co z Basilem? Inne sprawy usunęły się w cień wobec tego jedyne pytania, które nagle poraziło Nicka. Dał im to, czego chcieli? Zrobił wszystko, by ocalić brata? Niepewnym krokiem ruszył do drzwi.

Wtedy dostrzegł krew - nieregularne, jasnoczerwone i świeże plamy na pastelowym dywanie, układające się w nierówny łuk od stołu do drzwi. Nick przystanął na chwilę, usiłując pojąć to, co widzi. Następnie podszedł i otworzył drzwi. Pokój zalało światło, oślepiając go na moment. Gdy wreszcie oczy przyzwyczaiły się do blasku, ujrzał mężczyznę leżącego na podłodze pod ścianą w połowie długości korytarza. Wokół niego na lśniącej bieli marmuru ciemniała kałuża krwi barwy czerwonego wina. W odwróconej dłoni tkwił pistolet.

Nick zbliżył się, by spojrzeć w twarz mężczyzny. To był Mario. Przd jego koszuli był mokry od krwi. Na ścianie powyżej widniała rozmazana plama krwi, jak gdyby padając na

posadzkę, dotknął ściany lewą dłonią, która teraz spoczywała bezwładnie na jego piersi. Miał otwarte usta. I szeroko otwarte oczy, jak gdyby ostatnią rzeczą, jaką zarejestrował jego mózg, było bezbrzeżne zdumienie.

Nick zajrzał przez otwarte drzwi po lewej do pokoju, w którym znajdował się urządzony gabinet; stało tam biurko, regał z książkami, szafka na dokumenty i komputer. Widział tylko róg biurka, lecz jego uwagę przykuło coś leżącego na blacie. Przez kilka sekund usiłował to zidentyfikować. Nagle zorientował się, że spogląda na palce ludzkiej ręki. Na małym palcu był sygnet, który Nick na pewno już widział.

Omijając ostrożnie kałużę krwi i wchodząc do pokoju, poznał sygnet. Należał do Demetriusa. Nick wysunął głowę zza drzwi i zobaczył martwego Demetriusa Constantine'a Paleologusa, który leżał na biurku z wyciągniętą przed siebie lewą ręką, jak gdyby próbował czegoś dosięgnąć. Może telefonu. Aparat leżał przewrócony na podłodze. Ale wtyczka została wyrwana ze ściany i nie słychać było ostrzegawczego brzęczyka.

Głowa Demetriusa była zwrócona w stronę Nicka, policzek rozpląszczył się o blat biurka. Jego twarz zastygła dziwnie wykrzywiona. Na jasnobrązowym drewnie wokół ciała połyskiwał ciemny menisk krwi. Kropelka krwi Demetriusa spłynęła z brzegu biurka, lądując z pacnięciem na dywan, gdzie utworzyła się mniejsza kałuża, przy której leżał nóż. Wąskie ostrze i większa część rękojeści też były czerwone od krwi.

Nick zaczął drżeć. Poczul słony smak potu na górnej wardze. Jak to możliwe, żeby tyle się zdarzyło, a on o niczym nie wiedział? Może nadal był nieprzytomny? Może to sen? Trans osłabił jego poczucie rzeczywistości. Wobec takiej ilości krwi wydawało się jeszcze słabsze. Nie żyli dwaj mężczyźni. Ale gdzie jest Emily?

Wrócił do korytarza, starając się nie patrzeć na rozciągnięte ciało Maria. Na posadzce aż do drzwi wejściowych biegly pojedyncze ślady krwi. Obchodził je ostrożnie, w

najwyższym napięciu, wyężając wszystkie zmysły. Gdy dotarł do drzwi, usłyszał jakiś odgłos dobiegający z zewnątrz. Niski, dudniący dźwięk. Nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Dźwięk przybrał na sile i stał się wyraźniejszy. To był warkot silnika pracującego na wolnych obrotach. Nick poczuł zapach spalin. Wyrzwał z za drzwi.

Przed lanią stał zaparkowany biały fiat zwrócony do willi tyłem, a nad nim unosił się obłok spalin. Drzwiczki od strony kierowcy były szeroko otwarte. Za kierownicą siedziała Emily.

Nick zbiegł po schodach i przypadł do samochodu. Emily uniosła głowę, napotykając jego spojrzenie. Miała poszarzałą twarz i zlepione potem włosy. Lewą dłoń trzymała na kierownicy, prawą przyciskając do brzucha. Spomiędzy palców sączyła się krew, kapiąc z siedzenia na próg drzwi i żwir podjazdu. Na fotelu pasażera leżała aktówka, której uchwyt był wysmarowany krwią. Między teczką a oparciem siedzenia tkwił pistolet. Też zakrwawiony.

- Witaj, Nick - wykrztusiła Emily. - Dziwne, ale... dobrze cię widzieć.

- Co się stało? - Ukłękł przy niej.

- Nie wszystko się... udało.

- Zadzwońię po karetkę.

- Nie. - Puściła kierownicę, łapiąc go za ramię. - Proszę, nie.

- Musisz jechać do szpitala.

- Nie sądzę.

- Na litość boską, Emily...

- Posłuchaj. Dopóki jeszcze możesz. Demetrius wysłał motorówkę po Basila, który już powinien być wolny. Czekałam, żeby mieć pewność i dopiero wtedy... wykonałam swój ruch. Demetrius w ogóle nie spodziewał się podstępu. Myślał, że naprawdę mu się sprzedałam. - Zaśmiała się, krzywiąc się przy tym z bólu. - Nie docenił mnie. Ale ja też go nie doceniłam. Miał nóż. A ja okazałam się za wolna. Owszem,

byłam szybka. Ale nie dość. Sprytna. Ale za mało. Taki już mój los. Takie życie. - Uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby. - I śmierć.

- Nie umrzesz.

- Zasada jest prosta: wszystko albo nic. Nie mogę spędzić kilkudziesięciu lat w więzieniu. Nie jestem na to gotowa. Nick, nie powstrzymuj mnie. - Znów próbowała się uśmiechnąć. - Lepiej dla ciebie, żeby mnie nie było. Dla wszystkich.

- Gdzie twój telefon?

- Nie mam.

Nick sięgnął po aktówkę. Przyspieszony oddech Emily musnął jego policzek, kiedy mocował się z zatrzaskami. Ani drgnęły.

- To zamek szyfrowy.

Spojrzał na nią. Emily pokręciła głową. Nie zamierzała podać mu kombinacji.

- Tak będzie lepiej. Uwierz mi.

- Zadzwoń z domu. - Wycofał się z samochodu i wyprostował. Ścisnęła mocniej jego ramię.

- To dopiero była tajemnica, Nick. Naprawdę.

- Co?

- Zdradziłeś mi ją. W dyktafonie nie było taśmy. Poza tą, którą... nagrałam wcześniej... żeby cię potem wyprowadzić z transu. Demetrius nie żyje, więc tylko ja wiem. Tylko ja mogę ci powiedzieć... co to za tajemnica. - Skrzywiła się. - Nie chcesz... usłyszeć?

- Porozmawiamy później.

- Nie będzie żadnego później.

- Będzie. - Jak najdelikatniej zdjął jej dłoń ze swojego ramienia i położył jej na kolanach. Emily nie zdobyła się już na żaden wysiłek. Prawie żaden. - Zaraz wracam.

- Dobrze. - Zamknęła oczy. - Rób, jak chcesz.

Pobiegł do willi po chrząszczącym żwirze podjazdu.

Dwoma susami pokonał schody. Pchnął drzwi i wpadł do korytarza.

Wtedy usłyszał strzał.

Rozdział 24

*W*aporetto był już w połowie drogi między Lido a Canale Grande, gdy Nick ujrzał policyjną motorówkę, która pędziła w przeciwnym kierunku. Po wyjściu z willi zadzwonił z pierwszego napotkanego automatu pod numer alarmowy i nie zwracając uwagi na terkot pytań, powtarzał tę samą wiadomość: *Tre morti. Villa Margherita. Via Cornaro, il Lido*. Tylko tyle mógł powiedzieć, gdyby nawet lepiej mówił po włosku. Emily nie żyła. Nic nie mogło tego zmienić. I nic nie mogło wymazać z jego pamięci jej widoku, gdy umierała. *Tre morti. Villa Margherita. Via Cornaro, il Lido*.

Nick przełknął ślinę, trzymając się mocno relingu i patrząc w ślad za podskakującą sylwetką motorówki: mknęła na Lido, niknąc w oddali. Policja stworzy własną wersję wydarzeń. Dość bliską prawdy. Emily zastrzeliła Demetriusa i Maria, a potem siebie. Takie były fakty. Ale fakty niczego nie wyjaśniały. Tylko Nick rozumiał ich przyczyny i skutki, choć szczerze wolałby nic o nich nie wiedzieć. Do oczu napłynęły mu łzy. *Vaporetto* kołysał się na falach kilwaterny motorówki. Niebawem policja będzie na miejscu. Wiadomość o trzech ofiarach śmiertelnych w Villa Margherita przedostanie się do mediów.

Emily mówiła, że Basil jest bezpieczny. Ale Nick uwierzy, jak zobaczy. Dopóki jednak to nie nastąpi, musiał się bronić

przed rozbłyskującymi mu w myślach obrazami: widokiem krwi Maria na marmurowych płytkach w korytarzu; martwym, stężalym grymasem Demetriusa; widokiem żwiru zbryzganego mózgiem i odłamkami kości Emily, której ciało zawisło w otwartych drzwiach samochodu.

Nick zamknął oczy, odtwarzając wydarzenia do chwili śmierci Emily. W każdym momencie mógł postąpić inaczej. Podejrzał jednak, że ona i tak znalazłaby sposób, by ze sobą skończyć. „Rób, jak chcesz” - powiedziała i słowa te zabrzmiały teraz jak ironiczne pożegnanie. Nie mógłby jej uratować. Już wcześniej postanowiła, że nie chce ratunku. Mógłby jedynie zostać przy niej i posłuchać, jaką tajemnicę skrywała jego pamięć. Ale odwrócił się i odszedł.

Nawet tego specjalnie nie żałował. Zresztą jakie znaczenie mogła mieć tajemnica? Jaka tajemnica mogłaby cokolwiek znaczyć wobec takiego triumfu śmierci? Nie obchodziło go już, co to za sekret ani czy kiedykolwiek go pozna. Ciekawość wypaliła się w nim do cna. Teraz obchodził go tylko Basil.

Gdy *vaporetto* dopłynął do przystani Ca' d'Oro, od telefonu Nicka upłynęła ponad godzina. Policja na pewno rozpoczęła już śledztwo. Ale minie co najmniej kilka godzin, zanim zacznie przesłuchiwać robotników w Palazzo Falcetto i szukać Anglika, który poprzedniego dnia złożył wizytę Demetriusowi. Być może w ogóle nie będą go szukali, jeśli tylko ustalą tożsamość Emily i prawdopodobny motyw zbrodni. Na razie Nick był bezpieczny, choć ani trochę tego nie odczuwał.

Prosto z Ca' d'Oro pędem ruszył na północ dobrze już znaną drogą do hotelu Zampogna, modląc się w duchu, aby czekał tam na niego Basil.

Carlotta powitała go ze swojej klitki lubieżną miną, która pewnie miała być uśmiechem, i poinformowała go o czymś w niezrozumiałych słowach. Nick gorąco pragnął, aby była to wiadomość o powrocie Basila.

- Signor Paleologus? Mój brat? Tutaj?
- *C'e qualcuno qui per lei.*

- Co?
- *Con Luigi.*

Ostatnie słowo zrozumiał. Wybiegł z hotelu i wpadł do baru obok.

- Signor Paleologus - zadudnił Luigi. - Ma pan więcej krewnych w Wenecji ode mnie. Oto następny.

Ale zwalisty gość oparty o bar nie był, formalnie rzecz biorąc, żadnym jego krewnym. Nie wyglądał też na uradowanego widokiem Nicka. Przez twarz Terry'ego Mawsona przemknął wyraz satysfakcji, ale nie było na niej ani śladu radości.

- Terry?
- Zdziwiony?
- Tak. To znaczy... co ty tu...

- Musimy pogadać. - Ton głosu Terry'ego sugerował, że Nick nie ma żadnego wyboru.

- Widziałeś Basila? - Ledwie wypowiedział pytanie, od razu tego pożałował.

- Nie. A powinienem? - Terry wyprostował się, piorunując Nicka wzrokiem. - Chcę wiedzieć, co ty kombinujesz, do jasnej cholery. - Luigi przewrócił oczami i zaczął polerować szklankę. - Na początek możesz mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć Harriet Elsmore. - W jego oczach zamigotała wściekłość. - No?

Nick z trudem przekonał Terry'ego, aby wstrzymał się z pytaniami, dopóki nie znajdą się w zaciszu dawnego pokoju Basila w Zampogna. Myśli Nicka w połowie zaprzętała konieczność odnalezienia brata, a w połowie wspomnienia o Emily - te złe i te dobre. Dla Terry'ego niewiele zostało.

- Nie było cię stać na nic lepszego od tej nory? - zapytał Terry, kiedy odzyskał oddech po krótkiej wspinaczce po stromych schodach hotelu Carlotty.

- Tu mieszkał Basil.
- Gdzie on teraz jest?
- Nieważne. Po co przyjechałeś, Terry?
- A jak sądzisz?

- Nie wiem.
- Irene mówiła, że chcesz znaleźć Basila. Ta kreatura w konsulacie wciskała mi tę samą bajeczkę. Ale ja tego nie kupuję. Przyjechałeś tu, bo tu jest Harriet Elsmore. O to chodzi, prawda?
- Nie, nie o to.
- Miałeś świetny pomysł, żebym powiedział Kate prawdę. Mądra, przemyślana rada.
- Kate musi wiedzieć.
- Tak? No to już wie. Powiedziałem jej. I teraz obwinia mnie o śmierć Toma. Nie odzywa się do mnie. Nie chce mnie słuchać. Zero kontaktu. Jakbym przestał dla niej istnieć.
- Przykro mi.
- Mnie bardziej. Pomyślałem, że mogę naprawić wyrządzoną przez siebie szkodę - tak, przyznaję się, to ja ją wyrządziłem - tylko w jeden sposób. Muszę dostać w swoje ręce ludzi, którzy popchnęli Toma do samobójstwa. Znalazłem Farnswortha, ale nie dzięki tobie. Przycisnąłem go. Niewiele było trzeba. Umysłowo facet potrafi sporo dokonać. Ale fizycznie - to zupełnie co innego.
- Pobiliś staruszka?
- Pogroziłem mu. Wystarczyło. Wszystko mi powiedział.
- Wątpię. - Nick wyraził się dość ogólnie. W istocie był pewien, że Farnsworth odegrał w wydarzeniach znacznie ważniejszą rolę, niż byłby skłonny przyznać. Ale Nicka nic już to nie obchodziło.
- Twój ojciec i dziadek w latach trzydziestych odkryli jakąś tajemnicę w Tintagel. Digby Braybourne wiedział, co to było, ale Farnsworth słyszał coś tylko piąte przez dziesiąte. To ma związek z Trennor. Ukryto tam coś cennego. Farnsworth pomyślał, że śmierć twojego ojca to świetna okazja, żeby się dowiedzieć i zaczął węszyć. Twierdzi, że Harriet Elsmore jest córką Braybourne'a, dlatego koniecznie chce się zemścić - i też chce poznać tajemnicę. Wciągnęła w swoje plany Toma i o ile wiem, to ona jest odpowiedzialna za to, co chłopak zrobił.

- Prawdopodobnie.
- A więc gdzie ona jest? Przecież wiesz, Nick? Wiesz, gdzie się ukrywa.
- Ona wcale się nie ukrywa.
- Gdzie ona jest?
- Za późno, Terry. Dla niej, dla ciebie, dla mnie. Dla wszystkich.
- Nie wyjdę stąd, dopóki się nie dowiem, gdzie ona jest.
- Chyba rzeczywiście nie wyjdiesz. - Nick podszedł do umywalki, nabrał w dłonie zimnej wody i przemył twarz. - Dobrze, powiem ci. Dziś rano Harriet Elsmore, prawdziwe imię i nazwisko Emily Braybourne, zamordowała Demetriusa Constantine'a Paleologusa, człowieka, którego obwiniała - zresztą słusznie - o śmierć swojego brata. Zamordowała też jednego z jego goryli. Potem popełniła samobójstwo. Strzeliła sobie w głowę. Plamy na moim rękawie to jej krew. Widziałem, jak umiera. Policja właśnie w tej chwili sprząta pobojowisko. Zbiera ślady. Szuka tropów. Proszę, możesz tam jechać i szukać Harriet Elsmore, ale zyskasz tylko tyle, że sam zostaniesz w to zamieszany - a przy okazji ja. Wszystko źle się skończyło. Może być jeszcze gorzej, jeżeli dalej będziesz się upierał. Wracaj do domu, Terry. Pogódź się z Kate. Znajdziesz jakiś sposób. O wiele prędzej, niż miałbyś tutaj cokolwiek znaleźć, oprócz mnóstwa kłopotów. Przykro mi. Naprawdę. Nie znajdziesz tu zemsty. Już się dokonała. Dla ciebie nic nie zostało.

Kiedy Nick powiedział, co miał do powiedzenia, Terry nagle stracił rezon. Podtrzymywało go przekonanie, że potrafi siłą wywalczyć sprawiedliwość i pojednanie z Kate. Teraz zrozumiał, że jest inaczej. Czuł się zagubiony i był daleko od domu. Postąpił głupio, przyjeżdżając tu. Lecz nie był na tyle głupi, aby zostać.

- Jeżeli ona nie żyje, to sprawa skończona - wymamrotał, spuszczając oczy. - Lepiej wróć do Kate.
- Dobry pomysł.

- Piętnaście po piątej jest samolot. - Terry zerknął na zegarek. - Powinienem zdążyć.
- Tak by było najlepiej.
- Nie mogę się zadawać z policją.
- Ja też nie.
- Nick, w ciągu ostatnich kilku dni dostałem porządny wycisk. Pewnie nie potrafiłem jasno myśleć. Kate chyba też nie. Siedząc tutaj, raczej jej nie odzyskam.
- Nie.
- No to wszystko jasne.
- Tak. Myślę, że tak.

Ale wyjazd Terry'ego nie sprawił, że dla Nicka wszystko stało się jasne. Mógł tylko czekać w Zampogna, powtarzając sobie bez przerwy, że Basil prędzej czy później się pojawi. W końcu wróci. Na pewno.

Minęła godzina. Potem dwie. Strach zaczął podsuwać Nickowi różne wizje. Może Demetrius w ogóle nie zamierzał uwolnić Basila. Może obraz z rzekomej telewizji wewnętrznej był nieprawdziwy. Może Basil już nie żył, a jego ciało leżało w jakimś opuszczonym magazynie, tak jak zwłoki Nardiniego, albo gdziekolwiek indziej.

Potem ogarnęła go fala wspomnień. Ostatnie chwile życia Emily Braybourne mieszały się z obrazami, jakie Nick zachował w pamięci z nocy, którą spędzili razem w hotelu przy Heathrow. Bliskość i oddalenie; tęsknota i strata; w końcu stały się jednym.

Uznał, że czeka już wystarczająco długo. Nie pozostawało mu nic innego. Skończył z unikami. Jedyne, co mógł zrobić dla Basila, to pójść na policję i opowiedzieć im wszystko, co wie, w nadziei że to wystarczy. I musiał to zrobić natychmiast, dopóki potrafił. Narzucił na siebie parę czystych rzeczy i wyszedł.

Z Ca' d'Oro do San Zaccaria, przystani położonej najbliżej Questury, *vaporetto* płynął pół godziny. Na pokładzie tramwaju

wodnego jak zwykle tłoczyli się turyści, studenci i ludzie wybierający się na zakupy, ale dla Nicka równie dobrze mogłoby tu nie być nikogo. Stał na rufie, zmagając się z własnym strachem i żalem. Czuł się odrętwiały, a jego myśli sprowadzały się do nieokreślonego lęku. Nie miał żadnego wpływu na to, co nastąpi, podobnie jak nie miał wpływu na to, co już się wydarzyło. Był zakładnikiem przyszłości i przeszłości.

Vaporetto, sapiąc, przepłynął obok Palazzo Falcetto, gdzie nadal trwała *ricostruzione*, a potem minął zakręt Canale Grande. Popołudniowe niebo zaciągnęło się powoli szarym całunem i zaczął wiać wilgotny wiatr. Szybko zrobiło się zimno i mokro.

Gdy Nick patrzył obojętnym wzrokiem w stronę brzegu, zza szeregu brył niszczących *palazzi* ukazała się zieleń Giardinetti Reali oraz majestatyczne skrzydło Pałacu Dożów. Pomiędzy nimi przez moment widać było Piazzetę i bazylikę obramowaną dwiema kolumnami, św. Marka i św. Teodora. Spoglądając na skrzydlatego lwa na szczycie kolumny po prawej, Nick przypomniał sobie nagle, jak ostrzegał Basila przed wyprawą do Wenecji. „Zmierzasz prosto w paszczę lwa”. Basil zlekceważył przestrogę. „W Wenecji jest dużo lwów. Przede wszystkim z brązu i marmuru”. Nick uśmiechnął się mimowolnie.

Wtedy ujrzał postać stojącą u stóp kolumny z lwem, w pierwszej chwili pomyślał, że to halucynacja - projekcja jego własnych pobożnych życzeń. Niemożliwe, żeby to był Basil, powiedział sobie. Po prostu niemożliwe. Zamrugał. Ale postać nie zniknęła. Zamrugał jeszcze raz. I wciąż tam stała. Wreszcie uwierzył. To rzeczywiście był Basil.

Przez kolejne pięć minut Nick cierpiał prawdziwe katusze. *Vaporetto* zwolnił, zbliżając się do San Zaccaria, a potem zwolnił jeszcze bardziej. Basil zniknął mu z oczu i Nick mógł tylko mieć nadzieję, że nie oddalił się zbyt daleko. Wskoczył na pomost, gdy otwierano furtkę w relingu, wybiegł z przystani i sprintem popędził wzdłuż *riva* w kierunku mostu prowadzącego na Piazzetę.

Kiedy wspiął się na szczyt mostu, znów ujrzał teren wokół kolumn. Ale nie dostrzegł ani śladu Basila. Serce w nim zamarło. Lecz biegł dalej.

Potem wypadł zza Pałacu Dożów i spoglądając w prawo, wreszcie go zobaczył. Basil siedział na jednej z platform przeciwpowodziowych zainstalowanych przed bazyliką, gapiąc się przed siebie. Był ubrany w skafander, w którym Nick widział go po raz ostatni - sprawiał tylko wrażenie bardziej niechlujnego niż wtedy - a na nogach zamiast espadryli, które Nick dostrzegł na ekranie telewizora u Demetriusa, miał buty turystyczne. Stracił trochę na wadze, co wraz z białym zarostem na skórze czaszki i podbródka sprawiało, że wydawał się starszy, wymizerowany i wyglądał niemal żałosnie.

Nick zwolnił i spokojnym krokiem podchodził do niego, nie dowierzając własnym oczom. Zbliżał się coraz bardziej. Wreszcie zawołał brata po imieniu. Basil rozejrzał się. I rozpromienił się w uśmiechu, który w najmniejszym stopniu nie był żałosny.

- Nick! Dzięki Bogu! - Basil zerwał się na równe nogi i chwycił Nicka w objęcia. - Jeszcze chwila i przestałbym czekać.

Zaskoczenie było podwójne. Basil najwyraźniej czekał na Nicka, podczas gdy Nick czekał na niego, lecz byli w dwóch różnych miejscach. Poza tym Nick był zaskoczony, bo nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu brat wziął go w objęcia.

Było to coś nowego. Nick wypłatał się z jego uścisku i spojrzał w uśmiechnięte oblicze Basila, zdając sobie sprawę, że także się uśmiecha - tak samo promiennie.

- Czekałem na ciebie w Zampogna. Trzy godziny. Spodziewałem się, że lada chwila przyjdiesz.

- Mnie powiedzieli, że przywiozą cię tutaj. Po południu. Kazali mi tu siedzieć, dopóki się nie zjawisz, a gdybym ich nie posłuchał, miało to się dla ciebie bardzo źle skończyć.

- Kiedy cię wypuścili?

- Chyba około południa. Przetrzymywali mnie w jakimś opuszczonym domu na zapomnianej wysepce na lagunie. Przywieźli mnie tu motorówką i bardzo wyraźnie dali do zrozumienia, że nigdy cię już nie zobaczą, jeżeli nie wypełnię co do joty ich poleceń. Jak już się zapewne zdążyłeś przekonać, z naszym kuzynem Demetriusem Constantinem nie ma żartów, a tym bardziej nie można mu ufać. W tym wypadku nie miałem jednak wyboru i musiałem mu zaufać, a w każdym razie jego posłańcom. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że moja decyzja okazała się słuszna.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście była słuszna. - Właściwie Nick był pewien, że było odwrotnie. Fakt, że przywieźli Basila na plac Świętego Marka i zabronili mu ruszać się z miejsca, musiał być częścią jakiegoś chytrego planu. Ale to już było zupełnie nieistotne. - Jedno jest pewne. Nie musimy się już przejmować Demetriusem.

- Nie?

- Posłuchaj, Basil. Musimy czym prędzej wyjechać z Wenecji.

- Trudno się z tobą nie zgodzić. Moja wizyta raczej nie należała do udanych.

- Gdzie twój paszport? Nie mogłem go znaleźć w pokoju.

- Mam go w kieszeni.

- Ja też. Co więc nas powstrzymuje?

- Powinienem uregulować rachunek w Zampogna.

- To już załatwione. Trzeba tylko zabrać rzeczy z pokoju i lecieć.

- Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz, Nick.

- Opowiem ci wszystko w drodze. Obiecuję. - Chociaż niezupełnie, pomyślał Nick. Powie Basilowi prawie wszystko. I pozwoli mu się domyślić reszty.

- Nie będziesz chyba próbował wsadzić mnie do samolotu?

- Nie, jeżeli miigiem znajdziesz jakiś pociąg.

- Co powiesz na nocny ekspres do Paryża? Odchodzi o

dziewiętnastej czterdzieści pięć. Zresztą już wcześniej zamie-
rzałem nim jechać. Tyle że niekoniecznie dziś.

- Ale pojedziemy dziś. Chodźmy.

Popłynęli taksówką wodną na Fondamenta dell'Abbazia, jak najbliższej hotelu Zampogna. W zamkniętej szczelnie kabini-
e Basil opowiedział mu, jak go napadli, gdy po wizycie na San Michele w poniedziałek rano wracał do Zampogna. Ja-
kieś osiłki wrzuciły go związanego i zakneblowanego do kry-
tej łodzi budowlanej i wywiozły na środek laguny, gdzie zo-
stał przetransportowany na motorówkę. Zawiązano mu oczy
i zawieszono do pustego otynkowanego pokoju w walącym
się starym domu na opuszczonej wyspie. Później zjawił się
Demetrius, żądając, by wyjawiał mu tajemnicę, którą podob-
no znał jego ojciec i ojciec Basila. Basil nie potrafił jednak
spełnić jego rozkazu.

- Zdziwiająco łatwo odmówić ujawnienia czegoś, o czym
się naprawdę nie wie, Nick. Groźbę śmierci przyjąłem z za-
dziwiającym spokojem. Nauczyło mnie tego życie klasztorne,
podobnie jak wytrzymałości na cierpienia fizyczne. Moje
dawne powołanie okazało się nadzwyczaj przydatne. Na-
prawdę w ogóle się nie bałem, dopóki się nie zorientowałem,
że ty też wpadłeś w szpony Demetriusa. Oczywiście, jeśli
wpadłeś.

- Tak. Wpadłem.

- Niewątpliwie porwał cię z tego samego powodu.

- Owszem.

- Dlaczego więc cię wypuścił? Bo zrozumiał, że żaden z
nas nie potrafi mu pomóc? A może... dlatego, że jeden z nas
potrafił?

W tym momencie Nick przerwał rozmowę. Chciał powie-
dzieć Basilowi, co się stało, dopiero gdy opuszczą Wenecję.
Chciał być pewien, że uda im się uciec, zanim mu wyjawią,
przed czym uciekają.

Dzięki znajomości podstaw włoskiego Basilowi udało się
skrócić do kilku minut niezbędne formalności w Zampogna.

Po ich wyjściu Carlotta była zdezorientowana, lecz zadowolona, zważywszy na fakt, że Nick zapłacił jej z góry za noc. Odmawiając sobie ostatniej wizyty u Luigiego, ruszyli na zachód w stronę Santa Lucia. Zapadł już zmierzch, ale czas pracował na ich korzyść.

Pracował tak dobrze, że kiedy kupili bilety, jeszcze go trochę zostało, toteż Basil zaproponował, aby zadzwonili do Irene i uspokoił ją, że obaj mają się dobrze. Nick nie miał nic przeciwko temu. Upierał się jednak, że chce porozmawiać z nią pierwszy.

- Pub Old Ferry.

- Irene, tu Nick.

- Nick? Boże święty, gdzieś ty był?

- Znalazłem Basila. Wszystko u niego w porządku. U mnie też. Jesteśmy na dworcu w Wenecji i czekamy na pociąg.

- Gdzie go znalazłeś?

- W klasztorze. Zapisał się na rekolekcje. - Jeśli chodzi o wymówki, to historyjka, którą właśnie z Basilem wymyślili, brzmiała całkiem przekonująco.

- Nie mówiąc nikomu ani słowa?!

- Znasz Basila.

- Daj mi go.

- Za chwilę. Chodzi o to, że odnalazłem go dosłownie godzinę temu. Nie było czasu... żeby wyjawić mu wszystkie szczegóły.

- Powiedziałeś mu o Tomie?

- Jeszcze nie.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła?

- Nie. Powiem mu później.

- Dobrze. Ale musisz wiedzieć, że podczas twojej nieobecności zdarzyło się dużo przykrych rzeczy. Miałam na głowie Terry'ego. Wygląda na to, że poważnie się o coś pokłócili z Kate. I Terry chyba obwinia o to ciebie.

- Nie dziwię się.

- Co to ma znaczyć?

- Wszyscy w mniejszym lub większym stopniu ponosimy winę.
- Dobrze się czujesz, Nick? Mówisz... trochę dziwnie.
- Nie wiem, dlaczego tak sądzisz.
- Kontaktowałeś się z tym naszym kuzynem - Demetriusem?
- Irene, Demetrius Andronicus Paleologus rok temu zmarł. Testament taty był bez znaczenia.
- Co?
- Wyjaśnię ci, kiedy wrócimy.
- A kiedy to nastąpi?
- Och... - Nick przez chwilę rozmyślał o pustce, jaką stanowiła jego najbliższa przyszłość. - Niedługo.

Podczas gdy Basil rozmawiał z Irene, Nick rozejrzał się po hali dworca. Wszędzie panował spokój i porządek. Nie było śladu policji ani żadnych niepokojących oznak, że kogoś poszukują. Godzina odjazdu ich pociągu widniała na tablicy. Wszystko wskazywało na to, że się uda. Nagle pomyślał o Emily i miał wrażenie, jakby poczuł na skórze zimno stołu sekcyjnego, zimno, którego Emily nie mogła już odczuwać. Wzdrygnął się, pewien, że nigdy nie przestanie żałować, iż nie zdołał jej uratować przed nią samą - i pewien, że nigdy nie będzie tego chciał.

Ekspres Rialto do Paryża odjechał punktualnie co do minuty. Zapłacili za przedział sypialny, lecz na razie jeszcze im się tam nie spieszyło. Wagon restauracyjny był zatłoczony, ale tuż za nim znaleźli niemal pusty wagon z miejscami do siedzenia. Pociąg nabierał szybkości, mknąc przez okryty mrokiem obszar Niziny Weneckiej. Gdzieś między Padwą a Vicenza whisky, którą pił Nick, zadziałała. Zaczął mówić.

Rozdział 25

Nick zbudził się, czując kołysanie pociągu i słysząc pochrapywanie brata dobiegające z dolnej kuszetki. Poszli spać w ponurych nastrojach, gdyż prawda nie przyniosła im żadnej pociechy. Dowiedziawszy się o śmierci Toma, Basil uznał, że to kara za szaleństwo rodziny, która za wszelką cenę dążyła do przyjęcia oferty Tantrisa.

- Zawiedliśmy go - powtórzył kilka razy ubiegłego wieczoru. Nick przypuszczał, że istotnie zawiedli, ale równie prawdziwe byłoby twierdzenie, że Tom zawiódł ich. Ale Nick przestał już obarczać kogokolwiek winą. To, co powinno go złamać, w dziwny sposób go odnowiło. Leżąc w mroku pędzącego pociągu, wyczuwał w sobie jakąś zmianę. Zamiast drżeć z lęku i poczucia przytłoczenia wszystkim, co się wydarzyło, miał wrażenie, jak gdyby się wyzwolił i w zagadkowy sposób powrócił do dawnego stanu. Wciąż wzdragał się na myśl o wybranej przez Emily śmierci, lecz potrafił już dostrzec istotę jej czynu. Do samego końca panowała nad swoim losem, podczas gdy Nick nigdy nie panował nad swoim. Spoglądając na fosforyzującą tarczę zegarka i obliczając, że będą w Paryżu za niecałe dwie godziny, pomyślał, że może jeszcze nie zaczął panować nad własnym losem. Ale przypuszczalnie w końcu zacznie. Niewątpliwie nadszedł na to czas.

Trzy godziny później, po skromnym śniadaniu i spacerze wzdłuż Sekwany, Nick i Basil siedzieli na ławce na placu za Notre-Dame. Nad miastem roztaczał urok wczesnowiosenny paryski ranek, chłodny i bezchmurny. Z miejsca, gdzie siedzieli, luki przyporowe katedry wyglądały jak odnóża gigantycznego pająka, który przysiadł nad drzewami. Ale pająk nie plótl sieci. Żadna nić nie szarpnęła Nicka za rękaw, jego sumieniem nie targnął żaden wyrzut. Nick podjął decyzję. I wiedział z nieznaną dotąd pewnością, że to słuszna decyzja.

- Nie wracam z tobą, Basil.

- A to niespodzianka - rzekł Basil, pstrykając okruszkiem rogalika w stronę siedzącego najbliżej wróbla.

- Nie wydajesz się wcale zdziwiony.

- Bo wiedziałem, że nie zechcesz wracać.

- Skąd?

- Wyjaśnienia mogą poczekać. Choć nie tak długo, jak wyjaśnienie, które w końcu poczujesz się w obowiązku złożyć Irene i Annie. Moim zdaniem nie ma powodu, aby miały się dowiedzieć o tym. - Basil pokazał złożony numer „Corriere della Sera”, który kupił na Dworcu Liońskim. Na dole pierwszej strony widniał nagłówek: „Lido di Venezia: Strage Sanguinosa in una Villa di Lusso”, który Basil swobodnie przetłumaczył jako „Makabryczny mord w willi na Lido”. W artykule nie było najdrobniejszej wzmianki o poszukiwanym przez policję angielskim kuzynie zmarłego Demetriusa Paleologusa, choć autor wskazywał na związek morderstwa Demetriusa z rzekomo przypadkową śmiercią innego Anglika, niejakiego Jonathana Braybourne'a, który zginął dziewięć miesięcy wcześniej. - Nie sądzę, by „Western Morning News” poświęcił takiemu zdarzeniu choćby najkrótszy akapit. Co innego „Birmingham Post”. Ale na szczęście nasze siostry nie mieszkają w Birmingham. A co można powiedzieć o reszcie? Znalazłeś mnie i wszystko jest już dobrze. A jeśli nie, to przynajmniej nie najgorzej.

- Muszę wyjechać. Pomyśleć. Poskładać z powrotem swoje życie.

- Doskonale to rozumiem. Chociaż, jeśli chcesz posłuchać mojej rady, lepiej nie myśl za dużo. Przez myślenie ludzie stają się nieszczęśliwi. Ja ograniczam myślenie do niezbędnego minimum.

- Ile w tym wypadku wynosi minimum?

- Tyle żeby wykazać, że Irene i Anna nie mogą sprzedać Trennor bez naszej zgody. Niczego nie ryzykujemy, odwlekając nieco nasz powrót.

- Nasz?

- Ja też nie wracam. Stąd mam pewność, że nie wracasz ze mną. - Basil uśmiechnął się. - Jeśli o mnie chodzi, wolalbym podróżować w towarzystwie.

- Ja też. - Nick odwzajemnił uśmiech, uznając towarzystwo za niezwykle mile widziane, dokądkolwiek by się wybierał.

- Pamiętasz nasz pierwszy przyjazd do Paryża?

- Oczywiście.

We wrześniu 1976 roku, kilka tygodni przed wyjazdem do Cambridge, Nick towarzyszył Basilowi w weekendowej wycieczce do stolicy Francji. Do domu wracał jednak sam. Ostatniego dnia po południu, na szczycie wieży Eiffla, Basil oznajmił, że udaje się do Grecji, aby zrozumieć, co to znaczy być Paleologiem. Później odprowadzał Nicka na Dworzec St-Lazare na pociąg do Cherbourga, nie zdoławszy uchylić bratu ani rąbka tajemnicy swojego rozumowania.

- Trudno się spodziewać, żebym zapomniał.

- Istotnie. Moje zachowanie było niewybaczalne. Nie mogłem spojrzeć tacie w oczy. Taka jest prosta prawda. Wiedziałem, że pomyśli, iż od niego uciekam. W pewnym sensie tak było. Wiedziałem, że moje powołanie potraktuje jako przejaw okłamywania samego siebie. I w pewnym sensie tak było. Nie wziąłem tylko pod uwagę, że uzna mnie za drania i tchórza przez to, że wysłałem mojego szesnastoletniego brata samego do domu.

- Właściwie nawet podobała mi się tamta podróż.
- Dlatego, że twój stuknięty brat nie robił ci wstydu na każdym kroku, tak?
Nick zachichotał.
- Coś w tym rodzaju.
Basil ściągnął usta.
- Musimy uważać, żeby szczerłość nie weszła nam w krew.
- Dobrze będzie tym razem wyjeżdżać z Paryża z tobą, Basil. Szczerze.
- Pamiętasz tego Teksańczyka, z którym dzieliliśmy pokój niedaleko Sorbony?
- Weterana wojny wietnamskiej z Laredo, który szalał na punkcie Edith Piaf? Jasne, że pamiętam. Gary... coś tam. Syn ranczera.
- Gary Longfellow.
- Właśnie.
- Pewnie teraz sam jest ranczerem.
- Prawdopodobnie.
- Ranczo nazywało się Lazy K.
- Zgadza się.
- Zapraszał nas do siebie.
- Rzeczywiście.
- „Fajnie by było, gdybyście kiedyś chłopaki wdepnęli na moje ranczo” - powiedział Basil, przeciągając z teksańska samogłoski.
- Jakbym go słyszał.
- To dosłowny cytat.
- Tak?
- Może więc skorzystamy z zaproszenia?
- Co?
- Dlaczego by nie wdepnąć do Laredo? - Basil wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Na przykład przez Nowy Orlean. Albo Las Vegas.
- Żartujesz.
- Nie.
- Na pewno.

- Nie wiem, czemu tak uważasz.
 - Bo po pierwsze, musielibyśmy tam polecieć.
 - Niekoniecznie. Sądzę, że jeśli ktoś wie, jak się do tego zabrać, może złapać okazję i popłynąć na kontenerowcu. Warto by spróbować w Antwerpii. Albo w Marsylii.
 - Teraz na pewno żartujesz.
 - O kontenerowcu tak. Ale nie o wyprawie. Demetrius przypomniał mi o moim perwersyjnym braku lęku przed śmiercią. Tak więc lot nie stanowiłby żadnego kłopotu. Może w powietrzu przeżyłbym mały atak paniki, ale najgorsze byłoby to, że znów narobiłbym wstydu młodszemu bratu.
 - Jestem już na tyle duży, że poradziłbym sobie z odrobiną wstydu.
 - Może być więcej niż odrobina.
 - Nawet więcej.
 - Czyli jesteś chętny?
 - Tak. - Nick skinął głową.
 - Jestem.
 - Wspaniale.
 - Kiedy jedziemy?
 - A kiedy będziesz gotowy?
 - Już jestem. Ale trzeba zorganizować bilety. I wylecieć rano. Czyli... - Nick nagle uświadomił sobie, jak bardzo cieszony go ten pomysł. - Jutro?
 - Zgoda, jutro.
 - Lepiej poszukajmy biura podróży.
- Basil znacząco uniósł palec.
- Najpierw muszę ci coś pokazać. I o czymś powiedzieć. To niedaleko. I nie potrwa długo.
 - Nie możemy z tym zaczekać?
 - Nie. - Basil spojrział na łuki przyporowe katedry. - Teraz.

Do kaplicy Sainte-Chapelle w Pałacu Sprawiedliwości, na drugim końcu Île de la Cité, rzeczywiście nie było daleko. Strzelista iglica wieży i smukłe przypory nie miały gotyckiej

masywności Notre-Dame. Budynek stanowił kontrastowy przykład delikatności i elegancji. Przez wysokie witrażowe okna do nawy wpadał blask, który łatwo można by wziąć za niebiańskie światło.

Ale kaplica, jak podkreślił Basil, była zaledwie osiem lat młodsza od Notre-Dame.

- Zbudowano ją dla Ludwika IX w latach czterdziestych trzynastego wieku, żeby przechować tu relikwie, które kupił od łacińskiego cesarza Konstantynopola - szeptał, gdy szli wolno od okna do okna, wyciągając szyje, by lepiej im się przyjrzeć. - Koronę cierniową, kawałki Krzyża świętego i czaszki Jana Chrzciciela. Zapłacił kilka razy więcej niż za budowę kaplicy. Obawiam się, że był po prostu pobożnym naiwniakiem. Ciekawe, ile byłby gotów zapłacić za znalezisko powierzone Ryszardowi Kornwalijskiemu? Kupił relikwie w tym samym roku, w którym odbyła się konferencja w Limassol, tysiąc dwieście czterdziestym pierwszym. Wydaje mi się, że Ryszard mógł się spotkać z Andronikiem Paleologiem właśnie po to, aby zapewnić cesarza Bizancjum, że artefakt nie trafi do kolekcji bogatego monarchy, tak jak działo się z relikwiami, które cesarz z takim entuzjazmem sprzedawał każdemu, kto zaoferował najwyższą cenę. Miły i wspaniałomyślny gest ze strony Ryszarda, zwłaszcza że w przeciwieństwie do nabytków Ludwika był to przedmiot autentyczny. Tu nasuwa się pytanie: co to był za przedmiot?

- Niczego przed tobą nie ukrywam, Basil. Naprawdę nie wiem.

- Ach, ale wiedziałeś. Tamtego dnia w opactwie Buckland, o którym mi wczoraj mówiłeś. Wtedy wiedziałeś.

- Tak. Chyba wiedziałem.

- Nie byliśmy tu we wrześniu siedemdziesiątego szóstego, prawda?

- Nie.

- Gdybyśmy tu przyszli, zapamiętałbyś porównanie z Ludwikiem IX i jego drogimi relikwiami - nawiasem mówiąc, już dawno przeniesionymi do Notre-Dame. To utkwiloby ci w pamięci, a nie echo nazwy tamtej hiszpańskiej osady, Nombre de Dios.

Basil, do czego zmierzasz?

- Do prawdy, Nick. Chyba wiem, jakiego wyrażenia nie potrafisz sobie przypomnieć.

Nick przystanął i spojrzał na brata.

- Wiesz?

- Tak. Właściwie jestem pewien.

- Jakie to wyrażenie?

- *Número de Dias*. - Basil jeszcze bardziej ściszył głos. - Liczba Dni.

Nick wpatrywał się w niego. Nie potrafił wykrztusić ani słowa. Przez chwilę nie mógł się nawet poruszyć. Basil miał rację. Tamto wyrażenie brzmiało *Número de Dias*.

- Niedługo po moim powrocie z Grecji tato zabrał mnie do opactwa Buckland. Zapomniałem o tym, dopóki nie powiedziałeś o swojej wizycie. W galerii bardzo długo przyglądał się obrazowi przedstawiającemu pogrzeb Drake'a na morzu. Potem użył tych samych słów, które skojarzyłeś z obrazem. *Número de Dias*. Musiał usłyszeć, kiedy wymówiłeś je wiele lat temu. *Número de Dias*. Pamiętał to, czego ty nie mogłeś już pamiętać. Potem odwrócił się do mnie i zapytał: „Basil, znasz legendę o Liczbie Dni?”. Tak się złożyło, że znałem, co dało mu okazję do kpiny, że lata, które spędziłem w klasztorze, nie do końca zostały stracone. Powiedział: „Kiedy umrę, opowiedz tę legendę Nickowi. Przyrowadź go tutaj - dokładnie tu - i opowiedz mu. Zrobisz to?”. Skwapliwie przytaknąłem, choć obawiam się, że było to bliżej nieokreślone zobowiązanie z mojej strony. Byłem wówczas trochę bardziej niż roztargniony. Uznałem zapewne, że to kaprys, którego nie muszę brać poważnie. Jak się należało spodziewać, sprawa wyleciała mi z pamięci. Dopiero teraz rozumiem. Wtedy, zanim wyszliśmy z galerii, spojrzał na obraz po raz ostatni i coś powiedział. Ledwie usłyszałem. „Przypomni sobie”. Oczywiście miał na myśli ciebie. I mógł mieć rację. W końcu przypomniałbym sobie naszą wizytę w Buckland - i

swoją obietnicę. Jestem pewien. Tak więc prędzej czy później pojechalibyśmy razem do opactwa i spojrzeli na obraz. I wtedy wreszcie...

- Przypomniałbym sobie. - Nick spojrział nieobecny wzrokiem na rzekę. Wyszli już z Sainte-Chapelle i poszli na Square du Vert-Galant, zadrzewiony zachodni cypel Île de la Cité. Stali na samym czubku cypla, sprawiając wrażenie, jakby podziwiali mansardowy dach Luwru na północnym brzegu. Ale choć patrzyli w tamtą stronę, Nick nie zwracał uwagi na nic innego poza słowami brata. Obok nich statecznie przepłynął *bateau-mouche*, z którego pomachało do nich jakieś dziecko. Nie odmachali. - Jesteśmy daleko od opactwa Buckland. Będziesz musiał mi pomóc sobie przypomnieć. Co to za legenda Liczby Dni?

- Usłyszałem ją od starego zakonnika, gdy leżał na łożu śmierci. Dotyczy brata Pańskiego Jakuba, kontrowersyjnej postaci w historii Kościoła, ponieważ dla katolików ze względu na wieczne dziewictwo Marii, istnienie rodzeństwa Chrystusa jest czymś zupełnie niepojętym. Ale bezstronna lektura Ewangelii nie pozostawia żadnych wątpliwości co do pokrewieństwa Jakuba i Chrystusa. Byli braćmi. A raczej, mówiąc ściśle, braćmi przyrodnymi. Wiadomo, że Jakub był wybitnym uczniem, choć nie należał do apostołów. Po Piotrze został głową Kościoła w Jerozolimie. Paweł zdawał się na jego autorytet w kwestii doktryny. Niektórzy badacze z relacji o pojawieniu się Chrystusa po ukrzyżowaniu, którą Paweł umieścił w pierwszym liście do Koryntian, wnioskuje, że najpierw ukazał się Jakubowi, a dopiero potem apostołom. Jakub wierzył, że chrześcijaństwo i judaizm można pogodzić. Utrzymywał bliskie związki ze społecznością judaistyczną, a szczególnie z faryzeuszami. Miał wolny wstęp do Świątyni, a chrześcijanie rzadko cieszyli się takim przywilejem. Pracował nad zbliżeniem między dwiema wiarami aż do śmierci w roku sześćdziesiątym drugim, kiedy padł ofiarą spisku hierarchów Świątyni - został podobno zamordowany

uderzeniem pałki w głowę. Rytualny i dziwnie znajomy sposób, nie uważasz?

- Owszem. - Nick spojrzął na Basila. - Opowiedz mi tę legendę.

- Proszę bardzo. Usłyszysz ją w takiej formie, w jakiej przekazał mi ją brat Filemon. W ciągu czterdziestu dni między Zmartwychwstaniem a Wniebowstąpieniem apostołowie kilka razy pytali Chrystusa, kiedy powróci w chwale; kiedy na ziemi nastanie Królestwo Boże. Odpowiedział im tylko, że nie jest ludzką rzeczą znać ten czas. Niektórzy wierzą jednak, że dopuścił do tajemnicy swojego brata. Niektórzy wierzą, że powiedział Jakubowi, ile lat minie, zanim znów przyjdzie.

- Liczba Dni.

- Właśnie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć...

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Jeżeli Jakub sporządził zapis powierzonej mu boskiej wiadomości i przed śmiercią poprosił swoich przyjaciół faryzeuszy o ukrycie go w jakiejś krypcie pod Świątynią, być może spoczywała w niej aż do dwunastego wieku, gdy zaczęli tam kopać templariusze. To, co znaleźli, nie było oczywiście niewinną relikwią, ale objawieniem - herezją nie do przyjęcia przez Rzym. Możemy przypuszczać, że była to tabliczka z inskrypcją. Papirus był zbyt nietrwały. Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie wywoziłby tekstu spisane go na papirusie do Kornwalii. Za dużo tam wilgoci. Nie, to musiała być kamienna tabliczka. Inskrypcja została zapewne sporządzona po grecku, aby była nieczytelna dla przeciętnego człowieka żyjącego w średniowieczu. Jakub doskonale znał grekę, sądząc po jego nowotestamentowym liście, którego autorstwa nawet Rzym nie jest skłonny przypisywać nikomu innemu.

- Grecki system numeryczny opierał się na alfabecie: alfa oznaczała jeden, beta dwa, gamma trzy i tak dalej aż do dziesięciu, tyle że sześć oznaczano nieużywaną już literą digamma; dalej kappa oznaczała dwadzieścia, lambda

trzydzieści i tak dalej aż do stu, tyle że inna nieużywana litera, koppa, oznaczała sześćdziesiąt; potem sigma - dwieście, tau - trzysta i tak dalej aż do tysiąca i znów kolejna nieużywana litera, sampi, oznaczała dziewięćset. Tysiąc, o ile pamiętam, oznaczano literą alfa z symbolem akcentu i cała sekwencja zaczynała się od początku. Należy pamiętać, że liczba - data - dla niewtajemniczonych wyglądałaby jak zwykłe słowo. A greckie słowo umieszczone w średniowiecznym witrażu w Kornwalii mogło niewątpliwie umknąć uwagi najsubtelniejszych interpretatorów.

- Pamiętam tylko to wyrażenie - Liczba Dni - rzekł w zamysleniu Nick. - Ale nic poza tym. Nic więcej.

- Przypuszczam, że z czasem sobie przypomnisz.

- Zresztą i tak w to nie wierzę. Nie ma Dnia Sądu. Nie ma żadnej ustalonej daty. Niemożliwe, żeby czas apokalipsy został z góry wyznaczony.

- Z naszego punktu widzenia, Nick, realizm Dnia Sądu Ostatecznego nie ma nic do rzeczy. Odkrycie pod świątynią jerozolimską tabliczki z inskrypcją, potwierdzającą legendę, według której tylko Jakub znalazł datę powtórnego przyjścia Chrystusa, było wyjątkowym, zdumiewającym i budzącym grozę wydarzeniem. Nasze zdanie na ten temat niczego nie zmienia. Ludzie, którzy ją znaleźli, uwierzyli w nią. A po nich wielu innych. Chyba że zapisana tam data już minęła. To byłoby zupełnie inne szyderstwo losu.

- Sądzisz, że okno Sądu Ostatecznego w St Neot kryło tę tajemnicę?

- Tak.

- I sądzisz, że witraż - razem z tajemnicą - jest zamurowany w Trennor?

- Tak. A ty nie?

Zanim Nick odpowiedział, namyślał się przez chwilę. Lecz myślenie nic nie mogło zmienić. W końcu westchnął, kiwając zrezygnowany głową.

- Tak. Oczywiście, że tak.

Nick czuł się skonsternowany własną pewnością. Pytanie, czy wierzył w legendę, czy nie, było nieistotne. Inni w nią wierzyli i dlatego zaczęli działać. W tym sensie legenda musiała być prawdziwa. Tajemnica polegała na tym, że była podwójna: aby ją poznać, trzeba ją było odkryć. Można było wydrzeć z murów Trennor to, co skrywały. Nick i Basil mogli postanowić, aby tak się stało. Mogli też jednak postanowić, by stało się inaczej. Wybór należał do nich. Ale w istocie nie mieli wyboru. Dla Nicka było to jasne jak słońce przesączone przez barwne szkło witrażu. Była to tajemnica, której nigdy nie pozwolą nikomu wyjawiać.

Kilka minut później bracia Paleologusowie szli przez Pont Neuf łączący Île de la Cité z prawym brzegiem Sekwany. Marszerowali szybkim i pewnym, niemal rażnym krokiem. Wyglądali, jakby doskonale wiedzieli, dokąd zmierzają.

'AXMC

Był chłodny zimowy ranek, który wewnątrz kościoła St Neot wydawał się zimniejszy niż na zewnątrz. Błedego blasku sączącego się przez południowe okna nie złocił ani jeden promień słońca. Richard Bawden przytupywał i chuchał w dłonie. Każdy oddech zmieniał się w obłok pary. Żona próbowała go zatrzymać w domu i od przyjścia do kościoła kilka razy zaczynał żałować, że jej nie posłuchał. Wiedział jednak, że zimno potrafi każdego zmienić w tchórze. Gdy otworzył drzwi wieży i spojrział w zachodnie okno, umocnił się w swym postanowieniu. Było to Boże dzieło i sumienie nie pozwalało mu od niego odstąpić.

Zawsze trudno mu było uwierzyć, że okno pochodzi z tak dawnych czasów. Barwa szyb była czysta, jakby wstawiono je wczoraj, nawet gdy nie rozjaśniało ich słońce. Zdawało mu się, że nie może być starsze od okien z arką Noego i Stworzeniem Świata po drugiej stronie kościoła, które miały prawie sto pięćdziesiąt lat. Ale okno Sądu Ostatecznego liczyło sobie o wiele więcej lat, jak głosiły miejscowe legendy, które przypisywały mu także ogromne znaczenie.

Okno składało się z dwunastu części: dziewięciu głównych w trzech taflach i trzech witrażowych maswerkach powyżej. Bawden od dzieciństwa znał obrazy, jakie przedstawiało okno - potop i ogień, umarłych powstających z trumien, grzeszników gnębionych przez demony, drabinę prowadzącą z piekła do nieba i wagę sądu, na której

kładziona każdą duszę. Często wpatrywał się w nie z uczuciem grozy i zachwyty, a czasem z powątpiewaniem. Ale wojna kazała mu porzucić wszelkie wątpliwości. Racja na pewno nie była po stronie tych, którzy niszczyli takie dzieła sztuki i wiary. Nie można było dopuścić, aby okno uległo zniszczeniu. Należało je bez zwłoki zabezpieczyć.

Być może zwlekali już zbyt długo. Ale proboszcz, który ostatnio częściej przebywał w swoim drugim beneficjum w St Austell, dopiero niedawno i niechętnie wyraził zgodę. W obecnym stanie rzeczy nie było czasu do stracenia. Przyszły wieści, że Fairfax wziął już Launceston i strach pomyśleć, jakie spustoszenia mogły siał jego oddziały.

Mimo to Bawden miał świadomość, że to, co zamierzają uczynić, jest równoznaczne ze świętokradztwem - usprawiedliwionym jedynie koniecznością zapobieżenia znacznie większemu świętokradztwu. Zamknął oczy i zmówił modlitwę, błagając Boga o wybaczenie. Niebawem nadejście kościelny i przystąpią do rozbiórki okna, wyrwą ołów pomiędzy szyb i wyciągną tafle, owiną je w kilka warstw grubego płótna i przeniosą na wóz, gdzie złożą je w skrzyni i otulą słomą, a potem wywiozą do Landulph. Błagając Boga o przebaczenie, Bawden prosił o błogosławieństwo dla powodzenia przedsięwzięcia.

- Niech dzień okaże się pomyślny, Panie - rzekł cicho.

Otworzył oczy i ostatni raz spojrzął po kolei na wszystkie części okna, żegnając się z nimi, dopóki były na swoim odwiecznym miejscu. Nie było sensu przypuszczać, aby dożył chwili, gdy okno wróci do kościoła. Mógł oczywiście mieć taką nadzieję, lecz nadzieja była bardziej krucha niż szkło witraży. Zadumał się nad tajemnicą, jaka wiązała się z oknem: u dołu każdej z części widniały złote litery ozdobione zielonymi girlandami. Co mogły oznaczać? Jaką wiadomość miały przekazać? Niektóre z liter, a więc zapewne wszystkie, były greckie, a Bawden znał grekę nie lepiej od innych parafian. Powszechnie wierzone, że symbolizują coś o głębokim znaczeniu, lecz jeśli tak rzeczywiście było, to symbole były zbyt zawile, aby mogli je zrozumieć ludzie żyjący w tych czasach i o tak skromnej wiedzy jak

Bawden. Słyszał kiedyś, jak proboszcz wyraził opinię, że litery razem z obrazami tworzą rebus - zagadkę, której, jak wyznał, nie potrafi zgłębić. Coś takiego na pewno kryło się w oknie, choć prawda o tym może nigdy nie zostanie poznana. Pewne było jednak to, że tajemnicę uda się rozwiązać tylko wówczas, gdy okno ocaleje. A Bawden postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, by tak się stało.

Z zadumy wyrwał go stukot zasuwy w południowych drzwiach, przypominając mu o czekającym go zadaniu. Wycofał się do nawy głównej, a drzwi uchylily się ze skrzypnięciem i wsunął się przez nie kościelny. Ich oczy się spotkały.

- Metten daa tha whye.

Nawet jeśli kościelny pamiętał czasy wojny z hiszpańską Armadą, podczas której, jak twierdził, służył w milicji, to nie mógł być tak stary, by pamiętać jeszcze dawniejsze czasy, gdy w parafii na co dzień rozmawiano po kornwalijsku. Użył tego języka, by podkreślić tajemnicę, która ich tu sprowadziła. W prawej ręce trzymał ciężką skórzaną torbę, w której przyniósł narzędzia. Zamknął za sobą drzwi i skierował kroki w głąb kościoła.

- Dzień dobry, Davey - rzekł Bawden.

Minąwszy go, Davey wszedł do wieży, położył torbę na posadzce i spojrzal na okno Sądu Ostatecznego, po czym skłonił głowę.

- Agon Taze nye, eze en Neve - powiedział półgłosem.

- Benegas bo tha Hanow.

Bawden rozpoznał w kornwalijskich słowach początek „Ojczy nasz”. Także pochylil głowę, słuchając odmawianej modlitwy.

Gdy Davey skończył, otworzył schowek obok związanych sznurów dzwonów, wyciągnął drabinę i oparł ją o ścianę pod oknem. Następnie odwrócił się do Bawdena i zmierzyl go surowym spojrzeniem.

Trudno było poznać Johna Daveya. Nie był z tego samego pokolenia co Bawden, miał także zupełnie inne usposobienie. Tak rzadko ujawniał własne zdanie, że niektórzy skłonni byli sądzić, że nie ma żadnego. Bawden wiedział

jednak, że to nieprawda. Od chwili gdy wypłynęła sprawa ocalenia okna, zaczął rozumieć kościelnego. Davey nie należał wprawdzie do ludzi towarzyskich, lecz zawsze można było na nim polegać. Jeśli w coś uwierzył, wierzył niezachwianie. Jeśli postanowił coś zrobić, zawsze to czynił. Bawden wiedział, że do tego przedsięwzięcia nie mógłby znaleźć pewniejszego sprzymierzeńca. Pomyślał także, że do uchronienia okna Sądu Ostatecznego przed niebezpieczeństwem trudno byłoby znaleźć odpowiedniejszego sprzymierzeńca niż grabarz.

- Miałeś wieści od Mandrella ? - spytał Davey, przechodząc na angielski.

- Miałem - odparł Bawden. - Wyjedzie nam naprzeciw.

- Ufasz mu?

- Bylbym gotów powierzyć mu własne życie.

- Chyba właśnie to czynisz.

- Wiem.

- Razem ze swoim i moje.

- O tym także wiem.

- Ale nic innego nam nie pozostaje.

- To prawda.

- A zatem zaczynamy?

- Tak. - Bawden spojrział na okno. - Zaczynamy.

OD AUTORA

Powieść bierze początek w prawdziwych miejscach, z którymi wiążą się równie prawdziwe, choć tajemnicze historie. Pytanie, dlaczego Ryszard hrabia Konwalii postanowił w 1233 roku zbudować na cyplu w Tintagel zamek pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia militarnego, wciąż pozostaje przedmiotem spekulacji. Podobnie rzecz się ma z brakiem okna Sądu Ostatecznego w wyjątkowo dobrze zachowanym układzie witraży w kościele St Neot. Pewne jest, iż Theodore Paleologus został pochowany w kościele w Landulph w roku 1636, lecz nigdy nie dowiedziono jego pokrewieństwa z ostatnim cesarzem Bizancjum. Genealodzy ustalili jego potomków aż do praprawnuczki Godscall Paleologus, urodzonej w Stepney w 1693 roku... lecz na tym trop się urywa.